

Page Gertruda

Na krańcu świata



ROZDZIAŁ I

OSWALD GRANT

Oswald Quin Grant, syn Franciszka Quin Granta, wnuk wysoko urodzonego i wielebnego Quin Granta i prawnuk hrabiego Neath, przerwał siejbę, aby odpocząć chwilę w cieniu.

Było bardzo gorąco. Tak gorąco, że prawnuk para Anglii wyjął z kieszeni chustkę i otarł czoło niby jakiś zwykły farmer.

Dokonawszy tego i włożywszy znów kapelusz, pozwolił sobie na kwadransik rozmyślań.

Wokół niego, nastrojone równie kontemplacyjnie, kąpały się w słońcu wysokie wzgórza Rodezji. Nad głową miał głęboki, pogodny, nieskalany błękit afrykańskiego nieba. Tuż obok szemrała rzeka, która zawsze, zdawało się, śmiała się w kułak i jak struś usiłowała ukryć się, zagrzebując głowę w piasku. Wód jej nie było wcale widać, płynęła bowiem na dnie parowu, mającego około dwudziestu stóp głębokości i całkowicie zarośniętego listowiem; mimo to jednak linia obfitej zieleni, tu i ówdzie usiana grupami liściastych drzew, wijąca się wśród wzgórz i spalonego słońcem stepu zdradzała obecność rzeki każdemu, kto choć trochę znał Rodezję.

Rzeka jednak, jak dzień długi, szemrała w parowie gwarząc z kamieniami i paprociami i pękając ze śmiechu na myśl o tym, jak sprytnie udało jej się tu ukryć. Oswald Grant był poniekąd dumny ze swej rzeki. Większość farm w Rodezji nie miała wcale wody, podczas gdy on miał dwa całkiem znośne strumienie i jeszcze do tego tę zakrytą szuwarami rzekę. Dowodziło to przemyślności i przezorności z jego strony, że potrafił pozyskać dla siebie jedną ze stosunkowo niewielu farm dobrze zaopatrzonych w wodę.

W tym okresie życia zresztą, w jakim w tej chwili znajdował się Oswald Grant, sporo rzeczy dawało mu okazję do zadowolenia, co było powodem radości ludzi, którzy mieli z nim do

czynienia. Gdy bowiem mu się nie powodziło, miał zwyczaj narzekać na los w sposób bardzo uciążliwy dla słuchaczy. Spoglądając teraz na swoje dobra, zagłębił się w przyjemne marzenia

o ich urodzajności i gratulował sobie tego, że podczas gdy w modzie było głosić, że Rodezja nie jest krajem rolniczym, udało mu się osiągnąć jakie takie powodzenie na tym pustkowiu. No, ale naturalnie kosztowało go to wiele pracy. Nie ustawał ani na chwilę i nie szczędził własnego potu, co było niemało, myślał, zważywszy, że był prawnukiem hrabiego. Któż może przewidzieć, czy on sam pewnego dnia nie otrzyma tego tytułu. Był potomkiem hrabiego w prostej linii. Co prawda młodszy brat Oswalda, przed którym ten nieopatrznie rzucił raz jakąś uwagę na ten temat, roześmiał mu się bezczelnie w nos i mruknął coś niemal wulgarnego o „wielu licznych rodzinach, które znajdują się między nim a hrabią”, ale przecież żaden człowiek obdarzony jakąkolwiek głębią uczuć nie zwracałby uwagi na takiego pustego chłopaka. Mimo wszystko jednak, ilekroć pozwalał sobie na przyjemność poruszenia w rozmowie powyższego tematu, zawsze uważał pilnie, aby omijać wszelkie aluzje do pokaźnej ilości stryjów i kuzynów, którzy musieliby zejść przedwcześnie z tego świata, aby utorować mu drogę do tytułu.

Mieszkał już w Rodezji od sześciu lat i zakosztował wszelkich trudności i przeciwności losu, jakie napotyka na swej ścieżce osadnik w tym pięknym kraju. Z początku od świtu do nocy przeklinał los, który go tu zapędził. Po pewnym czasie jednak obrano go prezesem Stowarzyszenia Farmerów i sędzią na Wystawie Rolniczej, zaczął się więc powoli godzić z losem. Wreszcie po czterech latach pojechał na trzy miesiące do Anglii, częściowo dla odpoczynku, częściowo zaś po to, aby poszukać żony. Obydwa te cele zostały osiągnięte, teraz więc, w rok później, miał wrażenie, że okręt jego żegluje nareszcie z wiatrem po pogodnych morzach. Przyszłość uśmiechała się do niego. Widział się już co najmniej ministrem rolnictwa, poza tym zaś — wizja najpiękniejsza ze wszystkich — tliła się wciąż nadzieja, że ci wszyscy stryjowie

i kuzynowie będą na tyle uczynni, że umrą w odpowiednim czasie, otwierając mu drogę do hrabiowskiego tytułu. Gdzieś na dnie jego świadomości tkwiło mgliste przekonanie, że Opatrzność byłaby rada, gdyby został hrabią. Czuł, że gdyby można było współzawodniczyć o tytuł, on miałby największe

szanse. Mógł uczciwie stwierdzić, że przez trzydzieści sześć lat życia nie popełnił żadnego grzechu—oczywiście nie był nieomylny; można mu było zarzucić drobne przewinienia i niedopatrzienia, ale żadnego rozmyślnie uczynionego zła. Nie miał żadnych słabostek przeciętnego mężczyzny. Nie pił, nie kłął i pod żadnym względem nie był niewolnikiem swego ciała — szlachetny, prostoliniowy mężczyzna, pracowity, religijny, obdarzony sporą dozą zdrowego rozsądku.

Będąc w dodatku arystokratycznego pochodzenia, mógł naturalnie iść w zawody z najpierwszymi obywatelami państwa.

Nic też w tym dziwnego, że zakuty w tak nieprzeniknioną i niezwyciężoną zbroję, odbywał konkury z miną nieco protekcyjną. Ponieważ zaś angielskie dziewczęta słyną z samodzielności i niezależności, dobrze się złożyło, że nie miał potrzeby stawać do otwartej walki i współzawodnictwa o żonę. Dama, która miała nosić jego starożytne nazwisko i dzielić odległą możliwość uzyskania arystokratycznego tytułu, została wybrana mu na żonę, zanim jeszcze parowiec Union Castle dotarł do Southampton. Najłatwiej to wyjaśnić, przytaczając list, który otrzymał od matki dwa miesiące przedtem. '

Matka pisała:

Z radością dowiaduję się, że przyjeżdżasz na odpoczynek do domu i że masz zamiar pomyśleć o małżeństwie. Jestem wielką zwolenniczką małżeństwa i bardzo się zawsze martwiłam, że obaj moi synowie tak długo pozostają kawalerami. Widzę jednak teraz, że może ręka Boga chce rozstrzygnąć tę ważką sprawę w twoim życiu. Gdybym nie uważała tego za zbyt pychę, powiedziałabym, że sam Pan wybrał dla ciebie narzeczoną. Wytłumaczę się jaśniej: opowiadałam ci niejednokrotnie o mojej przyjaciółce, Eleonorze Gray, której mąż był proboszczem małej parafii w Devonshire niedaleko Bidefordu. Umarł on w zeszłym roku pozostawiając żonę i jedyną córkę bez żadnych niemal środków do życia. Zamożniejsi parafianie, którzy zdaje się bardzo cenili i lubili proboszcza, wynajęli dla nich mały domek we wsi. Tam też odwiedziłam w maju Eleonorę i jej córkę. Domyślasz się przypuszczalnie reszty. Joyce Gray to urocza dziewiętnastoletnia dziewczyna i z mojej krótkiej z nią znajomości mogę sądzić, że byłaby dla ciebie miłą i użyteczną żoną. Biedna jej matka umiera na raka i ma przed sobą

zaledwie kilka miesięcy życia. Kiedy odejdzie, Joyce pozostanie bez grosza, samiuteńka na świecie. Jest zdrowa i ładna i nie będzie się nudziła w twoim domu na pustkowiu, bo spędziła całe życie w małej wiosce rybackiej w północnym Devonie. Nie ma żadnych przywar nowoczesnych młodych panien, które moim zdaniem odznaczają się przede wszystkim brakiem wychowania: Nie ma też zwyczaju- zaniebyswać obowiązków domowych dla gry w tenisa i golfa, chociaż, o ile mi wiadomo, obydwie te umiejętności posiada w wysokim stopniu. Wiem, że córka mojej dobrej Eleonory otrzymała na pewno staranne i dobre wychowanie i wpojono jej jak najlepsze zasady. Wreszcie największą jej zaletą jest to, że jest ci równa urodzeniem. Wiem, jaką przywiązujesz wagę do tych spraw, i uważam, że skoro Bóg stworzył królów i nędzarzy, niepodobna nie czuć słusznej dumy ze swego wysokiego pochodzenia;- gdybym nie była tego tak pewna, nie poświęciłabym tej kwestii ani jednej myśli. Joyce jest 'dobrze urodzona zarówno ze strony ojca, jak i matki, a jej brat stryjeczny jest spadkobiercą tytułu i majątku lorda Neversham. Krótko mówiąc, drogi Oswaldzie, jeżeli przyjedziesz do domu jeszcze wolny, to nie tracąc czasu udaj się do Devonshire pod pozorem zwiedzenia, okolic i postaraj się o rękę tej uroczej dziewczyny. Matka jej była w takiej rozpacz o jej przyszłość, że sądziłam, iż nic w tym nie będzie złego, jeżeli napomknę o możliwości tak szczęśliwego rozwiązania. Wiem też, że niecierpliwie wygląda twego przyjazdu. Czyż potrzeba dodawać, drogi Oswaldzie, że opowiedziałam jej, jakim nadzwyczajnym synem byłeś zawsze dla twego drogiego ojca i dla mnie i jak .dumni byliśmy zawsze z twego szlachetnego, szczerego charakteru, wzniosłości uczuć i nieustającej gorliwości w spełnianiu obowiązków. Oswald Grant zawsze miał u siebie Spis Parów Anglii Lodge'a, kiedy więc skończył list matki, złożył go starannie, schował z powrotem do koperty i poszedł poszukać Spisu. Następnie usiadł na ganku i przestudiował pilnie opis antenatów i stanowiska lorda Neversham .oraz jego przypuszczalne pokrewieństwo z wielbnyim Teodorem Grayem. Wokół , niego odwieczne wzgórza zatapiały swe wyniosłe głowy w błękicie, ukrywając — czyżby to było możliwe? — lekki uśmiech. Niżej, w dolinie, chowając się w listowiu, rzeka śmiała się w kułak. Kiedy Oswald odłożył wreszcie księgę, na twarzy jego malowało się zadowolenie. Od tej chwili zabrał się do realizowania planów wyjazdu. Po przybyciu do Anglii udał się jak najprędzej na zachód, aby zwiedzić północny Devon, i w sposób całkiem naturalny dotarł do małej wioski rybackiej w pobliżu Bidefordu. Kiedy złożył wizytę pani Gray, Joyce nie było w

domu. Pojechała gdzieś łódką. Ze słów jej matki wynikało, że pojechała na połów z wiejskim rybakim; Oswald wytłumaczył sobie jednak, że to chyba niemożliwe i odrzucił wszelką myśl na ten temat. Niewątpliwie ktoś w sąsiedztwie miał jacht i zaprosił Joyce na przejażdżkę. Tymczasem więc Oswald odbył długą rozmowę z nieszczęśliwą chorą, która przypuszczalnie niewiele miała już życia przed sobą; będąc zaś zgodnie ze swą reputacją człowiekiem dobrotliwym, z łatwością pozyskał jej zaufanie i szacunek i pozostawił na niej wrażenie człowieka dobrego, który potrafi należycie zaopiekować się jej ukochanym dzieckiem. Raz czy dwa razy wyczuła w jego słowach ton pewnej wyższości, który raził ją nieco, i przelotne akcenty — powiedzmy — snobizmu; postarała się jednak zaraz zamknąć na to oczy i poświęcić całą uwagę cieplej życzliwości, z jaką mówił o swojej matce, jej przyjaciółce jeszcze z czasów szkolnych. Kiedy żegnał ją w godzinę później, los Joyce był już właściwie przypieczętowany.

— Oswald Grant był tutaj — powiedziała cicho matka, kiedy weszła Joyce z rumieńcami na opalonej twarzyczce i ożywieniem w oczach, błękitnych jak samo morze Devonu. — Czy nie widziałaś go nigdzie we wsi?

Joyce odwróciła się gwałtownie do okna, przez które widać było morze.

— Jak on wygląda? — zapytała.

— Bardzo wysoki i szczupły, lekko zgarbiony. Twarz ma bardzo opaloną po podróży. Przyjdzie wieczorem na kolację. Idź, kochanie, i uczesz się. Wiatr rozwał ci włosy we wszystkich kierunkach oprócz tego, w którym powinny leżeć.

— Tak było pysznie, mateńko! — Dziewczyna pochyliła się na chwilę nad krzesłem matki. W jej powleczonej mgłą smutku oczach znów ukazał się żywy błysk. — John Turner i Will Baxter złowili mnóstwo ryb, a ja przyniosłam do domu cztery, które złowiłam sama. Złapałabym znacznie więcej, ale oni posadzili mnie w jedynym czystym miejscu łodzi, a że je specjalnie dla

mnie oczyścili, więc nie chciałam odmówić. Do połowu jednak miejsce było marne. W każdym razie było bardzo przyjemnie. Naprawdę uwielbiam zapach wilgotnych sznurów, wełnianych swetrów i ryb.

Matka jej uśmiechnęła się z pewnym smutkiem. Gdybyż mogły po prostu zostać tutaj — razem ona i jej ukochana córka — jakby to było niewypowiedzianie dobrze! Opanowała się jednak dzielnie.

— Włóż swoją białą muślinową sukienkę, kochanie — powiedziała — nie co dzień zdarza nam się przyjmować młodego człowieka.

Oswald Grant, pogrążony w kontemplacji pod cienistym drzewem, stwierdził, że żona również jest jednym z licznych dowodów jego rozwagi. Tylu przecież mężczyzn wybiera żony tylko dla ich urody, nie myśląc wcale o tym, czy są odpowiednie. Naturalnie częstokroć kończy się to katastrofą. Decydując się na ożenek z Joyce miał przede wszystkim na względzie to, że była dobrze i prosto wychowana i że spędziła życie w samotnym, oddalonym od świata zakątku, a więc szczególnie nadawała się do dzielenia z nim życia na samotnej farmie kolonialnej.

Nie miał może czasu, aby poznać ją bliżej przed ślubem, ale podobała mu się i nie budziła w nim krytycyzmu: rezultat zaś, zdaniem jego, w zupełności spełnił jego nadzieje.

Przypuszczał, że czuła się bardziej samotna niż się tego po niej spodziewał, zważywszy względy i opiekę, jakimi ją otaczał, nie skarżyła się jednak nigdy; wkrótce zaś będzie miała aż nadto zajęcia dla swych samotnych godzin. Dziw było pomyśleć, że kiedy ta pszenica, którą sieje, dojrzeje do żniwa, w domu jego będzie się już znajdować mała ludzka istota. Uśmiechnął się do siebie z pewnym zażenowaniem. Doprawdy, fakt, że małżeństwo jego zostanie uwieńczone dzieckiem, pasował nadzwyczaj do ogólnego pomyślnego stanu rzeczy. Miał nadzieję, że urodzi się chłopiec, aby nosić jego nazwisko i stworzyć nową więź z owym odległym tytułem hrabiowskim.

Wstał i wyprostował się. Godzina podwieczorku minęła już, ale bardzo chciał skończyć jeszcze ten zagon. Joyce będzie niewątpliwie dość rozsądna, aby nie czekać na niego z jedzeniem. Zaczął więc znów pracę, starannie rozrzucając ziarno — wysoki, chudy mężczyzna, mocno zgarbiony, o mocno zaniedbanym i przez to niezbyt ujmującym wyglądem.

ROZDZIAŁ II

JOYCE

Podczas gdy mąż jej kończył wyznaczoną sobie pracę, Joyce leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce i łkała rozpaczliwie. W stajni na zboczu wzgórza jej ukochany kucyk leżał martwy.

— To nieprawda. Nie mogę w to uwierzyć! — jęknęła kilka razy.

Zaprzeczenia straszliwej prawdy nie przynosiły jednak żadnej ulgi i Joyce płakała dalej. O tym, co się stało, zawiadomił ją chłopak Murzyn. Ze strachem dławiącym krtań pobiegła do stajni. Na podściółce bardzo spokojnie leżał Urwis — istotnie nieżywy.

— Urwis! — szepnęła parę razy rozpaczliwie, ale kochane oczy konia były szkliste i niewidzące. Po raz pierwszy w życiu Urwis nie odpowiedział na głos umiłowanej pani. Po chwili, oślepiąca łzami, pobiegła z powrotem do domu, aby wypłakać się w samotności.

Ani przez chwilę nie wierzyła, że Urwis umrze. Ta okropna afrykańska choroba, która zabiła połowę koni w Rodezji, na pewno ominie jej Urwisa. Czyż nie przybył tu aż z Anglii — z najmiłszego Devonu — aby być jej najlepszym przyjacielem i towarzyszem w tym pustynnym kraju? Dostała go jako prezent ślubny od członka ojcowskiej parafii, który wspaniałomyślnie pokrył także wszelkie koszty związane z przewiezieniem kuca do dalekiej Rodezji.

— Rodezja jest daleko, a ja sam niezbyt lubię dalekie kraje — oświadczył pocziwy ziemianin smutnej panie młodej. — Niewiele pamiątek będzie pani tam miała. Urwis zaś będzie devońskim upominkiem, który pomoże pani przepędzić niejedną samotną godzinę.

A teraz Urwis nie żył. Powtarzała to sobie bez przerwy, nie mogąc ogarnąć znaczenia tych słów:

— Nie żyje, nie żyje, nie żyje!

Nie będzie już więcej dzikich galopów o poranku; ciężkich, długich wspinaczek; nie będzie więcej zdobywania kamienistych, stromych ścieżek; skończyły się zabawy w wypłaszanie ze stajni murzyńskich chłopców, którzy uciekali w panice; nie będzie już potajemnych wypadów na pole, aby kraść młody owies i jęczmień,

ani popisywania się przed afrykańskimi końmi tym, czego może dokazać devoński pony z devońską amazonką na grzbiecie. Wszystko się skończyło — na swej czystej podściółce w stajni na zboczu wzgórza Urwis leżał martwy. Chorował wszystkiego półtora dnia — koniec był błyskawiczny. Poprzedniego dnia z rana nie chciał jeść śniadania i mąż Joyce stwierdził, że koń jest „jakiś niewyraźny”. Potem kuc zaczął jeść i ucieszył się ze świeżej zielonej lucerny, której mu własnoręcznie narwała. Joyce uspokoiła się więc. Wieczorem Oswald mruknął coś o tajemniczej końskiej chorobie. Joyce miała wrażenie, że serce jej zatrzymało się na chwilę. W każdym razie jednak niektóre konie odzyskiwały zdrowie, przebieg zaś choroby Urwisa był tak łagodny, że na pewno będzie się do nich zaliczał. Tymczasem Oswald zastosował jakąś cudowną kurację i był bardzo miły, wiedziała zaś, że zna się świetnie na koniach. Ale tego ranka Urwis wyglądał znacznie gorzej, Joyce błagała więc męża, aby posłał po weterynarza. — Ależ, drogie dziecko odparł dość cierpko — to nie ma najmniejszego sensu. Koń nie ma się wcale gorzej, w każdym zaś razie weterynarz nic tu nie poradzi. Mowy nie ma o tym, żeby posyłać człowieka do miejsca odległego o dwanaście mil. Zostaw go w spokoju, a za dzień, dwa będzie zdrów. Lekarstwo, które mu dałem, jest najlepszym z możliwych środków.

Wrócił wcześniej na lunch i po drodze obejrzał kuca.

— Widziałem właśnie Urwisa — oznajmił — i myślę, że się wy grzebie.

Joyce nic nie odpowiedziała. Trzykrotnie podczas tego nie kończącego się poranku chodziła do niego, zanosząc mu ulubione przysmaki, pieszcząc go i pocieszając.

— Niedługo już będziesz zdrów, Urwisku — powtarzała ze sztuczną wesołością. — Trzymaj się, kochanie, niedługo już wyzdrowiejesz.

Podczas ostatniej wizyty zdawało się, że jej nawet nie poznaje. Przystawiła mu do pyska ulubioną słodką marchew. Kuc słabym ruchem przegryzł ją na pół. Obydwie połowy upadły na ziemię, Urwis zaś nie starał się nawet po nie sięgnąć. Joyce ukryła wówczas twarz na jego szyi — piekące łzy zalewały jej oczy.

— Wyzdrowiej, Urwis — błagała. — Wyzdrowiej. Jesteś wszystkim, co mam z... dawnych... dobrych... czasów. Och, wyzdrowiej, zrób to przynajmniej dla mnie!

W godzinę później chłopiec stajenny przyszedł jej powiedzieć, że Urwis nie żyje. Przyjęła tę wiadomość w milczeniu, nie powiedziała nic o tym, żeby zawiadomił „gospodarza”, i poszła do stajni, aby upewnić się, czy to rzeczywiście prawda.

Po upływie pół godziny ciszę upalnego, dusznego popołudnia przerywały tylko jej rozpaczliwe łkania.

Co pewien czas siadała z włosami w nieładzie i zalaną łzami twarzą i powtarzała, zaciskając pięści:

— Nie przebaczę mu! Nie przebaczę!

Przez chwilę słodkie jej oczy świeciły stalowym światłem gniewu. Po chwili jednak znów ogarniało ją bolesne poczucie własnej samotności — jej całkowita i nieunikniona zależność od tego człowieka, który widocznie zranił ją w sposób bardzo ciężki. Wysokie wzgórza przytłaczały ją; zdawało jej się, że znajduje się na innej planecie, tak daleko była pociecha, której pragnęła całą duszą. Kamienne ściany domu jej męża więziły ją; nawet suknie, które nosiła, należały do niego; bez niego nie miała nic na całym świecie — jakże więc mogła mu nie przebaczyć?

— Urwis należał tylko do mnie — szepnęła z pasją. — Nie miał w ogóle prawa go dotykać. Żaden gentleman nie zachowałby się w ten sposób!

Myśl jej powracała wciąż do incydentu, który teraz dodawał jeszcze głęboką urazę do jej ciężkiego zmartwienia. Kilka dni przedtem Oswald strzygł przed domem kucowi grzywę, podczas gdy ona czekała, żeby wsiąść i pojechać na przejażdżkę. Naraz jakaś mucha usiadła na nosie Urwisa. Kuc odrzucił głowę w tył, przez co nożyczki ukłuły strzygącego w rękę. W nagłym, gwałtownym napadzie gniewu krzyknął zirytowanym głosem i ciężkim podkutym butem myśliwskim kopnął konia w brzuch. Biedny Urwis, mający w żyłach dwie trzecie szlachetnej krwi i odpowiednio do tego wrażliwy, odskoczył w tył, przerażony. Gdy Oswaldowi udało się uspokoić go, spostrzegł, że żona wpatruje się weń oczyma płonącymi z gniewu.

— Jak śmiesz! — zawołała namiętnie. — Jak śmiesz! Nie będziesz tak postępował z Urwisem! Nie pozwolę na to!

Wybuch był tak niespodziewany, że Oswald osłupiał na chwilę, następnie jednak roześmiał się z pewnym okrucieństwem.

— W takim razie Urwis musi się przyzwoicie zachowywać — powiedział. — Nie mam zamiaru pozwolić sobie kaleczyć rąk ani dla Urwisa, ani dla nikogo innego.

Słowa te uspokoiły ją do pewnego stopnia, gniew jej jednak nie opadł.

— Jesteś tchórzem — powiedziała z raniącym spokojem. — Tylko tchórz i brutal potrafi kopnąć takiego konia jak Urwis!

Przygryzł ciężką dolną wargę, gdy jednak odwrócił się, aby odpowiedzieć, już jej nie było. Ponury, gniewny wyraz ukazał się na jego twarzy. W pół godziny później Joyce zsiadła z konia w zagajniku i długo płakała na szyi Urwisa. Wiedziała, że gniew jest tu zupełnie bezcelowy, jak wszystko inne zresztą. Należało znosić milcząc takie wypadki. Czyż nie uderzył małego pieska i nie złamał mu łapki za jakieś drobne przewinienie? Było to w pierwszym miesiącu pobytu w Rodezji. Gdy robiła mu wyrzuty z tego powodu, zamykał się gniewnie w sobie na dłuższy przeciąg czasu. Wiedziała doskonale, co ją czeka po powrocie do domu. Nie powie ani słowa; nie leży to w jego zwyczaju. Okaże jej swoje niezadowolenie napadem mrukliwości, co doprowadzało ją zawsze do rozpacz. Nie będzie się odzywał, chyba że ona go o coś wprost zapyta, a opuszczona dolna warga będzie wystawać bardziej niż zazwyczaj. Da jej odczuć, że to ona jest winna, chociaż wie, że to niesprawiedliwość. Jego sposób bycia będzie mówił o wspaniałomyślnej cierpliwości, z jaką ją traktuje. I przez cały dzień wysokie wzgórza będą ją więzić, przytłaczając młodzieńcze ożywienie swym kamiennym spokojem.

Zdarzyło się to dopiero pięć dni temu. Teraz zaś Urwis leżał martwy. Ani chmurne wzgórza, ani mury więzienne nie mogą zdusić w niej szalonego gniewu, połączonego z nieutulonym cierpieniem.

W tej chwili ogarnęła ją fala nostalgii, takiej nostalgii, jakiej zaznać, dzięki Bogu Najwyższemu, sądzono jest niewiele tylko ludziom. Zamiast odpychających wzgórz ujrzała błękitne morze ukochanego Devonu. Zamiast wiatru, dmącego wśród kukurydzy, usłyszała wesoły szmer fal objających się o zalaną słońcem plażę. W małym, bezpretensjonalnym domku łagodna kobieta czekała na jej powrót do domu i chciwie słuchała jej słów. W łodziach

rybackich opaleni na brąz, brodaci, olbrzymi rybacy wyglądali jej nadejścia, aby godnie ją przywitać. Urwis wiedział o tym wszystkim. Podczas swych samotnych przejażdżek rozmawiali o tym częstokroć — córka Devonu i de-voński koń — wygnańcy w kraju, który nigdy nie przestał być dla nich obcy.

W paroksyzmie płaczu prosiła Boga, aby pozwolił jej także umrzeć.

— Wiem, że on jest dobrym człowiekiem — łkała — ale nie mogę go kochać, dzisiaj zaś nie mogę mu nawet przebaczyć. Teraz, kiedy nie ma już Urwisa, nie mogę zostać sama. O Boże, pozwól mi także umrzeć! Pozwól mi umrzeć!

Oswald wróciwszy z pracy dowiedział się o śmierci Urwisa od czarnych służących i natychmiast poszedł do pokoju Joyce.

— Dlaczegoś, na miłość boską, nie przysłała do mnie chłopca z wiadomością? — zapytał.

Joyce nie podniosła nawet głowy z poduszki. Podszedł bliżej i usiadł na łóżku. Ledwie dostrzegalne drgnięcie było jedynym dowodem, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Wyciągnął rękę, aby ją pogłaskać, cofnął ją jednak z jakichś niewiadomych przyczyn. Ta milcząca, niebieskooka kobieta miewała czasami dziwaczne nastroje; po raz pierwszy myśl, że lepiej jej nie przeszkadzać, przeniknęła do jego świadomości poprzez grubą warstwę zadowolenia z siebie.

— Bądź co bądź, nie ma co wpędzać się w chorobę — powiedział wstając i idąc ku drzwiom, gdzie zatrzymał się, spoglądając na pola. — Naturalnie, postaram się dostać dla ciebie innego kuca, tymczasem zaś możesz jeździć na mule Hesterze. On jest bardzo spokojny.

Od strony łóżka nie dobiegł go żaden dźwięk, może tylko skulona na nim postać silniej zadrżała. Jego niezręczne próby pociechy powiększały tylko jej cierpienie. Poza tym wciąż jeszcze nie mogła zapomnieć o tym okropnym incydencie, kiedy kopnął Urwisa. Pragnęła tylko, żeby już sobie poszedł. Samotność była straszna, wołała ją jednak od tych wzbierających w niej palących wyrzutów, których nie mogła wypowiedzieć na głos. Jeżeli pozostanie dłużej, czuła, że straci cierpliwość i nazwie go znów tchórzem — tchórzem i brutalem. Potem zaś Oswald znów będzie zachowywał urażone i gniewne milczenie, którego nie mogła znieść.

— Naturalnie, że należało się tego spodziewać — odezwał się Oswald po chwili. — Konie zawsze zdychają w tym kraju. Ostrzegalem cię niejednokrotnie, że to niemądre tak się do niego przywiązywać.

Odwrócił się i podszedł znów do łóżka.

— No, rozwesel się. Niedługo będziesz miała nowego kucyka — powiedział uroczyście i pochylił się, aby pocałować ją w czoło. W tej chwili jednak siła woli Joyce opuściła ją. Uczuła, że postąpi nielojalnie wobec swego nieżyjącego ulubieńca, jeżeli przyjmie ten pocałunek. Ślepo — nie myśląc, co robi — wyciągnęła ręce i odepchnęła męża. Zdziwił się niezmiernie.

— Cóż to? Co to ma znaczyć?

— Dopiero pięć dni temu kopnąłeś go... Nie mogę o tym zapomnieć. Proszę cię, odejź teraz.

— Jesteś śmiesznie dziecinna! zawołał z irytacją i wyszedł z pokoju.

Po jego wyjściu usiadła na łóżku.

— Nie, nie dzisiaj powiedziała. Dziś nic mogłabym tego znieść. Wolałabym chyba, żeby mnie zabił.

Z trudem podniosła się na nogi. W głowic jej się kręciło i czuła się bardzo słabo, z wysiłkiem jednak zaczęła doprowadzać swój wygląd do porządku.

„Muszę zejść na obiad — myślała — ale potem może...”

Podczas obiadu Oswald zachowywał grobowe milczenie. Był zły na nią i zły na siebie i martwił się z powodu śmierci konia bardziej, niż sam się przed sobą przyznawał.

— Nic nie jesz — odezwał się wreszcie. — Mam nadzieję, że nie jesteś tak niemądra, żeby narażać swoje zdrowie w takiej chwili? Muszę cię prosić, żebyś się przynajmniej rozsądnie zachowywała.

— Bardzo mi przykro — wyjąkała — ale nie mogę dziś jeść mięsa z puszki. Wypiję szklanekę mleka.

Zmarszczył brwi.

— Powinnaś była kazać zarznąć kure — powiedział tylko. Brak współczucia z jego strony wywołał w niej znów ostre

poczucie własnej samotności. Do oczu jej napłynęły łzy, które daremnie usiłowała stłumić. Po drugim daniu wstała nagle.

— Myślę, że położę się do łóżka — powiedziała; po chwili dodała nerwowo: — Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to będę

dziś spała w zapasowym pokoju. Przypuszczam, że długo nie będę mogła zasnąć — a... a... nie chciałabym ci przeszkadzać.

Ujrzała, że zaczerwienił się gwałtownie. Tłumiony gniew odbił się na jego twarzy. Zrozumiała, że uznał to za osobistą obrazę. Poczła się jak skazaniec przed surowym trybunałem człowieka, który odziedziczył niemal nienaruszone wszelkie wygodne teorie swych przodków o obowiązkach żony. Jego zdaniem nie miała prawa przejawiać swej woli poza dziedziną gospodarstwa domowego. Mimo wszystko obstawała przy swoim, chociaż jego niezadowolone milczenie miało na celu dać jej czas do naprawienia błędu.

Wreszcie, nie patrząc na nią, wstał i odsunął krzesło.

Jak sobie życzysz — powiedział lodowatym tonem, po czym wyszedł z pokoju.

Joyce Gray, uboga od dzieciństwa, nie zaznała zbytków i dostatku przez czas swego niedługiego życia; co jednak los zabierał jedną ręką, to dotychczas oddawał z nawiązką drugą. Nie zbywało jej przynajmniej nigdy na miłości i współczuciu kochających serc. Od pierwszej chwili nowego życia tęskniła za tymi rzeczami, nie znajdowała zaś nic, co by je mogło zastąpić. Oswald w sposób protekcyjnalny ofiarował jej miłość, którą ze względu na okoliczności i życzenie umierającej matki musiała przyjąć. Miłość ta jednak była jałowa, nie miała nic wspólnego z prawdziwym współczuciem i sympatią, ofiarodawca zaś był najzupełniej przekonany, że osoba, którą nią darzy, jest szczęśliwą wybranką Fortuny.

Joyce była dzielną dziewczyną, nie zapominając więc ani na chwilę o tym, że sama zdecydowała się na swój los, ukrywała zawsze swoje troski i cierpienie. Mimo wszystko jednak zdarzały się chwile, kiedy czuła tak wielką potrzebę współczucia i prawdziwej czułości, że nie mogła myśleć o niczym innym i traciła hart ducha.

Gdy powiedział „Jak sobie życzysz” i zirytowany wyszedł z pokoju, straszliwe poczucie samotności ogarnęło ją ze wzmożoną siłą. Z żalem wywoływała w pamięci wszystkie ubiegłe tygodnie i miesiące cierpliwego milczenia w śmiertelnej pustce tych przytłaczających wzgórz. Mówiła sobie zawsze, że po pewnym czasie, kiedy przyzwyczai się wreszcie do otoczenia i pogodzi się z myślą o śmierci matki, poczuje się lepiej. Miała jednak zawsze uczucie,

że wcale nie żyje — że tylko udaje życie. Teraz zaś miała znosić to wszystko nawet, bez Urwisa. Oswald Grant nie umiał w najmniejszym nawet stopniu zrozumieć jej i wniknąć w jej tęsknoty, czemu nie należało się zresztą dziwić. Był z natury człowiekiem niezdolnym do rozumienia innych uczuć, prócz swych własnych. Miał swoją pracę, która go interesowała. Miał spore grono przyjaciół — mężczyzn. Miał swoje cotygodniowe wycieczki do miasta, gdzie uczęszczał na zebrania, na których słowa jego w sprawach farmerskich uważano za święte; tę zaś formę pochlebstwa lubił najbardziej. Ranki jego wreszcie różniły się od wieczorów, podczas których rozkoszował się w pełni zasłużonym wypoczynkiem, Tylko dla kobiety godziny mają posmak śmierci i wloką się żółtym krokiem. Dziś wieczorem, z tą nową męką w sercu, zdawało jej się, że osiągnęła granicę cierpienia, której zboleły jej mózg nie mógł już przekroczyć. Stała przez chwilę niezdecydowanie, patrząc na otwarte drzwi, przez które wyszedł Oswald. Następnie poszła cicho do małego, pokoju gościnnego, w którym stało tylko wąskie, twarde łóżko. Była już zbyt wyczerpana, aby móc płakać, ale jej rozpalony mózg nie mógł zaznać spoczynku. Przez godzinę leżała w niemej męce, daremnie starając się zasnąć, gdy naraz potworne uczucie, podobne do śmierci, oładnęło jej ciałem i duszą. Chciała zawołać, ale wydała tylko słaby, nieartykułowany dźwięk. Wreszcie nadludzkim wysiłkiem zwlokła się z łóżka i z najwyższym trudem doszła do bawialni, w której jej mąż siedział nad książką.

— Czy potrzeba ci czegoś? — zapytał, nie podnosząc głowy.

— Ja... Ja... Zdaje mi się, że jestem chora — wyszeptała i osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ III

DIANA

Dayrell Webberley, powszechnie zwana Dianą, i Cecil Lawson nie byli sobie nigdy oficjalnie przedstawieni, co naturalnie jest rzeczą haniebną. Należy jednak wyznać, że trwała przyjaźń, jaka wywiązała się między nimi, nigdy nie ucierpiała z powodu naruszenia prawideł etykiety w początkach znajomości.

Poznali się w pocztowym pociągu pomiędzy Buluwayo i Salisbury, kiedy Fortuna dała im cały przedział do dyspozycji po nieoczekiwanym wycofaniu się zeń trzeciego pasażera, którego odkrył tutaj i namówił do zmiany miejsca przyjaciół jadący na drugim końcu pociągu.

Dr Lawson jechał aż z Cape w towarzystwie kilku innych pasażerów z Kildonan Castle, udających się do Rodezji. Nie zawarł jednak bliższej znajomości z żadnym z nich. Owszem, na statku zabijał czas w ich towarzystwie, ale to było wszystko, chociaż naturalnie w pociągu pasażerowie Kildonan Castle tworzyli jedno towarzystwo. Po siedemnastu dniach spędzonych na morzu znali się już nawzajem wcale dobrze. Niektórzy spośród nich zdążyli już pokłócić się i pogodzić znów — rozrywka, która przerywa monotonię podróży morskich i czyni niejednokrotnie pożądaną wyłom w nieustannej dyscyplinie nudy panującej zwykle na statku. Na przybyłych jednak w Buluwayo nowych pasażerów spoglądano niezbyt przychylnym okiem. Zadziwiająca rzecz, jak podróżni, którzy jadą od początku kursu, spoglądają zawsze na nowo przybyłych niechętnie i z wyższością, skłonni uważać i swoje pierwszeństwo za powód do nieuzasadnionej dumy.

Ale Diana Webberley nie dostrzegała wcale tych min, gdyby zaś nawet widziała, na pewno nic by sobie z nich nie robiła. Diana bowiem uważała, że na świecie jest zbyt wiele istotnie interesujących spraw, aby na fochy i dziwactwa bliźnich reagować inaczej, jak dobrotliwymi kpinami. Z początku ześrodkowała uwagę wyłącznie na krajobrazie, przekonawszy się jednak o monotonii widoków z okna rodezyjskiego pociągu, przeniósła szybko swe zainteresowanie na towarzyszy podróży. Pierwszego z nich, przystojnego mężczyznę około czterdziestki, o wyglądzie zdradzającym wojskowego, niemal natychmiast zawołał jakiś wesoły głos:

— *Hallo*, majorze! Nie wiedziałem, że pan tak prędko wróci!

— *Hallol* — odpowiedział major. — Skąd się pan wziął w pociągu do Salisbury? Myślałem, że pana przeniesiono do Johannesburga.

— Chodźmy do mojego przedziału. Napijemy się czegoś — zaproponował tamten. — Jestem zupełnie sam.

Po tych słowach wyszli, Diana zaczęła więc obserwować interesującą twarz drugiego towarzysza. Z nalepek na ich bagażu wiedziała już, że obaj przyjechali parowcem Kildonan Castle, poza tym jednak, sądząc z pozoru, niewiele mieli ze sobą wspólnego. Elegancki major był najwyraźniej światowcem, podczas gdy spokojny mężczyzna siedzący w kącie wyglądał raczej na uczonego i myśliciela. Czytał *Życie pszczoł* Maeterlincka i był nim pochłonięty bardziej niżby, zdaniem Diany, należało, chociaż wiedziała doskonale, jaka to fascynująca książka. Zaczęła wreszcie się niecierpliwić, ponieważ zaś była osobą pełną niewyczerpanych pomysłów, przyzwyczajoną poza tym do stanowienia o sobie w większości spraw, postanowiła ująć inicjatywę w swoje ręce. Ostentacyjnie rzuciła gazetę i tak głośno westchnęła, że czytający spojrzął na nią z niemałym zdziwieniem.

Wytrzymała jego spojrzenie z rozbijającą szczerością i zauważyła ze skargą w głosie:

— Czy nie uważa pan, że „Zamorski Daily Mail” przypomina czasami menu bez obiadu?

Mężczyzna uśmiechnął się równie szczerze. Dianę uderzył nieopisany wdzięk uśmiechu tego poważnego oblicza.

Zmieniał on wyraz całej twarzy z poważnego zamyślenia na szybką gotowość do sympatii i porozumienia.

— Nigdy go nie czytałem — odparł. — Muszę jednak przyznać, że południowe wydanie ma zwyczaj podawać różne niepowседневne informacje, których daremnie by się szukało w przeciętnym gazetowym menu.

— Przepadam za tym! — zawołała. — To jedna z najśmieszniejszych instytucji naszego wieku. Kiedy jestem w domu, czytam „Daily Mail” zawsze przy śniadaniu. Rozpoczynam wtedy dzień od śmiechu, który jest najlepszym środkiem wzmacniającym, jaki znam. Wiem naturalnie, że wy, intelektualiści, uważacie to za przestępstwo albo też za oznakę niedorozwoju umysłowego, ale to dlatego że podchodzicie do „Daily Mail” ze złej strony. Zawsze czytając tę gazetę, staram się wywołać w sobie taki nastrój, w jakim redaktor umieścił dany artykuł. Czy może pan sobie wyobrazić, jak parska śmiechem nad jakimś urywkiem i mówi: „Czyśmy aby nie przesolili tym razem?” Ale jeżeli się traktuje „Daily Mail” poważnie, to się traci cały smak.

— Obawiam się, że nie mógłbym wydać o nim zdecydowanego sądu — odparł nieznajomy — ponieważ nigdy go nie czytam. Prawdę mówiąc, uważam, że życie jest zbyt krótkie, aby je marnować na czytanie „Daily Mail”.

— Przypuszczam, że pan czyta tego napuszonego „Timesa”! Ja znów uważam, że na to nie warto trwonić życia. Znacznie przyjemniej jest śmiać się niż czuć się ogłupionym.

Urwała nagle.

— Przyjechał pan na Kildonan Castle, prawda? — spytała, patrząc na nalepki na walizkach. — A kto jest ten marszałek?

— Marszałek? — zapytał zdumiony, nie rozumiejąc.

— Ten wojownik, który jechał przedtem razem z nami. Lubię patrzeć na takich mężczyzn. Wygląda na żołnierza od stóp do głów, nie uważa pan? Jak gdyby był przyzwyczajony ryczeć komendy całym regimentom i dostałby na pewno apopleksji, gdyby go natychmiast nie usłuchano.

Doktor roześmiał się.

— To był major Egerton — powiedział. — Nie wiem dokładnie, czym się teraz zajmuje, ale odznaczył się bardzo podczas ostatniej wojny. Na parowcu miał rządową kabinę i cieszył się wielkim powodzeniem u pań — dodał z błyskiem w oczach.

Diana odpowiedziała mu takim samym spojrzeniem.

— Czy to były piękne uwodzicielki? — zapytała. — Na moim statku moralność należała do rzadkości. Zawsze słyszałam, że linia Union Castle wozi niewiele tego ładunku.

— Życie na statku zawsze wywiera demoralizujący wpływ — odparł doktor po prostu.

Diana była ubawiona, nic jednak nie powiedziała. Podobał jej się sposób, w jaki ten poważny, inteligentnie wyglądający młody człowiek stwierdził spokojnie demoralizujący wpływ podróży na ludzi. Zastanawiała się, czy nie miał trudności w uniknięciu pokus tego świata, reprezentowanych na liście pasażerek.

— Czy pan jedzie do Rodezji na stałe? — zapytała ujmującym, koleżeńskim głosem, bez cienia jednak poufałości.

— Nie. Przepracowałem się po prostu — spojrzął na nią, ubawiony nieco jej bezpośrednim zapytaniem. — Jadę z wizytą do przyjaciela, który ma farmę w pobliżu Salisbury.

— Ja także jadę na farmę. Jakie by to było dziwne, gdyby się okazało, że będziemy sąsiadami. Mam tutaj brata bliźniaka —

William de Eresby Webberley — powszechnie znany jako Szalony Billy. Jadę prowadzić mu gospodarstwo; ale należy mu się współczucie i pożałowanie z tego powodu, nie ma bowiem rzeczy, o której wiedziałabym mniej niż o tak zwanym prowadzeniu domu. Jestem okropnie niegospodarna i nigdy nie miałam zdolności w tym kierunku. Nie wiem, jak to się robi. Poszłam raz do sklepu i zamówiłam tonę cukru. Sklepikarz zapytał mnie, czy nie zgodziłabym się wziąć tymczasem tylko sto lub dwieście kilo!

— Może w Rodezji będzie łatwiej — pocieszał ją doktor, pochylając się naprzód z wielkim zainteresowaniem.

— Jeżeli nie będzie łatwiej, to niech Pan Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece i chroni nas od wojny, morderstwa i nagłej śmierci!

— Co? Czyżby pani miała kilku braci bliźniaków?

— Nie, ale Billy ma dwóch wspólników. Mówi, że jeden z nich słynie z piękności, drugi zaś z niezwyklej oszczędności w ubiorze. Powiada, że nie mogą nigdy wszyscy razem wybrać się do Salisbury, bo mają tylko jeden przyzwoity komplet ubrania, wobec czego muszą ciągnąć losy. Można przypuszczać, że to interesujący dom, prawda?

— Sądzę, że będzie to dla pani coś zupełnie nowego.

— Tak. Myślę, że to będzie stanowiło główny urok pobytu tutaj. Najpiękniejsze jest to, że ostatni mój dłuższy postój wypadł w jednym z najwytworniejszych domów w Kensington Palace Gardens. Uwielbiam kontrasty. Żałuję tylko, że Billy nie mieszka już w lepiance ze skrzyniami zamiast krzesel. Bo od tego właśnie zaczął.

— Więc pani już od dłuższego czasu podróżuje?

— Tak, około roku włóczyłam się między Pirenejami, Sycylią i austriackim Tyrolem. Mieszkałam w wagonie, że tak powiem, i musiałam nieustannie wsiłać mózgownicę, żeby zdobyć coraz to nowe fundusze. Naturalnie, takie życie wytrąca z równowagi, ale nie dbam o to. Myślę, że nie ma nic straszniejszego, jak osiedlić się w jednym miejscu na nieokreślony czas. Wolałabym mieszkać w aeroplanie.

— Gdyby nie ryzyko utraty kontaktu z przyjaciółmi... — wtrącił doktor. Diana roześmiała się.

— Ciekawa jestem, który wspólnik mi się bardziej spodoba — ciągnęła dalej — ten piękny czy ten mało ubrany? Skłonna jestem przypuszczać, że ten drugi. Piękniś jest na pewno zarozu-

miały, podczas gdy tamten niewątpliwie nie dba o pozory. Mogłabym ich nazwać Piękno i Bestia, prawda?— jej riiski, szczerzy śmiech brzmiał bardzo mile dla uszu doktora. — Billy jest też śliczny. Zawsze mówię, że zamieniono nas przy chrzcie, kiedy więc przyszły wróżki, dały jemu „gładkość lic” przeznaczoną dla mnie, mnie zaś jego „lotność umysłu i wielkie nogi” — wyciągnęła wytwornie obutą nogę. — Są duże, prawda? — powiedziała z żalem. — Ale za to bardzo kształtne, co już jest lepsze od małych i brzydkich, no nie?

— Stanowczo! — zapewnił ją doktor z uśmiechem.

— I przypuszczam, że moja twarz też mogłaby być gorsza, chociaż Billy mówi, że to niepodobieństwo. Kiedy chce mi szczególnie dokuczyć, powiada, że przypomina latawiec; a raz, kiedy nieopatrznie powiedziałam, że moja twarz to całe moje bogactwo, zauważył: „W takim razie będziesz niedługo potrzebowała wsparcia osób trzecich”. Wcale nieźle powiedziane! Billy to ziółko! Jeżeli będzie pan w pobliżu, to musi pan wstąpić do nas.

— Mój przyjaciel nazywa się Burnett, kapitan Burnett. Był w 9 Pułku Huzarów, ale przez kaprys wystąpił z wojska i pojechał do Rodezji bawić się w farmerstwo. Wspaniały chłop — ale nie powinien był opuszczać wojska. Miał przed sobą świetną karierę.

— Ależ znam go, naturalnie! — zawołała Diana. — A właściwie wiem o nim dużo. Billy często wspominał w listach o Bur-necie. Pewna jestem, że mieszka niedaleko. Niewątpliwie się spotkamy. Przypuszczam, że pan przyjedzie i ujrzy mnie w wielkim fartuchu, usiłującą wyglądać gospodarnie, a w duszy przeklinającą jak dorożkarz, dlatego że chleb nie chce wyrosnąć. Jak długo zostanie pan w Rodezji?

— Około trzech miesięcy. Ja znów spodziewam się, że pani przyjedzie do nas ze swym bratem i zastanie mnie przy udzielaniu porad lekarskich wybladłym Murzynom.

— Wybladli Murzyni! — powtórzyła. — Jakież to śliczne! Czy pan jest doktorem?

— Cecil Lawson, F. R. C. S. * i M. D. ** z Londynu, do usług — złożył jej ukłon.

*** Członek Towarzystwa Królewskiego (akademik); (przyp. tłum.). ** Doktor medycyny (przyp. tłum.).**

— Ja jestem Diana Webberley. Właściwie mam zaszczyt nazywać się Dayrell De Eresby Webberley, ale nie dorosłam do tego imienia. Jest zbyt imponujące, przyjaciele moi więc nazywają mnie Dianą lub Di. Ludzie, którzy nie są przyjaciółmi, nie liczą się — co się przypuszczalnie świetnie składa, bo na ogół mnie nie pochwalają. Bardzo mi przykro, oczywiście, ale koniec końców jestem taka, jaką mnie Pan Bóg stworzył — poza tą częścią, w której diabeł maczał palce — więc nie ma nadziei, żeby mnie ktoś potrafił zmienić i poprawić. Billy jest taki sam, jak ja. Nie mamy zresztą czasu na znajomości, gdy zaś staramy się być przyjemni, zdobywamy sobie tylko antypatię. Czasami staramy się bardzo. Rozmawiamy ze Szkotami o szkockich plackach, z Irlandczykami o królach i przodkach, z duchownymi o kościołach, z młodymi małżeństwami o dzieciach, ze starymi zaś o służbie, ale jakoś nigdy nam się nie udaje. Nikt nas nie traktuje poważnie, co jest doprawdy okrutną niesprawiedliwością. Zawsze było tak samo. Jeszcze jako dzieci poszliśmy raz do jednej pani, należącej do parafii mojego ojca, i zapytaliśmy ją, czy się nie cieszy, że jej dziecko umarło, bo przecież było takie brzydkie. Mieliśmy zamiar być uprzejmi, ale ludzie nas zawsze źle rozumieją.

— Ale to jakoś nie szkodzi pani wyglądowi — zauważył doktor, dostrzegając pewną świeżość w jej raczej bladej twarzy i przejrzyistość szczerych oczu, które rzucały zachwycające błyski.

— Dobrze wyglądam? Pewnie! Nie mam żadnych trosk ani zmartwień. „Ani przeszłości, ani nic”, jak powiedział rozczarowany ksiądz irlandzki do spowiadającego się.

Śmiali się jeszcze z tego żartu, gdy nadszedł major po swoją cygarnicę. Spojrzał na nich z pewnym zdziwieniem i rozbawieniem. Powiedział potem do przyjaciela:

— Szczególna rzecz — człowiek, który siedzi w tamtym przedziale, przyjechał ze mną razem na Kildonan Castle i przez całą drogę nie zaprzyjaźnił się z żadną z pań, chociaż interesowały się nim bardzo. Teraz zaś, kiedy poszedłem po cygarnicę, zastałem go na ogromnie przyjaznej rozmowie z pasażerką, która wsiadła do pociągu w Buluwayo.

— Po co on jedzie do Salisbury? Powiedział pan, zdaje się, że to doktor? Przecież tam chyba już nie ma miejsca dla lekarzy?

— Podróżuje dla zdrowia. Będzie mieszkał u Burnetta w Ambleside. Zna go pan na pewno — Ted Burnett — był przedtem w huzarach! Doktor nazywa się Lawson. Mówiono mi, że jak na swój młody wiek jest niezwykle wykształcony i wzięty. Zdaje się, że jest specjalistą w jakiejś dziedzinie.

— Ciekaw jestem, kim jest ta panna? Zauważyłem ją na peronie, wyglądała bardzo elegancko. W dzisiejszych czasach rzadko się zdarza zobaczyć tutaj elegancką kobietę.

— Ciekawa jestem bardzo Salisbury — mówiła Diana do doktora. — Spędziłam, jak panu wiadomo, kilka dni w Buluwayo. Mówią tam, że Salisbury jest niesłychanie oficjalne i uroczyste, a ludność składa się z wielkiej ilości urzędników, zarabiających dwadzieścia pięć funtów miesięcznie. Wnosząc z tego miasto może się okazać zabawne, prawda?

— Mam nadzieję, że nie będę go często widywał — odpowiedział doktor. — Burnett mówił mi, że rzadko bywa w mieście. Zdaje się, że nudzi się w nim rozpaczliwie, przypuszczam więc, że nie jest pani daleka od prawdy.

— Buluwayo to miejsce dla mężczyzn — trzepała dalej Diana. — Wszyscy mężczyźni je lubią, ale kobiety uważają, że jest raczej nudne. Mam nadzieję, że ta farma Billa okaże się weselsza od obydwóch miast. Pewna jestem, że Billy nie ma zielonego pojęcia o rolnictwie. Zanim tu pojechał, nie robił przez całe życie nic, prócz spędzenia dwóch lat na wojnie, o ile zaś mi wiadomo, to ani razu nie strzelił do żadnego Bura. Ale, naturalnie, dali mu medal — dodała z komicznym wyrazem twarzy.

Pociąg pędził przez płaską, monotonną krainę, poznaczoną tu i ówdzie samotnymi wzgórzami, wyglądającymi jak wykopaliskowe mamuty, ale doktorowi i Dianie czas już się nie dłużył. Diana gawędziła z lekarzem, jak zwykle z ludźmi, których lubiła, niezależnie od tego czy byli obcy, czy znajomi, on zaś słuchał z zaciekawieniem, którego nie pragnął wcale ukryć. Gdy w Salisbury pomógł jej wysiąść z pociągu i powierzył opiece brata, miał wrażenie, że zna ją od lat. Z radością też przyjął serdeczne zaproszenie słynnego Szalonego Billa do odwiedzenia ich w Knoll przy pierwszej okazji.

Następnie zaczął rozglądać się za Tedem Burnettem, który nadjechał z pewnym opóźnieniem i po chwili podbiegł do niego, witając go i przepraszając jednocześnie.

ROZDZIAŁ IV

STRZAŁY PRZEZNACZENIA

— Na Jowisza, co za spokój! — doktor westchnął z najgłębszym zadowoleniem, wyciągając długie nogi na wyplatany leżaku, który Burnett ustawił dla niego na werandzie. Dokoła, jak okiem rzucić, rozpościerały się rodezyjskie pola, dyszące spokojem, którym tak zachwycał się doktor. Nie był to płaski, bez-drzewny step, o jakim zwykle myśli się w połączeniu z Afryką Południową, lecz kraj pełen wzgórz i kotlin, ruchliwych, wijących się rzeczek i zielonych zagajników. Przed nimi krajobraz podnosił się łagodnie w kierunku linii horyzontu, po lewej stronie rysowały się trójgraniaste, pokryte zielenią wzniesienia, po prawej wysokie, niezalesione wzgórze z winnicami na stokach. W dali, sięgając aż do środkowej Rodezji, znanej miłośnikom polowań na grubego zwierza, ciągnął się łańcuch granitowych pagórków, usianych wielkimi głazami, które w blasku słońca świeciły białością, w nocy zaś przybierały niesamowite, fantastyczne kształty. W górze na cudownym afrykańskim niebie miriady gwiazd świeciły mocnym, nieprzerwanym blaskiem, wydając się zmęczonemu mieszczuchowi kwintesencją potęgi, wspaniałego przepychu i spokoju.

— Wiedziałem, że będzie ci się tutaj podobało — odpowiedział Burnett w bezpośredni, prosty sposób, jaki cechuje ludzi małowównych, po czym pykał dalej ulubioną fajkę.

Ted Burnett reprezentował idealny typ kolonisty rodezyjskiego. Mądry, przystojny, obyty w świecie, odcytany, żył życiem zdrowym i prostym, pozbawionym jednak wszelkiej ascezy lub zniewieściałości. Gdy jego niezależnej naturze nazbyt już dokuczyło wzrastające skrepowanie i traktowanie wojskowych jak uczniów, podał się do dymisji i zawiadomił osłupiałych ze zdumienia rodziców, że zamierza założyć farmę w Rodezji. Usiłowali bezskutecznie wyperswadować mu to wszelkimi sposobami,

po czym dali mu wolną rękę, licząc, że po trzech miesiącach znudzi go nowa zachcianka. Kiedy Cecil Lawson, przyjaciel jeszcze z Harrow, przyjechał do niego w odwiedzin, Burnett mieszkał już od dwunastu miesięcy w Ambleside i rodzice przestali się nawet dziwić wzrastającemu zadowoleniu, bijącemu z jego listów.

Matka jego, dama znana w kołach prawniczych i literackich, zaczęła w wolnych godzinach zabawiać się przepisywaniem prostych przepisów wędzenia szynki, robienia śmietankowego sera i innych potraw, chcąc choć w ten sposób polepszyć los ukochanego syna, skoro tak uparcie nie zwracał uwagi na jej rady. Wysyłała te przepisy wraz z oceanami chininy i fenacetyny, oraz najprzeróżniejszymi książkami, traktującymi o hodowli drobiu, ogrodnictwie i gospodarstwie domowym. Kilka paczek ze stemplem poczty w Wynberg, gdzie stacjonowany był jego dawny pułk, zawierało w sobie taką literaturę, jak *Pociecha w życiu na pustkowiu*, napisaną przez ks. Smirkerę, *Opieka nad dzieckiem (w nawiasach czarnym lub białym)* przez „Matkę”, *Kilka słów do nawróconych kawalerów*, pióra „Ciotki Marii”, i długą i starannie zebraną listę rad, zatytułowaną *Nauki dla moralnego młodzieńca, przebywającego na pustyni*. Wszystko to Ted przyjmował ze swym powolnym, pełnym humoru uśmiechem i w braku kominka lub kosza do śmieci układał starannie na półkach* które własnoręcznie sprokurował sobie w spizarni, ku wielkiej swej satysfakcji, mimo że były dość krzywe.

Dokonawszy tego wracał do pracy na farmie, która to praca zresztą, trzeba przyznać, polegała przede wszystkim na wałęsaniu się ze strzelbą po okolicy, z niewielkimi przerwami na zasiew zboża, z reguły wschodzącego nierównymi kępkami, na nadzorze nad wędzeniem szynki i boczku i na wizytach, składanych innym młodym ludziom, pędzącym „życie na łonie natury”. Poza tym należy stwierdzić, że Ted Burnett był wzorem nie jako farmer, lecz jako zdrowy, silny, żywy osadnik, który miewa godziny refleksji i, mimo odosobnienia i braku widzów, nigdy nie pozwala sobie zaniedbać żadnego ze szczegółów, dzięki którym człowiek zasługuje sobie na miano gentlemana.

Jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny, Burnett stanowił krańcowe przeciwieństwo swego przyjaciela, wziętego lekarza. Wysoki, barczysty, twarz miał opaloną na śliczny brąz, podkreślający

intensywny błękit oczu i pasujący nadzwyczaj do suchych, czarnych włosów, które zwijały się w loki przy pierwszej po temu sposobności, mimo codziennego zajadłego szczotkowania i zwilżania. Doktor zaś był chorobliwie chudy i jego miła twarz nosiła ślady cierpienia, jakie idzie zawsze w parze z genialnym umysłem. Wyczuwało się instynktownie, że fizyczne cierpienia pacjentów odczuwa jako własny ból, że nieprzekraczalne granice wiedzy i zręczności ludzkiej napełniają go bezsilnymi pragnieniami i bezsilnym żalem — że poza pewnym cynizmem i ateizmem, do którego jawnie się przyznawał, kurczy się w udręce serce kochające całą ludzkość, zbyt wspaniałomyślne, aby mogło potępić nawet naj-nikczemniejszego człowieka.

Zdawało się, że stoją na dwóch przeciwległych krańcach; jednakże kochali się jako mężczyźni równie silnie, jak niegdyś jako chłopcy, chociaż nigdy nie przyszłoby im do głowy mówić o swym przywiązaniu.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim któryś z nich przemówił. Kolonialny zwyczaj zagłębiania się w kontemplacji do tego stopnia opanował już Teda Bumetta, że o ile tylko miał towarzystwo swej fajki, strzelby lub psów, było mu wszystko jedno czy ma z kim rozmawiać, czy też nie. Doktor zaś zaczynał odczuwać dobroczynne działanie powietrza rodezyjskiego na swe wychudłe ciało i rozkoszował się spokojem, panującym dokoła.

Wreszcie jednak poruszył się. Interesował się coraz bardziej sąsiadami i dziwnym trybem życia swego przyjaciela eks-huzara.

— Wspaniały obiad sprokurowałeś, Ted — zauważył. — Zaczynam rozumieć uczucia radnego miejskiego w dniu święta Lorda Mayora *. W jaki sposób masz tutaj takie świetne jedzenie?

— Sixpence jest dobrym kucharzem — brzmiała lakoniczna odpowiedź. — Nawiązując do tego, chciałbym bardzo, żebyś po powrocie przekonał moją matkę, że się tutaj nie głodzę. Jej się zdaje, że żywię się wyłącznie sałata i miodem dzikich pszczół.

— Mogę jej również powiedzieć, że masz doskonałą służbę. Iluż masz boyów?

Na twarzy Burnetta znów ukazał się powolny uśmiech.

— W okolicy mówią, że mam służącego na każdą godzinę dnia. Oczywiście, to nieprawda, muszę jednak przyznać, że zda

* **Burmistrz Londynu (przyp. tłum.).**

rzały się wypadki, gdy okoliczności zmuszały mnie do zajrzenia do kuchni i nie mogłem się do niej dotłoczyć. Nie jest to jednak wyłącznie moja wina, wykryłem bowiem, że mój kucharz i naczelny boy mają chłopców do osobistych posług, oprócz chłopców, których ja zatrudniam. Coś w rodzaju lokaja, rozumiesz, chociaż wątpię, czy trzymają ich po to, żeby się zajmowali ich ubiorem.

— A jak się prezentują twoi sąsiedzi? Kto tu jest oprócz groźnego tria panny Webberley?

— Oprócz „Nieodpowiedzialnych”? No, jest tu kilku przyzwoitych facetów, którzy zajmują się rolnictwem i jeden czy dwóch pracujących w górnictwie.

— Przypuszczam, że pań nie ma żadnych?

— Owszem, jest jedna, i to nawet w najbliższym sąsiedztwie. Przyjechała tutaj zaraz po ślubie, rok temu. Muszę cię do niej niedługo zaprowadzić. Obawiam się, że nudzi się tu bardzo. Nie mówi tego nigdy, ale to doprawdy psie życie dla młodej kobiety, mąż jej zaś to niezbyt wesoły mężczyzna.

— Nie? Jakież on jest?

— Wiesz, taki wiecznie rozżalony typ. Jest dość mądry na swój sposób, poza tym dobrze urodzony i starannie wychowany, ale to taki człowiek, który zawsze albo przeklina swego pecha, albo też wpada w drugą ostateczność i klepie siebie po ramieniu bez żadnego powodu. Mam wrażenie, że dobrze by mu zrobiło, gdyby mu ktoś porządnie natarł uszu.

— A żona?

— Żona to mała kobietka z Devonshire. Straciła matkę tuż przed przyjazdem tutaj i mam wrażenie, że zamartwia się w tajemnicy przed innymi. Nie przypuszczam zresztą, żeby jej mąż coś zauważył. Zabieram ją czasem na przejażdżkę i po upływie jakiejś pół godziny zwykle rozwesela się bardzo. Innym razem znów potrafi siedzieć cichutko jak myszka, patrząc przed siebie wielkimi, poważnymi oczami, i człowiek się zastanawia, o czym też ona tak rozmyśla.

— Dziwię się, że sam się nie ożeniłeś, Ted. Musisz czuć się tutaj czasem diablo samotny.

— Żona tutaj?! O nie! Cóż bym ja tu z nią począł, albo co ona by z sobą poczęła? Pomyślę o sakramencie małżeńskim, kiedy będę miał dość Rodezji, nie wcześniej. — Po

krótkiej pauzie dodał: — Ale co z tobą? Lekarze zwykle żenią się młodo.

— To należy do ich zawodu, że tak powiem, jak u duchownych?

— Tak. Czy ta myśl razi twoją artystyczną duszę?

— Nie wyobrażam sobie, żebym mógł się ożenić bez miłości, a znów z drugiej strony — dodał refleksyjnie — co to jest miłość? Czy to sentyment? Czy też silna, zdrowa miłość nie powinna zawierać w sobie żadnego sentymentu?

Ted uśmiechnął się lekko, pociągając fajkę. Wydało mu się nagle, że znów jest w ich wspólnej pracowni w Harrow, gdzie leżał zwykle na fotelu, opierając nogi o gzyms kominka, podczas gdy młody intelektualista Lawson przechadzał się tam i z powrotem po pokoju, wygłaszając swoje kształtujące się dopiero poglądy.

Doktor pochylił się naprzód, aby oczyścić fajkę.

— Czym zaś jest sentyment? — kontynuował, jak gdyby nie było żadnej przerwy. — Czy miłość i sentyment to jedno i to samo, czy całkiem różne rzeczy? Jest to problem psychologiczny, o którym mógłbym napisać cały artykuł, nie mam jednak pojęcia, w jaki sposób bym go rozwiązał i czy w ogóle udałoby mi się go rozwiązać.

Przerwał. Napełnił ponownie fajkę, zagłębił się wygodniej w fotelu i oparł nogi wysoko nad głową o jeden ze słupków podtrzymujących werandę.

— Sentyment czy miłość — zauważył — na czym one polegają, albo też jaka jest różnica między nimi? Nie umiałbym zdefiniować miłości, sądzę jednak, że sentyment można by nazwać fundamentem dla takich uczuć, jak litość, duma, nawet może miłość; chociaż wydaje mi się, że wielka miłość nie wyrośnie na takiej glebie.

— Odrobinę zawiała definicja — stwierdził trzeźwy Ted. — A teraz posłuchajmy o miłości.

— Miłość — odparł doktor bez wahania — uznałbym niewątpliwie za główny motor postępów i uczuć ludzkich, poczynając od najgorszej chciwości aż do najwyższego poświęcenia. Mogę jej tylko zarzucić to, że niszczy piękno i rozsądek.

— Niszczy! — zawołał Burnett z niedowierzaniem. — Głupstwa mówisz, człowieku! Ona właśnie je stwarza!

— Mówię może z punktu widzenia lekarza. Przeszło połowę nerwowych niedomagań moich pacjentów można przypisać w mniejszym lub większym stopniu miłości; tylko zaś o jednym człowieku na milion da się powiedzieć, że mu do twarzy z chorobą.

— Musisz jednak przyznać, że ten medal ma dwie strony. Mój Boże, przecież nawet ja widywałem, jak brzydkie dziewczęta stawały się pod wpływem miłości niemal piękne, młodzi zaś durnie dawali dowody niewątpliwej inteligencji.

— Widywałem już, jak z tego samego powodu młodzi durnie, jak ich nazywasz, stawali się kompletnymi idiotami — odparł sucho doktor.

Ted roześmiał się, wstał i otrząsnął się.

— Zakłócamy spokój nocy — rzekł. — Pomówmy lepiej o whisky z wodą sodową. Nie powiem nic o planach na jutro, moim zdaniem bowiem podczas urlopu wypoczynkowego nie powinno się układać żadnych planów, tylko robić to, na co się ma ochotę w danej chwili. Jeżeli masz jakieś plany, to się do nich zastosuję, nie będę ci jednak pomagał, dopóki nie zaczniesz się nudzić tutaj.

— Jesteś wymarzonym kompanem — stwierdził z zadowoleniem doktor. — Przyznam się, że cały czas obawiałem się tego zdania: „Co będziemy jutro robili?”. Wolałbym już, żebyś mnie zapytał: „Co zrobimy dla zbawienia naszych dusz?”. Najchętniej siedziałbym lub leżał na tej werandzie przez następne trzy dni.

— Będiesz wobec tego leżał — powiedział Ted, nalewając whisky. W tej samej chwili tajemnicze i bezlitosne Przeznaczenie dało pierwszy strzał. Zanim gospodarz skończył nalewanie wody sodowej do szklanki gościa, na werandę wpadł zdyszany Murzyn i podał mu list.

— Co się stało? — zapytał ostro Ted.

Zziębły Murzyn wyjąkał, że przyniósł list od Długiego Pana, który kazał mu biec przez całą drogę.

Ted podczas tego rozerwał kopertę i podniósł zapisaną kartkę do światła, wpadającego przez okno.

— Wielki Boże! — zawołał półgłosem. Doktor uniósł się na leżaku.

— Co to? — zapytał.

Ted zaczął czytać na głos, zacinając się trochę ze względu na spieszne, nieczytelne pismo.

Drogi Panie Burnett!

Żona moja nagle zachorowała. Mówił mi Pan, że dziś przyjeżdża do Pana przyjaciel, który jest lekarzem. Proszę przyjechać jak najprędzej, jeżeli on już jest. Jestem zupełnie sam i bliski obłądu. Na miłość boską, niech Pan nie traci ani chwili, jeżeli może Pan rzeczywiście pomóc.

Oswald Grant

Zanim Ted skończył czytanie, doktor był już na nogach.

— Tyle wyszło z mojego wspaniałego spokoju! Pomyśleć, że wzywają mnie w nocy na wizytę tutaj, na takim pustkowiu. Jak sądzisz, o co tam chodzi? Zawsze mówiłem, że życie ma wielkie poczucie humoru, w tej chwili zaś mam wrażenie, że jestem jego ofiarą.

Ale Burnett nie uśmiechał się.

— Obawiam się, że to poważna sprawa — powiedział. — Wiem, że spodziewała się zachorować dopiero za dwa lub trzy tygodnie, rozumiesz? A tutaj w promieniu dwunastu mil nie ma żadnej pielęgniarki ani żadnej w ogóle kobiety, która mogłaby pomóc — następnie, nie dając przyjacielowi dojść do słowa, dodał: — Musisz wziąć mego konia. Jeden z moich boyów będzie biegł i pokazywał ci drogę. Ja pójdę pieszo. Jeżeli to coś rzeczywiście poważnego, to odeślij konia mnie na spotkanie i daj chłopcu list, a pojedę prosto do miasta.

Odszedł śpiesznie, aby przygotować konia, i w dziesięć minut później zmęczony doktor jechał w otaczających go ciemnościach tak prędko, jak tylko mógł biec towarzyszący mu chłopiec.

ROZDZIAŁ V

ROZPACZLIWA WALKA

— Czy żona pańska doznała jakiegoś wstrząsu dzisiejszego dnia?

Doktor mówił spokojnym, zawodowym głosem, wymagającym bezwzględnie szczerzej odpowiedzi. Twarz miał bardzo poważną. Bał się wprawdzie zostawić chorą nawet na jedną chwilę samą, musiał jednak wydobyć prawdę z tego nieopanowanego, wytrąconego z równowagi męża, chorej zaś -z jakiegoś niewytłumaczonego powodu robiło się gorzej, gdy mąż był w pobliżu.

— Martwiła się tylko niepotrzebnie. Żadnego wstrząsu, zapewniam pana. Byłem w polu i siejba zatrzymała mnie tam dłużej niż zwykle i...

— Tak, tak — przerwał spokojnie lekarz. — Martwiła się. Czy może mi pan powiedzieć, z jakiego powodu?

— Tylko dlatego że zdechł jej kuc. Czy jest bardzo chora? Co mamy robić? Przeklęty kraj! Wszystko było przygotowane na odpowiedni termin, rozumie pan; ale któż mógł przypuszczać, że zachoruje w ten sposób?

— Nie ma żadnego powodu do przedwczesnego niepokoju. Chora ma teraz wysoką gorączkę, ale to może przejść. Napiszę kilka słów do kapitana Burnetta, który pojedzie zaraz do Salisbury i przywiezie pielęgniarkę. Niech się pan nie obawia, że chora będzie miała niedostateczną opiekę. Ja... — zawahał się, oceniając w myśli człowieka, stojącego przed nim — ja mam opinię zręcznego lekarza w takich wypadkach i zrobię wszystko, co tylko można. Stali przy na pół przymkniętych drzwiach. Chora zaczęła w tej chwili znów jęczeć cicho, zboląłym głosem.

— Niech pan lepiej nie wchodzi — powiedział doktor — muszę postarać się ją uspokoić, lepiej zaś, żeby przy tym nikogo nie było. Zawołam pana natychmiast, jeżeli pokażą się jakieś niebezpieczne symptomy.

Oswald Grant wrócił więc do gabinetu i usiadł, złożony głowę na ręce, podczas gdy doktor zajął miejsce przy cierpiącej. Była wciąż w malignie — chwilami mówiła zupełnie wyraźnie, to znów mruzczała coś niedosłyszalnie lub o coś błagała.

Cierpienie spowijało ją całkowicie i pod jego wpływem otworzyły się upusty jej duszy, wylewając potoki dawno hamowanej tęsknoty i bólu.

W miarę jak doktor słuchał jej słów, twarz jego przybierała taki wyraz, że najdoskonalszy malarz daremnie siliłby się go odmalować. Był to wyraz, jaki marzy się ludziom we śnie na twarzy Litościwego. Chora, ze swymi pięknymi włosami, opadającymi w puklach na poduszkę i białe czoło, ze spojrzeniem prośby i męki w oczach, wydawała się doktorowi cierpiącym dzieckiem, które wyciąga do niego ręce.

Był na to zupełnie nie przygotowany. Gdy koń jego potykał się w ciemnościach na kamienistej ścieżce, czuł pewien gniew, chociaż bez chwili wahania pośpieszył był na wezwanie. Tak od razu po przyjeździe jechać do nie znanej pacjentki, nie mając nawet wykwalifikowanej pielęgniarki do pomocy, tego doprawdy było za wiele, nawet jak na jego filozoficzne usposobienie.

Gdy jednak stanął przy łożu chorej i spojrzął na rozgorączkowaną, piękną głowę, leżącą na poduszce, wiedział tylko dwie rzeczy — że rad jest ze swego przyjazdu i że ta kobieta nie umrze, jeżeli tylko ludzka wiedza jest w stanie ją ocalić.

Przez długie, nie kończące się godziny walczył sam z wrogiem. Całe zmęczenie jego ciała i umysłu znikło jak sen, ustępując miejsca jedynemu pragnieniu uratowania jej. Ale, prawdę mówiąc, walka była straszna. Jakiż potworny musiał być ten długi rok, który doprowadził ją do takiego stanu moralnego cierpienia! Gdy słuchał jej słów, wypowiedzianych w malignie, dziwił się, że aniołowie niebiescy nie zeszli już dawno na ziemię i nie zabrali jej do swego grona. Chora wspominała dawne swe życie, które widać było dla niej rajem, to znów płakała za matką, która przypuszczalnie była dla niej przyjacielem, siostrą i wszystkim na świecie. Czasami szeptała marząco o morzu. Czasem nagle płakała i zaklinała, żeby ją zabrano gdzieś daleko od tych martwych wzgórz, które ją dławia i duszą. To znów łkała rozdzierająco za swym ukochanym, straconym Urwisem.

W pewnej chwili uniosła się na posłaniu, wyciągnęła rękę do doktora i uśmiechnęła się anielsko.

— Kto pan jest? — spytała. — Tak mi się podoba pańska twarz. Kto pan jest? Pan nie odejdzie ode mnie, prawda?

Rozejrzała się z niepokojem dookoła, po czym ciągnęła dalej przyciszonym głosem:

— To takie straszne być tutaj samej dzień po dniu... dzień po dniu... Staralam się do tego przyzwyczaić. Robiłam wszystko, co tylko mogłam, ale nie udało mi się. Czy jestem bardzo zła i niewdzięczna?

Doktor pogłaskał pieszczotliwie małą rączkę, spoczywającą w jego męskiej dłoni, i odpowiedział łagodnym, kojącym głosem:

— Nie, nie mogła pani zrobić nic więcej. Zachowywała się pani bardzo dzielnie, ale teraz musi pani postarać się uspokoić i zasnąć.

Ale chora mówiła dalej w podnieceniu:

— Najbardziej tęskniłam za morzem. Nie może pan sobie wyobrazić, czym są te monotonne, pozbawione życia wzgórza i ta wyschła trawa dla kogoś, kto zawsze mieszkał nad morzem i kocha je nade wszystko. — Skurcz bólu przebiegł po jej twarzy. — Ale morze także mnie kochało. O! Nie potrafię wcale panu opowiedzieć, jak bardzo mnie kochało! Znały mnie wszystkie mewy skalne i wszyscy rybacy, i wszystkie dzieci. Jeździłam zawsze z rybakami na połowy i sama umiałam zupełnie dobrze obchodzić się z łodzią. On nigdy tego nie rozumiał i nigdy nie zrozumie... Znowu rozejrzała się lękliwie po pokoju.

— Niech pan mu nigdy nie powtarza tego, co powiem, ale on nie rozumie nic poza sobą i własnymi uczuciami. Zniosłabym to, gdybym mogła przynajmniej od czasu do czasu porozmawiać z kimś, kto by mnie rozumiał. Ale nie ma nikogo, a milczenie mnie zabija. Rozmawiałam zwykle z Urwisem, bo wiedział o tym wszystkim. Ale Urwis już nie żyje — czy pan wie o tym?

Opadła wyczerpana na poduszkę i wyciągnęła do niego drugą rękę.

— Niech pan mu nigdy, nigdy nie mówi, że panu o tym powiedziałam, ale w zeszłym tygodniu on brutalnie kopnął Urwisa i dlatego nie mogę znieść, żeby siedział dziś przy mnie. Czy to bardzo źle z mojej strony? Czy pan jest zgorszony? Tak mi się podoba pańska twarz, że nie chciałabym, żeby pan się na mnie gniewał.

Doktor znowu uspokoił ją czule i prosił, żeby spróbowała zasnąć.

— On już taki jest — opowiadała dalej. — On nie chce wcale być przykry. W gruncie rzeczy to naprawdę strasznie dobry człowiek, tylko porywczy i krótkowzroczny. Poza swoimi sprawami nie potrafi nic naprawdę zrozumieć. Wiem, że uważa, iż powinnam czuć się tu szczęśliwa — i chciałabym tego bardzo, ale to wszystko mnie tak dręczy, że czasami nie mogę opanować pragnienia śmierci. Może umrę dziś. Nie dbam o to. Myślę, że tak by było najlepiej. On zapomniałby o mnie wkrótce, a potem mógłby się ożenić z rozsądniejszą kobietą, której nie dręczyłaby tak samotność.

— Nie, nie — głos doktora wezbrał nagle uczuciem. Czuł, że w takim nastroju chora może wymknąć się poza zasięg jego

pomocy. — Nie powinna pani tak mówić ani tak myśleć! To niedobrze i niemądrze! Wszystko teraz pójdzie znacznie lepiej. Chyba pani to sama rozumie. Skoro tylko będzie pani miała dziecko, zapomni pani o wszystkim i będzie myślała tylko o tym, jak to dobrze, że je pani ma.

Spojrzała nań smutno.

— Ale boję się o nie także — wyszeptała. — Świat jest niedobry i mojemu synowi może być źle. Nie zniosłabym, gdyby miał być nieszczęśliwy.

— Nie będzie nieszczęśliwy, jeżeli będzie miał panią. I przede wszystkim dla niego musi pani być dzielna. Nie chciałaby pani przecież, żeby on sam musiał borykać się z losem?

— Nie, o nie! — po tych słowach chora zapadła w odrętwienie. Kiedy znów się ocknęła, przypomniawszy sobie utraconego Urwisa i rozplakała się żałośnie. Doktor z ogromną czułością podtrzymywał ją ramieniem. Dotknięcie jego zdawało się wywierać na nią kojący wpływ.

— Jaki pan dobry! — szepnęła wreszcie. — Niech pan nie odchodzi. Nie mogłabym jeszcze znieść samotności. Zasnęła, wsparta wciąż na jego ramieniu. Bał się poruszyć, aby jej nie zbudzić. Cisza panująca w pokoju sprowadziła do drzwi męża chorej. Na jego ciche pukanie doktor ostrożnie uwolnił ramię i poszedł otworzyć drzwi.

— Czy mogę wejść? — zapytał Oswald, podchodząc cicho do łóżka.

Niemal natychmiast oczy cierpiącej otworzyły się i spoczęły na nim. Nie widać w nich było błysku rozpoznania, lecz tylko jakby strach i odrazę. Podniosła się gwałtownie.

— Och, gdzie on jest? Obiecał, że zostanie ze mną — opadła na poduszki z płaczem. — Mamusiu — łkała — och, mamusiu kochana, byliśmy tak szczęśliwe razem, ty i ja, z morzem i rybakami — dlaczegoś odeszła? Dlaczegoś pozwoliła mi przyjechać tu, gdzie jestem taka nieszczęśliwa?

Płakała nieustannie, doktor więc musiał odprawić stroskanego męża, zanim zdołał ją uspokoić.

— Będę dzielna, mamó — powtarzała ciągle. — Och, będę dzielna! Będę! Tylko ty nie wiesz, jak to boli, a ja jestem taka zmęczona. I Urwis nie żyje. I Oswald nie rozumie zupełnie, że ja tak bardzo kochałam dom i wszystko z nim związane. On kocha

Rodezję, a mnie ona przytłacza. Brak mi tchu między tymi wzgórzami, a nie ma nikogo, kto by mi pomógł. W ten sposób ciągnęła się straszliwa noc, świt zaś nie przyniósł poprawy. Czy uda mu się ją uratować? W miarę, jak upływały godziny, instykt walki przerodził się w doktorze w niezłomną wolę. Musi ją uratować! Ona musi żyć! Ale dopiero kiedy pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo, dźwięk przyciszonych głosów doniósł mu o powrocie Teda Bur-netta z upragnioną pomocą.

I dopiero gdy ostatnie promienie słońca pokrywały czerwienią szczyty wzgórz, zmęczony lekarz opuścił swój posterunek i zaniósł dwóm mężczyznom, wyczekującym z niepokojem na werandzie, wieść, że na świat przyszedł mężczyzna i że jego matka będzie żyła.

Po czym usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Teraz dopiero, gdy już było po wszystkim, zrozumiał, co to była za walka i ile sił go kosztowała.

— Czy możesz już wrócić do domu? — głos Teda i gwałtowne dotknięcie jego ręki wyrwały doktora z zamyślenia.

— Nie, zostanę tutaj jeszcze. Czy mógłbym położyć się na jakimś łóżku na parę godzin?

Wyglądał upiornie i przyjaciel jego poczuł wyrzuty sumienia.

— Naturalnie, że możesz. Czy mam ci co przynieść? Czego byś chciał?

Doktor uśmiechnął się drwiąco.

— Snu — powiedział. — Snu i zapomnienia.

ROZDZIAŁ VI

„NIEODPOWIEDZIALNI”

„Nieodpowiedzialni” siedzieli przy jedynym stole, jaki znajdował się w domu, i przypuszczali taki atak do pokaznego placka, stojącego między nimi, że wątpliwe było, czy ostanie się choć jeden kawałek; jednocześnie jednak zachodziło wielkie prawdopodobieństwo, że choć ciasto to „zniknie z oczu, będzie żyło jednak w pamięci” całej trójki, która opanowana radością posiadania przysmaku, zapomniała o wszelkich nakazach rozsądku.

Można by z tego wnosić, że Rodezja pozbawiona jest całkowicie ciastek i tortów, ale tak nie jest; można tam nawet dostać świeże wyroby cukiernicze. „Nieodpowiedzialni” jednak zawsze zapominali zamówić je, gdy któryś z nich udawał się do miasta, nigdy zaś dotychczas nie udało im się trafić na boya, który by potrafił sporządzić w tej dziedzinie coś choć w przybliżeniu jadalnego. Ponadto Diana w tej chwili zajęta była w kuchni zmaganiem się z narzeczem Mashona, sposobność do lasowania była więc zbyt kusząca, aby z niej nie skorzystać i wszyscy trzej jedli uroczyście w dalszym ciągu.

Imiona „Nieodpowiedzialnych” brzmiały: Billy, Ślicznotka i Jim. Ten ostatni znany był jeszcze jako W. P., które to inicjały, musimy wyjawic z rumieńcem na twarzy, oznaczały Wstrętną Pchłę, a miały służyć do dokładniejszego odróżnienia go od Ślicznutki. Mieli, oczywiście, także nazwiska, ale nikt ich prawie nigdy nie używał, wielu zaś ludzi w ogóle ich nie znało.

Diana zapisała je sobie zaraz pierwszego wieczoru, na wypadek, gdyby potrzebne jej były w przyszłości, a akurat nikt nie mógłby ich sobie przypomnieć!. Dokument ten wyglądał następująco:

Ślicznotka — alias Beau, alias Bertram Reginald Sinclair. Marzącooki, obłudny łajdak, o anielskim głosie i niebiańskim uśmiechu;

Jim - alias W. P.,-alias Wstrętna Pchła — James Horace Reade. Solidny, tępogłowy, skąpo ubrany anioł;

Billy Rudzielec alias William de Eresby Webberley. Mierny dowcip, pożałowania godna próżność, łotr bez sumienia, który to niezwykły .dokument zawieszono na ścianie ku uświadomieniu niewtajemniczonych.

W chwili, gdy młodzi ludzie właśnie dzielnie wykańczali ostatni kawałek'placka, dobiegł ich z kuchni głos Diany.

— Billy — wołała jak jest „ciężki idiota” w języku Mashona, bo jeżeli nie powiem tego zaraz temu szympansowi-ku-charzowi, to mnie'szlag trafi!

Po chwili, oznajmiła swe przybycie rzucając ze znaczną siłą książką kucharską w głowę Billa, wobec czego Ślicznotka dyskretnie schował za plecami pusty półmisek po cieście.

— Cóż ja zawiniłem? O co chodzi?! — wołał Billy z taką urażoną i niewinną miną, że można by pomyśleć, że to skrzywdzony święty.

— O co chodzi! — parsknęła gniewnie Diana. — W jaki sposób mam prowadzić wam gospodarstwo, kiedy mam małpę zamiast kucharza?

— Ależ on doprawdy nie jest małpą — odparł Billy poważnym tonem. — On tylko tak wygląda. To rasowy Mashona.

— Cóż on takiego zrobił? — zapytał Jim, przysuwając się nieznacznie do Ślicznotki, aby pomóc ukryć zdradziecki półmisek.

— Rasowy orangutan! — odpowiedziała gniewnie Diana. — Czyście go zaangażowali jako curiosum, czy może zamiast stracha na wróble? Przemawiałam do niego przez pół godziny bez najmniejszego skutku. Zupełnie jak gdyby był bożkiem hinduskim!

— A, to bardzo możliwe — wtrącił słodko Billy.

— Powiedziałeś, że on mówi po angielsku. On też tak twierdzi, więc zapytałam go, co może ugotować na obiad. Powiada mi na to, uśmiechając się jak kot z Cheshire *: „Moja robić pasztet wołowa, pani”. Naturalnie, aż podskoczyłam z radości. „Dobrze”, powiadam, „powiem ci jak zrobić, żeby pasztet był jak najlepszy”. Po czym otworzyłam swoją książkę kucharską i przeczytałam mu bardzo wyraźnie nader skomplikowany opis pasztetu, odpowiedniego nawet na bankiet u burmistrza Londynu. Przyprawy, glazura i wszystko inne. Kiedy skończyłam, on uśmiechnął się jeszcze głupiej niż przed tym i mówi: „A gdzie być wołowina, pani?”. Wybałuszyłam na niego oczy, ale zaraz powiedziałam, jak tylko mogłam najobojętniej: „Och, naturalnie, zapomniałam o wołowinie!”.

— Po czym chciałaś *jego* nazwać ciężkim idiotą? — zapytał Billy z namysłem.

— A cóż miałam robić?! — zawołała. — Nie umie nic powiedzieć, nie umie nic ugotować, nie potrafi wyglądać po ludzku, a jego zapach przyprawia mnie o mdłości. Musimy zaraz poszukać nowego kucharza.

— Nie ma żadnych innych. Przeważnie obywamy się bez gotowania. Czy ty nie umiesz gotować?

— Nie, nie umiem! — zawołała z naciskiem. — Nie mam pojęcia o gotowaniu! Nie potrafiłabym ugotować kapusty, żeby nawet moje życie od tego zawisło. O mało nie osiwiąłam nad tym

* **Kot z Cheshire** — jedna z postaci z *Alicji w krainie czarów* Carrolla (przyp. tłum.).

dzisiejszym ciastem. Wymagało wielkiego wysiłku myślowego, żeby niczego nie zapomnieć. Drugiego tak prędko już nie dostaniecie, więc radzę wam obchodzić się z nim ostrożnie.

— Właśnie tak sobie pomyśleliśmy — powiedział Jim. — Schowaliśmy je w bezpieczne miejsce, żeby nie zginęło, nie zapleśniało ani nic w tym rodzaju.

Diana obrzuciła ich po kolei spojrzeniem.

— Jeżeliście... — zaczęła, ale Billy przerwał jej:

— Dlaczego nie kupisz sobie maszynki na nos, Di? — zapytał pogodnie. — Te maszynki nie są znów takie kosztowne. Nigdy w życiu nie widziałem nic równie agresywnego, jak to wygięcie twego organu nosowego w kierunku nieba.

— W każdym razie jest lepszy od twego pustego, mętnego, brudnego łba — odcięła się, głaszcząc czule znieważoną część twarzy. — Ale dlaczego Ślicznotka ma taki szczególnie anielski wyraz twarzy? Musiał popełnić jakąś śmiertelną zbrodnię, skoro tak wygląda.

Ślicznotka uśmiechnął się uprzejmie.

— Wprost przeciwnie — powiedział. — Brałem dzielnic czynny udział w walce z drogocennym ciastem, z niemałym dodał po chwili wahania — narażeniem zdrowia.

Jim podniósł wrzask na te słowa i uderzył go w plecy.

— Ja tak samo! — zawołał. — Jeżeli natychmiast nic rozluźnię pasa...

Diana podeszła o krok bliżej.

— Jeżeliście... — zaczęła znów.

— Czy myślisz, że kucharz wzięł cię na kawał z tym pasztetem, co, Diana? — zapytał Billy wciąż z niewzruszonym spokojem.

— Gdzie jest ciasto? — spytała Diana straszliwym głosem.

— Ślicznotko, gdzie jest ciasto? zapytał Billy ze zdziwieniem.

— Jim, gdzie jest ciasto? — zawtórował tym samym tonem Ślicznotka.

— Billy, gdzie ciasto? — zaklinał z kolei Jim. Diana opadła gwałtownie na krzesło.

— Ależ nie mogliście przecież zjeść całego placka! — jęknęła. — To czyste niepodobieństwo! Musiał ważyć przecież chyba ze trzy kilo!

— Na pewno! — westchnął cicho Ślicznotka.

— Nie masz pojęcia, czego potrafią dokazać trzej stalowi Rodezyjczycy, którzy od lat nie widzieli ciasta! — oświadczył Billy.

Diana naraz zaczęła się śmiać.

— Ach, wy, łajdaki! — powiedziała. — Za nic nie chciałabym mieć waszej talii w tej chwili. Nic dziwnego, że Ślicznotka tak smutno wygląda. Mogliście mi zostawić choć kawałeczek. Ale to ostatni placek, jaki ten dom oglądał, w każdym razie jaki oglądał w całości. Na przyszłość będę wam wydzielać określoną ilość, a resztę trzymać pod kluczem.

— Wcale nie posiadamy takiej rzeczy, jak klucz — zauważył Jim.

— Będziesz go musiała przechowywać razem ze swym niedzielnym kapeluszem — wtrącił Billy.

— Nie mam takiego. Nigdy nie mogłam znieść niedzielnych ubrań. A propos, czy w Rodezji są niedziele i po czym je poznajecie?

— Naturalnie! — odparł Ślicznotka. — Mamy dwa sposoby rozpoznania. Jeden to pudding, a drugi to Jim. Co siódmy dzień boy robi jakąś niewyraźną mieszaninę z marmolady, Jim zaś ubiera się z pewną pretensją do przyzwoitości i wtedy wiemy, że jest niedziela.

— A czy wiecie kiedykolwiek, jaka jest data?

— O, odgadujemy ją według księżyca. Widzisz, różnica jakiegoś tygodnia zwykle nie gra roli.

— Wielki Boże, niedługo chyba zapomnicie, kim jesteście i zestarzejecie się w tej niewiedzy!

— Często zapominamy swoich nazwisk — powiedział Jim. — Ostatnim razem, kiedy przyjechało dwóch policjantów z jakimś papierem dla farmerów do podpisu, nie mogliśmy go podpisać, bo żaden z nas nie pamiętał swego nazwiska; kiedy zaś ostatnio robiono spis ludności, podaliśmy wszyscy wiek na piętnaście lat i napisaliśmy z boku, że nie mamy najmniejszego pojęcia, jaka jest rzeczywista cyfra, ale zeznaliśmy zgodnie z twierdzeniem, że mężczyzna ma tyle lat, na ile się czuje.

— Ciekawa jestem, jaki zawód podaliście? — zapytała z subtelną ironią.

— Jakież by inny, jak rolnictwo? — powiedział Billy obrażonym tonem.

— Rolnictwo! — roześmiała się. — Ależ wy macie takie samo pojęcie o rolnictwie, jak ja o gotowaniu. Od tygodnia już tutaj jestem, a nie widziałam jeszcze, żebyście robili coś innego prócz leniuchowania, spania i palenia papierosów.

— Drogie dziecko — odparł Billy z udanym oburzeniem — czyż nie zauważyłaś, że Jim orał dziś całe rano, Ślicznotka marzył nad kukurydzą, twój zaś pokorny sługa sadił jarzyny?

— Czy orałem?! — przerwał Jim. — Ależ czuję się po tej pracy tak, jak gdybym miał wszystkie kości połamane! Słuchajcie, chłopcy — zwrócił się stanowczo do przyjaciół — te osły Elliota są do niczego. Mam ich już po uszy. Nie potrafią nawet stać! Co dwie minuty któryś z nich pada i człowiek musi obejmować bydłę ramionami i podnosić czule na nogi. Obejmowałem już rozmaite dziwne stworzenia w swoim życiu — dodał z nagłym błyskiem w oku — ale nigdy nie przypuszczałem, że będę ścisnął osły! Następnym razem ty będziesz orał, Billy, a ja będę sadił jarzyny.

— Nie. Ślicznotka może spróbować orki, a ja będę marzył przy kukurydzy.

— Ależ ja nie umiem się obchodzić z długim batem — skarżył się żałośnie Ślicznotka — zawsze w końcu uderza mnie samego w głowę. Poślijmy do tej roboty Rasowego Szympansa, skoro nie umie gotować, sami zaś poczekamy tutaj, aż się trochę ochłodzi.

— Cóż, nie ma co być głodnym — wtrąciła Diana — ponieważ Bóg jeden wie, kiedy będzie coś do zjedzenia poza chlebem i wytworami wyobraźni.

— Czy mamy patrzeć na pusty półmisek i wyobrażać sobie placek? — zapytał Jim.

— Nie — patrzeć w kierunku Anglii i wyobrażać sobie menu u Prince'a lub w Savoyu.

Zgodnie z tym zasiedli więc na werandzie. Diana wyciągnęła od brata papierosa, żeby odganiać dymem komary.

— Czy wiesz, Di — zauważył Billy, kiedy brała od niego ogień — ty mi zawsze przypominasz pewną historię, którą słyszałem w Cape Town. Pewien facet i jego żona w Green Point mieli kolorową kucharkę, która nie chciała nic robić poza gotowaniem. Kiedy nie gotowała, siedziała zawsze na drzewie w ogrodzie i nic nie mogło jej skłonić do zejścia na ziemię aż do chwili, kiedy czas było już gotować następny posiłek. Naturalnie, nikomu to specjalnie nie przeszkadzało, ale Murzynka była tak brzydka, że

sąsiedzi brali ją nieustannie za orangutana i chcieli do niej strzelać. W końcu gospodarze musieli wydrukować wielki plakat i powiesić na jej ulubionym drzewie...

Podczas zamieszania i krzyków, jakie nastąpiły, Diana bowiem usiłowała wyrwać bratu włosy z korzeniami, nadjechali Ted Burnett i doktor, złożyć pierwszą wizytę.

— Na pomoc! Ratunku! — krzyknął na ich widok Billy. — Burnett, jeżeli ten pan jest lekarzem, to przyprowadź go tutaj prędko. Diana zwariowała.

Ślicznotka zawołał boya, który odprowadził konie, i goście wdrapali się po dość krzywych schodkach na jeszcze bardziej prymitywną werandę.

— Myślałam już o tym, kiedy wreszcie przyjedziecie! — powiedziała uprzejmie Diana, podając rękę doktorowi. — Jakże pana traktuje Rodezja? Ja tu przeżywam okropne chwile. Dziwię się, że w Ambleside nie słyszał pan moich krzyków o pomoc.

— Doprawdy? Ja natomiast żyję w zbytku. Nigdy w życiu jeszcze nie miałem takiej obsługi.

— Pewnie, że nie — odparł Billy. — Burnett ściąga do siebie każdego kuchcika czy boya, jaki mu się nawinie pod rękę. Skutki są takie, że my musimy obywać się takim... no, Diana utrzymuje, że to szympan.

— Bardzo mi przykro — zawołał . Ted. — Czy naprawdę potrzeba wam kucharza?

— Czy nam potrzeba kucharza?! — powtórzyła Diana. — Ależ rzucilibyśmy się wszyscy panu na szyję, płacząc z radości, gdyby nam pan dostarczył jakiegoś stworzenia, które by umiało gotować — obojętne jakiego rodzaju, męskiego czy żeńskiego.

— Ja bym wolał, żeby było tylko jednego rodzaju — zauważył Ted. — I oczywiście damy mają pierwszeństwo

— Burnett, nie wyglupiaj się — doradził mu Billy. — Ona potrafi ci wyrwać garść włosów z głowy. Ale na miłość boską, przyślij nam kucharza, jeżeli możesz. Może wtedy ona przestanie kłać jak dorożkarz. Kobieta nie umiejąca gotować jest już przez to samo nędznym stworzeniem, ale kobietę, która używa takich słów jak Diana, powinno się rozstrzelać.

— Nic na to nie mogę poradzić! — oświadczyła Diana, puszczając równiutkie kółka dymu. — Przypuszczam, że to wina złego wychowania. Nie potrafię nawet pończochy zacerować. Zawsze

zaszywam po prostu dziury bawełną i nawet za całe złoto Egiptu nie potrafiłabym przyszyć guzika do buta. Czy bardzo się pan interesuje rodezyjskim rolnictwem, doktorze Lawson? — zwróciła się nagle do lekarza. — Jest tak skomplikowane, że obawiam się, że ci oto trzej farmerzy umrą na zapalenie mózgu. Czy kapitan Burnett pracuje jak galernik od świtu do zmierzchu?

— Czy kapitan Burnett pracuje?! — wtrącił wyraziście Billy. — O, Boże, to doskonale! Czy kapitan Burnett pracuje?... Ależ on sam by siebie nie poznał, gdyby siebie zastał przy pracy i na pewno pomyślałby, że już umiera! Nie, kochana Dianko, Ted Burnett jest dumnym posiadaczem dwóch dobrych koni i jego farmerka polega głównie na utrzymaniu ich w dobrej kondycji, zarządzaniu hordą boyów i polowaniu. Czy jest coś do jedzenia, bo moglibyśmy już zasiąść do lunchu?

— Musi pani przyjechać i przekonać się na własne oczy, miss Webberley — zwrócił się do niej Burnett. Ponieważ „Nieodpowiedzialni” nigdy nic nie robią, nie wierzą, że ktoś inny pracuje. Faktem jednak jest, że podczas gdy cała ich kukurydza jest zagłuszona przez Black Jacka, z moich jest tylko połowa.

— Drogi chłopcze, masz o dwóch chłopców na akr więcej od nas, więc to tylko dlatego. Doprawdy to hańba, żeby na twojej farmie w ogóle był Black Jack.

— Czy wolno zapytać, co to jest Black Jack? Czy to coś w rodzaju Rasowego Szympana? — poinformowała się Diana.

— Niezupełnie — objaśnił Jim. — To takie nasiona trawy, które przyczepiają się do ubrania — specjalny wynalazek Ciemnych Mocy, aby dręczyć Dzieci Światła.

— Jak to?! Te okropne czarne nasionka, od których człowiek wygląda, jak gdyby go najpierw zanurzono w beczce z gumą arabską, a potem wytarzano w herbacie?

— Właśnie! — powiedział Burnett ubawiony. Po czym zapytał: — A cóż się stało ze Ślicznotką?

Wszyscy rozejrzeli się dokoła i w tej samej chwili ukazał się Ślicznotka ze swym zwykłym leniwym wdziękiem i fascynującym uśmiechem. W odpowiedzi na ich pytania wyjaśnił:

— Robiłem tylko curry z konserw mięsnych.

— Doprawdy?! — zawołała Diana z emfazą. — Ależ ja też zrobiłam curry godzinę temu, a poza tym Rasowy Szympan wyglądał, jak gdyby też miał taki zamiar, kiedy zostawiłam go.

żeby przyszedł do siebie po moim straszliwym wymyślaniu. — Zwróciła się do doktora. — Ślicznotka wygląda raczej, jakby napisał właśnie jakiś poemat epicki, prawda? Czy słyszał pan kiedy o rzeczach równie mało pasujących do siebie, jak ten anielski uśmiech i curry z konserw?! Ale chodźmy już. Jeżeli mamy uporać się z trzema półmiskami curry, to lepiej już zacząć. Mam nadzieję, że nie obrazicie się, jeżeli dostaniecie przypadkiem cynowe talerze, mamy bowiem tylko trzy porcelanowe, a nie uznajemy żadnych przywilejów. Jarzyny także będą obnoszone w cynowych miskach przez Murzyna, który napełnia letnie powietrze zupełnie oryginalnym i specyficznym zapachem.

Zajęli miejsca przy jedynym stole — Jim musiał usiąść na skrzyni, gospodarstwo bowiem posiadało tylko pięć krzeseł. Diana tymczasem trzepała dalej:

— Broń palna i płazy rządzą tym domostwem — opowiadała doktorowi. — Strzelby, pistolety, rewolwery, dubeltówki i mau-zery leżą wszędzie, gdzie tylko spojrzeć. Dziwi mnie tylko, że nie potykamy się bezustannie o trupy. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego asortymentu broni. Bóg jeden raczy wiedzieć, do kogo czy do czego oni chcą strzelać! Co się zaś tyczy insektów i płazów! Powiadam panu, nie miałabym odwagi wstać w nocy z łóżka, nawet gdyby chodziło o życie! Tutaj nigdy nie wiadomo, czy do pokoju nie zakradł się jakiś prehistoryczny mamut. Codziennie z rana każę Blockheadowi zajrzeć pod łóżko, zanim wysunę nos spod kołdry. O, Blockhead to skarb! Nauczyłam go pukać do drzwi, zanim wchodzi, teraz więc puka zawsze, kiedy wychodzi także. A kiedy czyści moje buty, sznurowuje je do samej góry, zupełnie źle, potem zaś zawiązuje sznurowadła w supły, które doprowadzają mnie niemal do łez. Kiedy pierwszy raz poprosiłam

0 gorącą wodę do kąpieli, przyniósł mi ją w czajniku i wlał do kubła na brudną wodę, kiedy zaś krzyknęłam „kapiel!”, wyszedł

1 przyniósł mi talerz boczku! Ale wracając do insektów i płazów, czy widział pan baletnicę w zielonych trykotach? Tutaj nazywają ją chińskim bożkiem, bo przybiera zwykle modlitewną pozę, ale ja ją przemianowałam, bo kiedy jej dotknąć, kopie i gryzie. Jest jeszcze szrama — długie stworzenie, zupełnie takie samo z obydwóch końców, bez żadnego określonego kształtu. Poza tym na drzewie mieszka kameleon, który klnie straszliwie — coś jakby pluć ogniem i siarką — a już co tu stonóg, tarantul, żmij i ro-

puch!... O, Panie! Czemuż opuściłam moje strony rodzinne!... Pozwoli pan jeszcze curry? Zaraz będzie jeszcze pudding, ale Rasowy Szympanś upuścił go na podłogę. Wątpię, czy pudding na tym zyska, bo podłoga jest gliniana i nasi śliczni, poczciwi boye rzucają na nią wszystkie odpadki.

Po lunchu poleżeli znów na werandzie, następnie zaś doktor i Diana poszli na przechadzkę, podczas gdy pozostali omawiali najświeższe zdarzenia sportowe.

Diana opowiadała jeszcze przez chwilę o swych niedolach gospodarczych, dopóki nie znaleźli ocienionego miejsca i nie usiedli.

— Czy widział pan kiedykolwiek coś równie groteskowego, jak rodezyjskie owce? — zauważyła. — Są jakieś niewykończone. Wyglądają, jak gdyby nie wiedziały, czy mają być kozami, czy owcami, i jak gdyby nie miały ochoty ani na jedno, ani na drugie.

Spojrzał we wskazanym kierunku, ale nie odezwał się. Po chwili Diana zapytała go nagle:

— No, czy pobyt dobrze panu robi? Cieszy się pan, że pan tu przyjechał?

— Tak — odparł z lekkim uśmiechem. — I mój przypadkowy przyjazd przypuszczalnie uratował życie ludzkie — dwa życia właściwie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Doktor zrozumiał, że nie słyszała nic o wypadkach w Killarney, więc w krótkich słowach opowiedział jej o jedynej sąsiadce.

— Jakie to dziwne, żeśmy nic o tym nie wiedzieli! — zawołała. — Ale mam wrażenie, że Billy i jego przyjaciele niezbyt lubią pana Granta i rzadko go widują. Ale to przykre, że tak zaraz po przyjeździe musiał pan wpaść na to wszystko.

Wzruszył ramionami. Na twarzy jego ukazał się stroskany wyraz.

— Musi pani iść do niej — powiedział tylko. — Mam wrażenie, że ma ciężkie życie i potrzebuje pociechy. Jest jeszcze w tej chwili zbyt osłabiona, aby przyjmować gości, ale niech pani postara się zajrzeć do niej w końcu tygodnia.

Diana rozejrzała się po bezkresnych wzgórzach pod rozpalonym niebem.

— Jak dawno ona tu jest?

— Od roku.

— Biedactwo! Wizyta tutaj może być bardzo przyjemna, ale wolałabym być pomywaczką w świecie żywych niż królową w świecie zmarłych, jakim ten kraj musi stać się po pewnym czasie.

— Jest bardzo spokojny — doktor westchnął z zadowoleniem. Myślał o natłoczonych salach szpitalnych w ojczyźnie, gdzie z tygodnia na tydzień walczył niezmordowanie z chorobą i śmiercią. Myślał o przeludnionych domach czynszowych nieopodal jego mieszkania w West Endzie, do których wybierał się czasami dobrowolnie na dobroczynne wizyty — o których nie wiedział nikt, prócz nieszczęśliwych chorych, którzy uważali go niemal za Boga. Ale Diana przerwała jego rozmyślenia:

— Spokojny! — powtórzyła. — Spokojny! I pan jest młodym człowiekiem! Po cóż panu i mnie spokój?! Niech pan nie postarza się przedwcześnie. Jeżeli chodzi o mnie!... — wstała i założyła ręce za głowę. Zgrabna jej postać rysowała się wyraźnie na tle nieba. — Ja pragnę ruchu, zmian, jeszcze przez wiele lat. Nienawidzę spokoju — to stagnacja. Chcę widzieć wszystko i doświadczyć wszystkiego — wszystkiego!

Ogarnął ją wzrokiem i znów zwrócił uwagę na jej elegancję i urok mimo niezaprzeczalnej brzydoty. Zaczął rozmyślać o wyższości potęgi indywidualności nad pięknnością fizyczną, gdy przerwała mu, pytając szybko:

— Czy to rozsądne, żebym odwiedziła panią Grant? Nie umiem udawać, jak pan wie. Nić potrafiłabym, na przykład, nawet dać do zrozumienia, że życie na pustkowiu jest rzeczą znośną. Uważam, że jest nie do zniesienia — i na pewno prędzej czy później wygadałabym się z tym.

Doktor uśmiechnął się. Wyraz jego oczu zastanowił Dianę.

— Myślę, że nie powinna się pani teraz wahać — powiedział po prostu — ona ma małego synka.

ROZDZIAŁ VII
DOKTOR ROZMYŚLA

W tydzień później Oswald Grant znów siał zboże. Prawa jego ręka z dokładnością automatu wyrzucała ziarno z perkalowego fartuszka przy szyi.

Skoro tylko przeminęły doniosłe wypadki, skoro tylko znikło wielkie niebezpieczeństwo, Grant powrócił natychmiast do codziennego trybu życia, który niewiele czasu pozostawiał na próżnowanie na werandzie, na polowanie czy na jakąkolwiek rozrywkę z rodzaju tych, które umilały życie jego zadowolonym i beztróskim sąsiadom. Mawiano o nim, że pracuje więcej niż którykolwiek trzej jego sąsiedzi razem wzięci, więc chociaż lubił narzekać na rzeczywisty czy też urojony nawał roboty, potrafił jednak czerpać znaczne zadowolenie z rozmyślenia nad własną pracowitością. Ponadto chełpił się również tym, że był przysięgłym abstynentem w kraju, gdzie większość mężczyzn pila ponad miarę. „W mieście mężczyźni nie mogą się nadziwić temu, że nie biorę do ust nic prócz lemoniady”, powiadał z ukontentowaniem do żony, powracając do domu w sobotę wieczorem. „Lubię patrzeć, jak otwierają szeroko oczy ze zdumienia. Oni dowodzą, że tutaj żaden mężczyzna nie może wyżyć bez alkoholu, a ja im psuję argumentację”.

Joyce słuchała ze zwykłym spokojem, ale jej ruchliwy umysł, który ostatnio nabrał niepożądanego zamięłowania do introspekcji, stwierdzał fakt, że Oswald był wiecznie rozżalony, nie potrafił się z nikim zaprzyjaźnić i nigdy nie zostawiał sobie czasu na radowanie się życiem. Myślała, że może gdyby pił mniej lemoniady, a za to pozwalał sobie od czasu do czasu na łyk whisky, zdołałby dostrzec jaśniejszą stronę życia i pozyskałby sobie większą życzliwość sąsiadów. Naturalnie nikt nigdy nie krytykował go przed nią, ale była dość spostrzegawcza, aby z jego własnych uwag wywnioskować, że nie był bynajmniej popularny. Podejrzewała też w skrytości ducha, że częstokroć jest pośmiewiskiem wesołych kolegów, a nie, jak sądził, dobrym dla nich przykładem.

Przypominała sobie niekiedy, jak po zamęcie i zawierusze, w jakich się odbyły jej zaręczyny i ślub, pewna rozmowa z jego matką oblała ją zimną wodą. Niewiele wiedziała o mężczyznach w ogóle, nie miała bowiem braci ani przyjaciół, ale jej wrodzony instynkt został wystawiony na ciężką próbę przez ową groteskową rozmowę, podczas której płaczliwa, drżąca dama rozpływała się nad jej szczęściem, że pozyskała sobie takiego męża, po czym zakończyła: „Ach, moje dziecko, to doprawdy szlachetny człowiek! Bałam się tylko czasami, że może, jak jego nieboszczyk ojciec, będzie za dobry, aby żyć długo. W tych okropnych czasach jawnej obojętności dla słowa Bożego, gdy wszyscy niemal młodzi

ludzie palą i piją bez umiaru, jakże pięknie jest widzieć takiego mężczyznę i wiedzieć, że cokolwiek się zdarzy, on nigdy nie wypije nic mocniejszego od lemoniady, a jednak potrafi wypełniać swe obowiązki i pognębić nieprzyjaciół Pana. Musisz, doprawdy, czuć nad nim pilnie jak ukochana żona i służąca — nawet jak Sara służyła Abrahamowi". Głaskała rękę Joyce podczas całej rozmowy i z przyjemnością obserwowała, z jaką uwagą młodzianka kobieta jej słucha.

W istocie jednak Joyce odczuwała tylko dziwną pustkę. Nie mogła siebie samej zrozumieć. Wiedziała, że powinna okazać wdzięczność i wzruszenie, że teściowa tego od niej oczekuje, zamiast tego jednak odczuwała coraz większą pustkę i gdzieś w głębi duszy okropną chęć śmiechu. Zachęcona jednak pilną uwagą synowej, czuła i dumna matka ciągnęła dalej: „Wiesz, czuję czasami” — wzruszonym głosem — „że on jest odpowiedzią na nasze modlitwy. Jego biedny ojciec, który był tak dobrym człowiekiem, chociaż” — z pewnym wahaniem — „niestety, dla chleba musiał zajmować się warzeniem piwa... więc jego ojciec i ja modliliśmy się regularnie razem, aby Bóg uchronił nam syna przed mocnymi napojami i brutalnymi wyrazami i aby Oswald wyrósł na szlachetnego człowieka”.

Niespodziewanie jakiś diablak, który zakradł się do głowy Joyce, kazał zapytać na pozór niewinnie: „Czy o Reggiego też się państwo modlili?” Usta szczęśliwej matki zeszywniały nieco.

„Reggie jest może naszym krzyżem — powiedziała — abyśmy nie wbili się zbyt w pychę z powodu starszego syna. Ale chcę wpoić ci, moje dziecko, przekonanie o potrzebie i pięknie modlitwy. Oswald przyzwyczajony był do wspólnego odczytywania pacierzy razem ze służbą co rano i co wieczór i nie chciałabym, aby mu tego zabrakło we własnym jego domu. Kupiłam więc ci ładną, prostą książkę do zbiorowych pacierzy i mam nadzieję, że będziesz jej używać co rano i co wieczór i skłonisz tych biednych, zbłąkanych Murzynów, aby się modlili razem z wami.”

Joyce miała wszystkiego dziewiętnaście lat w chwili zamąż-pójścia i nigdy przed tym nie wyjeżdżała ze swej małej rybackiej wioski w Devonshire. Na skutek tego wiele potencjalnych zdolności nie miało sposobności w niej się rozwinąć. Kiedy znalazła się na wielkim statku, zaczęła zwracać na siebie ogólną uwagę, mimo że raczej unikała niż szukała towarzystwa. Zaczęła się też

budzić, czy innymi słowy odkrywać w sobie dotychczas uspięte możliwości. Częściowym rezultatem tego było wyrzucenie za burtę modlitewnika, zanim jeszcze dojechali do Cape Town. Zaczęła się też tak dalece nie zgadzać ze swą teściową, że pragnęła, aby szlachetny Oswald zdradził jakieś najłżejsze choćby symptomy zwykłej omyłności ludzkiej, zamiast być wciąż tak wzniosłym i nieciekawym. Jego zgorszenie na widok pań palących poobiedniego papierosa było wręcz wzruszające. Pewnego zaś razu, gdy para różanych usteczek otworzyła się, aby powiedzieć dosadne „psiakrew”, pośpiesznie przesunął ich fotele na inną część pokładu.

— Takiego słowa nie wypowiedziałem nigdy w życiu — zauważył sentencjonalnie — i mam nadzieję, że nigdy nie wymówię.

Joyce patrzyła na błękitne wody i zastanawiała się, czy to bardzo brzydko z jej strony żywić w skrytości ducha przeświadczenie, że Oswald byłby znacznie miłszym człowiekiem, gdyby dla odmiany od czasu do czasu zaklął. Z pewnym smutkiem myślała o wdzięku renegata Reggiego. Widziała go tylko jeden raz, ale pobudził ją do śmiechu, pierwszego od śmierci jej matki. Przypadli sobie od razu do serca.

Po tym spotkaniu mąż jej wygłosił długie przemówienie na temat niezliczonych błędów i wad brata, jego nieuleczalnej rozrzutności, awanturniczego życia, zupełnego niezważania na otoczenie oraz smutnej sytuacji w ogóle.

— Zrobiłem dla niego, co tylko mogłem — zakończył urażonym tonem — ale on śmieje się z moich rad i nadal stacza się po pochyłości.

— Ależ on jest tak uroczo chłopięcy — zaryzykowała uwagę Joyce. — Doprawdy, myślę, że nie powinieneś się tak o niego niepokoić. Ustatkuje się, kiedy będzie trochę starszy. Wszyscy go tak lubią, że nic dziwnego, jeżeli jest trochę rozpieszczony.

Mąż patrzył na nią przez chwilę niemal z osłupieniem, po czym odpowiedział:

— Droga Joyce, jesteś jeszcze za młoda, aby wygłaszać tak autorytatywne zdania na ten temat. Owszem, mam wszelkie powody do niepokoju. Dopiero w zeszłym tygodniu słyszałem, że był nietrzeźwy po obiedzie wydanym z okazji meczu krykietowego. To haniebne — odczułem to jak najboleśniej. Pomyśl tylko — nietrzeźwy, dosłownie nietrzeźwy! Hańbi swoje

słynne nazwisko — toteż powiedziałem mu dokładnie, co o tym myślę.

Długie rzęsy Joyce ukrywały wyraz jej oczu, gdy powróciła do czytania książki trzymanej w ręku. Przypomniła sobie bowiem uwagę Reggiego — parszywej owcy — dotyczącą tegoż słynnego nazwiska.

— Zanadto pysznisz się swymi przodkami — powiedział bratu ironicznie. — Gdybyś zadał sobie trud zbadania tej sprawy, przekonałbyś się, że jedną starą damę powieszono za kradzież owiec; jeden stary idiota ożenił się ze swoją kucharką, ponieważ była jedyną osobą na świecie, która potrafiła robić baranią pieczeń według jego gustu; z pół tuzina zaś tychże przodków umarło z przemęczenia, gdyż usiłowali schwytać wymaginowane szczury biegające po urojonych ścianach.

Upłynęło jednak kilka miesięcy, nim Joyce rozczarowała się ostatecznie do męża. Z natury pełna nadziei, utrzymywała się dzielnie w przekonaniu, że cała wina leży po jej stronie, że po pewnym czasie zdoła należycie ocenić liczne zalety i doskonałości męża i weźmie czynny udział w realizacji jego rodezyjskich projektów. Gdy zaś nadzieja ta zaczęła zamierać, Joyce wciąż jeszcze nie traciła odwagi, z najwyższym wysiłkiem ukrywając przed nim straszliwą tęsknotę za domem i błękitnym morzem Devonu, która wzrastała wciąż, zamiast maleć. Podczas jej krytycznej choroby Oswald musiał zauważyć stan jej ducha, szybko jednak o nim zapomniał. Teraz, gdy znów powrócił do normalnego trybu zajęć, pamiętał tylko o ostatnim dowodzie życzliwej opieki Opatrzności. Matka i dziecko powróciły od bram śmierci, on sam zaś był teraz dumnym posiadaczem syna i dziedzica, który będzie nosił owo trzykroć cudowne nazwisko. Były chwile, gdy jego zadowolenie z siebie nie miało granic. Łapał się na powtarzaniu słów Psalmisty, w których mowa o tym, że Bóg naprostuje ścieżki sprawiedliwemu. Regularnie, sam podobny do obrazu biblijnego, wsiewał zboże w długie koleiny, rojąc marzenia o przyszłości, w których widział się już starcem, sytym zaszczytów, litościwszym i sprawiedliwszym od zwykłych ludzi, niewątpliwym, niezaprzeczalnym wybrańcem Bożym.

Na werandzie domu na wzgórzu Joyce rozkoszowała się pierwszym popołudniem na powietrzu. Doktor dotrzymał jej towarzystwa, podczas gdy pielęgniarka dla odmiany zwiedzała

sąsiednie pagórki. Doktor siedział w głębi. Pozycja ta ułatwiała mu obserwowanie pacjentki tak, aby tego nie widziała. Nie wiedział, czy robi to świadomie, czy nieświadomie -- nie chciał wiedzieć — wystarczyło mu, że czuje się tutaj jak w raj, obserwując grę jej twarzy, jej wzruszający zachwyt nad okruszyną ludzką, trzymaną w ramionach, notując powrót lekkich rumieńców na jej policzki, dostrzegając błyski w oczach i myśląc po raz tysięczny o tym, jak piękne ma włosy. Uświadamiał sobie mglisto, że coś zaszło owej pierwszej, okropnej nocy, gdy przyłgnęła do niego w paroksyzmie płaczu i tylko jego pieszczota zdołała ją pocieszyć.

— Nie odchodź, nie odchodź! błagała owej nocy nieustannie, podczas gdy małe rączki czepiały się rozpaczliwie jego ramion; gdy zaś w przerwach zapadała w niespokojny, gorączkowy sen, opierając głowę na jego piersi, siedział sztywno, woląc narazić się na ból fizyczny, niż ją zbudzić.

Chwilami wydawało mu się, że przeszłość i przyszłość znikły, pozostawiając ich w jakimś zawieszeniu, gdzie nie było innych istot ludzkich ani pośpiesznej, wyczerpującej, bolesnej egzystencji — tylko on w świadomej, męskiej sile chroniący ją przed wszelkim cierpieniem. Nawet teraz wszystkie minione wypadki wydawały mu się zbyt dziwne, aby mogły być prawdziwe. Był wciąż oszołomiony ich nagłością.

Dawno, dawno temu, zdawało się, siedział wieczorem na werandzie ze swym przyjacielem Tedem Burnettem, rozmawiając leniwie i planując wypoczynek, a zmęczony jego umysł rozkoszował się poczuciem absolutnego spokoju, nie zakłóconego nawet żadnym marzeniem ani pragnieniem. I ledwo osiągnął to całkiem nowe dla niego uczucie zadowolenia, Los, nie zważając wcale na to, że doktor bardzo już potrzebował wypoczynku, schwycił go za ramiona i zbudził bezlitośnie. Bez żadnego ostrzeżenia, bez uprzedzenia, postawił go naraz przed obliczem przeznaczenia. Pokazał mu prześliczną, dziecinną twarzyczkę, wykrzywioną bólem, otoczoną aureolą złotobrązowych włosów; oczy szeroko otwarte w niemym błaganiu, które poruszyło do głębi jego współczujące serce, i delikatne, wyciągnięte ku niemu ręce, które na zawsze owiły mu się dokoła serca.

Siedział teraz na uboczu, obserwował ją i rozmyślał głęboko. Jeżeli takie było jego przeznaczenie, to pełna świadomość tego

jeszcze nie nadeszła. Aż do tej chwili zajęty był nieustanną walką wręcz z Bładym Upiorem i troska przesłaniała wszystkie inne uczucia. Raz po raz czuł, że chora wymyka mu się z rąk. Raz po raz wzywał bez słów Wyższą Siłę, aby dała mu moc uratowania chorej. Tę samą Siłę, która mimo jego świetnego umysłu tylekroć stawiała go przed nieprzebytymi zaporami i tylekroć pozostawiała w nim tylko oszołomienie i beznadzieję. Tę Siłę — zewnętrzną — co do której przyznawał się otwarcie do kompletnej ignorancji — którą niektórzy zwą Losem, niektórzy Opatrznością, a inni znów Bogiem.

Gdy siedząc teraz — nieco na uboczu — obserwował szybko powracającą do zdrowia pacjentkę, nie znający spoczynku mózg jego badał w sposób nieco fantastyczny interesującą sytuację. Oto dobry, wierzący człowiek, umiłowany pono przez ową Siłę, jest dumnym i wyłącznym posiadaczem jednej z najcudowniejszych żon, jakie dane było mieć mężczyznom. Ma jednak tyleż szans na zrozumienie i należyte ocenienie jej młodej, żywej natury i obdarzenie jej szczęściem, co woskowy manekin. Oto znów chłonny, otwarty, młodzieńczy umysł domagający się swego udziału w życiu — takie natury owa Nieznana Siła chyba także musi miłować — a jednak staczający się nieuchronnie w otchłań rozczarowania i pustki. Wreszcie oto on sam, wzięty, inteligentny, współczujący, wyrozumiały, oddający bez słowa narzekania wszystko co ma najlepszego cierpiącym, którzy się do niego zgłaszają; niezmordowanie i altruistycznie podający szklankę zimnej wody najędźniejszym nawet przedstawicielom rodzaju ludzkiego — tylko w imię Człowieczeństwa. Oto on, któremu jak ziarno zapadło w serce pragnienie, aby to dziecko nauczyć szczęścia, dać jej należną jej z urodzenia część życia, zamiast zasuszonych przesądów i aforyzmów męża — karykatury mężczyzny. Cóż pocznie owa Nieznana Siła z tym triem, z którego każdemu coś się przecież od niej należy?

Z rozmyślań tych zbudził go cichy głos Joyce, przepełniony radością:

— Czy on nie jest zupełnie cudo? — mówiła. — Zawsze myślałam, że noworodki są brzydkie — takie czerwone i nie wykończone. Czasami, kiedy odwiedzałam z matką domki rybaków, dziwiłam się, że te biedne kobiety mogą lubić takie czerwone kawałki mięsa. Każda matka ma chyba czarodziejskie szkła na

oczach — dodała ze szczęśliwym uśmiechem — bo pan na pewno uważa, że moje dziecko jest takie samo, jak wszystkie inne, a jednak dla mnie jest piękniejsze od promieni słonecznych.

— W takim razie ja także mam czarodziejskie szkła na oczach — odparł — bo mnie mały nie wydaje się ani czerwony, ani nie wykończony. To jedno z najładniejszych dzieci, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Bardzo ładnie, że pan tak mówi — ale w gruncie rzeczy to nie gra żadnej roli. I to właśnie jest najcudowniejsze, prawda? Gdyby nawet był czerwony i brzydki, uważałabym go za doskonałość i wolałabym go od serafina albo cherubina.

Ręce doktora poruszyły się nerwowo.

— Czy on zastąpi pani błękitne morze Devonu, rybaków i wszystko pozostałe? — zapytał delikatnie.

Joyce pochyliła nisko głowę nad drobną twarzyczką, policzki jej jednak zalał wymowny rumieniec.

— Czy dużo o nich mówiłam? — zapytała. — Dawno już chciałam pana o to zapytać.

— Mówiła pani wiele rzeczy — odpowiedział, patrząc uporczywie na pochyloną głowę.

— Czy on słyszał? — pochyliła głowę jeszcze niżej i mówiła niemal szeptem.

— Nie. Poradziłem mu, aby nie wchodził. Opowiedziała pani wszystko mnie. — Serce zabiło mu mocniej, gdy wyczuł, że z tego krótkiego zdania zrodziło się między nimi nowe zbliżenie.

Wahała się przez chwilę, po czym dodała, jak gdyby dla wyjaśnienia:

— Uraził mnie czymś tuż przed chorobą. Bardzo byłam niemądra — mam nadzieję, że nie okazywałam urazy podczas choroby?

Czekała, ale doktor milczał.

— Czy kazałam mu odejść? — zapytała. Doktor chrząknął.

— Niezupełnie, a zresztą nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Kiedy człowiek jest bardzo chory i ma silną gorączkę, często się zdarza, że nabiera chwilowej awersji do obecności jakiejś osoby.

Po chwili milczenia dodał:

— Zauważyłem, że pani się niepokoi, gdy on jest w pobliżu, wytłumaczyłem mu więc z łatwością, że lepiej dla pani, jeżeli będzie pani miała zupełny spokój.

Odwróciła głowę i spojrzała w dół na długie koleiny, po których tam i z powrotem chodziła wysoka, przygarbiona postać.

— Jeżeli tylko nie poczuł się dotknięty... — powiedziała. Doktor wstał nagle i wyprostował się.

— Nie, nie poczuł się dotknięty — odparł stanowczo. — Nie przypuszczam, aby w ogóle coś zauważył.

— Cieszę się — powiedziała po prostu i ucałowała maleńką główkę dziecka.

Doktor przemierzył całą długość werandy, po czym zawrócił.

— Znam północny Devon — powiedział. — Moja rodzina miała tam dom przez pięć lat. Nie dziwię się, że pani kocha tę okolicę.

Spojrzała nań z wdzięcznością i po upływie paru minut byli już pochłonięci rozmową o ulubionych i nie lubianych miejscach na ukochanym wybrzeżu. Policzki jej rozkwitły, oczy świeciły jak gwiazdy. Na chwilę zapomniała niemal o śpiącym dziecku, po raz pierwszy bowiem od roku pozwoliła wybuchnąć tłumionej miłości i tęsknocie.

— Gdybyż moje dziecko tam się urodziło! — zakończyła ze smutkiem. — Ja urodziłam się tam, pan wie. Pierwsze spojrzenie moich oczu padło na ten krajobraz i od tej chwili pokochałam go całym sercem. Dlatego przypuszczalnie nie potrafiłam się przyzwyczaić do Rodezji. Widzę, że jest piękna, ale po morzu wszystko wydaje mi się martwe. Nie umiem tego wyrazić, ale w tutejszych wzgórzach jest coś tak martwego, że to aż boli. Wyglądają zawsze jednakowo i wszystko tu jest jednakowe, i człowiek żyje jak kółko w mechanizmie, nakręconym na robienie pewnych określonych rzeczy w pewnych określonych porach przez pewien określony czas. Ale morze zawsze się zmienia i w Devonie jest wiosna i lato, i jesień, i zima. I łodzie wyjeżdżające codziennie na> połów, i powracające pełne ryb. I są piękne dni, kiedy się samemu łowi ryby; i są zawsze nowo narodzone dzieci do obejrzenia i mili starzy ludzie, z którymi można porozmawiać; i polowania w zimie; i prawdziwe Gwiazdki... — urwała raptownie i zmieniła ton. — Ale naturalnie teraz już wszystko będzie inaczej. Nie będę już głupia i nie będę tęskniła za domem. Dzidzi na pewno będzie

kochało ten kraj, postaram się więc patrzeć nań jego oczami. Wyrośnie na prawdziwego Rodezyjczyka i zostanie tu kiedyś wielkim człowiekiem. W Anglii teraz jest tak ciasno pod tym względem. Staram się myśleć, że to dla niego dobra przyszłość, ale... — głos jej się znów załamał — mam nadzieję, że będzie także kochał Devon i morze, bo zawsze będę się modliła o to, aby tam wrócić kiedyś na stałe.

— Naturalnie, że będzie kochał Devon — głos doktora był lekko ochrypły. — Pokocha go, skoro go tylko ujrzy. Halo — urwał — wydaje mi się, że to panna Webberley rozmawia z pani mężem. Przypuszczam, że przyszła panią odwiedzić. Obrzucił ją badawczym, zawodowym spojrzeniem. — Wie pani, myślę, że odłożę jej wizytę na inny dzień. Wygląda pani na bardzo zmęczoną. Nie będzie pani zawiedziona, prawda?

— Jeżeli pan uważa, że tak jest najlepiej, to naturalnie, że nie. I jeżeli wytłumaczy mnie pan przed nią. Kto tam jest z nimi?

— Burnett i jej brat. Myślę, że lepiej zejść do nich. Pielęgniarka właśnie wraca — niech pani nie trzyma za długo tego młodego człowieka. Będę musiał ustalić pani godziny, jeżeli będzie się pani upierała przy tym, żeby go ciągle trzymać na ręku — uśmiechnął się przy tych słowach i zaczął schodzić ze wzgórza.

Diana rozmawiała właśnie z Oswaldem, który objaśniał jej — szczęśliwie nieświadom złośliwego ognika w jej oczach — jak powinno się siać zboże. To znaczy, jak on to robił, w przeciwstawieniu do nierównej, złej siejby innych. Diana miała na sobie krótką, ślicznie skrojoną spódniczkę, w której wyglądała nadzwyczaj zgrabnie i schludnie, złośliwy ognik jednak w jej oczach wciąż rósł. Gdy doktor nadszedł, leciutkie opuszczenie lewej powieki zdradziło mu, że panna przejrzała już na wylot swego rozmownego towarzysza.

— Pan Grant właśnie tłumaczył mi przepięknie technikę siewu — powiedziała. — Nie wyobraża sobie pan, jakie to ciekawe. Ja, naturalnie, zawsze myślałam, że ziarno po prostu rozrzuca się byle jak, po czym ono samo już spełnia resztę zadania. — Zwróciła się znów do swego informatora: — Wiele słyszałam o pańskich umiejętnościach w dziedzinie gospodarstwa rolnego. Jakiż zaszczyt musi pan przynosić tym wszystkim ignorantom dokoła i Rodezji w ogóle!

— Przepraszam! Przepraszam! — zawołali z oburzeniem pozostali dwaj mężczyźni.

— Czy zdawało mi się, że powiedziała pani ignoranci, panno Webberley? — dodał Burnett.

Uśmiechnęła się rozbrajająco.

— Oczywiście, nie myślałam tego dosłownie, z wyjątkiem tego, co się tyczy Billa. Wszyscy wiedzą, że Billy nie ma zielonego pojęcia o rolnictwie. Chciałam powiedzieć ignoranci w porównaniu z panem Grantem. Pan Grant, o ile mi wiadomo, jest niedościgłym mistrzem.

Oswald Grant odwrócił się z zadowolonym uśmiechem, zabawnie kontrastującym z pokorną miną, i znów lewa powieka Diany przymknęła się w sposób podejrzany.

Ruszył naprzód, Diana szła za nim.

— To cudowne życie — ciągnęła dalej. — Ma w sobie coś prostego i wspaniałego zarazem, prawda?

— Istotnie — rzucił na nią spojrzenie pełne podziwu — chociaż nie wszyscy ludzie potrafią to dostrzec. Moim na przykład zdaniem, czegoż więcej człowiek może pragnąć? Dopóki sprawy idą nieźle, jestem zupełnie zadowolony, jeżeli mogę zajmować się gospodarstwem od rana do nocy. Naturalnie, jeżdżę od czasu do czasu do Salisbury, ale nigdy właściwie nie mam na to ochoty. Zawsze chodzi o podatki lub kupno czegoś, nie mam zaś żadnej ochoty marnować czasu na polowanie lub palenie fajki na werandzie. Wiezorami czytuję gazety, ale jestem zwykle zbyt zmęczony, aby czytać coś poważniejszego, i z radością kładę się wcześniej spać.

— Urocze! — zawołała Diana z emfazą. — A czy pani Grant — dodała niewinnie — także przepada za farmerką od świtu do nocy?

Oswald mimochodem oczyszczał drzewko owocowe z suchych gałązek i odpowiedział bez namysłu:

— Moja żona! Naturalnie, że to lubi. Widzi pani, ona zawsze mieszkała na wsi. Przypuszczam, że pannie z wielkiego miasta nudziłoby się tutaj, ale też trzeba być głupcem, aby taką pannę tu sprowadzać. Nigdy by mi do głowy nie przyszło prosić wielkowiejską pannę, aby zamieszkała ze mną na kolonialnej farmie. Zrobić coś podobnego dowodzi tak dziecinnej krótkowzroczności, prawda?

— Stanowczo. Billy na pewno potrafiłby tak postąpić. Muszę pomówić z nim na ten temat i przelać weń trochę pańskiej mądrości. Czy poznam dzisiaj panią Grant?

— Naturalnie, mam nadzieję. Będzie zachwycona — poprowadził ją do ścieżki, która stanowiła najkrótszą drogę do domu, gdy wtem doktor zainterweniował:

— Może innego dnia, jeżeli to pani nie robi różnicy, panno Webberley. Pani Grant jest dziś wyjątkowo zmęczona, powiedziałem więc, że poproszę panią, aby zechciała przyjść kiedy indziej.

Oswald Grani spojrział na niego zirytowany.

— Ależ panna Webberley odbyła długą drogę, panie doktorze — powiedział. — Doprawdy sędzę, że żona wolałaby, aby pani wstąpiła do nas. Dziś przy lunchu wyglądała lepiej niż zwykle.

Doktor spojrział tylko na Dianę.

— Bardzo mi przykro — powiedział półgłosem.

— Z przyjemnością przyjdę innego dnia — oświadczyła szybko Diana. — Tutaj się świetnie chodzi i doskonale się bawiłam, wałęsając się dokoła domu kapitana Burnetta. Poza tym wizyta musiałaby być bardzo krótka, ja zaś wolałabym przyjść na znacznie dłuższą pogawędkę.

— Bardzo pani łaskawa — powiedział Oswald — i będziemy pani niezmiernie radzi. Odprowadzę państwa do doliny — po czym ruszył przed nią, rozpoczynając natychmiast długi i naukowy dyskurs o rolnictwie, który by zanudził Dianę na śmierć, gdyby nie posiadała błogosławionej zdolności wydobywania humoru z najmniej obiecujących tematów.

— Niedługo będzie pani umiała więcej od nas — zwrócił się do niej Burnett, gdy wykładowca wreszcie się wycofał i Ted mógł zająć jego miejsce.

— Cóż to za człowiek! — jęknęła. — Czy on przypadkiem nie jest tak zwanym świętym? Bo jeżeli tak, to jakże czasem muszą nudzić Boga Jego święci!

Szli wolno, nieco w tyle za pozostałymi, rozmawiając o Rodezji. Burnett opowiadał jej we właściwy sobie spokojny sposób, jak kocha ten kraj i jak jego nieodparty urok działa nań wciąż, nigdy nie malejąc.

— A cóż z ożenkiem? — zapytała z właściwą sobie otwartością. — Czy macie zamiar wszyscy zostać kawalerami — pan i Billy, i Ślicznotka, i Jim?

— Dlaczegoż? Czemuż kobieta nie miałaby także być tu szczęśliwa?

Ale Diana odpowiedziała na te słowa nieoczekiwanym wybuchem:

— W takim razie — czy będzie pochodziła z miasta, czy ze wsi — niech pan uważa, aby nadawała się do tej roli! — zawołała. — Czuję ból, tak, dosłownie ból, na samą myśl o wykształconej, inteligentnej kobiecie, zameczającej się, aby zdobyć pożywienie z tego oto... — pokazała ręką i rozejrzała się dokoła z nagłą odrazą. — Jestem tu dopiero od trzech tygodni, ale wiem już, co to jest, czym to się wkrótce może stać. Tylko kobiety z mózgami Buttericka czy Beetona potrafiłyby to znieść. Te wzgórza, którymi się wszyscy tak zachwycacie, cała ta wyschła trawa i martwe drzewa, i kilometry nieżywych łądyg, już mi działają na nerwy. To tak, jak gdyby się zasiadło do czytania, spodziewając się, że książka jest zajmująca i ciekawa, i przekonałoby się, że się ma przed sobą słownik Bradshawa. Dopóki wszystko jest nowością, jeszcze jest znośnie, ale później — och, gdybym musiała zostać tutaj, miałabym wrażenie, że prosiłam życie o chleb, otrzymałam zaś kamień. Umarłabym więc z pragnienia rzucenia mu go w głowę.

Poszła prędzej naprzód, elastycznym krokiem, który wywoływał zawsze zachwycone uwagi widzów. Burnett uświadomił sobie, że patrzy na nią z uczuciem nieokreślonego żalu.

— Życie poza granicami świata dobre jest dla zawiedzionych kochanków, dla marzących o księżycu poetów i dla mężczyzn, którzy wiecznie chcieliby coś zabijać, ale to śmierć za życia dla młodego, ambitnego umysłu.

— Protestuję! — oświadczył. — Rodezja nie leży bynajmniej poza granicami świata. Niech nam pani przyzna sprawiedliwość. Niech pani poczeka, aż zobaczy Salisbury *en fête*, kiedy wszyscy wkładają najlepsze ubrania! Niech pani zaczeka, aż pani zobaczy naszą dostojną Radę Ustawodawczą w chwili, kiedy się zbiera! Niech pani zaczeka, aż pani przemorduje bal w Domu Rządowym przy temperaturze trzydziestu stopni w cieniu!

— Nie zależy mi na tym. To są zresztą odległe sprawy. Najwyżej mogę przyznać, że Rodezja jest Krawędzią Świata, nadal jednak twierdę, że wasze kobiety muszą być stworzone do swej roli. Jest tylko jeden typ, oprócz kolonialnej „Hausfrau”, a mianowicie tak zwana „Szczebiotka”. Taka pocziwa dziewczyna do

wszelkich robót domowych, taka, co to: „Bądź dobra, słodka dziewczeczko, mądrość zaś pozostaw tym, którzy jej sobie życzą”. Osobiście sędzę, że pan pewnie by także zgłupiał przy takiej żonie, ale w każdym razie tylko tego rodzaju kobieta nadaje się do tego rodzaju egzystencji. Nienawidzę krzątania się i robót domowych. Po prostu bawię się życiem. Pragnę mieć nowe wrażenia codziennie — pragnę nowych ludzi, nowych miejscowości, nowych rozmów... Uff! Na samą myśl o tutejszym życiu czuję się trupem. Pańska piękna Rodezja byłaby dla mnie mauzoleum, zbudowanym z pagórków, z Krzyżem Południa nad głową.

Niezwykła gwałtowność, z jaką mówiła, zdawało się wstrząsnęła nią do głębi. Pobieгла naprzód swym lekkim, rozkołysanym krokiem, mówiąc śpiesznie o innych rzeczach, jak gdyby uciekała przed jakimś dziwnym przecuciem.

— Rodezja jeszcze nie zawładnęła panią — przemówił Burnett swym melodyjnym głosem. — Nie wie pani, jak to jest, gdy zawładnie człowiekiem. Nie wypuszcza go nigdy!

— Ale nigdy mnie nie złapie! Burnett uśmiechnął się tylko.

— Ona nie ma względów dla nikogo i nie robi wyjątków. Przyciąga do siebie jak Trubadur z Hamelinu. Ciekawe będzie śledzić, jak wszystkie pani uprzedzenia i zastrzeżenia upadną przed dźwiękiem zaczarowanej fujarki.

Przypuszczam, że dla pani Rodezja specjalnie się wysili.

Odwróciła się z głową wzniesioną do góry, z wyzywającym i zuchwałym wyrazem twarzy, który stanowił jeden z jej głównych uroków. Miało się jednak wrażenie, że to wyzwanie jest umyślnie przesadzone, aby upewnić ją samą i przekonać Burnetta.

— Och, niech diabli wezmą Rodezję! — powiedziała. — Nie boję się jej!

ROZDZIAŁ VIII

GOSPODARSKIE DOŚWIADCZENIA DIANY

W tydzień później doktor, wchodząc bez uprzedzenia do domu Grantów, usłyszał odgłosy całkiem niepowседневnej wesołości. Zatrzymał się na chwilę, aby zbadać, co się dzieje, i ujrzał na werandzie Dianę zajęętą rozmową z Joyce i pielęgniarką. Postać jeszcze przez jakiś czas, patrząc na pół smutno, na pół ciekawie na Joyce. Śmiała się równie wesoło jak tamte, oczy jej świeciły, policzki zaróżowiły się. Wyglądała tak promiennie, że doktor był zdumiony. Ze ściśniętym sercem przypomniał sobie znów twarzyczkę wykrzywioną cierpieniem i wyciągnięte do niego błagalnie ręce podczas ich pierwszego spotkania, usłyszał znów urywane, zbolełe słowa skargi i uczył nagle, jak zalewa go fala protestu.

— Wielkie nieba! — mruknął. — To dziecko stworzone jest do radości i śmiechu, dotychczas zaś przypadały jej w udziale tylko łzy!

Otworzył drzwi balkonowe i wszedł na werandę. Panie przyjęły go ze szczerą radością.

— Co jest powodem tej wesołości? — zapytał. — Niech panie pozwolą mi przyłączyć się do niej — lekarz mi to specjalnie zalecał.

— Panna Webberley opowiada nam o swoich przejściach z czarną służbą — odparła Joyce. — Zdaje się, że jej powodzi się jeszcze gorzej niż mnie na początku. Niech mu pani opowie o krochmalu! — zwróciła się do Diany.

— Tak, niech mi pani opowie o krochmalu.

— To był tylko eksperyment — wyjaśniła Diana — który niezupełnie się udał. Widzi pan, ja nie mam żadnego pojęcia

o krochmaleniu bielizny, więc przez pierwsze trzy tygodnie po prostu nic się nie krochmaliło i koniec. Zdawało się, że to nie ma specjalnego znaczenia i nie przejmowałam się tym wcale, ale przypadkiem odwiedziła nas pani Hatton i nauczyła mnie, że bielizna stołowa wygląda znacznie ładniej i dłużej się trzyma, jeżeli się ją krochmali. Ponieważ jestem zazwyczaj bardzo dokładna we wszystkich przedsięwzięciach, postanowiłam, że postaram się ulepszyć tygodniowe pranie. Powiedziałam jej, że nie mam krochmalu, ale ona orzekła, że to nie gra roli. Trzeba tylko zrobić pastę z mąki, rozpuścić ją w gorącej wodzie i zanurzyć w tej mieszaninie bieliznę. Wydawało się to rozkosznie łatwe, wykonałam więc wszystko w pełnej podziwu obecności dwóch uroczych czarnych boyów. Rozrobiłam mączną pastę w dużej miednicy, po czym dolałam wrzącej wody. Zanurzyłam w tym roztworze bieliznę i zwinęłam ją, aby następnego dnia była gotowa do prasowania.

— I cóż? — zapytał doktor, gdy Diana zamilkła na chwilę.

— Bielizna jeszcze ciągle jest zwinięta. Nie daje się odwinąć! Mój cudowny krochmal pozlepił wszystkie sztuki w jeden kłęb i wygląda na to, że żadna siła na świecie nie potrafi ich rozdzielić! To doprawdy okropne zdarzenie — ciągnęła dalej, podczas gdy doktor odrzucił głowę w tył i zanosił się ze śmiechu. — Między wykrochmalonymi rzeczami znajdowała się koszula, którą oni wkładają do Salisbury, i Billy kłął straszliwie, gdy podałam mu ją w zbitej masie. Akurat na niego wypadła kolej jechać do miasta, zbierał więc wszystkie możliwe części ubrania i miał już wszystko, oprócz koszuli. Kiedy mnie o nią zapytał, powiedziałam: „O, wygląda ślicznie! Wykrochmaliłam ją nowym sposobem i proces krochmalenia jeszcze się nie skończył. Znajdziesz ją na zapasowym łóżku wraz z innymi rzeczami!” Po czym czekałam ze strzelbą w rękę! Para jego płóciennych spodni była tam także. Dziwię się tylko, że bielizna nie rozpadła się pod wpływem jego słów!

— Ale dlaczegóż, na Boga, krochmaliła pani spodnie? — zapytała Joyce, gdy śmiech przycichł.

— Skąd miałam wiedzieć, co się powinno krochmalić, a co nie? Krochmal należało zużyć, kiedy się już tyle namęczyłam przy jego sporządzeniu, zanurzałam więc w nim wszystko, co mi wpadło pod rękę.

— A dlaczego pani zwinęła bieliznę? — zapytała pielęgniarka.

— Nie mam pojęcia — potrząsnęła głową. — Pewna jestem jednak, że w Anglii widziałam, jak bielizna leży przed prasowaniem zwinięta w rolkę. Ale to w każdym razie nie stanowiłoby wielkiej różnicy. Jediną rzeczą, jakiej się nie zwinęło, był obrus. Kucharz powiesił go do wysuszenia na własną odpowiedzialność. Rezultat jest taki, że teraz w żaden sposób nie można go złożyć. Nie możemy go nawet wnieść przez drzwi.

Sposób, w jaki opowiadała swoje przygody, rozśmieszył ich niemal do łez, zwłaszcza gdy opowiedziała, jak Jim zgłosił się po spodnie i uparł się, że je będzie nosił. Mówił, że zaoszczędzą mu trudu przynoszenia sobie krzesła, ponieważ wystarczy mu oprzeć się o nie.

— Teraz cała bielizna moczy się w rzece — zakończyła. — Leży tam już od dwóch dni i Ślicznotka nazywa ją „tama domowej roboty”.

— Ale podobają się pani czarni służący, prawda? — zapytała pielęgniarka.

— O, są nieporównani! — zawołała Diana z zachwytem. — Dwaj, których mamy teraz, mają pożałowania godny zwyczaj grania w kości o części garderoby. Jednego dnia są wcale przyzwoicie wyekwipowani, drugiego zaś, akurat kiedy się oczekuje czyjejs wizyty, herbatę podaje czarne ciało, owinięte tylko jakimś gałganem. Dziś z rana kazałam im uprać swoje koszule i spodenki, ale odpowiedzieli, że nie mogą, bo nie mają nic innego do włożenia. Musiałam wyszukać jakieś ubrania. Wreszcie jeden z nich paradował w starej piżamie, poszczepianej nitkami, drugi zaś w mojej bluzie z kawałkiem starego obrusa na biodrach. Może są bardzo mili w teorii, ale w praktyce odrobinę nieznośni. Ja, zdaje się, działam na nich ogłupiająco. Mówię kucharzowi, co i jak ma ugotować, a on stoi przede mną jak kolek, z szeroko otwartymi ustami, i gapi się na mnie.

Tak, ja to znam — powiedziała Joyce. — Z początku to okropne. Nie wiedziałam już po prostu, co mam z nimi zrobić. Miałam jednego boya, który nosił wielki nóż za pasem i nigdy nic nie robił, tylko siedział przy ogniu i palił papierosy. Kiedy próbowałam go wyłajać, marszczył na mnie groźnie brwi i bałam się strasznie.

— A czy mąż pani nie pomówił z nim o tym? — zapytał doktor.

— O, Oswald go lubił. On był taki przebiegły. Umiał mu się przypodobać.

Doktor ściągnął brwi, podczas gdy Joyce opowiadała dalej:

— Miałam innego, który upijał się kaffirskim piwem. Nie bywał podniecony, wie pani, tylko siedział na kuchennym stole i uśmiechał się jak Christy Minstrel *, nucąc urywki piosenek. Gdy wpadł w taki nastrój, musiałam przeważnie sama gotować.

Zmarszczka na czole doktora pogłębiła się.

— Bardzo nierozsądne w tym klimacie — zauważył.

— Najlepsi są młodzi chłopcy, jeżeli się uda dostać takiego i wyuczyć go samemu — zakończyła Joyce.

— Mamy jednego piccolo — powiedziała Diana. — Jest to coś pośredniego między małym diabłem a małą małpką. Trzeba

* Członek murzyńskiej trupy śpiewaczej (przyp. tłum.).

widzieć, jak wiesz się na moich butach z cholewami, usiłując ściągnąć je ze mnie! — roześmiała się zaraźliwie na to wspomnienie i opowiadała dalej: — Za pierwszym razem kazałam mu ciągnąć mocniej i zaczął po prostu tańczyć w rozpaczliwych wysiłkach, zupełnie jak czarny diablak na sznurku. Aż nagle ręce mu się ześlizgnęły i fiknął koziołka do tyłu. Śmiałam się do rozpuku, po czym posłałam po służącego. Był trochę silniejszy i musiałam się trzymać krzesła, ale właśnie w chwili, gdy już złapał ten dryg, piccolo pociągnął mnie niespodziewanie za nogę i znalazłam się w jednej sekundzie na ziemi. O, wtedy znów czarny diablak boki zrywał ze śmiechu!

Gdy śmiech ucichł wreszcie, zakończyła:

— Ślicznotka, nasz nadworny artysta, zdobył sobie nieśmiertelność szkicem, na którym przedstawiony jest wielki but. Po jednej jego stronie pochylają się dwie obnażone czarne postacie, z drugiej zaś widać moją wdzięczną osobę w pozycji leżącej. Nazywa się to „Debiut Diany”.

— Kiedy oni mnie odwiedzą? — zapytała Joyce. — Czy nie uważa pani, że to wielka odpowiedzialność samej jednej kierować trzema młodymi ludźmi?

— Wcale nimi nie kieruję, z wyjątkiem wypadków, gdy chodzi o słodycze, które po prostu zamykam na klucz. We wszystkich innych sprawach oni mną rządzą. Często grozę im, że podam ich do sądu za uprawianie niewolnictwa. Billy uważa mnie po prostu za aparat do przyszywania guzików i cerowania pończoch. Zdaje się, że od szeregu lat zbierał zniszczoną garderobę, żebym miała zajęcie! Czy może pani sobie wyobrazić mnie cerującą pończochy? Nigdy w życiu nie robiłam nic podobnego i tylko po wyczerpujących i gwałtownych wysiłkach udaje mi się przyszyć jakiś guzik dla siebie.

Doktor roześmiał się.

— Wyobrażam sobie, co by było, gdyby jakiś biedny, nierozważny mężczyzna, który specjalnie ceni w kobiecie gospodarność, zakochał się w pani. Chodziłby bez guzików do końca życia.

— Niech Bóg strzeże nas oboje! — zawołała. — I tego, kto kiedykolwiek zwabi mnie do stanu małżeńskiego, niech szybko zabierze do Królestwa Niebieskiego. Biedak zasłuży sobie na nie w ciągu miesiąca.

W tej chwili Oswald Grant przyszedł z pola na podwieczorek i powitał Dianę z nie ukrywaną radością.
— Właśnie mówiłam — zwróciła się do niego — że małżeństwo jest rzeczą kruchą i zwodniczą — i jeżeli jakiś mężczyzna odważy się zmusić mnie do poślubienia go, zasłuży sobie na chwałę wiekiową przy najbliższym wakansie.

Oswald wyglądał, jakby nie wiedział, czy ma się zgorszyć, czy nie, w końcu jednak jego sympatia do Diany wzięła górę i odpowiedział z uśmiechem pewnej wyższości:

— Sądzę, że będzie to niezwykle szczęśliwy człowiek.

— O, pan nie wie! — potrząsnęła głową. — Nie zabiłabym go litościwie, nie — byłyby to powolne tortury.

Słyszałam wczoraj

o pewnym farmerze z sąsiedztwa, o którym mówią, że chce mieć dwie żony, jedną dużą i jedną małą. Bezcelność! Chciałabym być przez pół dnia tą dużą! - - zawołała z krwiożerczą miną. — Naturalnie — dodała, popijając herbatę i zwracając się bezpośrednio do Oswalda — zgodzi się pan ze mną, że obecny ustrój małżeński jest z gruntu zły. Żaden mężczyzna nie powinien być pewny swojej żony dłużej niż przez pół roku.

— Ładne by to były rzeczy, gdyby nie mógł być jej pewien — odparł Oswald stanowczym tonem.

— Właśnie! — zawołała wesoło. — Bylibyśmy wtedy wszyscy tacy mili — zwłaszcza mężowie — gdyby nie byli nas wciąż tacy pewni.

Oswald spojrział na nią z wyraźną tym razem dezaprobatą

i nie udzielił odpowiedzi.

— Och, obawiam się, że pana zgorszyłam! — zawołała Diana, przybierając przymilny, skruszony ton. — Mam taki niefortunny sposób wyrażania się.

— Bynajmniej — pośpieszył odpowiedzieć wspaniałomyślnie. — Ale może małżeństwo nie jest zbyt fortunnym tematem do żartów? Jestem może człowiekiem dawnych zasad, ale się tego nie wstydzę. Uważam, że wszelkie próby zmiany Boskiej Świętej Instytucji Małżeństwa są... e... przestępstwem.

Tym razem Diana nie oparła się pokusie bezpośredniego kontrataku.

— Gdyby pan żył w czasach niewolnictwa — oświadczyła — wygłosiłby pan identyczny werdykt takim samym tonem i powiedziałby pan: Boska Święta Instytucja Niewolnictwa.

Oswald o mało nie upuścił filiżanki ze zdumienia, spalona zaś słońcem jego twarz zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Obawiam się, że nie rozumiem pani — powiedział wyniośle. Diana roześmiała się.

— Nie było tu co rozumieć — odparła. — Usiłowałam tylko być dowcipną. Nieustanne klęski na tym polu jakoś dotychczas nie potrafią mnie przekonać o jałowości moich wysiłków.

Rzuciła okruchy jednemu z psów i skierowała rozmowę na Anglię, przy tej okazji zaś na wspólnych znajomych. Wreszcie wspomniała o hrabim krewniaku, o którym słyszała od „Nieodpowiedzialnych”.

— Ale, ale — zauważyła, udając nieświadomość — czy hrabia Neath nie jest przypadkiem pańskim krewnym?

Oswald rozpromienił się natychmiast i spojrział na nią z ożywieniem.

— Owszem — odpowiedział z dumą. — Mój ojciec był w prostej linii wnukiem nieboszczyka hrabiego.

— Doprawdy? — Diana udała zdumienie. — Jakież to interesujące! — pochyliła się do przodu i pogłaskała jedwabistą główkę, spoczywającą na ramieniu Joyce. — Młody człowieku — powiedziała — czy wiesz, że jesteś spokrewniony w prostej linii z autentycznym hrabią? Powinieneś być z tego bardzo dumny. — Nie zauważyła, że na twarzy Joyce odbił się wyraz przykrości. — Ależ możesz sam kiedyś zostać hrabią, jeżeli będziesz grzeczny.

— Oczywiście, że to możliwe! — zawołał szczęśliwy ojciec. — Myślałem o tym niejednokrotnie. Ja...

— Moje dziecko nigdy by nie pragnęło śmierci tylu ludzi dla swojej korzyści — przerwała Joyce cichym głosem i Diana poczuła dotkliwy wstyd.

— Tu nie ma co pragnąć albo nie pragnąć — stwierdził Oswald swym sentencjonalnym tonem. — Jeżeli taka jest wola Opatrzności, to nie naszą jest rzeczą ją krytykować. W „Graphic” z ostatniego tygodnia jest fotografia naszej siedziby rodowej w Północnej Irlandii — dodał wstając. — Pozwolę sobie pokazać ją pani.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Oswald szperał w jakichś papierach, po czym podrażnionym głosem zapytał Joyce, gdzie odłożyła pismo.

— Nie wiem, gdzie jest — odpowiedziała Joyce spokojnie, nie podnosząc głowy.

— Twój zwyczaj sprzątanía stąd wszystkich potrzebnych mi rzeczy jest niebywały! Mam nadzieję, że przynajmniej go nie spaliłaś.

Doktor oglądał z zajęciem szczyty przeciwległych wzgórz. Joyce silniej przytuliła do siebie dziecko i patrzyła na nie w milczeniu, czując, że jedno współczujące słowo wywołałoby u niej łzy, i pragnąc, aby doktor pozostał w bezruchu.

Diana, wiedzona swym nieomylnym instynktem, wstała i weszła za Oswaldem do domu, aby oszczędzić Joyce dalszych przykrości.

— To wszystko jedno — zwróciła się wesoło do Granta. — Billy opowiadał mi, że pan ma wspaniałą kolekcję motyli. Niech mi pan pokaże, proszę.

Ale uwagę Oswalda niełatwo było odwrócić.

— Zaraz znajdę to pismo — odparł. — Mam wrażenie, że sam je schowałem do szuflady, żeby nie zginęło. O, tutaj jest! — wyciągnął z zadowoleniem zaginiony tygodnik i wyszukał w nim fotografię wspaniałego starego zamku, stojącego nad pięknym jeziorem.

— Nasza siedziba rodowa! — powiedział z patosem. — Nieco odmienna od tutejszej! — rozejrzał się wokół siebie z lekką ironią.

Diana zaczęła tracić cierpliwość.

— Rodzina Ślicznotki mieszka w podobnym pałacu — zauważyła tylko. — On sam tam mieszkał do dwudziestego trzeciego roku życia. Pytałam się go, jak mu się podobała zmiana na lepianki, na co odpowiedział mi, że w tych lepiankach nie czuł się ani trochę mniej szczęśliwy niż w pałacu. O, Ślicznotka to rozsądny chłopiec!

— Młody jeszcze! — odparł Oswald protekcyjnie. — Bardzo młody i niezbyt mądry. Jego przodkowie dorobili się na paście do czyszczenia uprzęży, wie pani, to wcale nie jest stara rodzina. Moja ciotka, lady Penton, i mój kuzyn, lord Lindley, przyjaźnią się z nimi.

— Niezbyt mądry — powtórzyła Diana, nie zwracając uwagi na ostatnie jego słowa. — Ależ on jest zadziwiająco mądry i wykształcony! Za jego anielskim uśmiechem i pozornym lenistwem kryje się umysł prawdziwego filozofa.

Mina Oswalda zdradzała niedowierzanie. Patrzył na fotografię zamku, jak gdyby był to dla niego najukochańszy widok na świecie. Po chwili schował ją pieczołowicie i sięgnął po pudła z motylami.

Motyle znudziły Dianę prawie tak samo, jak rozprawy o rolnictwie, ale obejrzała je dokładnie, aby dać doktorowi sposobność powiedzenia paru słów otuchy Joyce.

Dostrzegła, że wstał z krzesła, przeszedł się po werandzie, po czym usiadł na opróżnionym przez nią krześle obok Joyce, pochylając się naprzód, otoczywszy kolana rękami, ze specjalnie łagodnym i kojącym uśmiechem na twarzy. Dostrzegła, że Joyce podniosła głowę z nagłym uśmiechem wdzięczności, po czym roześmiała się cicho. Śmiech ten spłoszył bezmierny smutek z jej oczu. Diana wstała, zabierając się do wyjścia.

Doktor pomógł jej wsiąść na świeżo nabytego konia i poszedł pieszo obok.

— Cóż za piękne dziecko! — zauważyła Diana, gdy już nikt z domu nie mógł ich słyszeć. — I cóż za nieprawdopodobny snob!

Doktor spojrzał na nią ubawiony.

— Nie przypuszczałem, że uroda niemowlęcia zrobi na pani takie wrażenie — powiedział.

— Niemowlę! — powtórzyła. — Ależ niemowlęcia jeszcze nie można niemal dostrzec gołym okiem! Nie znam się na dzieciach, ale to najzabawniejszy pulpecik, jakiego dotychczas widziałam. Miałam na myśli jego matkę.

Doktor milczał, Diana zaś mówiła dalej swym namiętym tonem:

— Przecież to zjawisko, obraz po prostu! Nie widziałam jeszcze nigdy piękniejszego kolorytu. Na pańskim miejscu zakochałabym się w niej po uszy. Ale może to już się stało? Niech mi się pan zwierzy! Z największą przyjemnością zabiję dla pana tego nieposkromionego snoba. Nie mam zielonego pojęcia o strzelaniu, ale postaram się bardzo, a potem powiem, że celowałam w drzewo.

— Ależ, panno Webberley, pani krwiożerczość mnie przeraża! Nikt z nas nie może być pewien dnia ani godziny.

— Jedyna nadzieja w tym, że ludzie dobrzy umierają młodo — oświadczyła Diana, nie zważając na jego docinki — Grant zaś

jest tak nudny, że nie ma wątpliwości co do jego doskonałości. Na nieszczęście nie jest już młody, przypuszczam więc, że nawet bogowie nie znoszą przekraczania pewnych granic. Niech pan sobie wyobrazi tego człowieka w niebie na wieki wieków, opowiadającego aniołom o gnieździe rodowym i o tym, jak należy siać zboże, i jak otoczony ze wszystkich stron pokusami nigdy nie pił ani nie kłął. Wysłuchałam już dokładnie historii jego wiekopomnego życia. Zgiń, pokuso! — skrzywiła usta ironicznie. — Mój Boże, przypuszczam, że on w ogóle nie wie, co to jest pokusa! Ma na to za mało życia w sobie. To jeden z tych irlandzkich niedołęgów z rodowodem zamiast kręgosłupa, ubranych w zbroję, aby ukryć brak kośćca. Znam ten typ. Byłam kiedyś z wizytą w arystokratycznym irlandzkim domu, gdzie kuzynowie nieustannie żenili się między sobą, aby zachować dla dalszych pokoleń błękitną krew, nie dostrzegli zaś, że w trakcie tego procesu krew ta stała się po prostu błękitną wodą. Miało się wrażenie, że do szczęścia brakuje im tylko śliniaczków z wyhaftowanymi rodowodami. Ale w jaki sposób Grant ożenił się z tym uroczym dzieckiem?! Przypuszczalnie zmuszono ją do tego, bo każdy zauważył, że nie jest idiotką. Ma więcej rozumu w małym palcu niż on w całej głowie.

— Niewiele wiem o tym, poza tym, że była bardzo uboga, straciła matkę i została sama na świecie.

Diana zacisnęła zęby.

— Właśnie za takie rzeczy mam zawsze ochotę dać Losowi porządnego kopniaka. Cóż za niesprawiedliwość! Szkoda, że mnie tam nie było. Raczej bym się podzieliła z nią wszystkim, co mam, niż dopuściła do tego małżeństwa.

Doktor zmarszczył czoło.

— Ostatecznie, mieć dom i opiekę, to coś znaczy — powiedział. — Wielu ludzi powiedziałoby, że to bez porównania lepiej niż być guwernantką lub pielęgniarką w szpitalu, a tylko to mogło ją czekać.

— Głupstwa! Jak długo byłaby guwernantką lub pielęgniarką z taką twarzą i takim rozumem do tego? Jak mówiłam kapitanowi Burnettowi któregoś dnia, takie życie jest dobre dla gospodarnej dziewczyny ze szkółki niedzielnej. Na szczęście dla naszej rasy takich dziewcząt nie brak. Ale Joyce Grant po prostu marnuje swój wdzięk i słodczy charakter na tej

pustyni — jak powiedział jakiś osioł. No, no, doktorze, niech pan przyzna — pan przecież zna ją już blisko od miesiąca — ona nadaje się tutaj tak samo, jak ja na biegun północny.

Ale doktor nie rozchmurzył się.

— Jeszcze miesiąc temu była tu nie na miejscu — przyznał.

— I sądzi pan, że ten pulpecik wszystko zmienił! Cóż, pan przypuszczalnie wie o tym więcej ode mnie, ale zakrawa to na cud. A jeżeli on wyrośnie na miniaturę swego ojca? Będzie miała przypuszczalnie ochotę udusić go przy pierwszej okazji.

— Tak nie będzie. Chłopcy prawie zawsze wdają się w matkę, natura zaś, na ogół biorąc, dąży do równowagi.

Dziecko będzie dla niej stanowiło cały świat!

Diana niecierpliwie zacięła konia.

— To za mało — powiedziała. — Ona ma w sobie coś głębszego. Ludzie zaś przeważnie są tak gruboskórni, że nie możemy sobie pozwalać na marnowanie subtelnych istot. Nie chcę być nieuprzejma, ale pańskim słowem brak siły przekonania. W głębi duszy myśli pan inaczej.

Znów uderzyła konia.

— Muszę się śpieszyć, bo nic nie będzie na obiad i trzech wyczerpani koloniści będą czekać daremnie dokoła pustego stołu. Niech pan powie kapitanowi Burnettowi, że widział mnie pan żywą i zdrową o godzinie piątej czterdzieści, zdążającą do domu. Podróżnik był trochę podekscytowany, kiedyśmy wyruszyli, i kapitan był przekonany, że mnie spotka nieszczęście, skoro tylko pozostawi mnie własnej przemyślności. Przyjechaliśmy okrężną drogą przez Chishawasha, wie pan!

Skinęła mu życzliwie głową i odjechała. Doktor pozostał na drodze. Z wyrazem goryczy na twarzy zawrócił w kierunku domu.

— Moim słowem brak siły przekonania! — powtórzył z gniewem prawie. — W jaki sposób ona to zauważyła? Ale nie może tak być. Dziecko musi być ukojeniem i lekiem dla Joyce. To dla niej kwestia życia i śmierci.

ROZDZIAŁ IX

DWAJ MARZYCIELE

Tego wieczora dwaj wychowankowie Harrow siedzieli znów na werandzie, rozkoszując się ciszą nocną. Blisko sześć tygodni upłynęło od owego pierwszego wieczora, gdy myśli ich były tak mile obojętne na wszystko poza ciszą i sobą nawzajem. Dziś wyczuwało się w nich jakąś nieokreśloną zmianę.

Gdy Przeznaczenie zarzuca swe sieci, wody życia nie zamykają się nad nimi bez śladu. Nie, od miejsca tego coraz dalej i dalej aż do niewidzialnych granic rozchodzą się kręgi, które do pewnego stopnia zmieniają wszystko napotkane po drodze.

W naszych dwóch młodych ludziach zmiana ta jest jeszcze subtelna, niemal niedostrzegalna. W doktorze wyczuwa się lepszy stan zdrowia w połączeniu z większym zmęczeniem; w zwykłym zamyśleniu spokojnego, nie przejmującego się niczym eks-huzara wyczuwa się głębsze i bardziej osobiste myśli.

Zmiana i nie zmiana. Ta sama weranda, ta sama godzina, ten sam spokój, ci sami mężczyźni — a jednak czuje się niedostrzegalną obecność Przeznaczenia, wyczuwa się, że jakieś zdarzenie zmieniło bezpowrotnie bieg życia każdego z nich, kierując je na ścieżkę, którą iść muszą i która doprowadzi ich do ważniejszych jeszcze zdarzeń, niewątpliwie także do jakiegoś wyższego poziomu życia i myśli, jeśli tylko zachowają odwagę do ostatka.

Albowiem czy nazywamy wypadki życiowe zrzędzeniem Losu czy Opatrzności, nietrudno jest wierzyć, że ostatecznym zamierzonym celem jest zawsze dobro, nawet jeśli drogi prowadzące doń są okrężne i tajemnicze. Na końcu stromej ścieżki prowadzącej w dół może znaleźć się wzniosłe bohaterstwo; porażka może stanowić o powodzeniu; słabość zaś potrafi rozwinąć siłę. Człowiekowi pozostaje głównie zachowywać tylko nieskażoną odwagę przez czas wszystkich doświadczeń, czy to gdy przebija się z trudem przez ciemności, czy też gdy przewycięża przeszkody przy pełnym świetle dziennym. Jeżeli zaś nie osiągnie wymarzonego celu, może przynajmniej, gdy wybije godzina, złożyć broń — *bez strachu*.

Zmiana, a jednak nie zmiana! Głuchy pomruk, jak gdyby niewidzialnych fal morskich, wdzierający się w życie i w nieokreślony sposób wnoszący niepokój tam, gdzie dotychczas wszystko

było samym spokojem. Nie znające oporu prądy Istnienia, wciągające człowieka w wir gorączkowych myśli i czynów. Absolutny spokój nie sądzony jest bowiem śmiertelnym.

Tylko w cichych niebiosach nad nami niezbadane światy odbywają swą wędrówkę, niezmiennie i wzniosłe. Przeznaczenie zarzuca swe sieci. — Życie miota nami tu i tam — powodzenie i nieszczęście jednakowo niecą niepokój — aby żyć, nie wegetować tylko, musimy cierpieć; komu bowiem więcej dano — życia, radości, ciekawych przeżyć, osiągnąć — od tego się wiele oczekuje, wielkiej, sprawiedliwej zapłaty łzami, cierpieniem i znużeniem. „Dlaczego?” — pytamy. „Dlaczego? Dlaczego?” — odpowiedź zaś można odcyfrować tylko w nieznanym dziejach szlachetnych istnień. Czy to nie cierpienie w gruncie rzeczy uczyniło ich godnymi wysokich stanowisk, na które tłum spogląda w górę?

Ale pogoda spokojnych niebios pozostaje nie zmieniona, oparta na nieodwołalnych wytycznych wieczności. Ciche gwiazdy wciąż spoglądają z góry na ziemskie kłopoty, zamieszki i nieszczęścia, „jak oczy lśniące od niebiańskich łez nad mizernym losem ludzkim”.

Tymczasem zaś czujemy, że żyjemy w wieku epikurejskim, wieku niepokoju, nerwowego biegania tu i tam, szukania tego i owego.

Człowiek dzisiejszy, nie z obojętności czy nieczułości serca, lecz dlatego że rozum jego znajduje tak niewiele rzeczy dość pewnych, aby móc się na nich oprzeć, powiada: „Jedźmy i pijmy, bo może już jutro nie będziemy żyli” — w nowoczesnym ujęciu brzmi to tak: „Życie jest krótkie, niech więc przynajmniej będzie wesołe”. Mówi to jednak bez wielkiego zapału. To w najlepszym razie kompromis. Człowiek dzisiejszy nie próbuje wcale okłamywać siebie, nazywając życie krótkim i szczęśliwym. Wie doskonale, że szczęście i wesołość są częstokroć sobie obce.

Z pewnym smutkiem myśli się, że dobrze by było, gdyby więcej ludzi, wśród zamętu nieustannego szukania i pośpiechu, potrafiło odczytać kojące objawienie niezmiennych gwiazd, tajemne pismo na ścianie niebios. „Nie będziesz!” — brzmiało surowo zalecenie dawnych czasów, dostosowane do surowych natur surowej epoki. Dziś jednak zakazy te natrafiają na głuche uszy ludzi, którzy wraz ze wzrostem zrozumienia zatracili lęk przed

nieznanym. Ale w innym języku, w słowach dostosowanych do obecnej chwili — w umysłach i sercach ludzkich zamiast kamiennych tablic — rdzeń odwiecznych nakazów pozostał ten sam. Dziś brzmi: „Czyś jest człowiekiem dobrym, czy złym, nowoczesnym czy starej daty — jedyne zadowolenie osiągniesz tylko w dążeniu do celu, który odbija, choćby jak najniewyraźniej, jakąś odległą, mglistą doskonałość”.

Można nawet powiedzieć, że to zabraniające „Nie będziesz!” przekształciło się w naszych czasach w formułę: „Prowadź uczciwie grę zgodnie z własnymi przekonaniem, a czy szczęście przyjdzie do ciebie, czy nie, to w każdym razie schyłek twego życia opromieniony będzie zadowoleniem”.

Doktor leżał na fotelu, usiłując poddać się kojącemu działaniu wygwieżdżonej nocy. Należał do tych nowoczesnych bohaterów, którzy dają z siebie wszystko, niezmordowanie, nie prosząc o nagrodę ani się o nią nie ubiegając — nie prosząc właściwie o nic prawie, prócz odrobiny ciepłego współczucia, i pragnąc tylko, aby dobrzy, wierzący ludzie, którzy skłonni są do przesadnej gorliwości w nawracaniu innych, pozostawili go w spokoju. Ale dziś, myślał, gdyby potrafił, modliłby się za matkę i dziecko z małego domku na wzgórzu.

Ted Burnett zdradził bieg swych myśli, przerywając milczenie uwagą, nie nawiązującą do żadnego uprzednio poruszanego tematu:

— Na Jowisza! — powiedział. — Jak panna Webberley wspaniale wygląda na koniu!

Doktor odwrócił ku niemu głowę, uśmiechając się łagodnie.

— Myślałem, że śpisz, ale widzę, że tylko śniesz na jawie. Burnett wytrząsnął popiół z fajki, uderzając nią o obcas.

— Nie śnię, tylko rozmyślam. To nadzwyczajne, wiesz, jak pociągająca może być brzydka kobieta. Czy zastanawiałeś się kiedy nad tym, że panny Webberley bardzo trudno nie zauważyć?

— Ze względu na jej wzrost czy na jej oryginalne powiedzenia, czy jak?

— Ze względu na wszystko. Jej wzrost, jej figura, sposób trzymania się, chód. W życiu nie widziałem kobiety, która by miała ładniejszy chód. Przyjemność patrzeć, jak się porusza. Dla mnie to miłsze od ładnej twarzyczki i niezdarnych ruchów.

— Musiałeś ją bardzo pilnie obserwować — doktor uśmiechał się lekko w ciemnościach. — Obawiam się, że ja nie przyglądałem się tak uważnie, ale jeżeli chodzi ci o moje zdanie o panie Webberley, to szczerze i uczciwie uważam ją za jedną z najmilszych osób, jakie spotkałem. Jest po prostu cudowna. Wystarczy spojrzeć na nią, żeby wiedzieć, że nie potrafiłaby nigdy być podła ani drobiazgowa i że dla przyjaciela skoczyłaby w ogień.

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym Burnett zauważył:

— Wszyscy trzej tam w Knoll uwielbiają ją. Lubię słuchać, jak Billy się z nią przekomarza. Jego złośliwości są bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa pieszczoty. Czuje się, że ona jest dla niego połową świata, drugą zaś połowę stanowi dla niego przypuszczalnie strzelba.

— To szczęście w takim razie, że ona jest jego siostrą.

— Dlaczego?

— Bo gdyby nią nie była, może Billy chciałby się z nią ożenić, co z pewnością byłoby klęską.

Burnett milczał. Po chwili doktor dodał:

— Przecież ona twierdzi, że w żadnych okolicznościach nie zniosłaby życia tutaj, które znów dla Billa jest wszystkim.

Zapanowało ponowne milczenie, po czym Burnett odezwał się niepewnie:

— Wątpię, czy ona rzeczywiście myśli to wszystko, co mówi. Tymczasem, zdaje się, jest jej tutaj całkiem dobrze.

— Z całą pewnością tak myśli — zapewnił go doktor — i powiedziałbym, że stara się bardzo, aby zdanie jej było powszechnie wiadome dla dobra tutejszych mężczyzn, na wypadek gdyby który z was miał pokusę zakochać się w niej.

Ted Burnett przypomniał sobie jej rady w sprawie wyboru żony i nic nie odpowiedział. Po chwili jednak zauważył odrobinę lekceważącym tonem:

— Przypuszczam, że główne znaczenie ma jednak indywidualność. Znałem wiele kobiet ze znacznymi pretensjami do piękności, były jednak bez porównania mniej pociągające od panny Webberley, która jest zdecydowanie brzydka. Wstał i rozprostował swe długie ramiona z serdecznym ziewnięciem:

— A propos — dodał — jutro po południu jest przyjęcie w Domu Rządowym. Czy chciałbyś pójść? Ja mam zamiar pokazać się tam na chwilę.

— Współzawodnictwo o herbatę i chleb z masłem! — powiedział doktor z niesmakiem. — Mówiłeś przecież, że obchodzisz zawsze z daleka takie przyjęcia.

— Z reguły tak, ale od czasu do czasu należy jednak pójść.

— A czy ktoś inny jeszcze się wybiera? — zapytał doktor chytrze.

— Billy chce przedstawić wszystkim pannę Webberley, Jim zaś także miał zamiar iść, jeżeli wystarczy dla niego ubrania. Ślicznotka powiedział, że z zasady jest wrogiem salisburyj-skich walk o herbatę, ponieważ za wiele się podczas nich porusza sąsiedzkich spraw. Uważa jednak, że powinno się tam zaprowadzić pannę Webberley, bo to część rodezyjskiej edukacji.

— Myślę, że ją zainteresuje to bardziej niż mnie — odrzekł doktor. — Zajdę chyba do Knoll na pogawędkę ze Ślicznotką. Sama myśl o plotkach jest świętokradztwem w taką noc, jak dziś. Nie dziwię się, że się stałeś taki milczący, bracie. Mam wrażenie, że pod tymi gwiazdami i w tej ciszy mógłbym wieki całe siedzieć i rozmyślać jak egipski sfinks.

— Panna Webberley mówi, że słyszy tę ciszę — zauważył Burnett. — Powiedziała: „Tej waszej rodezyjskiej ciszy można słuchać. Zdaje mi się, że będę ją słyszała w duszy nawet w samym Londynie”. Świetnie powiedziane.

— Ma zupełną słuszość, chociaż nie zgadzam się z doborem słów. Powiedziałbym raczej, że ta cisza oddycha indywidualnością, która prześladowuje człowieka jak dźwięk. Odkryłem ją tutaj w wielu rzeczach. Jest to niewątpliwie klucz do dziwnego czaru tego kraju. Indywidualność ta tkwi we wzgórzach i w niebie, w obszernych równinach i w zalesionych parowach, w twardej, czerwonej ziemi, w piasku poruszonym wiatrem i w bezlitosnym żarze słonecznym. Najpiękniejsza jest w takie ciepłe, ciche, gwiaździste noce. Nie powiem, żeby to była zawsze uroczą indywidualność. Skłonny byłbym jej nie dowierzać, ale doskonale rozumiem, że może zawładnąć człowiekiem. Rozumiem, na przykład, czym jest dla „Nieodpowiedzialnych”, dla naszego nieposzlakowanego sąsiada i dla

ciebie. Poza jednak uczuciem wdzięczności za balsam, jakim była podczas pobytu tutaj dla moich zmęczonych zmysłów, nie czuję w sobie narodzin miłości. W ogóle indywidualność Afryki jest dla mnie zbyt jaskrawa i natrętna. Spokojna pogoda Indii z ich niezachwianą wschodnią cierpliwością i tysiącletnimi zabytkami pociąga mnie znacznie silniej.

— To kwestia temperamentu. Ostatecznie, nie siedzimy tutaj po to, aby patrzeć na grobowce i czekać na wypadki. My sami tworzymy te wypadki. Oto dlaczego dobrze jest tu żyć. W życiu tutejszym tkwi czynnik niepewności, który zmusza do nieustannego czuwania. Z drugiej zaś strony, gdy człowiekowi się nie powodzi, może się zawsze pocieszyć nadzieją, że jutro czy na przyszły tydzień wszystko się może zmienić. Każdy, kto spędził tutaj chociażby ostatni miesiąc, ma coś do opowiadania, nieprawdaż? — coś niecodziennego. Cała atmosfera składa się z przyjemnych i nieprzyjemnych możliwości, które zrealizują się lub też nie, które oznaczają jednak ruch i życie. W porównaniu z nim rolnicze okęgi Anglii są po prostu cmentarzami. Kocham Stary Kraj równie mocno jak wszyscy, nie przypuszczam jednak, abym mógł tam znów mieszkać, chyba na starość.

— To wszystko przekonuje mnie tylko, że postępujesz bardzo nierozsądnie wybierając się na jutrzejsze przyjęcie, zamiast spakować manatki, uciekać w głąb Rodezji i siedzieć tam, dopóki niebezpieczeństwo nie minie — oświadczył zagadkowo doktor.

Ted Burnett uśmiechnął się i odszedł do stolika, aby nalać sobie whisky z wodą sodową.

— Co potwierdza tylko słusność mojej teorii — odparł — że czar Rodezji polega przede wszystkim na przyjemnych lub nieprzyjemnych możliwościach, które zrealizują się lub też nie. Nie niepokój się, staruszkule. Jak sam przed chwilą zauważyłeś, panna Webberley całkiem szczerze wyraziła swe poglądy na życie w koloniach, możliwe, że nie bez pewnych intencji, co się zaś tyczy reszty, to ja chyba nie należę do głupców, którzy skaczą na oślep! Owszem, pójdę jutro na przyjęcie, choćby po to, aby ubawić się jej spostrzeżeniami o naszym świetnym mieście *en fête*.

ROZDZIAŁ X

SUKNIE I KAPRYSY

Diana i Billy zajechali do miasta pożyczonym od sąsiada farmera antycznym koczem, który wyglądał, jak gdyby lada chwila miał się wywrócić. Z tyłu uwiązany był tobołek z paszą i niezbyt ozdobny worek kukurydzy dla mułów.

— Tutaj żyje się nieustannie w atmosferze absurdu — powiedziała Diana do Ślicznotki, gdy Billy i Jim uskakując przed kopnięciami muła usiłowali nałożyć mu uprząż, składającą się z luźnych kawałków skóry powiązanych ze sobą sznurkami. — Do tego niezwykłego wehikułu, na który londyński przekupień spoglądałby podejrzliwym okiem, zabieram suknię za piętnaście gwinei, w której mam uświetniać ogrody Domu Rządowego.

— A ja — odparł z uśmiechem Ślicznotka — posiadacz rodowego majątku, zostaję w domu, dlatego że dziś kolej Billa na włożenie salisburyjskiej koszuli.

— Nic podobnego, mój drogi! — zawołała Diana kierując się do koczka. — Zostajesz w domu dlatego, że nawet ja, wystrojona w paryską suknię za piętnaście gwinei, nie potrafię wyrwać cię z bezwładu. Moja próżność jest unicestwiona. Nigdy nie spodziewałam się wiele po swojej twarzy, ale myślałam jednak, że ta suknia...

— Nie staję nigdy do współzawodnictwa, jeżeli moja porażka jest z góry przesądzona — oświadczył. — Ponieważ Jim i Burnett adorują cię już kornie, ja wolę zachować serce o ile to możliwe w całości.

— Chodź, Di, wsiadaj — przerwał im Billy. — Będziesz miała czas słuchać wynurzeń Ślicznotki po powrocie — o ile, naturalnie, wrócimy cało i zdrowo.

— Już od dziesięciu minut marzę tylko o tym, żeby wsiąść. Czy ten — hm — powóz ma stopień, czy też trzeba wdrapać się po kole?

Ruszyli z miejsca, po czym natychmiast najechali na granitowy głaz. Kocz przechylił się na bok i pudło z drogocenną suknią wyleciało pod koła. Diana krzyknęła rozpaczliwie, Ślicznotka skoczył na pomoc, Billy zaś zauważył z okrutnym śmiechem: „Co za szczęście, że to nie worek z paszą!”

Po dłuższej chwili udało im się odjechać na dobre. Jim podążył za nimi na rowerze. O oznaczonej godzinie zajechali riksą przed Dom Rządowy i z powagą i dostojunością przywitani się z gospodynią. Interesy zatrzymały Jima w mieście, Diana więc znalazła się na łasce i niełasce Billa. Miało to ten skutek, że już po chwili ulotnił się z jakąś bardzo ładną kobietą, którą przedstawił jako panią Adair, usadowiwszy Dianę obok jakiejś damy o męskim wyglądzie, którą przedstawił jako panią Malcolm, za jej plecami zaś nazywał „Elizą Jane”.

Diana poprzysięgła mu w duszy zemstę i zaczęła uważnie przysłuchiwać się słowom męskiej damy, ciekawa co też ta jej będzie miała do powiedzenia. Z ulgą przekonała się, że dama jest wybitnie zabawna. Zdziwiła się jednak niepomiernie, gdy towarzyszką jej zawołała nagle:

— A któż to jest, u diabła?

Spojrząwszy we wskazanym kierunku, ujrzała Burnetta, który wyglądając w nieposzlakowanym stroju jak prawdziwy Sir Galahad, zsiadł właśnie z konia, oddał lejce czarnemu służącemu, po czym zbliżył się do gospodyni i pochylił się nad jej ręką z wyszukaną grzecznością.

— To kapitan Burnett — powiedziała Diana. — Dziwię się, że go pani nie zna. Mieszka tu już od dłuższego czasu.

— Nie wygląda na to w każdym razie. Poza tym przecież nie wszyscy się tutaj znamy. Myślałam, że to ktoś zupełnie obcy

I modliłam się już w duchu, żeby osiadł tu na stałe. Więcej takich, a salisburyjskie towarzystwo poprawiłoby się znacznie.

Siedziały w cieniu. Dama o wyglądzie mężczyzny tak przechylała się do tyłu razem z krzesłem, że Diana wciąż bała się, że ona upadnie. Nie miała zresztą nic przeciwko temu, pod warunkiem oczywiście, żeby jej się nic nie stało i żeby Ted Burnett przybiegł im obydwóm na ratunek. Wprawdzie towarzyszką jej była bardzo rozmowna, ale upał był nie do zniesienia, oczy bolały ją od słońca i zmęczyło ją już przyglądanie się temu, jak stateczna gospodyni niezmordowanie przyjmuje coraz to nowe fale gości. Odczuwała poza tym rosnącą wciąż ochotę przyłączenia się do gospodarza, który miał tak znudzoną minę, że chciałaby go za wszelką ceną rozweselić. Z odrętwienia wyrwał ją podmuch wiatru, który obsypał ją piaskiem i kurzem. Z pewną irytacją strzepnęła czerwony pył z sukni.

Towarzyszkę jej to ubawiło.

— Przekłeta pogoda, co? — zauważyła spokojnie. — Nienawidzę tego suchego sezonu. Je się, śpi i oddycha piaskiem. Muszę palić przez cały dzień dla uspokojenia. W tej chwili oddałabym kuca za jednego papierosa. Ale wątpię, czy mogę palić na przyjęciu w Domu Rządowym. Czy pani pali?

— Owszem, dosyć dużo.

— Jakżeby się zgorszył pani sąsiad, pan Uduchowiony.

— Któż to taki?

— Tak niektórzy nazywają pana Granta. — Pewnego razu nierozważnie powiedział o kimś w Salisbury, że jest uduchowiony. Przykry facet, prawda? Szkoda, że jego mała cicha żona nie straci cierpliwości i nie zwymyśla go od czasu do czasu. Przydałoby się mu solidne grzanie co pewien czas.

— Nie wyobrażam sobie, żeby pani Grant mu je sprawiła — roześmiała się Diana.

— Ja sobie też tego nie wyobrażam. — Urwała nagle. — Cóż za dziwaczne stworzenie! — zawołała na widok ładnej, dobrze ubranej kobiety, za którą szedł czarny chłopiec z małą małpką na ręku — podarunkiem dla lady Bentley. — Cóż u licha pocnie lady Bentley z tym małym szczeniakiem?

— Kto to jest? — zapytała Diana, notując, jak korzystnie wyróżnia się nowo przybyła na tle obecnych kobiet.

— To — odpowiedziała jej towarzyszka z uśmiechem — pani Langley. Zepsuta do szpiku kości. Szkoda mi tylko biedaka jej męża.

Diana uśmiechnęła się w duszy.

— W każdym razie wygląda bardzo przyjemnie — zaproponowała — i cóż za śliczna suknia!

Dama znów parsknęła pogardliwie. Sama miała na sobie krótką spódnice z tweedu, bluzkę męskiego kroju i płócienny kołnierzyk, ogólny zaś jej wygląd zdradzał wyniosłą pogardę dla tak niskich spraw, jak ubiór i powierzchowność. Naraz jednak twarz jej rozpromieniła się uśmiechem dumy i poczucia własności. Diana podążyła za jej wzrokiem i ujrzała, że zbliża się do nich wysoki mężczyzna o bardzo chłopięcym wyglądzie.

— To mój mąż — oświadczyła dumnie dama i pośpieszyła mu naprzeciw.

Po chwili Ted Burnett zajął opróżnione miejsce.

— *Hallo* — przywitała go Diana. — Gdzież się pan ukrywał przez te wszystkie miesiące? Wśród pań zapanowało wielkie po-

ruszenie, kiedy się pan zjawił wyglądając jak jaki Sir Galahad. Wszystkie się dopytywały, kim pan jest. Uśmiechnął się rozbawiony.

— Niech pani o tym nikomu nic mówi odparł ale to pierwsze przyjęcie w Domu Rządowym, na którym jestem obecny. Zazwyczaj unikam tego rodzaju fet.

— A cóż pana dziś tu zwabiło, jeżeli wolno wiedzieć? Może piękna pani Langley, która jest ponoć „zepsuta do szpiku kości” i ma „nieszczęśliwego męża”?

— Kto tak powiedział? Pani Langley to bycza kobieta. Zawsze ją lubiłem.

— Tak też przypuszczałam. Musi cieszyć się powodzeniem u pańskiej płci, aby moja tak o niej mówiła. Czy nie widział pan gdzie Billa? Zachował się niegodnie — najpierw przyprowadził mnie tutaj, a potem porzucił.

— Widziałem go przed chwilą. Rozmawiał z żoną naszego komisarza, panią Adair, i proponował, żebym się przyłączył do rozmowy. Powiedział, że dyskutują o wulgarności w przeciwstawieniu do niemoralności i utknęli właśnie na martwym punkcie.

Diana roześmiała się wesoło.

— Jakież to do niego podobne! Jest absolutnie niepoprawny, nikt jednak nie ma mu za złe jego gadaniny. Przedstawił mnie pani Adair. Uważam, że jest czarująca.

— Ja także tak uważam. To wspaniała kobieta. Można z nią rozmawiać cały tydzień, a nie usłyszy się o nikim złego słowa.

— Jestem tego pewna. Ma poza tym poczucie humoru, a to taki dar niebios u kobiety. Zdaje się, że są z Billym w wielkiej przyjaźni.

— Owszem. Niedługo na pewno złoży pani wizytę.

— Czy ktoś odwiedza kiedy to biedne, śliczne dziecko, które miało nieszczęście poślubić prawnuka hrabiego? Muszę powiedzieć, że on zaczyna mi działać na nerwy. Z kim ona się tu spotykała, zanim doktor Lawson i ja ukazaliśmy się na widowni?

Burnett spoważniał. W łagodnych jego oczach ukazał się cień.

— Ona jest urocza, prawda? — powiedział. — Podziwiam także jej dzielność. Przecież na pewno bardzo się jej źle wiedzie, a jednak nigdy się nie skarży. Mąż od czasu do czasu przywozi ją do miasta, ale tylko w odwiedziny do lady Marsland; z tego zaś,

czego pani Grant nie mówi, wnoszę, że wolałaby już zostać w domu.

— Któż to jest lady Marsland?

— Lady Marsland to żona sir Humphreya Marslanda i zalicza się do tych uroczych kobiet, które bezinteresownie udzielają rad i pragną zawsze kierować cudzymi sprawami. Rozumie pani, że nie jest to typ spokojny ani taki, jaki by odpowiadał komuś tak młodemu i świeżemu, jak Joyce Grant. Oswald Grant płaszczy się przed nią — czy może przed jej tytułem — i rozwodzi się nad jej kobiecymi zaletami, które znajdują łaskę w jego oczach. Przypuszczam, że kiedy są tam z wizytą, pani Grant milczy w sposób, który go irytuje. Zwierzyła mi się raz, że przy lady Marsland czuje się jak książka, która zamknęła się z trzaskiem i nie może się już otworzyć. Zwykle zresztą jest zamkniętą książką, ale wyczuwa się, że w książce tej jest znacznie więcej interesujących rzeczy, niż się pozornie wydaje.

— O, o wiele więcej — zauważyła Diana z pewną goryczą w głosie. — Ona zawsze jest zamyślona. Doskonale sobie wyobrażam, jak siedzi milcząca i poważna przed tą lady Marsland, a jednak w odpowiednim towarzystwie dostrzegłaby humor sytuacji prędzej niż ktokolwiek inny.

— Może jednak nie byłoby co dostrzec — odparł Burnett z naciskiem. — Czy pani uważa, że we wszystkim można się doszukać humoru?

— Stanowczo! Czy to nie Ruskin powiedział, że na dnie każdej rzeczy i sprawy znajduje się coś takiego, z czego na pewno nie śmialibyśmy się, gdybyśmy tylko potrafili je dostrzec? Cóż za brednie! Egoistyczna stara baba! Największy urokiem życia jest właśnie to, że na dnie wszystkiego jest coś, z czego mogą się śmiać ci, którzy umieją patrzeć. Śmieć się z rana, bo to zdrowo, i śmieć się wieczorem, bo nie możesz się powstrzymać od śmiechu — to bodaj najlepsza recepta, jaką mógłby zapisać jakikolwiek lekarz.

— Niewątpliwie już śmiała się pani tutaj niejednokrotnie w kułak. Pani Malcolm to był dobry początek dla pani. Billy jej nie znosi. Nazywa ją zawsze Eliza Jane. Czy to on ją pani przedstawił?

— Tak — łajdak — a potem odszedł i zostawił mnie z nią. Gdyby przynajmniej złapał marszałka i przedstawił mi go, to by miało jeszcze jaki taki sens.

— Kogo pan nazywa marszałkiem?

— Bardzo eleganckiego pana o wyglądzie wojskowego, który jechał razem z nami pociągiem. Od chwili, kiedy zauważyłam/ błysk w jego oku, gdy po krótkiej nieobecności wrócił do przewoźni i zastał doktora Lawsona i mnie na przyjacielskiej pogawędce, mam ochotę go poznać. Oczywiście przyjęcie jest bardzo zabawne — ciągnęła dalej, rozglądając się dokoła. — Wygląda zupełnie jak święto pokrak, prawda? A propos, kto to jest pani Kitchener?

— Jej mąż ma farmę gdzieś w okolicy. Bardzo miły człowiek. Ona także bardzo miła, a poza tym doskonale jeździ konno.

— Zdaje się, że jej tu nie lubią. Słyszałam, jak dwie panie rozmawiały o niej. Jedna powiedziała, że ona zawsze stara się kogoś naciągnąć na lunch, druga zaś, że gdy się ją zaprosi, nigdy nie wie, kiedy już trzeba odejść. Naciąga na lunch, rzeczywiście! Czy pan słyszał kiedy podlejszą złośliwość? Miałam ochotę po prostu pokazać im język. Tego rodzaju ludzie męczą mnie — są tak beznadziejnie, przeraźliwie małomiasteczkowi! Jest tu jeszcze jedna dama — nie dosłyszałam jej nazwiska, ale zauważyłam, że doskonale się ubiera — która, jak głosi opinia, przyznaje się do tego, że lubi tylko mężczyzn i nie ma czasu dla kobiet. Ta przynajmniej jest uczciwa i nie sądzę, aby była tak złośliwa w stosunku do innych. Trudno się doprawdy dziwić, że mamy siebie nawzajem dosyć, skoro zdradzamy takie kocie cechy. Niech pan spojrzy! Billy prowadzi panią Adair na herbatę. Jakaż ona zgrabna! Ciekawa jestem, na czym stanęła ich dyskusja o wulgarności w przeciwstawieniu do niemoralności. Cóż za temat! Doprawdy czasami mam wrażenie, że Billy jest kompletny wariat. Niewątpliwie zapewnił ją z niewinną miną, że nic nie jest tak niewybaczalne, jak wulgarność, niemoralność zaś to tylko kwestia temperamentu. Czy zauważył pan, że on zawsze wygłasza najbardziej niestosowne zdania z miną archanioła?

— Czy on bywa kiedy poważny?

— Poważny? — powtórzyła. — Ależ, drogi panie, nie uwierzyłby pan nigdy, co ten chłopak czyta! Jego gust w doborze książek zdumiałby pana. Głowi się nad wszelkimi „ozofiami” i „ologiami”, kiedy zaś jest sam, dla przyjemności wymyśla zawile teorie. To mnie po prostu wprawia w osłupienie. Sama potrafię niekiedy myśleć, ale gdzie mi do Billa. Czy nie zauważył pan,

jak on się zaprzyjaźnił z doktorem? Może pan być pewien, że gdy nikt ich nie słyszy, rozprawiają o grzechu pierworodnym, o teorii ewolucji i o najnowszych odkryciach w systemie słonecznym. Jim go czasami wspaniale naśladuje. Jego i Ślicznotkę — wie pan, z Jima jest świetny aktor. Ale oni wszyscy są strasznie kochani. Ciekawa jestem, a propos, gdzie się Jim podziewa? I czy w ogóle przyszedł tu koniec końców?

— Chodźmy na herbatę, może go znajdziemy.

Wstali i skierowali się do namiotu, w którym ustawiono stoły. Znowu wiele oczu przyglądało im się ciekawie, gdyż, jak Burnett mówił doktorowi, Diana zwracała na siebie uwagę w każdym skupieniu ludzkim. Dziś ponadto miała na sobie paryską suknię za piętnaście gwinei, przedmiot podziwu i zazdrości mieszkanek Rodezji. Gdy się zbliżyli do namiotu, Diana zawołała uradowana:

— Ależ tam siedzi Jim z moim marszałkiem! Burnett spojrział szybko we wskazanym kierunku.

— To major Egerton — powiedział. — On ma Krzyż Wiktorii. Zdaje się, że jest spokrewniony z Jimem.

W tej chwili Jim zauważył ich i przeprosiwszy śpiesznie towarzysza, podbiegł do nich.

— Chodźcie, wypijemy razem herbatę — zawołał. — Zastanawiałem się właśnie, gdzie jesteś — zwrócił się do Diany. — Chcę ci przedstawić mojego kuzyna, majora Egertona.

Major przypomniał sobie już Dianę. Złożył przed nią ceremonialny ukłon, czym od razu zdobył sobie jej sympatię, ale w oczach jego ukazał się żartobliwy błysk, gdy zauważył:

— Mam wrażenie, że miałem już przyjemność panią widzieć. Zastanawiałem się niejednokrotnie, co się też stało z moim towarzyszem podróży, doktorem.

— Nie powinien pan insynuować, że ja go uprowadziłam — odparła Diana również z porozumiewawczym spojrzeniem. — Jeżeli chodzi o ścisłość, wygląda teraz znacznie lepiej niż przedtem. Kuł tutaj żelazo, póki było gorące, to znaczy korzystał w pełni z balsamicznego powietrza Rodezji, wzmocnił się i przytył. Wcale by go pan nie poznał.

— Czy to znaczy, że go tu dzisiaj nie ma? Jakże się to stało?

— O, nie nabrał przez ten czas zamiłowania do zabaw. Te walki o herbatę nie leżą bynajmniej w jego guście. Musi pan

przyjechać kiedy do Knoll i zobaczyć się z nim. Przesiaduje u nas zazwyczaj.

Major oświadczył, że jest zachwycony zaproszeniem i szybko wyrobił sobie zdanie, że poważny doktor okazał niemałą zmysłowość /aehowując swoją osobę przez cały czas podróży dla tej oryginalnej i interesującej osoby. Po chwili tak donośne wybuchy śmiechu rozlegały się z ich kąta namiotu, że z wielu stron rzucono im spojrzenia pełne zazdrości. Burnett zaś spoglądał raczej z niepokojem, major bowiem był więcej niż przystojny, nie mieszkał wśród pagórków i suchej trawy i w ogóle był bardzo odpowiednim na męża kawalerem.

— A jakże się pani podoba Rodezja? — zapytał Dianę, gdy opowiedziała mu coś niecoś o swych podróżach.

— Jest prześliczna — oświadczyła Diana bez namysłu — ale moim zdaniem powinno się jej zażywać w małych dawkach. Mam zamiar być tu szczęśliwą jeszcze przez dwa miesiące, po czym rozwinę skrzydła i odlecę, zanim nastąpi reakcja.

— Wróci pani — powiedział major. — Wszyscy wracają tutaj, prędzej czy później.

— Jak uszkodzone miedziaki — roześmiała się — o ile mi jednak wiadomo, złoto zwykle odpływa i nie wraca. A co pan robi? Czy i pan odjeżdża i powraca, przyciągany przez niewidzialne syreny, śpiewające wśród pagórków?

— Owszem, odjeżdżam i przyjeżdżam, ale nie mogę powiedzieć, żebym słyszał kiedykolwiek głosy wyżej wymienionych dam. A chciałbym bardzo je usłyszeć. Byłaby to miła odmiana. W obecnej chwili nudno tu u nas bardzo.

— Wyglądacie jednak, jak gdybyście się świetnie bawili — odparła rozglądając się dokoła.

— Stajemy się coraz nudniejsi — oświadczył z humorem — powiadają jednak, że pijaństwo wśród kolonistów się zmniejszyło. To dobrze świadczy o sile moralnej ludności, prawda? Zawsze bowiem sądziłem, że ludzie zaczynają pić właśnie wtedy, kiedy im się nudzi.

— Ja wtedy zaczynam się ubierać — zwierzyła się Diana. — Kiedy jestem w szczególnie złym humorze, wkładam najnowszą i najładniejszą suknię. Obejrzawszy się dokładnie w lustrze, udaję się na poszukiwania kogoś, kto wygłąda wybitnie nieele-gancko. Nie przeprowadzając nawet złośliwych porównań, samo

już poczucie tego, że się jest lepiej ubraną od towarzyszki, jest dostatecznie kojące.

— Co potwierdza moją teorię, że chociaż o nas, jako

0 narodzie, mówi się, że jesteśmy tylko nędznymi grzesznikami, w rzeczywistości jesteśmy tylko bardzo głupi, bardzo przyzwoici

1 niezwykle próżni.

— Pan mi pochlebia! — zawołała Diana. — Pozwoli pan jednak, że zostanę między nędznymi grzesznikami.

— Miło mi to usłyszeć. Proszę, niech pani nie ucieka z Rodezji, dopóki może pani tu wytrzymać. Doszedłem do wniosku, że potrzeba nam tutaj solidnej dawki grzechu. Chleb tutejszy jest za ciężki i zbyt solidny, toteż starzejemy się wszyscy i dostajemy niestrawności.

— I reumatyzmu w kolanach — wtrącił Jim łobuzersko.

— Tak, i reumatyzmu w kolanach — potwierdził major, śmiejąc się z tego żartu. — Chciałbym, żebyś miał moje nogi w zeszłym tygodniu.

— To nie ma żadnego znaczenia, dopóki serce jest młode — zacytowała Diana z miną mędrca. — Mam zamiar zachować młode serce aż do śmierci.

Błysk w oczach majora zamigotał.

— Pozwolę sobie nie zgodzić się z panią — powiedział. — Jeżeli chodzi o mnie, to będąc właśnie rekonwalescentem po ataku reumatyzmu w zeszłym tygodniu, wolałbym zachować młodość w nogach — śmiech jego był niesłychanie zaraźliwy.

— A ja znów — wtrącił Jim — będąc rekonwalescentem po zbyt okazałej porcji sałatki z homara, wolałbym zachować młodość w... no, powiedzmy w brzuszku.

— Co tam mówicie o brzuszku? — zapytał Billy, zbliżając się do nich wraz z panią Adair. — Wyglądacie bardzo wesoło. Dzień dobry, majorze, muszę powinszować panu szybkiego i niespodziewanego awansu. Moja siostra nazywa pana marszałkiem.

— Billy, zabiję cię! — Diana zaczerwieniła się wbrew woli, podczas gdy majorowi przezwisko spodobało się ogromnie.

— Niech pan nie żartuje — roześmiał się — bo mam niezłomne przekonanie, że powinien bym być i byłbym marszałkiem, gdyby nie tępota ministerstwa wojny.

— Rezygnuję z walki z pani bratem — powiedziała pani Adair niskim, melodyjnym głosem. — Jest to ponad moje siły,

jeżeli zaś ja nie potrafię go poskromić, wątpię, czy się to uda komukolwiek innemu.

— Nikt spośród tych, którzy go dobrze znają, nie próbuje nawet go poskromić — stwierdziła Diana — wszelkie bowiem próby w tym kierunku tylko go podniecają i dodają mu sił do dalszych wyczynów. Jedyna rada to zgadzać się ze wszystkim, co mówi, dopóki się nie zmęczy. Wtedy czasami, w napadzie znudzenia, powie coś, co rzeczywiście myśli i potrafi rozmawiać całkiem rozsądnie.

Billy przybrał surowy wyraz twarzy.

— Mam nadzieję, Dianko, że nie chcesz przez to powiedzieć, że do tego stopnia zapomniałbym o kurtuazji w stosunku do pani Adair, że mówiłbym coś, czego nie myślę, czy gadałbym od rzeczy. Prowadziliśmy właśnie niezwykle ciekawą dyskusję o niemoralności w przeciwstawieniu do wulgarności, wszystko nam się jednak pomieszało w chwili, gdy doszliśmy do wniosku, że czystość pokrewna jest boskości — zakończył złośliwie. Pani Adair pogroziła mu palcem.

— Niech pan już przestanie — powiedziała — jest doprawdy zbyt gorąco. Oddam się pod opiekę marszałka polnego, jeżeli powie pan choć jedno jeszcze zdanie na ten temat.

— Panna Webberley krytykuje naszą kochaną krainę upałów i komarów — skarżył się major. — Powiada, że należy jej zażywać w małych dawkach, poza tym zaś insynuuje obecność muzykalnych syren, co ma być przyczyną nieustannych powrotów tych, którzy stąd odjeżdżają.

— Zgadzam się z nią, jeśli chodzi o umiarkowane dawki — odparła pani Adair, po czym dodała żartobliwie: — Uważam się za niezwykle cnotliwą osobę, ale nawet moje poczucie obowiązku jako żony nie skłoni mnie już nigdy przypuszczalnie do spędzenia tu bez przerwy okresu dłuższego ponad jeden rok.

W tej chwili przyłączyła się do nich lady Bentley w towarzystwie naczelnego sekretarza. Po paru chwilach ożywionej rozmowy Diana pożegnała się, aby wraz ze swą gwardią przyboczną wyruszyć w podróż do domu.

— Billy — powiedziała, gdy dziwaczny kocz znajdował się już na drodze mając za sobą Jima na rowerze i Burnetta konno — zakochałam się w marszałku. Zaproś go na następną niedzielę, bo inaczej pogniewam się z tobą na wieki.

ROZDZIAŁ XI

UZDRAWIAJĄCY WPŁYW MIŁOŚCI

Tymczasem doktor wybrał się, jak zapowiadał, na pogawędkę do Ślicznotki. Ponieważ jednak po drodze musiał minąć dom Grantów, nic więc dziwnego, że wstąpił, aby dowiedzieć się, czy wszystko idzie pomyślnie.

Zastał Joyce na werandzie, zajętą szyciem. Pielęgniarka już odjechała, syn zaś i dziedzic odbywał popołudniową drzemkę.

— Szedłem właśnie do Ślicznotki — powiedział, spoglądając tęsknie na stojące obok niej krzesło. — Jestem dziś sam i on jest sam — i pani, zdaje się, jest także sama.

Uśmiechnęła się do niego.

— Może Ślicznotka poszedł na polowanie albo pojechał na konną przejażdżkę, czy może znalazł sobie innego towarzysza. Czy nie uważa pan więc, że „lepszy wróbel w ręku”...

Doktora nie trzeba było dwa razy zapraszać. Usadowił się w fotelu z lekkim westchnieniem ukontentowania.

— Pani mąż jest jak zwykle zajęty? — zauważył, patrząc na pola w dole.

— Tak. Oswald zawsze ciężko pracuje. Przypuszczam, że to bardzo dodatnio o nim świadczy, ale myślę, że trochę rozrywki wyszłoby mu tylko na dobre.

— Niewątpliwie. Z drugiej jednak strony mam wrażenie, że praca jest dla niego do pewnego stopnia rozrywką.

Wydaje mi się, że lepiej się czuje przy pracy, niż gdyby się po prostu bawił.

Pochyliła głowę nad szyciem i nic nie odpowiedziała. Przyszło jej do głowy, że Oswald mógłby od czasu do czasu poświęcić godzinkę na rozerwanie żony, jeżeli już nie siebie samego. Przez wrodzoną dumę jednak nie chciała, aby doktor domyślał się nawet, że w głowie jej może powstać taka myśl. Mimo to jednak doktor odgadł doskonale jej uczucia. Bał się przemówić, aby nie zdradzić, jaki bunt płonie w jego duszy na widok jej urody, młodości i samotności.

Joyce pierwsza przerwała milczenie mówiąc z uśmiechem:

— Ale, ostatecznie, kiedy się nie jest bogatym, lepszy jest mąż zbyt pracowity niż próżniak, nieprawdaż?

— Na pewno! — doktor odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. — Widzę, że pani posiada chwalebna skłonność do wyszukiwania jasnych stron we wszystkich sprawach.

— Przyzwyczajenie — odparła lekko — tylko przyzwyczajenie. Matka i ja częstokroć zabawialiśmy się w ten sposób.

— A czy często miały panie do tego powody? — zapytał bardzo delikatnie.

— I tak, i nie. Naturalnie dopóki miałyśmy siebie nawzajem, nic nas nie obchodziło zbyt dotkliwie. Jest jednak bardzo trudno być bardzo biednym i jednocześnie dość dumnym. Kiedy się nieustannie odczuwa brak pieniędzy, jasne strony znikają niemal z oczu, zwłaszcza gdy idzie o chorobę i brak-środków na jej zwalczanie.

— Czy matka pani była chorowita? — spojrzał ukradkiem na delikatną, wrażliwą twarzyczkę, wskazującą nieomylnie na słabe zdrowie.

— Tego nie powiem, ale ojciec mój był słabowity. Wszyscy zresztą w rodzinie żyliśmy raczej duchem na koszt ciała. I oczywiście rodzice musieli za to zapłacić.

Pochylił się naprzód, usiłując przybrać niedbały ton, który by ukrył prawdziwy niepokój.

— Musi więc pani czerpać naukę z ich doświadczenia — oświadczył. — W tym kraju nie wolno się nieustannie przemęczać. Niech pani nigdy nie robi nic, kiedy się pani czuje zmęczona. Niech pani po prostu leniuchuje.

— A co będzie z małym? — spojrzała w kierunku pokoju, w którym spało dziecko.

— Mam nadzieję, że będzie pani miała białą niańkę? — rzekł poważnym tonem. — Miałem właśnie zamiar o to panią zapytać.

Milczała przez chwilę, po czym odparła lekko:

— Ależ chłopcy murzyńscy tak doskonale się obchodzą z dziećmi, a biała niańka na pewno przysporzyłaby mi mnóstwo kłopotów.

Doktor wyczuł, że wolałaby porzucić ten temat.

— Niańka jest bardzo potrzebna — powiedział z naciskiem. — Mówiłem już o tym z panem Grantem. Czy wspominał pani o tym?

Tak. Obawiam się jednak, że nie zgadzamy się z panem w tej sprawie. Niech się pan nie gniewa. Doprawdy miałabym

mnóstwo zmartwień z białą służącą tutaj. Myślałabym wciąż, że jej się tu nudzi, że jest nieszczęśliwa, a to by mnie bardzo męczyło i rozstrajało.

Była wciąż jeszcze lojalna, doktor wiedział o tym. Za żadne skarby nie opowiedziałaby mu, jak mąż jej zbyt lekceważąco pomysł tej niedorzecznej ekstrawagancji, stawiając za przykład swoją matkę, która sama opiekowała się dziećmi, i rozwodząc się nad obowiązkami macierzyńskimi.

— To haniebne — mówił — jak dzisiejsze kobiety wolą oddawać swoje dzieci najemnej służbie, niż same poświęcić kilka godzin rozrywek. Przecież jeżeli matka poświęca kilka lat swemu dziecku, to chyba nie jest wielkie poświęcenie.

— Nie chodzi tu o to, co państwu się podoba lub nie — nalegał niezachwianie doktor — chodzi o fizyczną konieczność. Jeżeli będzie się pani starała robić wszystko sama, mając do pomocy tylko głupich czarnych chłopców, to w krótkim czasie załamie się pani zupełnie.

Odwróciła oczy, starając się przybrać wesoły ton:

— Cóż za smok z pana! Ale pomówię jeszcze raz z Oswaldem, jeżeli pan doprawdy uważa to za konieczne.

— Uważam tak stanowczo i myślę, że im prędzej, tym lepiej.

Zmieniła temat, gawędząc o Dianie i jej bracie i o kapitanie Burnecie i Jimie, jako o możliwych konkurentach do jej ręki.

— Jakby przyjemnie było mieć ją tutaj na stałe! — zakończyła. — Obawiam się jednak, że to mało prawdopodobne.

— Zupełnie nieprawdopodobne — potwierdził. — Usiłowałem ostrzec Teda dyskretnie, ale zdaje się, że nie ma najmniejszego zamiaru skorzystać z moich przestróg. Panna Webberley byłaby tutaj zupełnie nie na miejscu i wie o tym.

— Ale on przecież mógłby pojechać gdzie indziej?

— Burnett *kocha* Rodezję — zaznaczył doktor z naciskiem. — Nigdzie indziej nie czułby się szczęśliwy. Myślę, że dla nich obojga byłoby nieszczęściem, gdyby się pokochali. Doradzam Tedowi, aby szukał ratunku w ucieczce.

Spojrzała na niego.

— A pan sam? Czy pan jest opancerzony? Kiedy Diana przyszła tu pierwszy raz, myślałam, że to będzie raczej pan. Uśmiechnął się z pewnym smutkiem.

— Podziwiam ją ogromnie — odpowiedział — ale małżeństwo nie leży w moim programie na przyszłość. Nie należę do wybranych.

— Ale dlaczego? — zawołała z przejęciem. — Przecież z pewnością człowiek tak mądry jak pan, przy tym tak ciężko pracujący umysłowo potrzebuje współczucia i miłości bardziej niż kto inny.

Rzucił na nią przelotne, zdumione nieco spojrzenie. Skądże ona, tak młoda, wiedziała o gwałtownej potrzebie współczucia i pociechy, jaką odczuwają ludzie wyjątkowi, z wyczerpaniem pracujący umysłowo?

— Owszem, ale obawiam się, że mnie trudno by było dogodzić — wyjaśnił. — Poza tym byłbym przypuszczalnie bardzo ciężki w pożyciu. Myślę, że byłbym nerwowym, niezadowolonym, męczącym mężem. Zbyt często miewam bóle głowy, zbyt często jestem poirytowany i przemęczony, aby ktoś miał ochotę radzić sobie ze mną.

Ale Joyce spojrzała tylko na niego z macierzyńskim współczuciem.

— Właśnie dlatego potrzeba panu kogoś bliskiego. Cóż za dziwne stworzenia, ci mężczyźni! Niektórzy nie żenią się, bo nie mogą narazić kobiety na biedę, inni dlatego że miewają złe humory i są nie dość weseli, inni znów dlatego że nie mają zbyt dobrego zdrowia. A przez cały ten czas świat pełen jest kobiet, które marzą tylko o tym, aby mieć kogoś, kogo mogłyby otaczać miłością i opieką.

— Skąd pani wie o tym? — pochylił się ku niej nagle. — Jak pani znalazła czas na zdobycie tylu mądrości? Wyraz oczu doktora onieśmielił ją trochę, wytrzymała jednak jego spojrzenie.

— Tu, naturalnie — odparła, pokazując na czoło. — Tu i w książkach. Czytam wiele.

— I sądzi pani, że niektóre kobiety mogłyby tak bardzo kochać mężczyznę, aby wybaczyć mu rozdrażnienie i niezręczność, rozumieć go i znajdować szczęście w opiekowaniu się nim?

— *Wiem*, że potrafią. Tylko musi pan bardzo uważnie wybierać. Nie mówię, że każda czarująca kobieta jest taka.

— Niech się pani nie niepokoi — powiedział z nutą zmęczenia w głosie. — Wszystko to brzmi bardzo ładnie, owszem, ale

jednak to nie dla mnie. Nawet gdyby jakaś dobra kobieta chciała zrobić z siebie męczennicę, nie zgodziłbym się na to. Zbyt dobrze siebie znam. Jestem, jak pani wiadomo, straszny człowiek — agnostyk, poganin, wolnomyśliciel. Nie mam żadnych zasad i nie znam wyraźnej granicy między złem i dobrem. Nie wiem nawet, co jest złe, a co dobre. — Zastanawiam się, dlaczego pan jest taki dobry dla wszystkich. Kapitan Burnett opowiadał mi o panu niejednokrotnie. Wiem sporo o dobrych uczynkach, które pan tak starannie zataja.

Przyglądała mu się w milczeniu, starając się nie porównywać z nim męża. W głębi duszy jednak wiedziała, że według kanonów konwencjonalnego społeczeństwa Oswald Grant był świętym, ten człowiek zaś grzesznikiem; jeden ortodoksyjny chrześcijanin, w całym znaczeniu tego słowa, przestrzegający nakazów moralności; drugi, jak sam przyznawał, ateista bez żadnych zasad. Nie pozwoliła myślom błąkać się dalej. Życie było tak trudne, tak skomplikowane. Gdyby nawet myślała cały dzień, jakże mogłaby zmienić fakt, że gdyby miała wybierać w trudnej godzinie, bez wahania powierzyłaby się człowiekowi, który jak twierdził, nie miał ani zasad, ani wiary?

Naraz odwrócił się do niej. Nie mogła zrozumieć wyrazu jego twarzy.

— Cóż — powiedział — czy nie jest pani zgorszona? Czy nie czuje pani dla mnie litości i pogardy?

Patrzała nań zaskoczona.

— Nie — wyszeptała — o, nie.

— Nie rozumiem, dlaczego — powiedział na pół do siebie. — Żyła pani, zdaje się, zawsze w atmosferze wiary i cnoty. Sądziłem, że gdy pani opowie o sobie, przerazi się pani i zgorszy, a tymczasem...

— Co? — przynagliła, gdy wahał się, czy mówić dalej.

— Nie wiem dokładnie... doznałem jednak wrażenia, że krzywdziłem panią tymi przypuszczeniami. Z tego, co wiem o pani, wnoszę, że rozumie pani, jak się to dzieje, że niektórzy grzesznicy mają rany i blizny otrzymane w boju, podczas gdy niektórzy święci pozostają poza strefą niebezpieczeństwa.

— Strasznie mi tylko pana żal — odparła po prostu. — Musi panu być chwilami bardzo ciężko.

— Tak, ale nie sądziłem, że pani to zrozumie.

Patrzył w ziemię, pogrążony w rozmyślaniach. W jaki sposób ona go rozumiała? Czyż to możliwe, aby w swym młodym życiu miała już chwile, gdy ciężko jest żyć dalej? Czy mogła w ogóle dojść do takiego stanu? Na samą myśl o tym wzburzenie przyśpieszyło mu bieg krwi. Bał się odezwać, aby się nie zdradzić.

Joyce obserwowała go notując linie, jakie myśli i troski pozostawiły na jego pięknej twarzy; dobre, wrażliwe usta; silny podbródek zdradzający nieugiętą wolę.

— Czy religia jest dla pana mitem — zapytała w końcu — wytworem wieków dla zaspokojenia ludzkiej potrzeby wielbienia — wytworem niespokojnych umysłów w poszukiwaniu zadowolenia?

— Nie! — zawołał ostro. — Nie, nie!

Wstał i przeszedł się po werandzie. Po chwili zatrzymał się obok niej.

— Nie umiem powiedzieć pani, czym dla mnie jest religia — przemówił wreszcie. — Słowa pani jednak, skłonny jestem wierzyć, dowodzą, że coś w tym jest. Przypuszczam, że głód jakiegoś zadowolenia nie zrodził się w sercu ludzkim przypadkowo. Tkwi w nim i przerasta wszystkie inne uczucia, i dlatego uznaję możliwość istnienia, tu czy gdzie indziej, jakiegoś dopełnienia. Nie mogę jednak posunąć się dalej. Co do istoty tego dopełnienia czy warunków, w jakich można je osiągnąć, nie mam żadnych teorii. Człowiek w najlepszym razie może tylko błądzić po omacku, a i to nie zawsze w kierunku światła.

— Ale to boli — zapytała cicho — takie błąkanie się po pustce?

— Och, wszystko sprawia ból, mniej lub bardziej — odparł weselszym tonem, nie chcąc jej zasmucać — ale człowiek przyzwyczaja się do tego.

Nie odezwała się, ale smutny uśmiech, który ukazał się na jej ustach, zabolął go mocniej od słów. Znów przeszedł się po werandzie i powrócił na poprzednie miejsce.

— Chcę powiedzieć — zaczął z pewnym wahaniem — że moja wiara czy niewiara nie ma nic wspólnego z innymi ludźmi. Mogę się równie łatwo mylić, jak inni, nigdy zaś prawie nie wspominam o tych sprawach, bo mam przeświadczenie, że jeden człowiek nie może sądzić za drugiego. Każdy musi się sam zdecydować,

zgodnie z własnym doświadczeniem. Jedno jest pewne: niemal wszystkim nam potrzeba pociechy i współczucia. Jeżeli, będąc w trudnej sytuacji, znalazłaby pani pociechę w myśli o Ojcu Niebieskim, byłbym ostatnim człowiekiem, który by drwił z tego. Muszę nawet powiedzieć, że cieszyłbym się, gdyby tak było. Gdyby istotnie znalazła pani pocieszenie, uważałbym je za rzecz dla pani bardzo cenną, a już to samo stanowiłoby równie potężny argument, przemawiający za jego prawdziwością, jak wszystkie moje argumenty, którymi bym chciał jego prawdziwość obalić. W moim wypadku należy pamiętać, że sam będąc słabego zdrowia i stykając się nieustannie z fizycznymi cierpieniami innych, przechodziłem niejednokrotnie takie męki, że potrafię widzieć tylko jedną stronę bezlitosnej nierówności, najczarniejszej i najokrutniejszej ze wszystkich, jakie mój ludzki rozum potrafi ogarnąć. Ukształtowało to w znacznej mierze moje myśli i przekonania; wiele osób jednak nie znało nigdy ani nie zazna tego rodzaju uczuć.

Doktor zamilkł. Joyce zaś czekała, w nadziei, że będzie mówił dalej. Po krótkiej pauzie zakończył:

— Niedorzecznością jest przypuszczać, że jedyna i całkowita prawda została objawiona mnie jednemu, podobnie jak chrześcijanie twierdzą, że oni wyłącznie posiadli jedyną i całkowitą prawdę. Możemy tylko poprzestać na tym, że jak jest, tak jest; i że musi przecież istnieć jakaś prawda we wszystkich rzeczach i wszelkich myślach, tylko nierównej może wartości.

Nastąpiło ponowne milczenie, po czym Joyce zauważyła z niezwykłą prostotą:

— Niewiele wiem o tym, przypuszczam jednak, że musi istnieć taki punkt, w którym na widownię wkracza lub powinna wkroczyć miłość, aby ukoić zmęczony, pełen zamętu umysł pociechą, stanowiącą prosty, niezaprzeczalny fakt, nie pozostawiający miejsca na rozumowania i dowodzenia. Można zasnąć pod dotknięciem takiej miłości i obudzić się uzdrowionym.

Ze swego miejsca nieco poza nią spojrział na jej główkę. W oczach jego odbiła się namiętna tęsknota i bezgraniczne cierpienie. Pieścił wzrokiem każde pasmo jej oświetlonych słońcem włosów, delikatne, czyste zarysy jej twarzy i wrażliwe,

białe ręce, poznaczone niebieskimi żyłkami, złożone na kolanach. Ilekroć patrzył na te ręce, przychodziły mu na myśl słowa Browninga:

Twoja miękka dłoń jest sama w sobie kobietą.

Moja zaś obnażoną piersią męską, do której kobieta się tuli.

Myślał, że gdyby mógł ucałować każdy z różowo zakończonych palców, przycisnąć je z całych sił do zmęczonego, cierpiącego czoła i trzymać je tam, jak swoją własność, może by nawet zasnął i obudził się uzdrowiony. Marzenie to pełne było niebiańskiej słodyczy; pogrążony w nim nie słyszał zupełnie, co się działo dokoła. Dopiero odgłos szurających kroków sprawił, że Joyce odezwała się cicho:

— To Oswald wraca na podwieczorek. Muszę się tym zająć. Chłopcy nigdy teraz nie zrobią nic porządnie, po tym jak musiałam ich przez tak długi czas pozostawić samym sobie.

Znikła w głębi domu, zostawiając doktora samego na werandzie.

Gdy Oswald Grant wszedł, na twarzy jego ukazał się cień gniewu na widok nie nakrytego stołu, raczył jednak burknąć coś tylko o głupocie służby i usiadł w oczekiwaniu. Doktor po chwili wahania poszedł zobaczyć, czy nie zdoła pomóc Joyce w czymkolwiek.

— Drogie dziecko, rozpuszczasz ich straszliwie — odparł jej mąż, gdy wyjaśniła, że służący zapomnieli poczynić odpowiednie przygotowania do podwieczorku. — Są z dnia na dzień gorsi. Nic teraz nigdy nie jest gotowe na czas. Nie mam doprawdy pojęcia, co robią przez cały dzień, bo dom jest brudny i zaniedbany, a bielizna w tym tygodniu była uprana okropnie.

Doktor bał się wprost spojrzeć na Joyce lękając się, że zobaczy cierpienie na jej twarzy, podniósł jednak głowę ze zdumieniem, gdy odpowiedziała spokojnie:

— Tak, to istotnie okropne. Dopiero dziś z rana powiedziałam Tomo, że twój pokój wygląda jak chlew i że będzie musiał większą część bielizny uprać drugi raz. Teraz dąsa się na mnie.

Usta jej były nieco ściągnięte, oczy zaś wpatrzona w szklanę. Doktor poczuł ból. Zrozumiał nagle, że w niektórych sprawach Joyce była wprost beznadziejna. Dziecko zachęci ją do życia i urozmaici je, w gruncie rzeczy jednak zawsze będzie się martwić brakiem zrozumienia ze strony męża, chociaż będzie

znosiła przykrości z całym spokojem i opanowaniem, na jakie ją tylko stać.

Spojrzał ukradkiem na człowieka, któremu Los oddał w posiadanie jej szczęście, i poczuł, że jego własne nadzieje spadają do zera. Będzie, naturalnie, grała swoją rolę do końca i będzie ukazywała światu opanowaną twarz; ileż jednak w walce tej straci ufności, słodyczy i zdrowej wesołości! Chuda twarz Oswalda Granta z opuszczoną dolną wargą wyglądała tego popołudnia szczególnie kwaśno. W ostatnim tygodniu raz czy dwa razy spotkało go niepowodzenie, nie potrafił zaś spokojnie ich przyjmować. Jeden z mułów zdechł mu na nosaciznę, nalot zaś szarańczy ogołocił kilka akrów zasiewów.

Przez cały tydzień Joyce znosiła jego zły humor z tych powodów. Teraz kolej była na doktora.

— Nikt nie pracuje więcej ode mnie — narzekał — wątpię nawet, czy ktokolwiek pracuje tyle co ja i cóż mam z tego? Niech pan spojrzysz na te pola. Wczoraj to był zielony dywan, a dziś gołe jak łysina.

— Ale stracił pan tylko część zasiewów — powiedział doktor pocieszająco. — Słyszałem, że niektórzy pańscy sąsiedzi stracili wszystko.

— Ich własna wina. Nie straciłem wszystkiego, bo od rana do nocy objeżdżałem pola. Większość tutejszych farmerów objeżdża pola przez pół godziny, po czym daje za wygraną. Oczywiście, gdybym ja spróbował prowadzić gospodarstwo na ich zasadzie *laissez-faire*, nie wiem, jak byśmy uniknęli bankructwa. Haruję i haruję — pędzę żywot niewolnika — w nagrodę zaś moje muły zdychają i szarańcza zjada moje zasiewy.

— „Nieodpowiedzialni” nie uważają wcale pracy tutaj za harówkę! — powiedział doktor tym samym tonem.

— „Nieodpowiedzialni”! — powtórzył Oswald z niewypowiedzianą pogardą. — Ależ niech pan spojrzysz na ich farmę! Niech pan spojrzysz na ich zbiory! Niech pan obejrzy walące się stodoły! Wstydzilibym się po prostu mieć takie gospodarstwo. Jak oni żyją! Pewnie, że w końcu płacą rachunki, przeważnie jednak dzięki temu, że sprzedają zbiory, nim je jeszcze zasieją. Wstydzilibym się prowadzić taką dorywczą egzystencję. — Ukrajał sobie wielki kawał ciasta i skrzywił się: — Chciałbym doprawdy, żeby ten kucharz gotował jedzenie. Wszystko jest na pół surowe.

— To moja wina — powiedziała Joyce. — Posłałam go z listem do Knoll i zapomniałam rozpałcić ogień.

— Chciałem właśnie powiedzieć — ciągnął dalej Oswald — że Rodezja nie jest właściwym miejscem dla sumiennego, pracowitego człowieka. Nie ma się znikąd pomocy ani kredytu. Departament rolnictwa dba tyle o farmerów, co o Chińczyków w Johannesburgu, departament krajowy tak samo. Można zwrócić na siebie uwagę, jeżeli się dobrze gra w tenisa lub w golfa, lub jeżeli się należy do modnego towarzystwa. Ja nie zaliczam się do żadnej z tych kategorii. Pracuję ciężko rozpaczliwie ciężko — nie mogę zaś uzyskać załatwienia żadnej prośby. To kraj dla niedouczonej pijaków i dla sportowców; jeżeli człowiek nie pogardzi paroma niezbyt czystymi transakcjami, to przypuszczalnie szybko zrobi karierę. Przez całe moje życie szedłem prostą drogą i zaznałem tylko ciężkiej walki o byt z bardzo mizernym wynikiem.

Oparł głowę na rękę, kładąc łokieć na stole, i z ponurą, nadaśaną miną bawił się okruchami na talerzu.

— W tym tygodniu doświadczyłem tego wszystkiego. Napisałem do departamentu rolnictwa w sprawie choroby mułów i w sprawie szarańczy, ale oni umieją tylko odpowiadać, że nie wiedzą, nie mają czasu, czy coś w tym rodzaju. Posłałem do departamentu krajowego po służących, ale oni nie mają żadnych. Bulstrode jednak dostał zespół dziesięciu ludzi dopiero w zeszłym tygodniu. To dlatego że zaniedbuje farmę, aby co sobota grać w tenisa i jest jakimś mistrzem. Mam już tego wszystkiego powyżej uszu! Bóg jeden wie, w jaki sposób dyrektorzy otrzymują nominacje; zasługi jednak widać się nie liczą, bo nie ma na nie żadnego popytu.

Joyce piła herbatę bez słowa, aż naraz rozległ się cieniutki krzyk z sąsiedniego pokoju. Zerwała się i znikła.

Oswald wstał także, twarz mu się jednak nie rozpogodziła. Poczłapał do pokoju po fajkę, po czym opowiadał dalej tym samym płaczliwym głosem:

— Niech pan posłucha mojej rady, doktorze, jeżeli chce pan osiągnąć poklask i zadowolenie w życiu, niech pan zapomni o zasadach. Jak mówiłem, szedłem zawsze uczciwą drogą. Nigdy nie skrzywdziłem żadnego człowieka i zawsze chodzę regularnie do kościoła, jeżeli tylko w okolicy jest kościół, a oto w wieku

trzydziestu ośmiu lat zarabiam nędzne trzysta funtów rocznie, harując w obcym kraju.

— Obawiam się, że nie mam zasad, o jakich mógłbym zapomnieć — odpowiedział doktor — poza tym zaś przecież wy, chrześcijanie, twierdzicie, że zły rozkwitnie w końcu jak zielone drzewo, czy coś w tym rodzaju.

Oswald spojrział nań szybko i niechętnie.

— A! — powiedział, po czym dodał: — Niestety nie mam cierpliwości do ludzi niewierzących. Dla mnie to wszystko jest tak proste.

Doktor nie odpowiedział. Bojąc się, że wbrew woli zostanie wciągnięty w dyskusję, postanowił nagle pójść do Knoll i zobaczyć się jednak ze Ślicznotką. Nie był jednak zbyt zadowolony, gdy Oswaldowi zachciało się nagle mu towarzyszyć.

Dawno już tam nie byłem — powiedział — pewna zaś odmiana dobrze mi robi.

„Czy mu nigdy nie przychodzi do głowy, że jego żonie też potrzeba odmiany?” — pomyślał doktor, po czym zapytał:

— Czy nie moglibyśmy zabrać ze sobą pani Grant? Wolna jazda jej nie zaszkodzi.

— Co? A dziecko? — zawołał Oswald ze zdziwieniem. — Doprawdy, sędzę, że jest jeszcze za mały, żeby składać wizyty. Poza tym mamy teraz tylko jednego muła pod wierzch, pozostałe zaś są zajęte orką. Trudno by było zwolnić jednego z nich.

Doktor nie odezwał się więcej i ruszyli razem, pozostawiając Joyce na werandzie z dzieckiem na rękę.

— Będziemy teraz mówić prościutkie rzeczy — uśmiechnęła się na pożegnanie do doktora, podczas gdy mąż jej wydawał jakieś rozporządzenia służącemu. — U małego dziecka wszystko jest tak proste i naturalne, że nie myśli się wcale o istnieniu jakichkolwiek „logii”.

— Cieszy mnie, że to słyszę. Niech pani zaczerpnie jak najwięcej świeżości — dodał jej otuchy spojrzeniem.

Gdy jednak odszedł, cienie znów powlokły jej twarz i długo patrzyła głodnymi oczami na otaczające wzgórza.

— Gdybyśmy tak mogli wykraść się stąd w nocy, dziecinko, tylko ty i ja — szepnęła — i polecieć do Devonu! Jakże bylibyśmy szczęśliwi, jak cudownie szczęśliwi!

Myśl ta spodobała jej się i marzyła dalej, przytulając do policzka maleńką, jedwabistą główkę:

— Kiedy byś urósł trochę większy, pokazałabym ci miejsca na brzegu, do których wślizgują się mewy. Spałbyś na miękkim posłaniu z pierwiosnków, podczas gdy fale śpiewałyby ci kołysankę, ja zaś siedziałabym obok i pilnowała cię. Potem znaleźlibyśmy skały, gdzie mieszkają wszystkie malutkie mewy, nim się nauczą latać. Czasami zdejmowalibyśmy buciki i pończochy i fale całowałyby nasze nogi, kiedy indziej zaś siedzielibyśmy cichutko i patrzylibyśmy na przepływające wielkie okręty, snując cudowne marzenia nad rozmarzonym morzem.

Wielkie łzy napęłniły nagle jej oczy. Przytuliła mocniej maleńką istotkę.

— O, mój synku — wyszeptła — jakże dam ci równie cudowne dzieciństwo, jakie miałam sama: dzieci rybaków i łodzie, i marynarzy, i piasek, i zalane słońcem morze? — Strach ukazał się w jej oczach, gdy spojrzała po wysokich, nieugiętych wzgórzach, porośłych na zboczach spaloną trawą. — Czegóż możesz tu zaznać w porównaniu z rajem mojego dzieciństwa? Ach! Muszę zabrać cię do domu! Na pewno — na pewno życie będzie dobre i pozwoli mi zabrać cię stąd prędko! Jakże mogę pozwolić, abyś dorósł i nie bawił się nigdy na polach stokrotek ani nie budował zamków z piasku, ani nie śmiał się i nie tańczył z innymi dziećmi?

Otarła szybko łzy.

— Jakaż jestem głupia! — starała się uspokoić siebie samą. — Naturalnie pojedziemy do domu, kiedy jeszcze będziesz mały. Postaramy się trafić na czas kwitnienia naporstnicy, kiedy wieczory są długie i ciepłe, szkarłatne zaś naporstnice odcinają się na tle nieba jak sztandary lata. Będziemy mieszkali w maleńkim domku, tylko ty i ja, i nikt nic będzie nam dokuczał swymi humorami i niezadowoleniem. Będziemy żyli w słońcu jak kwiaty i ptaki, marząc i bawiąc się na brzegu morza!

Fiołkowe oczy dziecka patrzyły na nią sennie, na usteczkach ukazał się uśmiech. Uniosła syna w ten sposób, aby maleńka rączka dotykała jej twarzy, i roześmiała się cicho z radości, jaką sprawiało jej to dotknięcie.

Cienie zaczęły się wydłużać, zapanowała cisza — owa rodc-zyjska cisza, którą można widzieć i słyszeć — wraz zaś z jej nadejściem zarysy wzgórz, stojących na straży, nabrały miękkości.

Spalona trawa stała się w gasnącym świetle jasnym kobiercem, cudowne zaś barwy rodezyjskiego zachodu słońca nadały niewymowne piękno niebu. Romantyczny wieczór i tajemnicze ukazywanie się gwiazd ukończyły smutnooką matkę i jej maleńkiego synka, przytulonych do siebie w uścisku pełnym uniesienia, stanowiącym ochronę przed burzami z zewnątrz.

ROZDZIAŁ XII

O ŚWIĘTYCH, GRZESZNIKACH I PEWNYM PUDDINGU

— Po prostu święto dziwaków — opowiadała Diana swe wrażenia Ślicznotce, kiedy zasiedli z Jimem i Billym do smakowitej kolacji, składającej się z pieczeni z młodego kozła, po której miał nastąpić nadzwyczajny pudding, upitraszony przez samego Ślicznotkę, jak ich o tym z dumą poinformował.

— Niektóre spośród waszych pań są zupełnie eleganckie, ale inne znów wyglądają jak wykopaliska. Ale podobają mi się wasi mężczyźni — przy tych słowach sięgnęła przez stół i odebrała Billowi galaretkę, zanim zdążył zabrać sobie całą na talerz. — Przepraszam najmocniej. Nie mam zamiaru zrezygnować ze swojej porcji. — Powróciła do przerwane opowiadania: — To są naprawdę mężczyźni. Widziałam z pół tuzina takich, w których mogłabym się zakochać z miejsca. Świadczy to dobrze o ich budowie, bo nie spojrzę nigdy na mężczyznę, który ma mniej niż pięć stóp dziesięć cali wzrostu.

— A czy twój zachwyty podnosi się także proporcjonalnie do większego wzrostu? — zapytał Jim. — W takim razie gdyby się miało zamiar oświadczyć się tobie, przydałaby się para szczudeł.

— Kup dwie pary — roześmiała się Diana — ale musisz także przeprowadzić telefon, bo mogłabym nie dosłyszeć twoich słów.

— Nie wpadaj w kłótniwy nastrój, Jim — powiedział Ślicznotka. — Święty Oswald był tutaj blisko godzinę, jestem więc doszczętnie wyczerpany. Szarańcza zjadła kilka akrów jego zasiewów. *Jego* zasiewów, zważcie! Owady nie miały nawet tyle przyzwoitości, aby odróżnić pole świętego od pola grzeszników.

— Powinien wywiesić tablicę — zauważyła Diana. — Trudno wymagać od szarańczy, aby poznała pole po wyglądzie. Posta-

rajmy się o tablicę i napiszmy za niego: „Drogie Szarańcze, tu mieszka Święty, który bez słowa skargi pracuje dwadzieścia pięć godzin na dobę, pije tylko lemoniadę i nigdy nie mówi «Cholera». Musicie więc ominąć jego pola, zabrać się natomiast do pól trzech łajdaków, którzy mieszkają obok. Są młodzi, weseli, nie pracują wcale, brzydzą się lemoniadą i używają wyrazów, od których gaśnie słońce i zapala się trawa. Uważajcie, o Szarańcze, i nie dokuczajcie wybrańcowi Bożemu!" Kiedy przestaniesz wreszcie miętosić chleb, Billy, odkraję zewnętrzną część i wezmę także kawałek.

— Poza tym zdechł mu muł — referował Ślicznotka. — Oswald więc mówił wiele niezamierzenie humorystycznych rzeczy o departamencie rolnictwa.

— Przypuszczam, że oni powinni wskrzesić jego muła, podobnie jak szarańcze powinny omijać jego pola — wtrącił Billy. — Mimo wszystko jednak wiele by się dało powiedzieć

o spokoju i obojętności, z jaką departament traktuje interesy farmerów. Nie może zrobić wszystkiego, czego od niego wymagają, wobec tego nie robi nic.

Grant prosił, zdaje się, o rozpylacz i jakieś przyrządy do zwalczania szarańczy. Odpowiedziano mu, że ponieważ stwierdzono, iż większość rozpylaczy, jakich dotychczas dostarczono, farmerzy używają do podlewania kwiatów i mycia okien, departament nie myśli o dostarczaniu ich nadal. Oswald specjalnie rozwodził się na ten temat, widział tu bowiem nowy przykład triumfu zła nad dobrem.

Jakżeby to było ciekawe, gdyby on stał się nagle zły! — zawołała Diana. Zostałabym chyba tutaj, aby to widzieć. Byłaby wtedy jeszcze jakaś nad/ieja dla biednej Joyce. Ale to niepodobieństwo, .lak niewielu ludzi rozumie, ile siły charakteru potrzeba na to, aby być łajdakiem. Myślę, że gdybym miała odwagę, poszłabym do samego diabła dla doświadczenia po prostu.

Lawson i ja zapewniliśmy go uroczyście, że istnieje tylko jedna droga do powodzenia, a mianowicie wielbienie Mamona

1 Zła. Pożegnał się wkrótce potem. Zastanawialiśmy się, czy może przypomniał sobie nagle, że nie należy łamać się chlebem z grzesznikami. Przed odejściem zauważył, że dobrze by było podeprzeć walącą się ścianę stodoły, okopać lucernę i zasiać jęczmień pod

drzewami pomarańczowymi. Powiedziałem, że wspomnę wam o tym.

— To coś pachnie pracą! — przeraził się Jim. — Mogę zresztą kazać chłopakowi zaorać ziemię, jeżeli wy dwaj zajmiecie się resztą.

— Szkoda by podpierać teraz stodołę — dodał Billy — bo już tak dawno stoi w ten sposób, że przyzwyczailiśmy się do tego. Poza tym nie byłoby o co się zakładać. Dopiero w zeszłą niedzielę zarobiłem na stodołę pół korony.

— W takim razie uważam, że te pół korony należy albo do syndykatu, albo do mnie — oświadczyła Diana. — Prywatne transakcje są niedozwolone. Co to jest z tym puddingiem, Ślicznotko? --- skrzywiła się. — Czy jesteś pewien, że umyłeś przed tym ręce, czy może akurat czyściłeś strzelbę? Ma aromat, który kojarzy mi się zwykle z Bucketem. Nigdy nie myje rąk i z upodobaniem zagniata chleb zaraz po oprawieniu zwierzyny.

— Rzucę mu połowę garnków kuchennych w głowę, jeżeli go kiedykolwiek na tym przyłapię — zauważył stanowczo Billy.

— Drogi chłopcze, dwie trzecie garnków już w niego rzuciłam. Nie wiem, czy choć jeden garnuszek ma jeszcze rączkę, blaszane zaś kubki są wszystkie pogięte. Ale Bucket ma żelazną głowę. Myślę, że tylko godzinne trzymanie w rozpalonym piecu odniosłoby jaki taki skutek.

— Najlepiej chyba będzie, jeżeli ja zostanę kucharzem — zaproponował Ślicznotka. — Jeden funt miesięcznie wystarczyłby mi prawie na papierosy, a podczas zbliżających się upałów nie ma nic przyjemniejszego jak przepaska zamiast ubrania. Ciekaw jestem tylko, czy Bucket sprzeda mi swoją żonę? Powiada, że kupił ją za dziesięć funtów, bo była wdową. Jeżeli z drugiej ręki kosztowała dziesiątaka, to teraz powinna już być bardzo tania.

— Ty byś był za drogi nawet za dwa szylingi miesięcznie, gdyby wszystkie twoje puddingi miały być takie, jak ten — oświadczył Jim, krzywiąc się z niesmakiem. — Czy jesteś pewien, że nie użyłeś do niego ziemi ogrodowej? Przypominają bardzo w smaku.

— Nie zrzędź — rzekł Billy, który jeszcze nie napoczął swojej porcji. — Jedz i bądź wdzięczny i za to. Moim zdaniem Ślicznotka postąpił bardzo szlachetnie, że w ogóle ugotował pudding.

— Myślałam, że oni płacą za żony bydłem? — dopytywała się Ślicznotki Diana.

— Tak też jest. Nowy artykuł wart jest mniej więcej trzy krowy po siedem funtów sztuka. Istnieje pewna miejscowość na północy, gdzie można dostać żonę za parę kur. Gdybym był Murzynem, przeniósłbym się tam bezzwłocznie.

Billy spoważniał nagle i bez słowa wpatrywał się w swój pudding.

— Rozchmurz się, Rudzielcze — powiedział Jim. — Ślicznotka twierdzi, że na pewno umył ręce przed gotowaniem.

— Nie o pudding chodzi — odparł Billy uroczyście. — Mam pewien pomysł.

— Wielkie nieba! Trzymaj go mocno, jeżeli ma coś wspólnego z farmą. Od czasu jak Ślicznotka pół roku temu przeprowadził rów irygacyjny pod górę, nie mieliśmy żadnych nowych pomysłów.

— Mój pomysł jest wspaniały. Nie mogę zrozumieć, czemu nie wpadliśmy na niego dawniej. Potrzebujemy bydła, a nie mamy pieniędzy, żeby je kupić — zrobił efektowną pauzę, po czym zakończył: — Jak myślicie, ile krów dostalibyśmy za Dianę?

— Diana da wam zaraz krowy kozłą nogą! — zawołała Diana, gdy Ślicznotka i Jim parsknęli śmiechem; niepoprawny Billy jednak ciągnął dalej:

— Ile krów ma Burnett? Tylko pół tuzina? To na nic. Święty Oswald jej nie kupi nawet za najniższą cenę. Trudno, trzeba będzie ją zawieźć na Maderę. Tamtejszy stary wódz ma okrągłą setkę krów. Weźmiemy od niego siedemdziesiąt pięć.

— Pochlebiasz mi! — zawołała Diana.

— Bynajmniej — odparł łaskawie Billy. — Nikt sobie nie wyobraża, że jesteś warta siedemdziesiąt pięć krów, ale Murzyni muszą robić to, co im każemy.

— Pytanie tylko, czy nie zarobiliśmy lepiej w Mata-beleland — wtrącił Jim. — Nie chcę podsycać próżności panny Webberley, myślę jednak, że dałoby się ją sprzedać za sto.

— Zdaje mi się — podsunął Ślicznotka — że najlepszym planem byłoby wystawić ją na licytację. Jeżeli uda nam się zebrać Burnetta, doktora, majora Egertona i jeszcze paru innych, którzy by się nawzajem przelicytowali, to w końcu mielibyśmy wcale ładną hodowlę bydła.

— Mam nadzieję, że marszałek zwycięży — wtrąciła Diana. — On nosi takie ładne buty.

— To bardzo prawdopodobne — zgodził się Jim — ponieważ on mógłby załatwić transakcję bydlęm towarzystwa, w którym pracuje. Oni mają około dwóch tysięcy sztuk. Cóż za sensacja będzie na następnym walnym zgromadzeniu, kiedy przeczytają pozycję z bilansu: „Jedna żona dla dyrektora naczelnego — trzysta krów i sto byków”.

Wszyscy trzej zaczęli się śmiać jeszcze serdeczniej niż przedtem, Diana zaś wstała i strzepnęła okruchy z sukni.

..... Wszyscyście zupełnie zwariowali! — stwierdziła. — Nie mam pojęcia, dlaczego w tym kraju zabijają biedne psy, a takim jak wy pozwalają chodzić wolno! Przypuszczam, że zauważyłeś — zwróciła się do Jima że Ślicznotka nie dotknął nawet własnego puddingu! To utwierdza mnie w przekonaniu, że jednak nie umył rąk i że jajka były nieświeże.

..... Pudding nie byłby taki zły, gdyby można było go nie widzieć — rzekł Billy — ale to niewątpliwie najgorzej wyglądająca potrawa, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Wygląd to jeszcze nic — zaoponował Jim — najgorszy jest zapach. Gdyby można go jeść, nie wachając!

— Jeżeli chodzi o ścisłość, to smak jest najgorszy — poinformował ich pogodnie Ślicznotka. — Za późno zauważyłem, że wsypałem do niego proch zamiast imbiru.

— Potworze! — zawołała Diana. — Czułam, że się truję!

Billy zerwał się przerażony, podczas gdy Jim zaczął ciskać rozmaite przedmioty domowego użytku w głowę Ślicznotce.

— Postarajcie się o pompę do przepłukiwania żołądka — krzyczał Billy. — Pomyślcie o naszej hodowli bydła. Wiem, że marszałek kupował już rozmaite dziwne przedmioty, nie przypuszczam jednak, żeby zgodził się na mumię zamiast żony.

— Nie kłopotuj się — odparła Diana, idąc ku drzwiom. — Czuję, że i bez pomocy pojedę do rygi. Jeżeli wy dwaj nie rozbijecie głowy Ślicznotce... — wybiegła gwałtownie.

— Nie jestem pewien, czy to był proch strzelniczy — wołał za nią Ślicznotka — to mógł być tylko proszek do czyszczenia, a poza tym nie umyłem rąk.

ROZDZIAŁ XIII

DOM NA PUSTKOWIU

Mniej więcej w tydzień później Burnett poprosił Dianę, aby pojechała z nim do Enterprise District odwiedzić jego przyjaciół, państwa Chaldecott, którzy mieli farmę o dwadzieścia dwie mile od Salisbury.

Zgodziła się chętnie, zachwycona perspektywa czternastomilowej jazdy po nieznanej okolicy.

Burnett sam przed sobą nie chciał przyznać się do pobudek, jakie nim kierowały w planowaniu tej wycieczki.

Uśmiechnął się tylko swym powolnym, zagadkowym uśmiechem, gdy doktor stojąc na werandzie z rękami w kieszeniach i patrząc na przygotowania do odjazdu, powiedział:

— Ted, lepiej zawróć i jedź w przeciwnym kierunku. Ucieczka nie zawsze jest tchórzostwem.

— Gdybym uciekł, musiałbym wrócić — oświadczył Burnett. — Idź, nastrzelaj kuropatw do obiadu i nie karm swojej bujnej wyobraźni niemożliwościami.

— Widzę, że mnie nie zapraszasz do towarzystwa roześmiał się doktor. — Myślę jednak, że powinieneś mnie wziąć na przyzwoitkę.

— Gdybym jej potrzebował, tobym to zrobił — odciął się Burnett na pożegnanie — bo z ciebie byłaby kapitalna stara dama.

Pokłusował do miejsca, gdzie miał się spotkać z Dianą. Orzeźwiająca pogoda i perspektywa spędzenia dnia w towarzystwie Diany radowały go i weseliły.

Podświadomą pobudką, do której tak bardzo nie chciał przyznać się przed sobą, była chęć zapoznania Diany z panią Chaldecott.

Ponieważ Diana nadal nie chciała widzieć nic pociągającego w osiadłym życiu w Rodezji, które jego tak fascynowało, wydawało mu się, że może dobrze będzie pokazać jej kogoś, kto potrafił czerpać z tego życia pełne zadowolenie. Przełożył sam sobie, że szkoda, aby powróciła do Anglii potępiając życie w koloniach, które niewątpliwie miało wiele uroku, po czym postarał się przestać o tym myśleć.

Wciąż jeszcze nie chciał uznać powodu, dla którego szczególnie żałował, że Diana odczuwa taką niechęć do Rodezji. Był piękny, słoneczny poranek, lekki wietrzyk łagodził działanie palących promieni słońca, gdy wesoło ruszyli w drogę.

Wysokie wzgórza, szerniały przeważnie od pożarów, poznaczone jednak tu i ówdzie kępami zielonych drzew, tajemnicze światła i cienie, cudowne błękitne zasłony, unoszące się w przejrzystym powietrzu Afryki, otaczały ich przez pierwsze sześć mil. Udeptana droga wiła się wśród wzgórz ukazując od czasu do czasu samotne siedziby ludzkie: samotne domy samotnych kobiet, które dzielnie i wesoło pogodziły się z losem lub może z rozpaczą czuły, że tracą ostatnią nadzieję, albo też pokochały to pustkowie od pierwszego spojrzenia. Następnie wyjechali na otwartą równinę, porośłą trawą i obramowaną wysokimi wzgórzami o połyskliwych granitowych zboczach, podobną do jeziora ukrytego wśród gór. Diana była oczarowana. Prawdę mówiąc piękny to był kraj, ta daleka Rodezja ze swymi wzgórzami, kotlinami i cudownym, precudnym niebem.

Wyraziła na głos swój podziw. Towarzysz jej ukrył uśmiech.

— Przyznaje więc pani Rodezji pewien urok? — zapytał spoglądając na nią spod oka. — Nie cała jest gołą pustynią.

— Pewien urok? — powtórzyła. — Ależ oczywiście, przyznaję, że ma wiele uroku, nie zgodzę się jednak, żeby miała dostarczać eliksiru życia, który wy jej przypisujecie. Mężczyznę może tu bawić polowanie i przygody, o ile ma do nich żyłkę; skłonna jestem jednak sądzić, że odurzacie się wszyscy tutaj swoimi kochanymi wzgórzami jak Hindusi opium i rozwijacie w sobie tendencje do bezczynnego wygrzewania się na słońcu w bezruchu, bo to takie przyjemne i proste.

— Proste życie! — powiedział. — Przecież to chyba godne jest pochwały?

— Dla idiotów, młodych pastorów i głupawych młodszych synów — oświadczyła pogardliwie. — Nie w ten sposób jednak buduje się imperia, wznosi mosty, usuwa góry, przeprowadza drogi i nawadnia kontynenty! Cóż za elokwentne zdanie! — urwała ze śmiechem. — Wie pan, myślę, że świat stracił we mnie doskonałego mówcę; kiedy jestem podniecona, potrafię niezwykle pięknie przemawiać.

Roześmiał się także, podchwytyjąc jej wesoły nastrój.

Powinna by pani poznać moją matkę — zauważył — pokochałaby panią za to zdanie. Jest wcieleniem energii, doskonałą organizatorką i pracownicą. W ogóle dobrodziejka społeczna.

— A jej najstarszy syn spędza najlepsze lata na zabawie w farmę wśród wzgórz Rodezji. Cóż za ironia! Jakże ona to przyjmuje?

— Cóż, z początku była temu bardzo przeciwna, ale teraz już zachowuje się nad podziw rozsądnie. Wyławia dla mnie przeróżne pożyteczne przepisy i recepty, poucza mnie, jak się robi devońską śmietankę, jak się leczy ukąszenia żmij i udary słoneczne i podaje mi rozmaite sposoby na przyrzadzanie pulardy.

Diana roześmiała się wesoło, po czym dodała poważniejszym tonem:

— Wie pan, żal mi trochę Rodezji, bo ludzie w rodzaju pana i „Nieodpowiedzialnych" nie są odpowiednimi pionierami dla niej. Nawet Św. Oswald już jest lepszy od was, nic bowiem tak nie przyspiesza postępu, jak solidny rządca. Ale wy, pogodni, lekkomyślni, beztroscy gentlemen-fannerzy, stworzycie z Rodezji tylko miejsce zabaw dla mężczyzn, którym się nie chce ciężko pracować w domu. Każdy, kto woli wałęsać się ze strzelbą zamiast zabrać się do uczciwej pracy, postara się dostać tutaj i wylegiwać się na słońcu.

— To jednak dość kosztowna przyjemność — tłumaczył jej. — Jeżeli się nie ma osobistego majątku, a w każdym razie co najmniej ośmiuset funtów kapitału, to się tu nie można utrzymać. Dlatego właśnie tak trudno tu jest przyjeżdżać prawdziwym, ciężko pracującym emigrantom.

— Dlaczego? — zapytała. — Wysokie ceny?

— Przede wszystkim to. Życie jest drogie i farmy zdadne do jakiego takiego użytku są drogie. Przemysł hutniczy pochłania prawie całkowicie uwagę władz, dla każdego rodzaju bydła tutaj jest jakaś specjalna choroba; powodzie zaś czyhają na wszystko to, czego nie zje szarańcza. Perspektywy teraz jednak są po-myślniejsze, ponieważ Chartered Company przysłała tu eksperta, który ma czuwać nad sprawami rolnictwa i rozwoju farmerstwa w ogóle.

— W każdym razie przypuszczam, że wy wszyscy zostaniecie tutaj?

— Zostaniemy, bo kochamy Rodezję i wierzymy, że w końcu przecież osiągnie dobrobyt i pomyślny rozwój.

— Nie — stwierdziła — zostajecie dlatego, że zaczarowały was wzgórza i słońce i nic innego już was nie pociąga. Zostalibyście nawet, gdybyście nie wierzyli w to, że w końcu zapanuje tutaj dobrobyt.

— Możliwe — zgodził się. Jechali jakiś czas w milczeniu.

— Musi pan jednak przyznać, że kobietom tu jest ciężko — odezwała się znów Diana. — Pamiętam, że jedna z moich znajomych pisała do mnie z jakiegoś afrykańskiego portu. Pisała, że życie jej przypomina syfon wody sodowej, z którego uleciał cały gaz. Chwilami nie wiedziała po prostu, co ma począć, jak żyć dłużej. Tego rodzaju rzeczy doprowadzają mnie do punktu wrzenia. Życie nic ma prawa być takie ciężkie dla kobiet. To jego ulubiona sztuczka dać nam mózgi pulsujące zapałem i żywością, po czym tak ułożyć okoliczności, abyśmy nagle zostały wtłoczone w ponurą egzystencję, przypominającą grób za życia. Oczywiście kobieta musi to znosić z uśmiechem, inaczej bowiem ludzie będą rzucać w nią kamieniami do ostatka jej dni.

Niech pan weźmie na przykład Joyce Grant. Równie dobrze mogłaby być jarzyną czy kurą, jeżeli chodzi o egzystencję, jaką prowadzi. A ten jej wstrętny mąż klepie się z zadowoleniem po ramieniu, uważa bowiem, że okazał niezwykle rozsądek i przezorność wybierając sobie na żonę dziewczynę, która przez całe życie mieszkała na wsi i nigdy nie lubiła się bawić. Cóż za bzdury! Gdyby wybrał przysadkowatą, gospodarną córkę robotnika, z twarzą jak księżyc w pełni, miałoby to może jeszcze jakiś sens. Rozprawiałby przed nią o kartoflach, kukurydzy i łasce Bożej, ona zaś podziwiałaby go z odpowiedniej odległości. Ale Joyce Grant! Wielki Boże, ona ma więcej rozumu w małym palcu niż on w całym łbie, życie zaś po prostu zmusiło ją do tego małżeństwa!

— Wydaje mi się, że pani jednak przesadza — powiedział uprzejmie. — Pani Grant żyje sobie teraz jako tako.

Przypuszczam, że wcale nie pragnie żadnych zmian.

— Żyje sobie jako tako! — powtórzyła ironicznie. — Ależ tak się właśnie mówi o szoferach, zamiataczach ulic i pomywaczkach, że sobie jako tako żyją. Ludzie obdarzeni mózgiem mają prawo do prawdziwego życia, nie zaś tylko do wegetacji.

Żyje sobie jako tako! Dziwię się, że nie poderznęła sobie gardła, zanim to dziecko przyszło na świat. Nie rozumiem w ogóle, jak ona wytrzymała dotychczas! Niech pan sobie tylko wyobrazi, ten okropny człowiek z rana, w południe i wieczorem, ci rozpaczliwi Murzyni, potworna cisza dokoła i... Nie, nie chcę sobie tego wyobrażać. Sprawia mi to fizyczny ból. Jestem kobietą, uważa pan, i rozumiem pewne rzeczy.

— Ależ ona przecież nie straciła jeszcze nadziei?

— Oczywiście, że nie, inaczej na pewno by nie wytrzymała. — Umilkła, po czym dodała z nieoczekiwaną nutą smutku w głosie: — Cóż, widocznie nadzieja zlitowała się nad nią i przyszła jej z pomocą. Może się przecież zdarzyć, że moje barwne, urozmaicone życie zamieni się w końcu w nudną egzystencję zblazowanej kobiety, podczas gdy ona wciąż z nadzieją i zapałem będzie myślała o chłopcu przebywającym w szkole, który dokona tak niezwykłych rzeczy, gdy dorośnie — zacięła nagle konia i pogalopowała naprzód.

Niech pan jedzie! — zawołała. — Sentymentalizm jest gorszy od niestrawności. Uciekam przed nim jak przed diabłem.

Pogalopował za nią, czuł jednak, że serce bije mu dziwnie szybko. „Może jednak w końcu... — urwał rozpoczętą myśl. — Któż by się jednak spodziewał, że potrafi tak mówić?”

Pani Chaldecott wyszła im na spotkanie, uśmiechając się wesoło, podczas gdy dwoje krzepkich, zdrowych dzieci przyglądało im się z werandy spokojnym, krytycznym wzrokiem.

— Czy nie widział pan po drodze RONALDA? — zapytała pani Chaldecott. — Jest gdzieś w polu.

— Widzieliśmy jakąś postać z daleka — odparł Burnett — może był to mąż pani, ale może też strach na wróble.

— To na pewno mój mąż! — zawołała. — Można go z łatwością wziąć za stracha na wróble. Skorzystał z mojej chwilowej nieuwagi i widziałam właśnie, jak zniknął na horyzoncie w najstarszych spodniach, w podartej koszuli i w kapeluszu mającym liść sałaty zamiast denka. Jest zupełnie niemożliwy — zwróciła się do Diany. — Ilekroć mamy gości, udaje mu się zawsze włożyć najstarsze i najgorsze ubranie, jakie posiada.

— Jakież to miłe! — zauważyła Diana. — Jestem jednak przekonana, że te stare spodnie są przyzwoitsze od szortów, w których dziś z rana paradował Jim. Cieszę się, że nie udało

się pani powstrzymać męża od pokazania się nam w stroju galowym.

Zebrała ręką spódnicę i poszła za gospodynią do domu, stojącego wśród pokrytej trawą równiny, okolonej wysokimi wzgórzami. Jak pragnął i spodziewał się Burnett, Diana z punktu zakochała się w wysokiej, wesołej, pięknej Angielce, która potrafiła tak dobrze ułożyć sobie życie w Rodezji.

Pozostawił je same, aby porozmawiały aż do nadejścia tak nieodpowiednio ubranego pana domu, i poświęcił się całkowicie swym przyjaciółom — krzepkim, zdrowym dzieciakom. Ubawił później dorosłych opowiadaniem o tym, jak dzieci wsadziły sobie lalki pod sweterki i skakały z nimi po pokoju. Gdy je zapytał, co właściwie robią, poinformowały go, że są „kanguli”, a „kanguli” zawsze noszą dzieci w swoich sweterkach.

Dopiero jednak pod wieczór, gdy mężczyźni poszli obejrzeć nowe zagony tytoniu, dzieci zaś zasnęły spokojnie, Diana poruszyła temat życia w koloniach.

— Nie potrafiłabym żyć tutaj — powiedziała otwarcie. — Monotonia doprowadziłaby mnie do szaleństwa.

Pani Chaldecott spojrzała na nią z przelotnym uśmiechem.

— Przyzwyczaiłaby się pani wkrótce — odparła. — Naturalnie nie jest to wymarzona egzystencja, ale zawsze to lepsze, niż być po prostu jednym z numerów podmiejskiej ulicy, zabudowanej tandetnymi willami, nieprawdaż?

Poza tym, jeżeli się ma służącą, można dość często jeździć do Salisbury, tam zaś dzieje się wiele ciekawych rzeczy i można spotkać mnóstwo miłych ludzi. Polowania są także doskonałą rozrywką, nadto zaś mamy miłych sąsiadów w odległości pięciu mil stąd. Słowem, nie jest wcale tak źle.

Diana nic nie odpowiedziała. Po chwili zapytała nagle:

— Sądzę, że zna pani naszych sąsiadów, państwa Grant?

— Owszem, ale niezbyt blisko. Pani Grant to miłe młode stworzenie, prawie nigdzie się jej jednak nie widuje. Jakże się miewa jej dziecko?

— Mam wrażenie, że doskonale, ale nie bardzo się znam na dzieciach. Robi na mnie zawsze wrażenie pijanego — dodała wesoło.

— Moja dziewczynka jest bardzo zabawna — opowiadała pani Chaldecott — wszystkim nam dodaje humoru.

Wczoraj przy

lunchu nie mogła zjeść swojej porcji puddingu, pozwoliłam więc jej oddać go swemu Murzynkowi — niani. W minutę po tym usłyszeliśmy, jak mówi do niego groźnym tonem: „Weź lizkę i jedz jak plawdziwa panienska”. Panowie przyłączyli się do nich, gdy nadeszła pora podwieczorku. Diana, która szybko zaprzyjaźniła się z gospodarzem, ubawiła wszystkich skierowanym do niego pytaniem, czemu lubuje się w bezładnym budowaniu chwiejnych chatynek tuż przed swym frontowym wejściem. Ronald Chaldecott zaprotestował, oświadczając, że nie ma w ogóle frontowego wejścia, chwiejność zaś chat jest tylko wytworem jej wyobraźni. Mimo swego ubioru stanowił piękny obraz, gdy tak stał oparty o słup werandy, z rękami w kieszeniach granatowych drelichowych spodni, w kapeluszu bez denka, zsuniętym na tył głowy, i z charakterystycznym, rodezyjskim, drwiącym błyskiem w oczach.

— W każdym razie jednak nie chlubi się pan chyba swymi uzdolnieniami architektonicznymi? — obstawała przy swoim Diana. — Nie uważa pan chyba tego za renesansową werandę? — spojrzała szelmowsko na brzydki, naprędce sklecony taras, którym Chaldecott ozdobił jedną stronę ich ładnego, nowego domu. — Dziwię się tylko dodała — że pan ma odwagę opierać się o jeden ze słupów.

— Gdyby Ron miał nawet pałac — roześmiała się jego żona - w którym przeszkadzałoby mu słońce świecące przez jedno z okien, to gdyby mu przyszła taka fantazja, z najzimniejszą krwią skleciłby własnoręcznie jakiś ohydny daszek.

- I nosiłby także przypuszczalnie drelichowe spodnie?

— Moje spodnie są wspaniałe — Chaldecott z entuzjazmem klepnął się w kolano. Dlaczego pan takich nie nosi, Burnett? Zwykle khaki nie umywają się do nich.

— Tu już ja muszę zaprotestować wtrąciła się Diana. — Ochrciliśmy kapitana Burnetta Sir Galahadem, nie wyobrażam sobie zaś Sir Galahada w drelichu z miedzianymi sprzączkami.

Rozmowę przerwało nadejście młodszej dziewczynki z jakimś podejrzanym przedmiotem w rączce, który po bliższym sprawdzeniu okazał się skórzaną sakiewką chłopca murzyńskiego. Miła twarzyczka dziewczynki marszczyła się cała w uśmiechu, gdy przepychała się do matki z takim wyrazem, jak gdyby dokonała ważnego odkrycia. Wyciągając do niej rękę z niezbyt zachęcająco

wyglądającą sakiewką wołała radośnie: „Mamo, powąchaj, jaki zapach!”.

Diana schwyciła ją na rękę i ucałowała serdecznie, zaraz jednak raptownie postawiła na ziemi, jakby zawstydzona tym, że okazała dziecku tyle uczucia.

Gdy zaś później jechali szybko do domu wśród zgęszczają-cych się coraz bardziej cieni, gawędziła o wszystkim i o niczym, ani słowem jednak nie wspominając o domu, który przed chwilą opuścili. Jeżeli nawet wywarł na niej jakieś wrażenie, w każdym razie ukrywała je rezolutnie.

Wszyscy są czarujący — tyle tylko odpowiadała na pytania Uurnetta. Jakież to szczęście dla nowych krajów, że istnieją kobiety tak dzielne i rozsądne, jak pańska przyjaciółka, pani Chaldecott!

Zmieniła temat i nie dała się nań znów naprowadzić. Usiłowała ukryć przed sobą samą nawet, że jakieś niezrozumiałe przygnębienie czyni dla niej w tej chwili wesołość wysiłkiem.

ROZDZIAŁ XIV

O ŚWIATŁACH I CIENIACH

Jim w stroju, który Diana nazwała szortami, udał się do miejsca oddalonego o dwadzieścia mil, aby załatwić pewien interes dotyczący kukurydzy. Wyruszył o świcie, południe spędził na leniwym wylegiwaniu się na słońcu i dotarł do celu wieczorem. Nazajutrz po południu wstąpił w powrotnej drodze do Grantów, jakby nigdy nic.

— Czy mogę wejść, proszę pani? — zawołał przez otwarte drzwi. — Nie jestem wprawdzie odpowiednio ubrany na wizytę, ale marzę o szklance herbaty.

Joyce pośpieszyła mu na powitanie z nie ukrywaną radością i roześmiała się szczerze, gdy ukazał się w spodniach, uciętych tuż pod udami i w pończochach nie sięgających kolan.

Jim roześmiał się także, patrząc na swoje nogi.

— Panna Webberley docina nam, że nic nie robimy, więc wczoraj rano postanowiłem zwrócić jej uwagę na mój strój roboczy i zapytałem, czy uważa dwadzieścia mil w jeden dzień za fraszkę.

Odparła, że jestem nieprzyzwoity i że będzie musiała spędzić ranek na szyciu szkockiej spódniczki dla mnie. Jakże się miewa Wielki Mogoł? — zapytał, podczas gdy Joyce krzątała się przygotowując mu podwieczorek.

— Ma pan na myśli Oswalda? Pojechał do Salisbury.

— Oswalda? *Nie*. Mężowie przestają się liczyć z chwilą, gdy pojawia się następca tronu. Gdzie mały? Czy umie się już boksować?

— W tej chwili obserwuje okolicę z werandy pod opieką małego Murzynka, niewiele większego od niego. Jim wyszedł na werandę i wziął na ręce małe zawiniątko z czułością, jakiej z pewnością nikt by się po nim nie spodziewał.

— Rany! Cóż za pyszny chłopaczek! — zawołał. — Niech mnie pani nigdy nie zdradzi — ale przepadam za małymi dziećmi. Są najzabawniejsze ze wszystkich małych zwierzątek.

Joyce przyglądała mu się radośnie i zastanawiała się nad tym, czy też ironia losu nie zostawi go kawalerem na całe życie i nie pozbawi jakiegoś małego zwierzątko uroczonego ojca.

Lubiła Jima zawsze najbardziej ze wszystkich trzech „Nieodpowiedzialnych”, po części dlatego że rozumiała go najlepiej, po części zaś także dlatego że najczęściej spośród nich ryzykował nudną rozmowę z jej mężem, przychodząc do niej na pogawędkę. Gdy zaś w tej chwili zobaczyła jeszcze, jakim wzrokiem spogląda na jej maleństwo, poczuła do niego gorącą sympatię.

Była dziś szczególnie rada z jego odwiedzin, gdyż przygnębił ją nieco pierwszy list teściowej w sprawie drogiego wnuka. Zawierał mnóstwo „Och!” i „Ach!” i wiele wzmianek o specjalnej życzliwości, jaką otacza Opatrzność szlachetnego ojca dziecka. Teściowa zaklinała ją, aby możliwie jak najwcześniej nauczyła dziecko naśladować we wszystkim ojca — w tym miejscu niepoprawny młodszy brat, któremu w drodze wyjątkowej łaski pozwolono przeczytać ten list, dopisał w nawiasach: *(Naucz go śpiewać: „Idę w ślady mego ojca”, to bycza piosenka!)*

Niech wie, że pochodzi ze znakomitego rodu, brzmiało następne zdanie listu teściowej. Joyce wiedziała zresztą z góry, że je znajdzie w tym liście, i wdzięczna była wyżej wymienionemu niepoprawnemu szwagrowi za dopisanie w tym miejscu:

Błękitna krew, poza tym zaś kilka siniaków otrzymanych w bójkę. Naucz go strzelać z przyrzutu, na wypadek gdyby wdał się w swego słynnego pradziada „Jima Klusownika”.

Wreszcie następowała konkluzja, której Joyce tak się obawiała:

Jeżeli tylko kochany Oswald będzie mógł pozwolić sobie na opłacenie dla ciebie przejazdu do Anglii w przyszłym roku, byłabym bardzo rada ujrzeć mego wnuka i gościć was u siebie przez trzy miesiące. Mogłybyśmy wówczas, droga Joyce, wspólnie zaprawiać jego dziecięcy umysł do ścieżek cnoty.

Pod tym zaś szwagier dodał:

Nic martw się! Nic opuszczę cię, jeżeli tylko dożyję, i będziemy wspólnie zaprawiać jego dziecięcą wysokość do boksu i zapaśnictwa.

Joyce odłożyła list na bok z uczuciem odrazy. Czy oni zostawią jej kiedyś jej własne dziecko? Czy pozwolą jej wychować go na mężczyznę? Przytuliła maleństwo silniej do piersi.

- Och, my nie możemy tam jechać, dziecinko! — zawołała. — Umarlibyśmy tam oboje. Musimy, musimy w jakiś sposób pojechać do Devonu i zapomnieć na pewien czas o wszystkim.

Dziecko patrzyło na nią przez chwilę poważnie, po czym uśmiechnęło się łobuzersko. Przypominało w tej chwili tak bardzo wyrodnego syna szlchetnego rodu, że Joyce uściskała go z zachwytem, wołając:

— Och, ty diabełku! Przygotowujesz się już do śpiewania tej piosenki! Jakże wujaszek Reggie będzie tobą zachwycony!

Przygnębienie jednak pozostało jej na czas dłuższy i Jim dostrzegł je natychmiast, mimo uśmiechu, jakim go powitała.

— Będzie pani rada z jego towarzystwa — powiedział, gdy gawędzili przy herbacie na werandzie, podczas gdy dziecko obserwowało ich uroczyście z podłogi.

Joyce uśmiechnęła się tylko czule — potwierdzenie było zbyteczne.

— Bardzo przyjemnie było mieć tutaj doktora Lawsona i pannę Webberley — ciągnął dalej Jim — przypuszczam jednak, że niedługo już wyjadą. Będzie nam ich bardzo brakowało.

— Czy panna Webberley postanowiła już ostatecznie wyjechać po upływie umówionych trzech miesięcy? — Joyce spojrzała z pewnym zaciekawieniem na jego szczerą, miłą twarz, zdradzającą charakter męski i niezależny. Jima można by niemal nazwać

brzydkim — niezbyt wysoki, krępy, przypominał solidną kromkę domowego razowego chleba, jak wyraziła się raz Diana; już od szkolnej lawy jednak był zawsze niezmiernie popularny wśród swych znajomych i przyjaciół, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

— Sądzę, że nie ma co do tego wielkich wątpliwości — odparł Jim, obserwując wciąż z nie słabnącym zainteresowaniem dziecko. — Diana to bycza kobieta, ale umarłaby tutaj z nudów. Czy wie pani, z małego chyba będzie bokser, on już teraz macha piąstkami z boksterskim zacięciem.

— Będzie przypuszczalnie także świetnie grał w piłkę nożną — zauważyła Joyce z uśmiechem pracuje bowiem nogami z równym zapalem. Gdzie jest panna Webberley dzisiejszego popołudnia?

— Czy on się rozgniewa, jeżeli go wezmę na ręce? — ominął jej pytanie Jim. — Nie złamię go ani nic w tym rodzaju...

— Naturalnie, że nie... Strasznie się ucieszy — marzy tylko o tym od chwili, gdy zasiedliśmy do herbaty.

— Pochodzę z nim trochę — oświadczył Jim wstając. — Nie ma pani pojęcia, jaki jestem z siebie dumny, kiedy noszę dziecko na rękach. Mam kilka siostrzenic i siostrzeńców, widzi pani. Nie chciałbym jednak, żeby moi przyjaciele z Knoll widzieli mnie w tej chwili — dodał paradując z niemowlęciem po werandzie. — Zawsze przepadałem za dziećmi, zwłaszcza za takimi pysznymi chłopaczkami jak ten.

Twarz Joyce zaróżowiła się, oczy dosłownie zaświeciły.

— Czy naprawdę uważa go pan za pysznego chłopaczka? — zapytała wstydliwie. - Myślę zawsze, że może sobie tylko tak wyobrażam i może to, że byłam tak bardzo chora, wpłynęło... sprawiło...

— Ależ to najbardziej udane dziecko, jakie kiedykolwiek widziałem! — przerwał jej. Dobre jego serce ścisnęło się naraz na widok jej wzruszającego oddania, przekonany był bowiem, że chłopczyk będzie słabowity. — Powinna by pani słyszeć, jakie hymny pochwalne wyśpiewuje panna Webberley na jego cześć. Pytała pani, gdzie ona teraz jest. Umówiła się z Burnettem, że pojedą dziś z wizytą do Chaldecottów. Czy słyszała pani o kawale, jaki nam zrobił Ślicznotka? — zaczął zabawiać ją dokładnym sprawozdaniem, opowiadając również o ich przekomarzeniu się z Dianą na temat krów. Joyce umiała doskonale

śluchać, podchwytyjąc natychmiast nastrój tego, co jej opowiadano. Po godzinie wspólnej wesołości Jim ruszył do domu.

Diana i jej rycerz właśnie wrócili, Diana była w zawadiackim humorze, Burnett zaś nieco bardziej milczący niż zwykle. Jim przyłączył się do nich w chwili, gdy siadali do obiadu, po czym natychmiast zapanowała ogólna wesołość. Ślicznotka opowiedział o odwiedzinach Bulstrode'a, farmera z sąsiedztwa, który wstąpił na filiżankę herbaty i między innymi wspomniał, że tego ranka przyłapał swego kuchcika na cedzeniu kawy przez skarpetkę. Billy spiesznie odsunął talerz z zupą, mówiąc, że nie może już więcej jeść, Diana zaś zawołała przerażonym głosem: Ależ, pomyślcie tylko, może Buckett używa skarpetek Billa?!

Dlaczego akurat moich? — zapytał Billy urażonym głosem, po czym dodał tonem, który rozśmieszył ich niemal do łez: — Na J owisza, jeżeli go kiedykolwiek przyłapię na tym, to go nazajutrz nie poznacie!

Następnie Jim wystąpił z opisem wizyty, jaką złożył poprzedniego dnia podczas swej wędrówki.

— Była akurat pora podwieczorku — opowiadał — ponieważ zaś znajdowałem się niedaleko domu starego Browna, postanowiłem wstąpić do niego na filiżankę herbaty. Wiedziałem, że pani Brown nie zgorszy się moim strojem, przepadam zaś za pogawędkami ze staruszką. Tuż przy wejściu do domu usłyszałem kobiece głosy i pożałowałem już, że przyszedłem — albo że nie mam ze sobą obiecanej przez Dianę szkockiej spódniczki. Stary Brown już mnie jednak zauważył, wciągnął mnie przemocą do domu i krzyknął do żony, żeby przyniosła herbaty. Aby się zabezpieczyć, usiadłem dyskretnie przy stole i zasłoniłem kolana obrusem. Zaledwie jednak zdążyłem to zrobić, gdy drzwi się otworzyły i ukazało się kwitnące dziewczę lat mniej więcej szesnastu. „Jedna z moich córek, która właśnie wróciła ze szkoły”, powiedział z dumą stary Brown. Musiałem więc, naturalnie, wstać, kurczowo podtrzymując obrus, i ukłonić się odpowiednio. Poczulem jednak ulgę, gdy dziewczyna wyszła przeciwnymi drzwiami. Przerwał, aby wziąć łyżkę do ust, po czym ciągnął dalej z lekkim irlandzkim akcentem, w jaki wpadał zawsze podczas opowiadania dykteryjek:

Myślałem, że już wszystko w porządku, i odetchnąłem z ulgą, ale nie upłynęło jeszcze pięć minut, gdy pierwsze drzwi otworzyły się znów i ukazała się druga zarumieniona dziewczyna. Musiałem, naturalnie, powtórzyć jeszcze raz swoją pantomimę. Dziwna rzecz jednak, i ta dziewczyna także wyszła natychmiast przeciwnymi drzwiami. Po pięciu minutach zjawiała się trzecia. Byłem tak zaskoczony, że patrzyłem na nią z otwartymi ustami. Po chwili, gdy i ona także znikła za drzwiami, nad którymi winien by właściwie wisieć napis „wyjście”, zauważyłem, że trzymam obrus mniej więcej w pasie, poczułem się już bardzo nieswojo i zacząłem się zastanawiać, czy może rzeczywiście jestem niemożliwy. Wreszcie postarałem się ostrożnie wybiadać starszaka: „Myślałem, że pan ma tylko jedną córkę”, zauważyłem uprzejmie, „i że ona jest w Anglii”. „Tylko jedną córkę!” zawołał. „A to dobre! Mam trzy córki, niech je Bóg błogosławi!” „Niech je szlag trafi”, pomyślałem. Zacząłem żałować, że nie przemogłem pragnienia herbaty, które skłoniło mnie do odwiedzenia Browna. W tej chwili jednak pani Brown wniosła podwieczorek. Była bardzo serdeczna i pocieszałem się w duchu, że pantomima już się skończyła.

Ale tak nie było? wtrąciła Diana z zainteresowaniem. Niestety, nie. Nic umiem wprost powiedzieć, ile razy te nieśmiałe, zarumienione panienki wchodziły przez jedne drzwi i wychodziły przez drugie. Za każdym razem stary Brown, pochłonięty wspomnieniami, przedstawiał mnie na nowo. Robił to w taki sposób, że mogłem tylko uśmiechać się i bąkać coś jak idiota, i znów składać ukłon wcale tym nic stropionej dziewczycy. Gdyby Brown nie powiedział mi przed chwilą, że ma trzy córki, myślałbym, że ich jest co najmniej trzynaście. W tych jednak okolicznościach mogłem tylko przypuszczać, że padłem ofiarą albo bardzo złośliwego żartu, albo też dziwnej halucynacji. W każdym razie byłem tak zmieszany, poczucie własnej nagości przybrało u mnie takie rozmiary, że przy ostatnim zjawieniu się dziewczyny usiłowałem okręcić się obrusem aż po szyję, przy czym przewróciłem trzy szklanki herbaty.

Pletli w ten sposób, rywalizując między sobą w bujności niewyczerpanej, zdawałoby się, fantazji, na zakończenie zaś Billy wystąpił z opowiadaniem o trzech poszukiwaczach złota, którzy wyruszyli na poszukiwania do Gwandy.

— W Filabusii jeden z nich kipnął, więc go zakopali — mówił — i w dowód szacunku położyli mu butelkę whisky na piersi, właściwie włożyli mu ją w objęcia. Nie żeby nieboszczyk był pijakiem, bynajmniej, tylko przyjaciele jego sądzili, że milej mu będzie być uczczonym wódką niż aniołkami pod zaplamionym szkłem. — Twarz Biłła, nosząca, jak zwykle, wyraz absolutnej niewinności, rozpromieniła się w tej chwili przemiłym uśmiechem. — To mi przypomina pewien wypadek jeszcze z Anglii — rzekł — kiedy syn miejscowego obszarnika, Eryk Black, padł w wojnie burskiej i miasteczko chciało wznieść mu jakiś pomnik. Black był dobry chłop, ale wielki pijanica i w ogóle hulaka, na zebraniu więc komitetu uczczenia jego pamięci wynikła sprzeczka, ponieważ ktoś zaproponował wybudowanie fontanny, ktoś inny zaś zauważył, że uczczenie nieboszczyka zwykłą wodą jest obrazą dla jego nieporównanych zdolności pijackich. Wówczas ktoś inny znów zaproponował witraż z aniołami, unoszącymi jego bohaterską duszę do nieba. Zaprotestowano jednak i przeciw temu projektowi, zebrani bowiem twierdzili, że jeżeli Black będzie na jednym witrażu z aniołami, to... — Billy urwał nagle i zaczął śmiać się z ataku chichotu Jima.

— Poczciwy, stary Rudzielec! — mruknął Ślicznotka, podczas gdy Diana targała Biłła za uszy, wołając:

— Błóżniesz i jesteś w dodatku ordynarny, Billy! Opowiadaj dalej o poszukiwaczach złota.

— Zawsze mówiłem, że to wielka szkoda, że nie masz poczucia humoru — odciął się Billy. — No, ale trzeba przyznać, że nie znałaś Blacka. Wszystko jedno, opowiadajmy dalej: Poszukiwacze pochowali pełną butelkę whisky na męskiej piersi nieboszczyka i ruszyli dalej. W kilka miesięcy później wracali tą samą drogą, bez grosza i ogromnie spragnieni... — zrobił wymowną pauzę.

Wśród ogólnego śmiechu Diana zawołała:

— A teraz znów jesteś niesmaczny! Doprawdy, Billy, wstyd mi za ciebie!

— Przyznaję, że to niezbyt przyjemna historyjka — odparł — ale nie obiecywałem wcale, że będzie miła. Właściwie to gdybym się wdał w szczegóły... — oczy jego zabłyśły wesoło.

— Zatrzymajcie go! — krzyknęła Diana. — Zakneblujcie mu usta chlebem, kartoflem czy czymkolwiek innym.

Znam jego

nastroje i jeżeli się go nie poskromi... — wstała, rozkładając znacząco ręce. — Cóż, ostrzegłam was, to wszystko, co mogę zrobić. Co do mnie, idę na werandę podziwiać okolicę.

Zapaliła papierosa i odeszła w najdalszy kąt werandy, gdzie mogła go wypalić w spokoju. Nieustanne wybuchy śmiechu, dolatujące z jadalni, dowodziły, że anegdotki bynajmniej nie stały się skromniejsze i mniej zajmujące ze względu na jej nieobecność.

Jej nerwowa wesołość tego wieczoru była tylko próbą ucieczki przed samą sobą i zwalczenia grożącego napadu melancholii. Jak powiedziała Burnettowi, systematycznie uciekała przed sentymentem i uczuciem, dziś jednak czuła, że jeżeli nie dołoży wyjątkowych starań, ucieczka będzie daremna i ogarnie ją sentymentalny nastrój.

Czemuż zrobiła przy Burnccie idiotyczną uwagę o tym, że kiedyś może będzie miała dosyć nieustannych zmian i nowych wrażeń, podczas gdy Joyce Grant będzie coraz bardziej zaabsorbowana rozwojem i postępami syna? Czyż zmiany mogą znużyć Dianę? Ją, tak ruchliwą i energiczną, o różnorodnych i żywych zainteresowaniach, obdarzoną niezwykłą radością życia? Ileż ma lat? Dwadzieścia osiem — niewiele w dzisiejszych czasach, kiedy kobiety są jeszcze młode w trzydziestym piątym roku życia i pełne życia w pięćdziesiątym. Ponadto innego wyboru, prócz małżeństwa, nie ma, sama zaś myśl o nim napęnia ją niesmakami. Za żadne skarby nie da się wprząc w jarzmo, aby radzić się i prosić kogoś o pozwolenie na każde wyjście z domu, podczas gdy może być tak wspaniale wolna! Czuła, że wolność potrzebna jej jest do życia jak powietrze, wraz z tym nagłym przenoszeniem się z pałacu do glinianej chatki, karawany lub do namiotu kanadyjskiego, zależnie od zachcianki.

A to rodezyjskie życie, ciasne, bezbarwne przecież chyba żaden mężczyzna nie wart jest, aby dla niego rezygnować ze wszystkich uroków życia. Wstrząsnęła się z irytacją, nazywając siebie w duchu idiotką i gęsią. — Cóż to, na Boga, ma wspólnego z tobą — zwróciła się do siebie samej — zważywszy, że możesz wałęsać się po całym świecie i masz głowę na karku, która ustrzeże cię przed popełnieniem takiego głupstwa, jak małżeństwo?

Skoro tylko jednak wymówiła te słowa, wydało jej się, że słyszy cichy śmiech, rozlegający się wśród wzgórz, gwiazdy zaś mrugają wesoło do siebie nawzajem. „Ona wróci”, zdawały się

mówić, drgając w bezdźwięcznym śmiechu. „Wróci”, powtarzały coraz weselej, aż wreszcie zakończyły: „Wróci — na zawsze”.

Diana odwróciła się nagle krótkim, gwałtownym ruchem i spostrzegła, że przy niej stoi Ślicznotka.

Na miłość boską, usiądź i porozmawiaj ze mną! — powiedziała. Cierpię na ostry atak aberracji umysłowej.

ROZDZIAŁ XV

O PEWNEJ „BRAZOWEJ MYSZCE”

Ślicznotka zagłębił się w najbliższym fotelu i oparł nogi wysoko ponad poziomem głowy.

Jaka cudowna noc! — powiedział. — Właśnie przyszedłem, aby zapytać, co ci jest.

— Dlaczegoż miałoby mi coś być? — zapytała Diana ze zdumieniem, spoglądając nań badawczo w świetle gwiazd.

— Powiedziałaś przed chwilą, że cierpisz na aberrację umysłową.

— Ale to nie tłumaczy jeszcze faktu, że poszedłeś mnie szukać, wyobrażając sobie, że coś nie jest w porządku.

— Może i nie, ale mnie to wystarcza. Jestem po trosze jasnowidzem, uważasz, dostrzegłem więc bez trudu, że jesteś dziś nie w humorze, w dodatku zaś twoje szukanie samotności było niesłychanie wymowne.

— Dostyc mi chyba nadokuczaliście — usiłowała walczyć z nim. — Zdawało mi się już, że jestem zupełna kretyńka.

— Nie zamydlisz mi oczu — potrząsnął głową Ślicznotka. W świetle gwiazd, na tle otaczającej nocy doskonały jego profil

wydał jej się rzeźbą z białego marmuru. Nagły przypływ uporu i skrytości zmusił ją do dalszej walki.

— Jesteś dziś piękny jak anioł — zauważyła lekkim tonem. — Czuję, że powinna bym teraz drzeć z zachwyty, że jestem z tobą sam na sam o tej czarodziejskiej godzinie i przysięgam w duchu dozgonne staropanieństwo, o ile nie będę mogła zostać choćby twoim podnóżkiem.

Uśmiechnął się.

— Jestem ci niesłuchanie wdzięczny za to, że nic podobnego nie robisz. To tak przyjemne uczucie, że uważasz mnie tylko za coś w rodzaju martwego posągu i żałujesz, że mam tak zniewieściały wygląd.

Roześmiała się współczująco.

— Czy to takie przykre być nieustannie przedmiotem uwielbienia?

Czasami bardzo. Widzisz, przeszedłem przez wojnę burską i jakoś zawsze wpadałem między pielęgniarki potem zaś okoliczności skazały mnie na różne podróże na parowcach Union Castle i P. i ()., mam zaś wszystkiego trzydzieści dwa lata. Ale tutaj jest bardzo spokojnie dodał z westchnieniem zadowolenia i rzadko musi się jeździć do miasta.

Diana obserwowała go w milczeniu. W tym samym świetle gwiazd dostrzegła na jego twarzy jakiś nieokreślony smutek. Naraz, sama nie wiedząc dlaczego, powiedziała:

Ale, naturalnie, gdzieś przecież ktoś istnieje?

Co masz przez to na myśli?

Jakąś kobiecą twarz, która przesłoniła ci wszystkie inne.

Dlaczego powiedziałaś „naturalnie”?

Nie wiem. Nigdy mi to nie przychodziło do głowy, dziś jednak wiem na pewno. Dziwię się tylko, że się nie domyśliłam wcześniej. Nie zważaj na to — dodała, gdy Ślicznotka wciąż milczał. — Zapomnę znów, jeżeli sobie życzysz, nie warto jednak zaprzeczać.

Nie miałem zamiaru; dlaczegóż miałbym zaprzeczać? Nie mam zbyt wielkiego szacunku dla mężczyzn, którzy szydzą z miłości. To niewątpliwie najlepsza rzecz na świecie.

Roześmiała się, ale głos dziwnie jej się załamał. Zdziwiło go to.

— Słuchaj! Zwierzę ci się powiedziała, po czym dodała zniżając głos: — Boję się miłości. To jedyna rzecz, której się boję. Gdybym kogoś pokochała i sprawy nie ułożyłyby się pomyślnie, zmarnowałabym się. Nic by mnie nie uratowało. Wiedząc o tym muszę się pilnować. Rozumiesz?

Ślicznotka ułożył się wygodniej w fotelu leniwym, powolnym ruchem — była to jednak tylko poza.

— Cóż za głupstwa — bać się najlepszej rzeczy na świecie! Możesz bać się wszystkiego innego, ale w miłości waz się na wszystko.

— Nie — odparła z zaciekleścią w głosie. — Właśnie dlatego się boję, że można zaryzykować wszystko i wszystko stracić. W obecnym stanie rzeczy bezpieczny jest ten, kto śmieje się i łatwo zapomina. Zaciągnęłam się pod ten sztandar i mam zamiar pod nim pozostać.

Przypuszczalnie nikt się ciebie nie będzie pytał o zdanie. I ,os ma zwyczaj robić, co mu się podoba. Lepiej więc nie tracąc sił na daremny opór dać się nieść fali, śmiać się i pamiętać.

Czy tak właśnie postępujesz?

Owszem.

Ach... westchnęła głęboko. — Ale jaki ból musi ci sprawiać taka noc, jak dzisiejsza!

Tak ale ból niekoniecznie jest złem. — Milczał przez chwilę, po czym powiedział marząco, na pół do siebie: —

Blade ręce, które kocham - gdzie jesteście teraz — gdzie jesteście?

Przestań — błagała — to boli. Pewna jestem, że okazuję niezwykle rozsądek, uciekając przed miłością. Tak silnie odczuwam wszystko, gdy tylko nie trzymam się w ryzach. Spojrzał na nią badawczo.

— Mam nadzieję, że cię to kiedyś mocno trafi — oznajmił zamiast pocieszenia. — Miłość warta jest cierpienia.

Jestem po trosze filozofem, jak wiesz, i przekonałem się niejednokrotnie na przykładach o słuszności tej tezy. Miłość ucłowiecza i na swój sposób wzbogaca zarówno mężczyzn, jak kobiety. Nawet jeżeli jej rezultatem jest tak zwane popularnie zmarnowane życie, moim zdaniem jest to lepszy powód do wykolejenia niż jakikolwiek inny.

— Musiałeś chyba być bardzo zakochany? — nie mogła się powstrzymać od pytania.

Uśmiechnął się drwiąco.

— Owszem. I jeszcze do dziś jestem zakochany, jeżeli cię to interesuje. Ale nie idealizuję niczego. Ona nie jest wspaniałą, gibką, wzgardliwą pięknoscią — ani roześmianą, subtelną dziewczką — ani utalentowaną, świetną gwiazdą — umilkł na chwilę, po czym dodał bardzo cicho: — Wyobraź sobie małą, brązową myszkę, o połyskliwych brązowych włosach, szczupłych, białych policzkach, oczach, które zadają zawsze pytania, na które nie ma odpowiedzi, i ustach, które uśmiechają się, podczas gdy oczy nie tracą swego poważnego wyrazu.

— *Spirituellel* — rzuciła półgłosem Diana.

Tak tak sędę, chociaż to chyba za wielkie słowo w stosunku do mojej malej myszki.

Coś w głosie jego sprawiło, że Dianie łzy napłynęły do oczu, przesłaniając blask gwiazd.

Przecież, nie umarła chyba? — zapytała miękko.

Nie, ale jej ojciec i dziadek umarli na gruźlicę, brat jest w szpitalu dla gruźlików w Szwajcarii, ona zaś sama jest poważnie zagrożona. Po krótkim milczeniu dodał swoim ironicznym tonem: Powiedziałaś kiedyś, że my, mężczyźni, zatapiamy się w Rodezji w słońcu i tracimy kontakt ze światem zewnętrznym. Może niektórzy spośród nas wybierają właśnie ten sposób marnowania życia, co właściwie znaczy, że staramy się stępić ostrze jakiegoś wspomnienia, sprawiającego zbyt wielki ból, i pogrążyć się w tym, co zdaje się obiecywać największe stosunkowo ukojenie.

Ale gdybyś nie dopuścił do rozwoju tego uczucia — zaprotestowała — gdybyś zachował spokój serca i niezależność, pomyśl, co mógłbyś dziś mieć!

Mógłbym nie mieć nic! Nie — ciągnął dalej, patrząc w gwiazdy jestem niewątpliwie sentymentalnym idiotą, ale nie oddałbym za nic mojej Brązowej Myszki. Życie niebyt łagodnie się z nią obeszło, ale ona wie, czym jest dla mnie, a może nic nie osłodziłoby w tym stopniu cięższej nad nią straszliwej klątwy.

Och, ale ty jesteś święty! Diana wstała nagle, usiłując pokryć śmiechem drżenie głosu. Należysz do tych nielicznych, którzy gotowi są dać wszystko, nic dostając nic w zamian. Nie potrafiłabym być taka, nawet gdybym się o to bardzo starała. Jestem straszna egoistka i przypuszczalnie nigdy już nie będę inna. Rozumiem jednak, jakie to piękne i... i... zrobiła niecierpliwy ruch. — Co to za wiersz:

Któż to stoi w ciemnościach na najniższym stopniu.

Odczuwając w całej pełni wszechobecność Boga? — Nie wiem, gdzie to czytałam, ale słowa te nieraz przychodzą mi na myśl. Doznaję podobnego uczucia, kiedy widzę prawdziwy altruizm i dzielnie znoszone cierpienie. Stoję w ciemności na najniższym stopniu, odczuwając wyraźnie obecność dobra — ale to właściwie wszystko, co potrafię zrobić. Widzę je w tobie — i w Joyce Grant, która tak dzielnie idzie przez swoje ciężkie

życie — drzemie ono także w Jimie, czekając aż będzie komuś potrzebne — jeżeli zaś chodzi o doktora, to on cały jest samą dobrocią.

— Zgadzam się z tobą — potwierdził z zapalem — doktor jest na najwyższym stopniu! I moja Brązowa Myszka także — dodał cicho.

Diana nic nie odpowiedziała. Stała przed nim prosta i smukła, z założonymi z tyłu rękami, na pół odwrócona, spoglądając na czarne cienie ogrodu. Ślicznotka osunął się jeszcze niżej w fotelu. Oczy jego wyrażały tęsknotę graniczącą z fizycznym bólem.

Dlaczego jest w nich wszystkich — przemówiła wreszcie Diana a we mnie go nie ma? Dlaczego cierpię w taką noc jak dzisiejsza? Nie jestem zakochana i przypuszczalnie nigdy nie będę wszyscy zaś wiedzą, że bynajmniej nie jestem świętoszkiem. Tylko czasami, jak dziś, jak gdyby w przebłysku jasnovidzenia, ukazuje mi się coś wspaniałego i przerażającego coś, przed czym mam ochotę uklęknąć. Czy myślisz, że dostaję powoli obłądu, czy też to skutek udaru słonecznego? — zakończyła znów na pół ze śmiechem, którym usiłowała zwieść zarówno jego, jak i siebie samą.

— Może stajesz się nienormalnie rozsądna — zauważył Ślicznotka, głos jego brzmiał jednak bardzo życzliwie.

— Tak myślisz? W każdym razie nie poznaję samej siebie, ale dziś nie mogę myśleć o niczym innym, prócz tej ukrytej a tak wspaniałej Potęgi. Chodzę grzesznymi ścieżkami, ale nie jestem aż tak głupia, aby nie widzieć, że dobroć jest zawsze potęgą. Tylko że to nie dla mnie. Muszę iść własną drogą, obawiam się zaś, że jestem urodzonym włóczęgą. Urwała, po chwili zaś powiedziała szybko, jak gdyby wstydzając się własnych myśli:

— Pomyśl tylko o samotnych kobietach w koloniach, które tak dzielnie borykają się z losem. Nie mogę dziś przestać o nich myśleć... Nie wiem dlaczego... Może po prostu dlatego, że wiem, iż nie potrafiłabym być taka, jak one. Poza tym dopóki się tu nie przyjedzie samemu, nie ma się pojęcia o tym, co to jest samotność kolonisty i z jakimi trudnościami musi walczyć. Żadnych osiedli, żadnego kościoła w pobliżu, żadnego nawet przyjaznego światełka w odległej farmie, ani słupa niebieskiego dymu sygnalizującego jednemu człowiekowi, że drugi człowiek jest niedaleko — ani nawet znajomej mogiły. Nic, tylko niezmienna, martwa monoto-

nia, częstokroć nawet po prostu nieprzerwane pasmo udręki. Nazwałam kobiety, które znoszą to pogodnie, „pocziwymi, gospodarnymi kobietkami” — mówiłam to z ironią, naturalnie, jednak wiem doskonale, że to bohaterki. Bohaterki, przed którymi powinnam chylić głowę. Oczywiście, nie mam zamiaru sama zostać czymś w tym rodzaju. Jestem sobie beztroską globtroterką, która pragnie tylko, aby ją pozostawiono w spokoju. Jakiś diabeł opętał mnie dzisiaj i jeżeli nie pozbędę się szybko tego nastroju, mój mózg może na tym ucierpieć.

— Mów dalej powiedział Ślicznotka—jesteś tylko odrobinę bardziej interesująca niż zwykle.

Niewiele już chyba mam do powiedzenia, prócz tego, że chciałabym krzyknąć na cały świat tak głośno, aby usłyszała każda samotna kobieta, walcząca dzielnie z losem na jakimś ranczo, w kopalni czy na farmie: „Brawo! Dobrze zagrane!”

Popatrz, popatrz! Diano, jesteś niezwykle porządna dziewczyna! - Ślicznotka podniósł się nagle i pochylił się, aby wyrzucić popiół z fajki.

Nie, Ślicznotko, jestem samolubne bydlę. Dziś jednak wstydzę się tego. Pójdę już lepiej, zanim poczynię jeszcze jakieś idiotyczne zwierzenia. Bądź tak dobry, pożegnaj ode mnie kapitana Burnetta i innych.

Zatrzymał ją jednak jeszcze na chwilę.

Dlaczego przedtem nie wymieniłaś Burnetta? — zapytał, obserwując ją ukradkiem. — Czy nie jest wart miejsca na drabinie? Udała wesołość, której bynajmniej nie czuła.

Nieznani go tak dobrze, jak was wszystkich, mam nadzieję jednak, że nie jest zbyt blisko szczytu. Muszę mieć jakieś towarzystwo na dole w ciemnościach.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, co ci właściwie dolega.

— Dolega? — powtórzyła. — Ależ nic, naturalnie, poza tym, że czuję się jak dwugarbny dromader. Powiedz to innym. Idę już, dobranoc!

Pobiegła przez ogród do chwiejnej chatynki, którą obrała sobie na mieszkanie.

Stanąwszy w drzwiach rozejrzała się jeszcze raz dokoła i odetchnęła głęboko.

Jesteś urocza, senna, słoneczna Rodezjo, czas już jednak, żebym wyjechała. Już teraz nawet potrzeba będzie całej mojej

dyplomacji, aby powstrzymać tego pana od oświadczeń aż do mojego wyjazdu.

I Ted Burnett pojechał do domu smutny, dotknięty bardzo faktem, że Diana poszła spać i nawet nie pożegnała się z nim po tak miłym dniu.

ROZDZIAŁ XVI

ZAPROSZENIE

— Pani wyjeżdża! — zawołała Joyce z przykrością, przerywając prasowanie sukienki.

Diana siedziała na drugim końcu stołu, kołysząc nogami. - Pozwoli pani zapalić? — zapytała. — Jestem w marnym nastroju, a papieros dobrze mi robi.

— Strasznie mi przykro — powiedziała Joyce, spuszczać oczy. — Myślałam, że pani zostanie tu znacznie dłużej. Taki nagły wyjazd...

Joyce umilkła. Diana ukradkiem patrzyła na nią współczująco.

— Jak to dobrze, że pani ma swego synka. Będzie pani miała przy nim tyle roboty, że przez długi czas jeszcze nie starczy pani czasu na nudy.

Joyce wciąż milczała, pochylając się niżej nad prasowaniem.

— Czy ma już pani imię dla niego? Widziałam kiedyś dziecko, które nazwano Arystofanesem. Matka jego była bardzo dotknięta, kiedy powiedziałam, że chyba niezbyt wygodnie jest wołać kogoś takim imieniem. Uważała, zdaje się, że wyrażam się o jej dziecku jak o psie. Nie jestem zresztą pewna, czy tak nie było — małe dzieci i szczenięta to dla mnie prawie to samo.

Joyce podniosła nagle głowę.

— Czy zechce pani być jego matką chrzestną? — zapytała trochę zdyszany głosem. — Chcę panią i doktora Lawsona na rodziców chrzestnych.

— Ja! — zawołała Diana ze zdumieniem. — Ależ drogie dziecko, przecież rodzice chrzestni, zdaje się, biorą na siebie grzechy chrześniaka. A ja już i tak jestem przeciążona swoimi!

— Niech się pani zgodzi! — nalegała już śmieiej Joyce. — Pani i doktor przyjechaliście do Rodezji w wieczór jego urodzin, te trzy miesiące zaś, dzięki pani, doktorowi i dziecku, były najlepsze, jakie tutaj przeżyłam. W moich myślach jesteście połączeni na zawsze, dlatego chcę, aby państwo byli jego rodzicami chrzestnymi.

— A cóż na to szczęśliwy ojciec? Czy jesteśmy godni? Tacy zwykli sobie Cecil Lawson i Diana Webberley?

— Zgodzi się — powiedziała Joyce, w duszy zdając sobie sprawę z walki, jaką będzie musiała stoczyć, zdecydowana jednak tym razem przeprowadzić swoją wolę.

— No, ale nie nazwie go pani Arystofanesem, prawda?

— Nie. Będzie się nazywał Alan Oswald.

— Alan — powtórzyła Diana z namysłem. Tak, to dobrze. Zgadzam się na Alana, możemy go jednak zdrobniale nazywać Pip, prawda? Myślę, że mu się będzie podobało imię Pip. Kiedy go pani przywiezie do Anglii?

— Chyba już nie w tym roku. Może w przyszłym.

— A więc zapraszam was oboje na jak długo i dokądkolwiek będzie się wam podobało, jeżeli tylko zawiadomi mnie pani przedtem. Jestem, jak pani wiadomo, obieżyświat, ale przyjadę natychmiast nawet z antypodów, aby spotkać panią w Southampton, jeżeli tylko da mi pani na to trochę czasu.

— Jaka pani dobra! — wyjąkała Joyce.

— Bynajmniej — oświadczyła Diana, strącając ostrożnie popiół z papierosa. — Mój ojczulek zostawił mi wcale niebrzydki zapas gotówki, nie mam żadnych obowiązków, poza tym zaś będzie mi na pewno równie przyjemnie, jak pani. Pojedziemy do Devonu, jeżeli pani zechce, i wynajmiemy mały romantyczny domek nad morzem. Będziemy uczyć małego pływać, wiosłować, łowić ryby. Wspaniały sport! Ależ, co się stało? — zerwała się nagle. — Moje drogie, dzielne maleństwo, pani płacze!

Joyce starała się rozpaczliwie powstrzymać łzy, ale tylko rozplakała się jeszcze bardziej i wreszcie pozwoliła Dianie zaprowadzić się na fotel.

— No, niech się pani porządnie wypłacze — powiedziała Diana — to pani dobrze zrobi. Nie powinna pani prasować ubranek w taki upalny dzień. Dlaczego służba tego nie robi, na miłość boską? — przeszła się niespokojnie po pokoju, nie chcąc

okazać wzruszenia. — Niech pani nie będzie gąską i nie przepracowuje się. Nie jest pani z żelaza, poza tym zaś musi pani pamiętać o Pipie. Doktor opowiadał mi, że wychowywała się pani w Devonie, dlatego zaproponowałam, żebyśmy tam pojechały. Ale jeżeli woli pani jakąś inną miejscowość... — urwała i pochyliła się nad Joyce, głaszcząc pieśczośliwie jej złociste włosy.

— O, nie, nie! — zawołała przerywanym głosem Joyce. — Rozplakałam się tylko na myśl o tak wielkiej przyjemności. Kocham każdy kamień w Devonie i tak pragnęłam zawieźć tam mego synka, a jednocześnie lękałam się, że mi się to nigdy nie uda. Zaproszenie pani wydaje się zbyt dobre, aby mogło być prawdziwe.

— Nic podobnego. Przeprowadzimy to na przyszły rok, nawet gdybym miała przyjechać tutaj po panią. Niech pani żyje nadzieją i zapomni o tym wszystkim — wskazała na pustynne wzgórze.

— Zapomnę — oświadczyła Joyce uradowanym głosem. — Ale to przechodzi moje najśmielsze marzenia.

Diana znów przemierzyła pokój, jak ktoś, kto chce coś powiedzieć, ale nie umie znaleźć odpowiednich słów.

— Nie potrafię być sentymentalna — zaczęła wreszcie — ani wygłaszać pięknych przemówień. Chciałabym po prostu powiedzieć pani o tym, jaka z pani cudowna kobieta, jak bardzo panią podziwiam i tak dalej. Naturalnie, wiem, czym jest takie życie dla kobiety z takim umysłem jak pani. Nawet podczas tych trzech miesięcy zdarzały się dni, kiedy czułam się jak zablocona dynia w zaniedbanym ogrodzie warzywnym. Człowiekowi się wydaje, że mógłby równie dobrze być grzybem, skoro prowadzi taką egzystencję. A jednak pani zachowuje się tak spokojnie i dzielnie, bez słowa skargi ani narzekania. Na pani miejscu umarłabym raczej, co nie przeszkadza jednak, że podziwiam panią całym podziwem, na jaki mnie stać. Wczoraj dopiero mówiłam Ślicznotce — zakończyła ze swym żartobliwym śmiechem — że chciałabym zawołać wszystkim dzielnym kobietom z kolonii na całym świecie — „Brawo!” Zaczynam więc od pani — rozumie pani?

Krążyła wciąż nerwowo po pokoju.

— Nigdy nie byłam zdania, że z chwaleniem człowieka trzeba czekać, aż umrze. Dlatego właśnie wygłupiłam się i spróbowałam wygłosić przemówienie do pani.

Joyce uśmiechnęła się przez łzy.

— Cóż za cudowna, kochana istota z pani! Nie dziwię się, że oni wszyscy są w pani zakochani. Ja sama uwielbiam panią i będę wprost liczyć dni, dzielące mnie od pobytu w Devonie. Mały i ja będziemy pokornie wielbić panią w skrytości.

— Musimy już doprawdy zmienić temat — roześmiała się Diana zmienionym nieco ze wzruszenia głosem. — Jeszcze dwie minuty, a będę usiłowała panią pocałować, nic zaś nie mierzi mnie bardziej niż widok dwóch całujących się kobiet. *Hallo*, jest doktor! Niech pan tu przyjdzie, doktorze — interwencja osób trzecich jest mile widziana! Roztkliwiłyśmy się zanedo nad dzieckiem.

Doktor zauważył przede wszystkim podejrzaną czerwoność oczu Joyce i przez kilka chwil trudno mu było dostroić się do tonu Diany. Diana odgadła to jednak, zauważyła bowiem jego szybkie spojrzenie, zaczęła więc trzepać na swój ulubiony sposób, aby pokryć jego nagłe milczenie.

— Robiliśmy najrozmaitsze plany na przyszłość — opowiadała mu. — Czy wie pan, że mamy z panem być rodzicami chrzestnymi malca? Jako matka chrzestna mam zamiar na przyszły rok urządzać go dla odmiany na jakiś czas w małym domku w Devonie; pan więc jako ojciec chrzestny będzie musiał przyjechać tam na dłuższy pobyt, aby sprawdzić, czy chrześniak umie już katechizm i inne tego rodzaju rzeczy.

Oczy doktora rozbłysły. Wpatrzył się w ciągnące się dokoła pasmo wzgórz.

— Będzie pani rada z tego wyjazdu — powiedział tylko, zwracając się do Joyce, choć nie patrząc na nią.

— Ta mała gaska po prostu rozplakała się, kiedy usłyszała moje zaproszenie! — oświadczyła Diana, aby jak najprędzej uspokoić go co do powodów podejranej czerwoności oczu Joyce.

— No, muszę już się zabierać — powiedziała po chwili. — Wydałam sobie rozkaz wyjazdu. Przechodzę teraz kurs samowychowania, który polega na doznawaniu nowych wrażeń i oglądaniu nowych twarzy i krajów. — Zapaliła drugiego papierosa i zrobiła nim nieokreślony ruch w kierunku wzgórz i kotlin, widocznych przez otwarte okno. — Ten krajobraz spełnił już swoje zadanie. Nauczyłam się w Rodezji wielu rzeczy. Udaję się teraz na poszukiwanie nowych terenów i pastwisk! Myślę, że pojedę do Paryża. Kontrasty odpowiadają memu niespokojnemu

usposobieniu. Dlatego właśnie dałam nura z pałacu w Kensington prosto do lepianki.

Doktor obserwował ją w milczeniu. Zauważył poprzedniego wieczora, że Burnett był w melancholijnym nastroju, mimo że opowiadał z humorem o wizycie u „Nieodpowiedzialnych”. Zastanawiał się więc teraz, czy przyjaciel oświadczył się i nie został przyjęty, czy też został odrzucony bez słów.

— Wzgórza, kotliny, przedpotopowe powozy zaprzężone w muły, konserwy urozmaicane od czasu do czasu koźlim mięsem i małe Murzyniátka, gołe jak je Pan Bóg stworzył — można przepadać za tym wszystkim, kiedy wystarczy tylko kupić bilet do domu, gdy się już ma dość. Na podstawie jednak moich obserwacji wyrobiłam sobie przekonanie, że główny urok Rodezji dla większości jej zwolenników polega na nieustannej nadziei na to, że „coś się zdarzy”, że trafią pewnego dnia do złotego pałacu Ala-dyna, co utoruje im wspaniałą drogę do wyjścia stąd. Nadzieja ta i brak potrzeby przesiadywania w biurach to dwa potężne magnesy, które wciąż przyciągają tu mężczyzn spoza oceanów.

— Obydwa powody zresztą są wcale ważne — zauważył doktor — wystarczające w każdym razie, aby wydobyć na wierzch zdolności mężczyzny i wypróbować jego dzielność.

— Albo chciwość! Życie w nowo tworzących się krajach polega przede wszystkim na bezlitosnej i okrutnej walce o dobra materialne, walce, w której słabsi zostają stratowani. Przypuszczam zaś, że tego rodzaju życie wywiera przeważnie na człowieka ujemny, przytępiający uczucia ludzkie wpływ.

— Ale przecież wszyscy usiłujemy żyć kosztem drugich i wyzyskiwać naszych bliźnich — oponował doktor. — To prawo utrzymania się przy życiu najsilniejszego, wrodzone naturze zwierząt. Dziwię się tylko zawsze, że ludzie nie są gorsi niż są.

— Przypuszczam, że dobroć ludzka ratuje świat — rzuciła Diana, podczas gdy Joyce wpatrywała się w milczeniu w męską, dobrą twarz doktora, uśmiechając się ukradkiem do jego słów.

— Dziwię się, że pani tak prędko wyjeżdża — zauważył doktor. — Zdawało mi się, że mówiła pani, iż zamierza zabawić tutaj pół roku?

— Doprawdy? Musiał mnie pan źle zrozumieć. Za dwa lub trzy tygodnie wyjeżdżam drogą przez Wschodnie Wybrzeże. A kiedy pan jedzie? — zwróciła się nagle do doktora.

— Zamówiłem miejsce na następnym parowcu pocztowym towarzystwa Union Castle. Opuszczam Salisbury w sobotę.

— W sobotę! — Joyce powtórzyła te słowa głosem, w którym bezgraniczne zdumienie graniczyło z rozpaczą. Nagła wiadomość odebrała jej wprost mowę.

— Wyjeżdżam nieco wcześniej niż zamierzałem — dodał doktor, jak gdyby nie słysząc jej okrzyku — ze względu na pacjenta, który został ciężko ranny w wypadku samochodowym. Telegrafowano do mnie, żebym przyjechał o ile to tylko możliwe. Oczywiście, przyjazd z miesięcznym opóźnieniem nie na wiele się przyda — uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem — ale sugestia czasami znaczy dużo, ten pacjent zaś przekonany jest, że żaden lekarz nie umie tyle, co ja.

Joyce patrzyła w milczeniu na odległe, sine wzgórza. Ręce jej opadły bezwładnie na kolana.

Tylko Diana, nie poruszona na pozór, gawędziła dalej czując tragedię w powietrzu i usiłując, w dobroci swej, zakryć ją zasłoną żartobliwości.

Wreszcie Diana i doktor odeszli razem do Knoll, Joyce zaś zajęła się przygotowaniem lunchu dla męża.

Oswald nadszedł o zwykłej porze. Był podrażniony. Zbiory zapowiadały się niezbyt dobrze, Murzyni uszkodzili łuszczarkę kukurydzy i musiał stracić całą godzinę drogocennego czasu na jej naprawę, poprzedniego zaś dnia dzika świnia poczyniła spustoszenia w jego ogrodzie warzywnym.

— Nie przeżywałem jeszcze niczego podobnego — zrzędził. — Kłopoty i praca od świtu do nocy, nagrody zaś za harówkę żadnej niemal.

Joyce nie odezwała się. Zbyt przyzwyczajona już była do jego ataków narzekań i żalów, aby zwracać na nie uwagę. Wolą ją nawet od chwil, gdy był dumny i zadowolony z siebie, przypominał jej bowiem wtedy Jacka Homera z bajeczki dla dzieci, mówiącego „Co za grzeczny chłopiec ze mnie!”

Zauważyła, że jego obwisła dolna warga zwisa bardziej niż zwykle, że twarz jest zachmurzona, i ze sposobu, w jaki szedł umyć się do swego pokoju, kopniakiem usuwając z drogi jej małego teriera, poznała, że tego wieczoru nic miłego z jego strony jej nie spotka.

— Panna Webberley była tutaj — zauważyła, gdy zasiedli do lunchu. — Jeździła wczoraj z kapitanem Burnettem do Chaldecottów.

— Bardzo niewłaściwe, muszę powiedzieć. Oni nie są nawet zaręczeni, a i gdyby byli, to też by nie wypadało, żeby jeździli we dwójkę na cały dzień.

Joyce milczała.

— Czy nie zgadzasz się ze mną? — zapytał.

— Nie widzę w tym nic złego — odpowiedziała cicho. — I nie sędzę, żeby ktokolwiek inny dopatrył się w tym jakiegoś przewinienia.

— Moja matka zgorszyłaby się okropnie. Zaliczyłaby pannę Webberley od razu do kobiet bardzo swobodnych! Joyce mimo woli pomyślała sobie, że opinia pani Grant niewiele by obeszła Dianę, zachowała jednak w dalszym ciągu milczenie.

— Nie jestem zresztą pewien, czy tak nie jest — ciągnął dalej Oswald. — Wydaje mi się nieco dziwne, że siedzi tutaj tak długo bez żadnej kobiecej opieki.

— Przecież brat jest chyba dla każdej kobiety wystarczającą opieką?

— To zależy. Billy to taki wietrznik. Właściwie nie sędzę, aby nawet mózgi ich wszystkich trzech razem były wiele warte. Żaden z nich nie widzi dalej swego nosa, ponadto zaś nie potrafią zupełnie myśleć o przyszłości.

— Ale za to potrafią być szczęśliwi w chwili obecnej — Joyce wpatrywała się pilnie w swój talerz. Gdyby Oswald pozwalał sobie choć przez godzinę dziennie na rozkoszowanie się terażniejszością, o ileż lżejsze miałyby życie.

— Ładnie by wyglądały żony i dzieci, gdybyśmy wszyscy postępowali w ten sposób. Cóż by ci przyszło z tego, że cieszyłem się bieżącą chwilą, gdybym umarł nagle i pozostawił cię bez grosza?

— Mimo to człowiek nie powinien żyć ustawicznie myślą o tym, że może już jutro umrze. Życie i bez tego jest dość ciężkie.

— Ciężkie! — spojrzał na nią surowo poprzez stół. — Cóż ty możesz wiedzieć o ciężarze życia? Pewnie, że podobają ci się Billy, Jim i Ślicznotka. Nie masz pojęcia, co to znaczy harować dzień w dzień, w pogodę czy w słotę, z tak mizernym wynikiem. Kobietom jest dobrze — stała opieka, żadnych kłopotów, tylko nieustające wakacje.

Rok temu jeszcze Joyce zaprotestowałyby, może nawet dałyby się wciągnąć w sprzeczkę, dziś jednak odwróciła tylko oczy ku oknu — oczy, które ostatnio nauczyły się widzieć tak wiele, oczy dojrzałe, doświadczone i nade wszystko cierpliwe.

— Panna Webberley mówiła, że wyjeżdża za dwa lub trzy tygodnie. Udaje się na jakiś czas do Paryża.

— Paryż! — zawołał drwiąco Oswald. — Cóż za wagabunda z tej dziewczyny! Czemuż nie osiadzie wreszcie gdzieś na stałe i nie zabierze się do jakiejś pożytecznej pracy? Nie znoszę tych nowomodnych niezamężnych kobiet, które same jedne przemierzają powierzchnię ziemi nie przynosząc nikomu żadnego pożytku. To egoistyczne postępowanie, ja zaś nie znoszę egoizmu. Miejscem kobiety jest dom, nie włóczęga po świecie.

— Wątpię, czy ona ma w ogóle jakiś dom.

— Czemuż więc go sobie nie stworzy? Jest przecież zamożna, wesoła i żywa. Wielu mężczyzn ożeniłoby się z nią chętnie.

Joyce ukryła uśmiech. Myśl o tym, że ktoś może wspaniałomyślnie ofiarować samodzielnej Dianie nazwisko i opiekę w celu założenia wspólnego domu, wydała jej się zbyt humorystyczna.

— Wątpię, czy ona kiedykolwiek wyjdzie za mąż — zauważyła.

— A dlaczegoż? Powinna wyjść za mąż. To jej obowiązek, zamiast gadania głupstw o niedomaganiach instytucji małżeństwa.

Joyce dała za wygraną i zmieniła temat.

— Doktor Lawson zamówił sobie miejsce na najbliższym parowcu.

— Doprawdy? Z przykrością się o tym dowiaduję. Lubię doktora mimo jego niezwykłych poglądów. Szkoda, że jest tak uparty w niektórych kwestiach. Byłby wspaniałym człowiekiem, gdyby tylko był religijny.

— Moim zdaniem on i teraz jest wspaniałym człowiekiem.

— Jako lekarz, może. Ale z tymi mądrymi, uczonymi ludźmi zawsze ta sama historia — przekreślają swoje osiągnięcia dziwacznymi zapatrywaniami. Zdaje się, że przeważnie poglądy te mają swe źródło w panującej modzie. Lepiej by było dla doktora, gdyby wierzył w Biblię, niż gdyby miał najbardziej nawet błyskotliwy umysł na świecie. Bo i na cóż mu się to przyda między potępionymi?

— Może nie będzie wcale wśród potępionych. Może w ogóle nie będzie potępionych — wyrwało się Joyce.

Oswald znów spojrzał na nią surowo.

— Nie wiem, czy mówisz poważnie, czy też nie, muszę jednak zaznaczyć, że mówienie takim tonem o tak poważnych rzeczach jest w bardzo złym guście. Mam nadzieję, że doktor nie rozprawiał z tobą o swoich przekonaniach.

— O nie! Doktor nigdy by tego nie zrobił — Joyce wstała od stołu. — Zawołam teraz chłopca, żeby przyniósł dziecko. Słońce zbyt silnie teraz pali dla niego. — Umilkła na chwilę, po czym powiedziała cicho: — Prosiłam pannę Webberley i doktora Law-sona, aby byli jego rodzicami chrzestnymi. Zgodzili się oboje. Mam nadzieję, że i ty się na to zgadzasz.

Nie spojrzał na nią, jak zwykle gdy się gniewał, odłamał tylko z nachmurzoną miną kawałek chleba.

— Znasz moje zdanie w tej sprawie i nie widzę powodu, abym miał je zmienić. Pragnę, aby rodzicami chrzestnymi dziecka byli jego krewni, lord Lindley i lady Penton.

— Bardzo mi przykro — Joyce mówiła wciąż tym samym cichym głosem, ale delikatne usta i mały podbródek zdradzały niezłomne postanowienie. — Nie znam żadnego z nich i może nawet nigdy nie poznam. Nie przypuszczam też, aby któreś z nich interesowało się specjalnie moim dzieckiem. Panna Webberley i doktor Lawson znają małego od urodzenia — uśmiechnęła się lekko — kochają go i będą zawsze kochali, a to znaczy o wiele więcej niż arystokratyczny tytuł.

Zapanowało milczenie; wreszcie Oswald podniósł głowę.

— Czy zamierzasz postąpić wbrew moim życzeniom? — zapytał lodowatym tonem.

— Bardzo mi przykro — Joyce zawahała się przez chwilę — myślę jednak, że szczęście dziecka jest najważniejsze, a chciałabym mieć pewność, że jeżeli z nami coś się stanie, ktoś się nim zaopiekuje. Ani Miss Webberley, ani doktor Lawson nie opuszczą go.

Oswald wstał, ze złością odsuwając krzesło.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że takie ciche stworzenie jak ty potrafi być tak uparte. Widocznie nie mam po co wyrażać swoich życzeń, skoro postanowiłaś już zignorować wszystko, co w tej sprawie mam do powiedzenia.

— Bardzo mi przykro — powtórzyła raz jeszcze i wolnym krokiem wyszła z pokoju.

Całe długie, upalne popołudnie spędziła na szyciu siedząc przy kołysce dziecka. Myśl o rychłym wyjeździe doktora nie dawała jej spokoju.

Jakże będzie go jej brakowało, gdy ustaną miłe wizyty i długie, intymne rozmowy! Jakiż wspaniały wyłom uczynił jego przyjazd w jej szarej, monotonnej, obwarowanej wzgórzami egzystencji! O iluż rzeczach gawędzili tu, na tej cienistej werandzie, czekając aż Oswald przyjdzie na podwieczorek. Podczas tych rozmów Joyce przekonała się, że życie może być piękne wszędzie, byleby się tylko miało odpowiedniego towarzysza.

Czy serce jej wyrывałoby się równie silnie do błękitnego morza Devonu, czy rozpaczałaby tak bardzo z powodu utraty ukochanego Urwisa, gdyby miała w życiu taką miłość, jakiej istnienie teraz już podejrzewała?

A czyja to była wina? — zapytywał jakiś nieznany dotychczas głos wewnętrzny. Czy dano jej jakiś wybór? Czy miała jakieś doświadczenie, które pomogłoby jej w krytycznym okresie życia? Zalała ją fala buntu. Była tak młoda — tak niedoświadczona — tak beztrudnie szczęśliwa, gdy Przeznaczenie kazało jej ślepo związać się na całe życie i odrzucić przypuszczalnie na zawsze możliwość prawdziwego szczęścia. Spoglądała łagodnymi oczami na rozległy horyzont zadając milczące pytania, od których bolało serce.

Czy w ogóle istnieje jakieś Przeznaczenie? Czy w ogóle istnieje coś poza ślepym przypadkiem? Czy może drwiący Los trzyma nici w ręku i cieszy się okrutną radością, gdy któraś z kukielek wstępuje na ścieżkę zagłady? Może doktor, tak dobry, altruistyczny i mądry, posiadał jakąś wyższą wiedzę niż ta, która przypada w udziale przeciętnym ludziom? Może jej mąż, ze swymi zasadami, moralami, drobiazgowym egoizmem i bezgraniczną zarozumiałością, jest tylko spóźnionym wyznawcą jakichś zabobonów?

Skąd może wiedzieć? Któż jej to powie?

Uczucie straszliwego osamotnienia napędziło jej łzy do oczu. Wstała szybko, jak gdyby pragnąc wyrwać się jakiejś duszącej zmorze. Ruch ten i skrzypienie krzesła obudziły śpiące dziecko. Na jego cichutki okrzyk przebudzenia uklękła przy nim natychmiast. Macierzyńskie wzruszenie rozpromieniło od razu jej subtelną, piękną twarz.

— Moje dziecko, moje dziecko! — szeptała miękko. — Mój mały synek, mój drogi chłopiec — dopóki mamy siebie nawzajem,

cóż nas obchodzi walka przekonań, ścieranie się języków ludzkich czy wielka cisza, która nie słucha naszych namiętnych pytań?

Dziecko uśmiechnęło się do niej rozkosznym, niemowlęcym uśmiechem — drobniotka, prześliczna istota o błękitnych oczach i porcelanowej cerze matki. A twarz klęczącej matki przypominała twarze Madonny z wielkich galerii obrazów — miała wyraz owej niebiańskiej dobroci i czułości, dla odmalowania których najwięksi geniusze świata dawali z siebie, co mieli najlepszego.

ROZDZIAŁ XVII

„TY I TWOJE MALEŃKIE DZIECKO”

— Jutro po południu przyjdę pożegnać się z panią. Doktor wypowiedział te słowa poprzedniego dnia i od tej chwili dźwięczały nieustannie w uszach Joyce, zagłuszając wszystkie inne myśli.

Coś w tonie jego głosu — jakiś nieuchwytny niemal akcent nieznośnego cierpienia — gdy powiedział to stojąc w pewnym oddaleniu od niej i unikając jej wzroku — utkwilo jej w pamięci. Nie odpowiedziała nic. Wyrazy konwencjonalnego żalu, banalne odpowiedzi ukazały w tej chwili całą swą niedoskonałość, musiała więc milczeć. Wiadomość ta, zdawało się, nie zaskoczyła jej wcale. Zaraz po tym doktor odszedł pozostawiając ją wpatrzoną w otaczające wzgórza.

Były teraz znów nachmurzone — nachmurzone i jak gdyby drwiąco uśmiechnięte. Czują, że wiedzą, iż on odjeżdża — on, człowiek, który uratował życie jej i dziecku. Człowiek, który na trzy krótkie miesiące zniweczył ich uroczną władzę nad nią.

— On odjeżdża, ale ty zostaniesz — zdawały się mówić — przywiązana do tego małego domku na zboczach, podczas gdy my będziemy cię otaczać ze wszystkich stron i grozić ci, i gnębić cię znów, gdy nam przyjdzie ochota. Nie możesz się nam wymknąć. W którą byś stronę poszła, wszystkie drogi są strzeżone. Jesteś naszym więźniem, tam, na zboczach.

Joyce odrzuciła nagle głowę w tył i uśmiechnęła się odważnie. Przypomniała sobie obietnicę Diany.

— Na przyszły rok ja także wyjadę — oświadczyła. — Wyjadę z moim synkiem do pięknego Devonu. Będzie już wtedy umiał chodzić — oczy jej zabłyśły — będzie zrywał chabry i stokrotki na tych samych łąkach, na których ja je zrywałam, a drobne fale będą całowały jego nóżki. Ach, możecie chmurzyć się na mnie teraz — śmiała się ze łzami w oczach — na przyszły rok jednak na próżno będziecie nas wyglądać. Kiedy wyschła trawa okryje wasze zbocza kobiercem opuszczenia, kiedy pożary zamienią doliny w czarne ścierniska, a suche wiatry będą pędzić kłęby kurzu po całym kraju — my z synkiem będziemy śmiać się i marzyć nad brzegiem błękitnego morza.

Doktor złożył pożegnalną wizytę po południu. O tej godzinie była zwykle sama. Zazwyczaj zajęta była szyciem, podczas gdy synek leżał przy niej w kołysce, dziś jednak odłożyła robotę na krzesło, dziecko zaś trzymała na ręku.

— Mam nadzieję, że nic mu nie jest? — zapytał doktor z niepokojem.

— O, nie — uśmiechnęła się Joyce, siląc się na wesołość — po prostu pieści się dzisiaj.

Nie przyznałaby się nawet sama przed sobą, że trzyma go na kolanach w nadziei, że doda jej otuchy i odwagi.

— Nie mogę dziś zostać dłużej — powiedział z żalem. — Myślałem, że najpierw zobaczę się z panią, potem zaś poszukam w polu męża pani. Muszę się śpieszyć, bo panna Webberley i „Nieodpowiedzialni” będą u nas dziś na pożegnalnym obiedzie.

Joyce znów milczała. Cóż mogła powiedzieć takiego, co by nie brzmiało banalnie i sztucznie wobec wdzięczności, jaka przepelniała jej serce?

Doktor mówił chwilę o nic nie znaczących sprawach, po czym wstał i przeszedł się po werandzie. Zatrzymał się za jej krzesłem patrząc na jej główkę z wyrazem bezgranicznej miłości. Chociaż Joyce nie mogła tego widzieć, przytuliła jednak mocniej dziecko do piersi.

— Rad bym był, gdybym wiedział, że będzie pani zawsze myślała o mnie jako o swoim przyjacielu — powiedział tonem poważnym i łagodnym zarazem. — Zdaje się, że nie ma pani ich zbyt wielu, może jednak pani być pewna, że jeden z nich przynajmniej będzie pani służył do ostatniego tchnienia. — Zapanował

nad sobą i postarał się mówić normalnym głosem. — Czuję, że mam do tego specjalne prawa ze względu na nieprzewidziane okoliczności i ciężkie chwile, które zetknęły nas ze sobą.

— Uratował mi pan życie — odpowiedziała Joyce zmienionym głosem — i uratował pan dla mnie moje dziecko. Nie zapomnę tego nigdy. Mówienie o wdzięczności jest bezużyteczne. Każda myśl moja o panu jest nią przepojona. Doktor milczał. Naraz jednak załamał się w swym postanowieniu.

— Czy mogę liczyć tylko na wdzięczność? — zapytał, siląc się na uśmiech, którym daremnie pragnął pokryć wzburzenie. — Wdzięczność zawiera w sobie zobowiązanie, w tym wypadku zaś nie ma o tym mowy. Czy nie zechce pani nazwać jej przyjaźnią?

Joyce przycisnęła mocniej dziecko — ruch ten nie uszedł uwagi doktora — i trzymając je w ten sposób, wpatrywała się nieruchomo przed siebie. W galerii obrazów Ogrodów Publicznych w Wenecji znajduje się piękny obraz, na którym młodziotka Madonna o gęstwinie kędzierzawych, złocistych włosów i szeroko otwartych oczach, tuląc dziecko do piersi, wpatruje się w przestrzeń, jak gdyby widząc czekające ją lata aż do szczytowej tragedii Ukrzyżowania. Namiętna radość macierzyństwa łączy się na jej twarzy z męką straszliwego przeczucia. Obraz ten wywarł w swoim czasie wielkie wrażenie na doktorze. Widział teraz ten sam wyraz w oczach Joyce Grant.

— Maleńki i ja będziemy zawsze wdzięczni panu i radzi, że to był właśnie pan, a nie kto inny.

Doktor zacisnął usta i milczał wbijając sobie z całych sił paznokcie w ciało. Nie śmiał zamącić resztek spokoju i szczęścia, jakie jej pozostały i nadludzkim wysiłkiem pokonał pragnienie pochylenia się i pocałowania jej.

— Ja... ja... — wyjąkała Joyce, usiłując mówić spokojnie i przerwać nieznośne już milczenie — czuję, że daremnie staram się wyrazić panu moją wdzięczność — ale jednak nie mogę przecież pozwolić, aby pan odjechał nie usłyszawszy słowa podzięk.

— Gdyby pani wiedziała, jaką radością dla mnie było to, że przydałem się na coś... — mimo wysiłków nie mógł całkowicie stłumić wzruszenia. — Chcę jeszcze przed wyjazdem powiedzieć, że jestem zawsze na pani usługi. Wystarczy list pod moim londyńskim adresem albo telegram, czy cokolwiek innego, a zrobię

wszystko, czego tylko pani zażąda. Niech pani nie boi się skorzystać z tego. Jestem samotnym człowiekiem — kiedy tak o tym pomyślę — jeżeli zaś będę czuł, że mogę się na coś przydać pani i mojemu małemu chrześniakowi, będzie mi się wydawało, że nie jestem tak bardzo samotny.

— Pan jest bardzo dobry — wyjąkała Joyce. — Będzie nam pana ogromnie brakowało — małemu i mnie.

— Musi pani pamiętać, co mówiłem o dbaniu o siebie — powiedział, opanowując się z wysiłkiem. — Niech pani stara się nie przemęczać, niech pani stara się zawsze o dobre, świeże jedzenie — bezwzględnie zabraniam jeść konserwy — poza tym *musi* pani mieć jakąś białą kobietę do pomocy. Pomówię jeszcze raz o tym z pani mężem przy pożegnaniu i jeżeli mi pozwoli, zaangażuję kogoś natychmiast po przyjeździe do Anglii. Niech pani nie zapomina, że dziecko będzie się najlepiej rozwijało, jeżeli pani będzie możliwie jak najzdrowsza i najweselsza. Chłopiec jest zresztą silny i nie ma pani żadnych podstaw do obaw. W przyszłym roku — głos jego zachrypł nagle — jeżeli bogowie będą łaskawi, zobaczę może panią i mojego synka chrzestnego w Devonie. Czy będzie pani pamiętała o wszystkim, co mówiłem i będzie pani dbać o siebie? — zbliżył się nieco i zajął jej w oczy. Oboje dusili teraz łyż, których nie byli w stanie powstrzymać. Joyce spostrzegła, że doktor cierpi i próbowała się uśmiechnąć.

— Jestem bardzo niemądra — wyszeptała — ale tak przyjemnie było mieć tutaj pana i pannę Webberley... Będzie mi czasami bardzo smutno i samotnie, kiedy państwo odjadą.

Nie umiał znaleźć słów, stał tylko w milczeniu, ogarnięty przytłaczającym poczuciem własnej bezradności.

Po chwili przemówił wreszcie. Zdawało mu się, że wrywa z siebie słowa:

— Jeżeli będzie potrzeba pani przyjaciela, pośle pani po mnie?... Zaufa mi pani, prawda?... Nawet gdybym nie przyjeżdżał tu przez dłuższy czas i gdybyśmy się nie widzieli w międzyczasie?... — poczuł, że siły go opuszczają. — Zaufa mi pani? — zapytał błagalnie.

Spojrzała w górę. Oczy ich spotkały się — połączone ze sobą niewidzialnymi więzami losu, z którymi walczyliśmy nadaremno. W twarzy jej nie było ani kropli krwi, oddychała z trudem. Wresz-

cie opuściła wzrok i z zawstydzeniem niemal pochyliła się nad śpiącym dzieckiem.

Nie wypowiedzieli ani słowa — ale Joyce zrozumiała. Doktor także zrozumiał — rozumiał wszystko pozostałe także.

Cichy jęk wyrwał mu się z piersi.

— Muszę już iść — powiedział po chwili cicho.

Pochylił się i zamknął jej zimną rączkę w ciepłym, silnym uścisku.

— Czy mogę odjechać z tą myślą, Joyce — zapytał czule — że jeżeli kiedykolwiek potrzebny pani będzie przyjaciel, to zaufa mi pani bez względu na to, ile czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania?

— Tak — szepnęła niemal, nie podnosząc oczu.

— To więcej niż śmiałem się spodziewać — wyprostował się, jak gdyby nie mógł już więcej wytrzymać. — Niech cię Bóg błogosławi. Niech Bóg będzie dobry dla ciebie — dla ciebie i dla twego dziecka.

Joyce usłyszała jego szybkie kroki w dół po zboczu.

ROZDZIAŁ XVIII

W KTÓRYM BURNETT PRZEPROWADZA SWOJĄ WOLĘ

„Nieodpowiedzialni" siedzieli w charakterystycznych pozach. Jim siedział na poręczy, utrzymując równowagę przez owinięcie nóg dokoła narożnego słupka werandy. Ślicznotka leżał jak najniżej w fotelu z nogami opartymi wysoko ponad głową o inny słupek, Billy zaś leżał na wznak na podłodze z rękami pod głową i skurczonymi kolanami.

Odbywali właśnie sąd nad Dianą, ponieważ uparła się przy wyjeździe mimo ich protestów.

Zaciekawioną publiczność stanowili major Egerton i Ted Burnett, którzy tego dnia uczestniczyli w niedzielnym polowaniu.

— Oczywiście — dowodził Jim — nie ma w ogóle powodu, żebyś wyjeżdżała. Obowiązkiem twoim jest poślubić któregoś z tęsknych wielbicieli i pobłogosławić Rodezję swoją obecnością do końca życia.

— Nie uważam, żeby tęskne spojrzenie było zupełnie wystarczającą kwalifikacją do małżeństwa — zauważyła Diana. — Przy-

wodzi to na myśl Ślicznotkę z jego nieodmiennym, rozmarzonym uśmiechem, adorującym nieustannie z głębi najwygodniejszego fotela z nogami dość wysoko nad ziemią, aby uzasadnić konieczność tego, żeby ktoś mu usługiwał.

— Oszczerczym! — oburzył się Ślicznotka. — Czyż nie gotowałem, nie zmywałem i nie przyszywałem dla ciebie guzików z głębi mego przepelnionego serca?

— Jeżeli przyszywałeś guziki w głębi swego przepelnionego serca — wtrącił Billy — to nie dziwię się wcale, że cierpisz na niestrawność.

— Czy zechcesz poinformować nas, jakiego właściwie męża chcesz mieć? — ciągnął dalej Jim, który sam się obrał przewodniczącym. — Czekamy tylko na twój wybór.

— Chcę mężczyzny gospodarnego — oświadczyła Diana. — Jazdę konną i polowanie mogę załatwiać sama, klnąc nawet trochę na dodatek.

— Gospodarnego mężczyzny! — zawołał Jim. — Ależ oto jest przed tobą i to w dodatku z najpiękniejszą prezencją, jaka kiedykolwiek zdołała mundur Jego Królewskiej Mości. Marszałek jest wcieleniem gospodarności. Umie doskonale gotować marmoladę — nieprawdaż, majorze? Czy nie dostałeś na wystawie rolniczej nagrody za własnoręcznie przyrządzoną marmoladę? — która zresztą potem zabiła przypuszczalnie z tuzin ludzi.

— To jeszcze nic — odparł major, śmiejąc się z żartu. — Wczoraj nauczyłem szwaczkę, jak ma nicować prześcieradła.

— Cóż to takiego? — zdziwiła się Diana.

— To się robi, kiedy się już człowiek o mało nie udusi przez to, że wkłada codziennie nogi do jednej dziury, a głowę do drugiej i po tym przekręci się kilka razy z boku na bok w ciągu nocy. W zeszłym tygodniu musiałem wstać w prześcieradle. Właściwie to o mało nie musiałem go nosić cały dzień, takem się zaplątał.

— Cóż za komiczna historia! — Diana parsknęła z zachwyty śmiechem. — Czy odgrywał pan przed lustrem Juliusza Cezara?

— Nie, ale obilem służącego za to, że się uśmiechał. Przynajmniej, jeżeli chodzi o ścisłość, usiłowałem go kopnąć, ale wpadłem tylko z powrotem do wanny.

— Myślę, że po tym uśmiechał się już tylko za drzwiami.

— Niewątpliwie. Sądzę jednak, że mogę uważać się za osobę gospodarną, prawda?

— Och, nie może pan zagarnąć wszystkiego dla siebie — zaprotestował Ślicznotka. — Ja potrafię przyrządzać puddingi, jak państwu wiadomo, pod gwarancją nie trujące, poza tym okładki z siemienia lnianego i cocktaile. Jeżeli zaś chodzi o Burnetta, to trzeba widzieć, jak on umie solić boczek, wydmuchiwać jajka i pić szampana.

— Do mnie najbardziej przemawiają okładki — wtrąciła Diana — mogą się nadzwyczaj przydać w wypadku siniaków i podbitych oczu.

Billy przekręcił się na bok i opierając głowę na ręce spojrzął na nią ze szczególnie niewinną miną, jaka u niego zwykle poprzedzała szczególnie złośliwą uwagę.

— Wydaje mi się, Diano — powiedział — że najlepiej zrobisz, jeżeli weźmiesz wszystkich. Myślę, że zrobisz doskonały interes. Dlaczegoż nie odwrócić normalnego porządku rzeczy i nie założyć sobie haremu? Zawsze myślałem o tym dla siebie.

Jim zaczął się tak śmiać, że o mało nie spadł z poręczy, Ślicznotka zaś rozejrzał się leniwie i oświadczył:

— Billy, zamilknij. Jesteś w tym procesie tylko na prawach widza.

Billy zamilkł, ale naraz zaczął akompaniować chichotom Jima, na co Diana zawołała:

— Zupełnie jak para uczniaków, prawda? Teraz już będą nieznośni przez resztę popołudnia. Jeżeli Jim zaczyna się śmiać, a Billy przyłącza się do niego, to zwykle oznacza to zepsuty dzień dla wszystkich innych.

— Niech pani pomyśli tylko, jak pani będzie ich brakowało! — powiedział Burnett. — Nie będzie pani wiedziała, co z sobą począć w Anglii, nie mając nikogo, kogo by pani mogła łącać i o kogo mogłaby się pani troszczyć.

— Może i nie będę miała, ale nawet dobre rzeczy mogą się znudzić. Posłuchajcie tylko, co zrobiłam przez zeszły tydzień, ja, „panna bez określonego zajęcia”. Zacerowałam dziewięć par skarpetek i dwie pary pończoch. Na niektóre skarpetki musiałam nałożyć łąty. Naturalnie nie warto wcale ich było reperować, ale kiedy nikt tutaj nie ma pieniędzy na kupienie nowych... — rozłożyła ręce i wzruszyła znacząco ramionami. — Poza tym trzeba było jeszcze połącać trzy czy cztery sztuki spodniej bielizny, wstawić kolana do tweedowych krótkich spodni Billa i zacerować

dziury, które Ślicznotka wypalił tytoniem w swoim jedynym przyzwoitym flanelowym ubraniu.

— Czy Jim opowiadał ci kiedy — przerwał jej Billy, kładąc się znów na boku i patrząc na nią z miną pełną poważnego zainteresowania — jak raz wyciął siedzenie z pary moich starych spodni i wszył je do swoich i jak ja nie zauważywszy tego włożyłem tamte spodnie i... — nastąpiła pauza tak wymowna, że niepodobna było powstrzymać się od śmiechu. Diana rzuciła weń książką, wołając:

— Billy, umilkniez ty wreszcie!

— Droga Diano — odparł urażonym tonem — dlaczego skaczesz mi do oczu, kiedy ja staram się tylko przyczynić się do ogólnej wesołości? Chciałem tylko powiedzieć, że zaraz znów je zdjąłem — wyraz obrażonej niewinności na twarzy Billa był swego rodzaju arcydziełem.

— Kompletni idioci — stwierdziła Diana.

Wstała i poszła zrywać róże. Major poszedł za nią. Nie pierwszą to niedzielę spędzał w Knoll. Przyjeżdżał tu już wiele razy od czasu przyjęcia w Domu Rządowym i nie ukrywał wcale faktu, że główną atrakcją była dla niego Diana. Żadne bowiem ukrywanie nie leżało w naturze Guya Egertona. Nie dbał nigdy

o ludzkie sądy. Należał do tego typu mężczyzn, którzy podlegają różnym wpływom w drobnych sprawach, w poważnych zaś powodują się tylko własnym zdaniem. Jeżeli chciał czegoś i był tego zupełnie pewien, potrafił dążyć do osiągnięcia celu nie oglądając się na nic, co niewątpliwie przyczyniło się do jego wspaniałych wyczynów wojennych.

Nie był jeszcze właściwie zakochany w Dianie, ale bawiła go

i interesowała, toteż żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni.

Ścinając róże gawędzili wesoło, przekomarzając się ze sobą w sposób, który dawał pole do popisu obojgu, co może było główną podstawą ich wzajemnej sympatii.

— Nie powinna pani odjeżdżać i porzucać Rodezji — zwrócił się do niej, gdy wracali do domu z kwiatami. —

Właściwie to pierwszorzędny kraj.

— Pustynia pełna much, komarów i piasku! — odparła Diana ogarnięta duchem przekory. — Nigdy w życiu jeszcze nie widziałem tylu much naraz, ile tutaj widuje się w ciągu godziny. Piasek zaś jest wszędzie. Je się go, pije się go i śpi się na nim.

— To niewiele gorsze od błota i mgły w Anglii. Komu się chce mieszkać w kraju, gdzie czerwiec jest zimniejszy niż w Laponii i nie można dostać służby domowej?

— Tutejsza służba to tylko nieco inteligentniejsza odmiana pawianów — oświadczyła Diana. — Siwieję już od wysiłków wbicia odrobiny rozsądku do głowy Półmiska.

— Ależ tutaj można mieć doskonałych służących. Mój obecny lokaj usługuje mi równie dobrze, jak najlepszy biały służący, jakiego kiedykolwiek miałem. Niektórzy zaś Murzyni doskonale gotują.

— Ale ci nie przychodzą do farm, co się zaś dzieje wewnątrz ich osiedli, to mnie mało obchodzi — odparła, gdy podeszli już do reszty towarzystwa.

— Ja uważam, że wewnątrz jest najważniejsze — zauważył od niechcienia Ślicznotka. — Możecie mnie myć albo nie, bylebyście dawali mi jeść.

— Jesteś taki sam jak Święty — zawołała Diana. — Moglibyście doprawdy założyć tutaj Klub Brudasów.

— Nie obrażaj Świętego, którym szczyli się nasza okolica! — oburzył się Jim. — Święty Oswald wierzy szczerze, że czystość idzie w hierarchii tuż po boskości, jest jednak tak zajęty boskością, że nie ma czasu na żadne poboczne sprawy. Ale na pewno kąpie się w soboty. Za to ręczę.

— Czy mówicie o tym Grancie z Killarney? — zapytał major. — Cóż się stało z jego śliczną, młodziutką żoną? Widziałem ją raz tylko w mieście i więcej już nigdy.

— Wyszła za mąż za antyk, odkopany przez kogoś trzydzieści sześć lat temu — odparła z pewną goryczą Diana — który lubi, żeby kobieta знаła swoje miejsce, to mianowicie, gdzie ją umieszczali patriarchowie w 900 roku przed Chrystusem.

— Bardzo rozsądny człowiek — zauważył Billy z podłogi. — Dawne, dobre czasy! Zawsze myślałem o tym, że chciałbym być na miejscu Salomona!

Usiadł i przeciągnął się uchylając się zręcznie przed poduszką, którą Diana wycelowała mu w głowę.

— Co pan na to, żeby zbadać jeszcze jeden pagórek, majorze? Mam przecucie, że na tym małym pagórku z okrągłym wierzchołkiem jest jeszcze kilka kozłów.

Powstało ogólne poruszenie, zbieranie strzelb i po chwili wszyscy znów wyruszyli z ożywieniem na poszukiwanie kozłów,

ptaków czy jakichkolwiek dzikich zwierząt, jakie im się nawiną pod strzelbę.

Diana towarzyszyła im niosąc strzelbę. Burnett szedł przy niej, chociaż usiłowała przyłączyć się do Ślicznotki lub Jima, aby udaremnić zamiary Teda.

Nie wiedziała niemal, dlaczego tak postępuje, poza tym, że od czasu wizyty u Chaldecottów w ich wzajemnych stosunkach nastąpiła subtelna zmiana. Nie zmieniła jednak swego postanowienia, powziętego owego wieczora w obliczu gwiazd, że powstrzyma go od wypowiedzenia jego uczuć dla niej. Wiedziała instynktownie, że wbrew sobie samemu zabrnął już głębiej, niżby sam chciał, ponieważ zaś decyzja jej była nieodwołalna, pragnęła powstrzymać go i pomóc mu wydobyć się z matni.

Ale mały bożek miłości to przekorne, kapryśne stworzenie, mogłaby była zatem oszczędzić sobie kłopotu.

Teraz więc widząc, że nie uda jej się uniknąć rozmowy z Burnettem, przywołała na pomoc cały swój humor i wesołość i rozprawiała błyskotliwie o wszystkim i o niczym, nie pozostawiając miejsca na powagę lub najlżejszy choćby przebłysk sentymentu. Czowała jednak coraz wyraźniej, że Burnett zdecydował postawić na swoim i nie da się odwieść od tego zamiaru. Ukradkiem spoglądała na jego silną, poważną twarz, śmiejącą się z jej powiedzeń, nie tracącą jednak ani na chwilę wyrazu stanowczej decyzji. Sam mówił niewiele, milczenie jego jednak było jak zwykle pełne aprobaty i życzliwego zainteresowania. Diana uświadomiła sobie nagle, jak to już nieraz wyczuwała mglisto podczas ostatnich kilku tygodni, że najlepiej jest jej w towarzystwie Burnetta. Indywidualność jego działała na nią w ten sposób, że dodawała subtelności i głębi jej ciętym uwagom. Gdy się nie pilnowała, życzliwy ten nastrój przeistaczał się w milczące porozumienie, pełne powagi, które pociągało ją i przerażało zarazem. Przeszło jej nawet raz przez myśl, że gdyby nie jego namiętne zamiłowanie do życia w koloniach, gdyby nie miłość do pagórków i kotlin rodezyjskich, jak dobrze byłoby rzucić wiosła i dać się unieść prądowi na słoneczną rzekę miłości. Stłumiła jednak natychmiast tę myśl, czując, że dzieli ich od siebie pół świata — szeroki, grzmiący ocean, którego żadne z nich nie zdoła przebyć. Nie przyszło jej nawet do głowy, że on mógłby porzucić swe obecne życie dla jej miłości. Byłoby to niemożliwe. Cóż by on teraz mógł robić, kiedy już

opuścił wojsko i stracił w mniejszym czy większym stopniu łączność z Anglią? W każdym wypadku zresztą Anglia zaczęłaby go nużyć i męczyć po roku, ona sama zaś czułaby, że jest mu kulą u nogi, trzymającą go z dala od właściwej drogi życia.

Wobec tego, myślała, nie powinien się jej oświadczyć. Lepiej dla nich obojga, aby rozstali się przyjaźnie, bez silniejszych wzruszeń.

Ale Ted Burnett sądził inaczej, należał zaś do ludzi, którzy działają na własną rękę i nie pozwalają nikomu kierować sobą. Jak Diana podejrzewała, wyczekiwał po prostu odpowiedniej chwili, bynajmniej nie speszony jej pozorną obojętnością, instynkt bowiem mówił mu, że obojętność ta jest w połowie przynajmniej udana. Diana wyczuła to po chwili, słowa więc zamarły na jej ustach, gdy zaś zawrócili do domu, umilkła zupełnie.

— Więc pani rzeczywiście wyjeżdża — powiedział wreszcie, nie starając się wcale ukryć żalu. — Czy wie pani, że wolałbym niemal, żeby pani nigdy nie była przyjeżdżała?

Spróbowała zbyć te słowa żartem.

— To bardzo przykre po tym, kiedy starałam się być tak miła dla was wszystkich i rozerwać was trochę.

— Nie przypuszczam, żeby potrzeba było na to wielkich wysiłków — odparł ze swym spokojnym uśmiechem. —

Myślę, że jest pani najmiłsza wtedy, kiedy jest pani po prostu sobą.

— Niech pan przestanie! — zawołała, podnosząc ręce z wesołym protestem. — Nic nie sprawia mi większej przykrości niż uprzejme komplementy. Wiem, że czasami jestem bardzo miła. Nie mam co do tego żadnych złudzeń, jestem zanadto uczciwa, aby udawać, że jest inaczej. Wiem jednak także, że jestem niezrównoważoną, podlegającą nastrojom, niezrozumiałą często dziwaczką. Niech pan doda te dwie rzeczy i weźmie przeciętną, a otrzyma pan znośną osobę z lekką skłonnością do ekscen-tryczności. To już najwięcej, co mogę sobie przyznać.

Uśmiechnął się znów spokojnie, patrząc jej w oczy, aż w końcu odwróciła wzrok.

— Gdyby tylko dziwaczka pokochała Rodezję i zgodziła się uważać ją za dom od czasu do czasu? — powiedział pytająco, patrząc na nią wciąż uporczywie.

Zebrała całą swoją odwagę i odwzajemniła jego spojrzenie.

— Pańska dziwaczka okazałaby się dziurą we flecie, psującą melodię — odparła. — Niech pan będzie mądrym człowiekiem, kapitanie Burnett. Chcę panu w tym pomóc. Niech pan postara się utrzymać melodię, zachować swoje mleko, miód i promienne, nieporównane słońce i zapomni jak najprędzej o dziwaczce.

— Nie zrobię tego nigdy. Wolę nawet być nierozsądnym. Szli dalej w milczeniu. Po raz pierwszy niemal w życiu Diana

nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Nie doceniła jego stanowczości i siły.

— Wiem, że pani nie chce, abym mówił — odezwał się po chwili Burnett — ale ponieważ wiem także, że ekscentryczna panna zostanie już na zawsze w moich myślach, nie pozwolę się odwieść od tego. Obroty koła fortuny potrafią przynieść wiele nieoczekiwanych niespodzianek. Może się nawet zdarzyć, że zmęczona włóczęgą, nie znajdując solidnego oparcia pod nogami, nawróci się pani w końcu do tego spokojnego, szczęśliwego, słonecznego życia.

— Nie! — zawołała z naciskiem. — Nie, nie! Nie dawał jednak za wygraną.

— Czy odpowie mi pani na jedno pytanie? Gdybym, że tak powiem, nie zagrzebał się tutaj — gdybym powrócił do świata — do świata w pani i moim znaczeniu — czy nadal starałaby się pani tak bardzo przeszkodzić mi powiedzieć pani, że ją kocham?

Diana chciała potwierdzić, słowa jednak zamarły na jej ustach i umilkła.

Burnett przysunął się nieco bliżej i zawładnął jedną z jej silnych, kształtnych rąk, które zawsze tak podziwiał.

— Niech mi pani da przynajmniej tę nadzieję — rzekł prosząco — niech pani powie, że mogłoby być inaczej.

— Nie — odparła smutno. — Miłość może rozkwitnąć na pewnych odmianach poświęcenia, ale nie na takim poświęceniu. Wiem, że nigdy nie ujawniłby pan żalu, ani nie pozwoliłby pan nikomu go dostrzec, ale właśnie te niewypowiedziane sprawy popsułyby nam wszystko. Węzeł, który stał się pętami, jest najgorszą rzeczą w świecie. Czuję, że umarłabym raczej niż zaryzykowała to.

Szedł w milczeniu obok niej. Mimo zapadającego zmroku dostrzegła, że zbladł bardzo i zacisnął usta.

— Mogłaby pani zawsze odzyskać wolność, gdyby pani zechciała — powiedział wreszcie. — Uważam, że żaden mężczyzna nie ma prawa trzymać kobiety, jeżeli ona pragnie być wolna. Tylko tchórz może postąpić w ten sposób. Mężczyzna powinien ukryć cierpienie i usunąć się.

Diana w odpowiedzi potrząsnęła tylko głową.

— To zbyt ryzykowne. Och, czy pan nie wie, jak ja kocham wolność? Świat jest tak wspaniały i tyle jest na nim do zrobienia i zobaczenia, dopóki się jest nie związanym. Pańska miłość uczyniłaby mnie na jakiś czas szczęśliwą — wiem, że tak jest — ale potem przyszedłby dzień, w którym zamarzyłabym o migdałach kwitnących nad brzegiem błękitnego morza w Japonii, o niebieskich gencjanach w Austrii, o wyspach greckich z ich czarownicami ruinami lub o wiecznie ośnieżonych szczytach Himalajów. Gorączka wzburzyłaby moją krew i uczyniłaby ze mnie nieznośnego towarzysza. Po cóż, znając siebie, miałabym narzucać swój niedosyt wrażeń człowiekowi, którego wolę od wszystkich innych? — usiłowała roześmiać się lekko. — Gdybym pana nie lubiła lub gdybym miała jakąś złość do pana, mogłabym ukarać pana wysłuchaniem pańskiego życzenia. Ale przy obecnym stanie rzeczy proszę tylko, aby pan porzucił tę myśl.

Zamiast odpowiedzi schwyił także jej drugą rękę i mocno ścisnął obydwie.

— Usłyszałem od pani więcej, niż miałem nadzieję usłyszeć — rzekł. — To, co było przedtem zaledwie przypuszczeniem, nabiera teraz pozorów możliwości. Kochana moja, wolę już, żeby pani odjechała teraz lubiąc mnie, niż gdyby miała pani zostać tutaj i traktować mnie obojętnie. Mogę czekać. Niemal na wszystkie rzeczy, które warto osiągnąć, trzeba czekać. Gdyby nawet pani nigdy nie miała wrócić, będę wiedział, że panią znałem i kochałem, a to już jest wiele.

Oczy jej załśniły podejrzenie, postarała się jednak śpiesznie to ukryć.

— Postąpi pan rozsądniej, jeżeli pan zapomni o mnie od razu — obstawała przy swoim. — Tak ja mam zamiar postąpić. To jedyny sposób na marzenia, które nie mogą się ziścić. Rozsądni ludzie zajmują umysł czym się da i wypychają w ten sposób z pamięci Zakazany Raj. Tylko głupcy i sentymentalisci zostają na szczycie góry, spoglądając tęsknie na ten raj. Nie wrócę już do

Rodezji. Jest czarowna, ale wystarczy widzieć ją jeden raz. Nic nie pociąga mnie tak, jak stare cywilizacje i miasta, przeładowane skarbami sztuki. Owszem, lubię nie udeptane ścieżki, ślady wymarłych dynastii lub wodopoje dzikich zwierząt, ale wasze pagórki, równiny, drzewa gumowe, niezmiennie bungalowy i ogólny, wstrętny wygląd nowości zaczyna mnie już razić i chcę już jak najprędzej wyjechać. Byłam cudownie szczęśliwa w Knoll z tymi kochanymi trzema dziećmiakami, wiem jednak, że to nie potrwałoby długo, mam zaś zasadę opuszczać jakieś miejsce, dopóki mi się jeszcze podoba.

Burnett spojrział ze smutkiem na znajome wzgórza, czując, że nic już nie pozostało do powiedzenia. Był przygnębiony, mimo nowych nadziei.

Diana umilkła, zdając sobie nagle sprawę, że cios dotknął go silniej, niż się spodziewała. Coś w tonie jego głosu mówiło jej, że ten spokojny, silny mężczyzna potrafi odczuwać bardzo głęboko i że poruszyła samo dno tych uczuć. — Kocham panią bez zastrzeżeń — powiedział na zakończenie. — Nie będę już o tym mówił, dopóki będę czuł, że to pani sprawia przykrość. Chcę jednak, żeby pani o tym pamiętała, gdziekolwiek pani będzie. Dobranoc! — odwrócił się — znajdowali się już przy samym domu — i odszedł nie oglądając się.

ROZDZIAŁ XIX

ZAWODY STRZELECKIE PAŃ

Na werandzie Diana zastała Ślicznotkę palącego w samotności fajkę. Major Egerton odjechał już, a Jim i Billy znajdowali się gdzieś przy kuchni doglądając oprawiania dwóch upolowanych przez siebie kozłów. Widząc Dianę Ślicznotka wstał i wyszedł jej na spotkanie. Wiedziała, że obserwuje ją bacznie.

— Chodź, usiądziemy przy mimozie — powiedział prowadząc ją do ławki stojącej niedaleko od domu. Poszła z nim automatycznie, odczuwając tylko przykre zmęczenie i przygnębienie.

— A więc odprawiłaś go z niczym — zauważył Ślicznotka w zamyśleniu. — Biedny Burnett! To ciężki cios dla niego!

— Skąd wiesz, że go odprawiłam?

— Wiem dlatego, że znam Burnetta i znam ciebie.

— Inaczej nie można było postąpić — powiedziała na pół do siebie. — Staralam się zapobiec tej rozmowie.

Ślicznotka w milczeniu palił fajkę. Milczenie w towarzystwie kogoś tak rozumiejącego, jak on, przynosiło ukojenie i Diana była mu wdzięczna. Po chwili przemówił:

— Ciekaw jestem, czy zdajesz sobie dokładnie sprawę, jak bardzo go kochasz, Diano. Ostatnimi czasy myślałem kilkakrotnie, że nie wiesz o tym wcale.

— Z czego wnosisz, że go w ogóle kocham? Uśmiechnął się wpatrzony w ciemności.

— Sam kocham, a to otwiera człowiekowi oczy na rozmaite sprawy. Właściwie to jedyna rzecz, która otwiera człowiekowi oczy. Najlepsi ludzie to ci, którzy nigdy nie byli zakochani.

— Ale miłość jest taka straszna. Mówiłam ci już kiedyś, że się jej boję. Przeczuwam, że gdyby ukochanego zabrakło, zgasłoby słońce, znikłaby radość, nieznane, dalekie kraje straciłyby swój urok i umarłoby wszelkie piękno rzeczy bliskich.

— Ale tylko na pewien czas — zaprzeczył. — Prędzej lub później rodzi się nowe bogactwo, pełnia i zrozumienie — żeby nie wiem jak silny był ból — których inną drogą nigdy się nie osiągnie. Koniec końców największą sztuką życia jest żyć, prawda? — nawet jeżeli życie sprawia cierpienie. Bez wątpienia zaś na to, aby żyć w najlepszym znaczeniu tego słowa, trzeba przejść przez jakąś próbę ogniową. Nie będziesz przecież tchórzem, Diano? To u ciebie nie do pomyślenia.

— Mam nadzieję, że nie, ale muszę przejść próbę sama. O ile tylko będzie to zależało ode mnie, nie wciągnę do niej nikogo innego. Dałam mu sposobność zapomnienia, obawiam się bowiem nieszczęścia dla nas obojga. Sama także postaram się zapomnieć, dopóki jeszcze czas.

Siedzieli jeszcze chwilę w milczeniu, po czym usłyszeli głos Billa wołający ich na kolację.

Gdy wstali, Ślicznotka zatrzymał się na chwilę, patrząc na jej twarz oświetloną światłem gwiazd.

— Czy wiesz, Diano? — powiedział — Mam nadzieję, że nie zdołasz zapomnieć. Mam nadzieję, że wszystkie twoje wysiłki

pójdą na marne. Jeżeli widziałem kiedykolwiek mężczyznę, który potrafi uczynić cię szczęśliwą, to jest nim Burnett. Potrząsnęła przecząco głową i odpowiedziała stanowczo:

— Nie ma co, Bertie. Moje postanowienie jest niezłomne. Przypuszczalnie nie zobaczę go już nigdy po wyjeździe stąd. Będę się starała go unikać.

Żadne z nich nie poruszyło więcej tego tematu. Burnett zaś nie pokazywał się już w Knoll. Nikt jednak się temu specjalnie nie dziwił, ponieważ doktor już wyjechał, Diana zaś miała odjechać za parę dni.

— Ostatni mój występ publiczny w Salisbury — oznajmiła nazajutrz z rana — będzie miał miejsce na zawodach strzeleckich dla pań. Pożegnani tam moich rodezyjskich przyjaciół, po czym zapakuję swoje najlepsze suknie.

— Czy my nie jesteśmy warci tych najlepszych? — zapytał Ślicznotka, zmagając się z puszką rybnych konserw.

— Myślałam, że kochacie mnie nawet w łachmanach — odcięła się rzucając mu figlarne spojrzenie.

— Ja owszem, ale nawet miłość ma swoje gradacje. Gdy na przykład widzę cię w kostiumie od Wortha i paryskim kapeluszu, serce bije mi o kilka uderzeń prędzej niż wtedy, kiedy chodzisz w wyblakłym płótnie z rozfryzowanymi włosami.

Jim krajał szynkę wrywając z niej nieforemne kawały, bo metoda ta była szybsza od krajania na plastry.

Zdeformowawszy ją dokumentnie, zauważył:

— Powinno ci to dowieść, jak ogromne jest moje uczucie dla ciebie. Uwielbiam cię we wszystkim — nawet w flanelowym kaftaniku i papilotach.

— Ty oszczerco! Nikt nigdy nie widział mnie w niczym podobnym. Cóż ty zrobił z tej szynki? Billy, dlaczego pozwalasz mu tak marnować jedzenie?

— Droga Diano, jedno twoje spojrzenie działa skuteczniej niż cała seria moich przekleństw. Nie mogę zresztą zrozumieć dlaczego — z takim zezem!

— Wcale nie zezuję! Jak śmiesz mówić coś podobnego! Ślicznotko, jeżeli mnie kochasz, uderz go w lewe oko łyżką od cukru!

Billy położył rękę na ramieniu Ślicznotki.

— Zachowaj spokój — powiedział tonem pełnym powagi. — Zachowanie spokoju jest zawsze najważniejszą rzeczą.

— Pytanie jest tylko — powróciła Diana do przerwanoego tematu — z kim mam strzelać w deblu mieszanym.

— Mówisz tak, jak gdybyś mogła wybierać spośród całego Salisbury. Już to doprawdy, Diano, twoja bezgraniczna próżność... — Billy wzruszył znacząco ramionami.

— Owszem, mogę — zareplikowała. — Nie ma...

— Nie, nie możesz — przerwał. — Ja na przykład nie strzelałbym z tobą, gdybyś nawet była jedyną kobietą w Afryce. Wiem doskonale, że jeżeli twój partner choć raz chybi, to dostanie w głowę kolbą.

— Niewątpliwie — roześmiała się Diana — ale nie powinieneś tego wszystkim opowiadać.

— Żądam, abyśmy tylko my ze Ślicznotką ciągnęli o to losy między sobą — oznajmił Jim. — Przez wszystkie te tygodnie trudziłeś się dla ciebie, powinniśmy więc teraz podzielać twój ostatni triumf.

— Owszem, ale mam także ochotę na marszałka. Uwielbiam jego śmiejące się spojrzenie.

— Lepiej zostaw marszałka w spokoju — poradził Billy — jeżeli nie chcesz, żeby inne kobiety cię rozszarpały.

— Ale jak mam w końcu zdecydować? Chcę strzelać ze Ślicznotką, bo będzie porywająco wyglądał leżąc na wale, z Jimem ze względu na jego sokole oko, a z marszałkiem dlatego...

— Cóż?

— Dlatego, że ma takie ładne buty.

— Nie bądźże idiotką! — zawołał Billy. — Jeżeli chcesz zwyciężyć, to strzelaj z Jimem, a może dostaniesz drugie miejsce. Pierwsze dostanę ja z panią Adair.

— Założmy się o suwerena, że nie dostaniesz! — zaproponował Jim.

— Nie mam suwerena i wcale nie mam nadziei, że będę miał. Ale postawię moje salisburyjskie buty.

— Nie pasują na mnie. Postaw salisburyjską koszulę i odkup od Ślicznotki jego część, jeżeli ja zwyciężę.

— Ale co mam zrobić, żebyście wszyscy trzej mogli się pokazać razem mniej więcej przyzwoicie ubrani?! — zawołała naraz Diana z przerażeniem. — W jaki sposób mam pomiędzy

trzech ludzi podzielić dwie pary znośnych butów, jedną dobrą koszulę, dwa przyzwoite krawaty i jedną jako tako wyglądającą parę spodni do konnej jazdy?

— Mnie właśnie zabrakło kapelusza i butów — oświadczył Ślicznotka tonem, który wywołał wybuch śmiechu jego dwóch przyjaciół.

— A może to będzie zabawa kostiumowa? — zapytał po chwili Jim. — Chętnie bym wystąpił owinięty tylko w „limbo” jako Duch Cezara.

— Ja bym włożył parę skór i w rękę trzymałbym szarańcze i miód dzikich pszczół — dodał Billy. — Ślicznotce zaś wystarczyłaby aureola i jego anielski uśmiech, aby uchodzić za archanioła Gabriela.

— Kostiumowe zawody strzeleckie! — oburzyła się Diana. — Oszałeliście już zupełnie! Jeżeli już koniecznie chcecie się poprzebierać, to najodpowiedniejszym dla was przebraniem są powijaki.

— Przecież właśnie to proponowałem — odparł urażonym tonem Jim. — Wszystko mi jedno, jak to nazwiesz — Duch Cezara czy Pisklę Żurawia.

— Przede wszystkim rozsądek nakazuje ustalić teraz, ile mamy wszyscy razem pieniędzy. Same bilety wejścia będą kosztowały nas około 16 szylingów.

— To rozwiązuje sprawę — Billy odsunął krzesło i wstał — gdyż ja wiem, że mamy w kuferku tylko jednego funta, zostanie więc tylko cztery szylingi na ubranie. Będziemy musieli udać się do sklepu Borrowdele'a i zapytać, czy możemy dostać dwie koszule po szylingu sztuka, dwie pary spodni po szylingu para i kapelusz na dodatek. Można by zabrać także trochę kukurydzy i przehandlować ją na inne potrzebne nam rzeczy.

— Dlaczego, na miły Bóg, nie zarabiacie pieniędzy? — zawołała z rozpaczą Diana. — Dlaczego siedzicie na tej farmie jak trzy buraki i wegetujecie tylko?

— Ależ gdybyśmy się mieli troszczyć o zarabianie pieniędzy — perswadował jej Jim — moglibyśmy równie dobrze zostać w Anglii. Przyjechaliliśmy tutaj, bo myśleliśmy, że tu ubranie nie będzie nam potrzebne i nie będziemy musieli pracować.

— Ja przyjechałem, bo myślałem, że nie będę musiał się myć.

— Biedna Rodezja! — jęknęła Diana.

— Coś wam powiem, chłopcy — przerwał jej Jim. — Możemy pożyczyć niedzielne ubranie Szaflika. W zeszlą niedzielę miał na sobie stary frak, sztuczkowe spodnie, różową koszulę i błękitny filcowy kapelusz. Słuchaj, Diana, czy weźmiesz mnie ze sobą w tym stroju jako swego przybocznego wariata?

— Me! Ale zrobię co innego. Ubiorę się zaraz i pojedę z jednym z was do miasta po wszystkie potrzebne rzeczy. Chodź, Billy! Przyrzekliśmy, że przed moim wyjazdem przyjdziemy do pani Adair na lunch. Zrobimy to dzisiaj. Wstała szybko i poszła ku wyjściu, podczas gdy Billy wzruszył ramionami z miną ofiary.

— Nie bądź osłem, Billy, i nie udawaj, że ci się nie chce jechać! — dodała od drzwi Diana. — Nie zrewanżowałeś się jeszcze pani Adair od czasu, jak cię położyła na obie łopatki na przyjęciu u Hetheringtonów. Wiem doskonale, że umierasz z pragnienia odwiedzenia jej dzisiaj.

— Gdybym tylko mógł jechać tak, jak stoję! — Billy spojrzał ze smutkiem na swoje niebieskie drelichowe spodnie z miedzianymi sprzączkami i podkute buty. — Błogosławię Chaldecotta od czasu, jak wprowadził w modę te rzeczy.

— Ludzie pomyśleliby, że pracujesz, gdyby cię zobaczyli w tym stroju — a szkoda, żebyś miał sobie popsuć reputację.

— Niewczesny sarkazm, droga Diano, jest oznaką słabego intelektu — odciął się Billy. — My wszyscy tak staramy się kochać cię i podziwiać, po cóż więc nam to nieustannie utrudniasz?

— Idź się przebrać i nie gadaj tyle — zawołała już zza drzwi. W pół godziny później odjechali razem. Stanowili piękną

parę, najmiłą zaś ich cechą było niewątpliwie ich gorące wzajemne przywiązanie.

W rezultacie ich wyprawy po zakupy cała trójka w następną sobotę wyglądała niezwykle wytwornie, co, jak Diana oświadczyła marszałkowi, było wyłącznie jej zasługą.

— Ludzie mówią, że małe dzieci sprawiają dużo kłopotu — mówiła — ale moim zdaniem trzech dorosłych mężczyzn potrzebuje więcej opieki niż sześcioro niemowląt i może przyprawić kobietę o siwiznę i wpędzić ją przedwcześnie do grobu.

Marszałek roześmiał się jowialnie. Od chwili przyjścia na zawody nie odstępował Diany ani na krok, toteż teraz odpowiedział znacząco:

— Gdyby się otworzył jaki wakans, chętnie bym go zajął jako jeszcze jedno niemowlę.

— Ale, mam nadzieję, że nie podziela pan niechęci Billa do mycia? Powiada, że przyjechał do Rodezji, bo myślał, że tutaj nie będzie musiał się myć. Mówiono mu, powiada, że tu się nikt nigdy nie myje, i ma teraz o to wielki żal.

— Zmienił zdanie? Teraz już uważa, że się myjemy niekiedy! Na przykład w niedzielę i święta? Z kim pani strzela?

— dodał. — Dlaczego pani nie zaprosiła mnie na partnera?

— Chciałam — odparła z niewinną miną — poradzono mi jednak, żebym tego nie robiła, jeżeli chcę dostać nagrodę! Major był szczerze ubawiony jej otwartością.

— Bardzo rozsądna rada! Kogóż wybrała pani na to miejsce?

— Staje ze mną — powiedział Jim, który przyłączył się do nich w tej chwili. — Miałem wielki zaszczyt być piątym z kolei, którego prosiła.

— Bzdury! — zawołała Diana wyraziście. — Kiedy zaczynamy?

— Teraz. Miejsca już są przygotowane.

Odeszli śpiesznie, zatrzymali się jednak po drodze, aby zamienić kilka słów z Billym i panią Adair.

— Musi pan trzymać z daleka mojego męża, jeżeli chce pan dostać nagrodę — mówiła do Billa pani Adair. — Mężowie zwykle usposabiają do chybiania.

— Wiem o tym — potwierdziła Diana — chociaż nie jestem obarczona mężem. Mąż pokazuje pani cel na tarczy, prawda? Poza tym radzi pani leżeć swobodnie, podczas gdy wypukłość wielkości kuli armatniej wciska się pani między żebra; woła, żeby się pani nie śpieszyła, akurat w chwili, gdy pani pociągnęła za cyngiel; kiedy już pani strzela, zaczyna się nagle kłopotać o to, że pani ma odkryte nogi; a kiedy ukazuje się czerwona chorągiewka i pani jest bliska płaczu ze zmartwienia, powiada urażonym głosem: „Gdybyś tylko zastosowała się do moich wskazówek!”

Dziwię się zawsze, że zawody strzeleckie nie kończą się czasami zbiorową masakrą mężów.

— Możemy przyjąć zakład! — wtrącił Jim. — Widzę, że pułkownik Adair szuka pani, zwyciężymy więc na pewno, Dianio! Chodźmy!

Billy i jego partnerka zajęli także miejsca i sensacją dnia stał się wyrównany wynik dwóch współzawodniczących par, po czym Diana i Jim zwyciężyli przewagą jednego punktu.

— Cieszę się bardzo — powiedziała ujmująco pani Adair. — To ładnie, kiedy goście zwyciężają, mimo to jednak bardzo się starałam panią pobić.

— Gdyby Billy nie pudłował, przypuszczalnie udałoby się to pani, bo mnie już ręka zaczęła drżeć. Będę obstawać, żeby zapłacił suwerena i włączę go do Funduszu Przyzwoitego Wyglądu.

— Cóż to takiego? — zapytał pułkownik Adair. — Czy postronni ofiarodawcy mogą także wziąć w nim udział?

— O nie! „Nieodpowiedzialni” pracowaliby jeszcze mniej, gdyby udało im się nabrać kogoś na sprawienie im ubrań. Tyko konieczność ubierania się od czasu do czasu przyzwoicie skłania ich w ogóle do prowadzenia farmy. O ile chodzi o dobro Rodezji, należałoby ich uznać za niepożądanych obywateli.

— Zamknij się, Diano! — przerwał jej Billy. — W zeszłym miesiącu zarobiliśmy dwadzieścia pięć szylingów i dziewięć pensów i jeszcze nam się należy osiem szylingów i sześć pensów za worek kukurydzy.

— Znacznie więcej nam się należy — dodał Ślicznotka — tylko zapomnieliśmy zapisać, a teraz nie wiemy, kto jest nam winien.

— Czy doprawdy prowadzicie nawet książki? — zapytała z niedowierzaniem pani Adair.

— Usiłujemy prowadzić, ale Billy zaczął pisać listy miłosne na kartkach jednej z nich. Jim zaś zużył całą prawie drugą na zapalenie papierosów.

— Robicie tyle hałasu o pracę — narzekał Billy. — Dlaczego właściwie mamy pracować? To takie pospolite.

Znacznie oryginalniej jest wygrzewać się na słońcu i myśleć. Jakże się pani miewa? — zwrócił się do pani

Chaldecott, która w tej chwili podeszła do nich. — Mówiłem właśnie o tym, jak niemądrym zajęciem jest praca.

Pewien jestem, że mąż pani zgodziłby się ze mną. Czy nie przyjechał tu dziś dlatego, że był w zbyt leniwym nastroju, czy też dlatego że nie mogła go pani namówić do zdjęcia drelichowych spodni?

— Nie miał czasu. On naprawdę bardzo ciężko pracuje.

— Buduje chaty! — zauważył pogardliwie Jim. — Najszczęśliwszy jest wtedy, kiedy może oszpecić krajobraz chatami najróżniejszych kształtów, które wyglądają tak, jakby usiłowały stać na jednej nodze.

Gawędzili i przekomarzali się, dopóki nie nadszedł czas powrotu do domu. Wiadomość o tym, że Diana po raz ostatni ukazała się publicznie, przyjęto okrzykami żalu.

Podziękowała wszystkim gorąco i oświadczyła, że jej zdaniem nauczyła się i dowiedziała dosyć o życiu na farmie kolonialnej i cierpliwość jej jest już na wyczerpaniu. Wobec tego, dla powszechnego dobra, jedzie teraz odwiedzić Sfinksa na pustni, aby tam zaczerpnąć nowy zapas cierpliwości.

Major Egerton odprowadził ją do miejsca, gdzie „Nieodpowiedzialni” szykowali do wyjazdu powóz zaprzężony w muła. Po drodze wyrażał niezwykle gorący żal z powodu jej wyjazdu.

— Ale za jakieś dwa miesiące sam przyjadę do Anglii — powiedział na zakończenie — i mam nadzieję, że zlituje się pani wtedy nad osamotnionym w Londynie starym kawalerem.

— O ile tylko nie wymaga pan takiej opieki, jak „Nieodpowiedzialni” — odparła, gramoląc się do niezbyt okazałego wehikułu. — Mam dosyć tego typu ludzi co najmniej na rok.

ROZDZIAŁ XX

ODJAZD DIANY

Nadszedł ostatni wieczór, który Diana miała spędzić na farmie. Wśród trzech kolonistów, którzy tak cieszyli się z jej pobytu, zapanowała depresja. Po południu Diana odwiedziła Joyce i swego małego chrześniaka. Teraz opowiadała o tym „Nieodpowiedzialnym”, nakazując im, aby pamiętali o Joyce i częściej do niej zaglądali.

— Ale nie można uniknąć spotkania ze Świętym — mruknął Jim — a ja się go tak boję.

— Ja także — zgodził się Ślicznotka. — Gdybyż można było porozmawiać sam na sam z panią Grant.

— Po południu jest zawsze sama, jeżeli nie liczyć dziecka. Nie macie pojęcia, jaki pyszny chłopczyk z niego wyrasta. Z po-

czątku uważałam, że jest odrażający, ale teraz wygląda jak cherubin. Nie wyjeżdżaj tylko z tym, że „dzieci ciągle płaczą” — dodała śpiesznie, zwracając się do Billa. — Widzę, że masz to na języku, twoje dowcipy zaś są ostatnio zabójcze. Należy cię poskromić.

— Zawsze jestem cichy i pokorny, kiedy ty jesteś w pobliżu. Cud, że w ogóle śmiem się odezwać.

— Wszyscy lubimy bardzo dziecko i jego matkę — powiedział Jim — ale w towarzystwie jego ojca człowiek ma wrażenie, że wieczne potępienie zagląda mu w oczy, diabeł zaś czyha tuż za węglem z trójzębem w łapie. Moje nerwy nie wytrzymują tego.

— Gdybyż on przynajmniej miał poczucie humoru! — skarżył się Ślicznotka. — Wczoraj powiedziałem mu wspaniały dowcip, ale jego idiotyczne odpowiedzi omal nie przyprawiły mnie o atak serca.

— Mniejsza o twój atak serca, opowiedz nam ten kawał — wtrącił Billy, zajęty czyszczeniem fajki, którą, jak twierdziła Diana, należałoby zdezynfekować.

— Właściwie to zupełnie autentyczna historia — ciągnął dalej Ślicznotka — o dwóch poszukiwaczach złota z Buluwayo. Wybierali się na nowe poszukiwania i postanowili nie włączać do ładunku zwykłej skrzyni whisky.

— Nie wierzę w to — oświadczył Jim. — Historia Rodezji nie zna takiego wypadku.

— To absolutna prawda. Pewien mój przyjaciel...

— Naturalnie — przerwał mu Billy. — Ja sam częstokroć miewam tego rodzaju przyjaciół.

— Wszystko jedno. Jeden więc z poszukiwaczy zaproponował, aby zabrać jedną butelkę na wypadek ukąszenia przez żmiję. Drugi się zgodził. Ledwie uszli milę od miasta, ten drugi powiada: „O rany, Bill, już mnie żmija ukąsiła!” Święty Oswald nie uśmiechnął się nawet — dodał Ślicznotka, gdy Jim poklepał go po plecach, mówiąc, że kawał jest niezły. — Zauważył tylko: „Nie widzę pointy. Historyjki o wódce są zwykle bardzo niedowcipne”!

— Wzruszające, co? — jęknął Billy.

— To wystarczy, aby doprowadzić Joyce do szaleństwa — zauważyła Diana. — Powinien byś uciec z nią, Billy. Byłabym zachwycona, gdyby ona została moją bratową.

— Zrobiłbym to bez namysłu, gdybyśmy mogli żyć z samej miłości. Ale może Oswald już niedługo umrze? Czyż dobrzy ludzie nie umierają młodo? Ja sam oczekuję zawsze przedwczesnego zgonu.

— Nie ma obawy. Niewątpliwie, jak już kiedyś mówiłam, ty i święty Oswald przebieracie miarę wytrzymałości bogów. Nie mogą tolerować takich typów, żeby nawet byli nie wiem jak dobrzy.

— Mam wielką ochotę złapać cię za włosy i ciągnąć po całym ogrodzie — oświadczył Billy — ale boję się zdemoralizować Bukieta i Szaflika.

Wstał i przeciągnął się leniwie.

— Chodźmy na spacer, w każdym razie. Jutro o tej porze będę płakał nad opustoszałym ogniskiem.

Ujął ją pod ramię i odeszli w mrok nocy.

— Saul i Jonatan — zacytował Jim z udaną wesołością — tylko w lepszym wydaniu.

Ślicznotka jeszcze bardziej zagłębił się w fotelu, wypuszczając kłęby dymu ku gwiazdom.

— W znacznie lepszym — zgodził się i przeniósł się myślą gdzie indziej, widząc przed sobą tylko bladą twarzyczkę o mądrych, smutnych oczach, okoloną gęstwiną brązowych, połyskliwych włosów, twarzyczkę, która budziła wieczysty głód w jego sercu.

Billy i Diana zaś przechadzali się w świetle gwiazd, odzywając się z rzadka. Nie używali żadnych pieszczotliwych zwrotów, czuli jednak, że tak samo jak dawniej są dla siebie nawzajem całym światem.

Jakież nadzwyczajne przywiązanie łączyło tych dwoje od samej kołyski! Stara ich niania lubiła opowiadać, że nim jeszcze zaczęli mówić, niepodobna było ich rozdzielić. Co dostawało jedno dziecko, to i drugie musiało dostać, sufit zaś obrywał się niemal od ich zgodnych krzyków. Jeżeli ukarano Billa, Diana siadała pod stołem, nie odpowiadała nikomu i nie przyjmowała pokarmu, dopóki mu nie przebaczone. Jeżeli zaś znów Diana popadała w niełaszkę, Billy przerywał wszystkie zabawy i dąsał się w milczeniu.

Trwało to niezmiennie przez całe ich dzieciństwo i młodość, aż nawet teraz, gdy byli już dojrzałymi ludźmi, pozostali dla siebie wszystkim.

Kiedy Billy stracił prawie wszystkie pieniądze w niefortunnych spekulacjach giełdowych, Diana posłała mu natychmiast czek na wszystko, co posiadała. Zbyteczną chyba rzeczą jest nadmieniać, że czek został natychmiast odesłany z powrotem i Diana musiała poprzestać na obsypywaniu Billa podarunkami.

— Myślałem, że zostaniesz tutaj, Di — powiedział teraz Billy z pewnym smutkiem.

— Że zostanę? W jaki sposób, Billy, maleńki? — zawołała Diana ze zdumieniem.

— Z Burnettem. To jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Po raz pierwszy w ogóle mówił o nim w odniesieniu do niej.

Diana zdziwiła się.

— Skąd wiedziałeś?

— O, domyśliłem się, poza tym on sam napomknął o tym. Nie należy do mężczyzn, którzy wstydzą się swojej miłości tylko dlatego, że nie cieszą się wzajemnością. Żałuję tylko, że go nie kochasz. On byłby takim wspaniałym mężem dla ciebie!

— Zależy mi na nim wystarczająco, aby chcieć go oszczędzić. Gdyby mógł przewidzieć to, co ja przewiduję, dziękowałby mi na kolanach.

— Nie wierzę w to, ale naturalnie słowa na nic się nie zdadzą. Sama znasz najlepiej swoje uczucia. Ale jedno ci chcę powiedzieć przed wyjazdem, Di. Jeżeli zmienisz zdanie i dojdiesz do wniosku, że go chcesz, to nie bądź idiotką i nie psuj sobie życia przez fałszywą ambicję. Wróć wtedy zaraz tutaj i próbuj szczęścia. Głupia duma, która w rzeczywistości jest niczym innym, jak próżnością, popsuła już życie niejednemu człowiekowi. O ile nie jestem w grubym błędzie, Ted Burnett będzie czekał na ciebie. Ale w każdym razie, jeżeli będziesz uważała, że tu leży twoje szczęście, to się nie wahaj i nie lękaj. Będziesz mogła z łatwością odjechać z powrotem, jeżeli przekonasz się, że on się zmienił. Nigdy jednak nie odrobisz straty, jeżeli zmusisz się do pozostania z daleka z obawy, że on się mógł zmienić, podczas gdy on przez cały ten czas będzie czekał na ciebie.

— Ale nie powinien czekać. O to właśnie chodzi. Chcę, żeby pokochał jakąś inną kobietę i był z nią szczęśliwy. To byłoby znacznie rozsądniej, Billy. Dopóki ty jesteś wśród żyjących, ja doprawdy nie chcę męża. Wiesz dobrze, że nie chcę. Jesteś wart tuzina małżonków.

— Niemądre stworzenie! — coś w jego głosie nadało tym słowom brzmienie bardziej pieszczotliwe niż najnamiętniejsze frazesy. — Mimo wszystko, Di, musisz kiedyś wyjść za mąż. Nie możesz wiecznie wędrować po świecie, nigdy zaś nie zechcesz pozostać ze mną na stałe. Myślę, że chciałbym, żebyś się już ustatkowała. Jakież to byłoby wspaniałe zobaczyć nasze kopie!

Ale Diana śmiała się tylko z niego.

— Kopie nie umywają się do prawdziwych, artystycznych, podpisanych egzemplarzy. Okropnie byś się rozczarował. Daj spokój, Billy. Di zostanie starą panną w niebieskich okularach i w mitenkach, będzie robiła pończochy na drutach i prawila kazania małym Billym różnych rozmiarów wpajając w nich przekonanie, że sama była najgrzeczniejszą małą dziewczynką na świecie.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na odmalowany przez nią obraz, pozwolił jej jednak zmienić temat i nie wspominał już więcej o Burnecie i jego nadziejach.

Wiedział dobrze, że Diana postąpi według własnej woli wbrew wszystkim, w jego zaś oczach nie mogła postąpić źle. Ale nazajutrz, gdy wszyscy trzej „Nieodpowiedzialni” obstąpili ją na dworcu żegnając się, postronny widz mógł zaobserwować, że jeden Billy nie przejmował się zbytnio jej wyjazdem. Aż do ostatniej chwili, podczas gdy Ślicznotka i Jim składali sobie nawzajem kondolencje i krzatali się, aby jej było najwygodniej, Billy krążył dokoła z rękami w kieszeniach, docinając jej na temat bagażu i paczek i udzielając nedorzecznych rad we wszelkich najbardziej nieprawdopodobnych sprawach, związanych z podróżowaniem koleją i statkiem.

— Do widzenia! — powiedział Ślicznotka, przytrzymując na chwilę jej rękę i zaglądając w oczy z najbardziej uroczym ze swych uśmiechów. — Pokłoń się ode mnie regatom w Henley i powiedz Darrellowi, że na przyszły rok przyjadę do domu, żeby odebrać mu „Brylanty”.

— Szczęśliwej podróży! — wołał Jim. — Mam wrażenie, że łzy dźwięczące w głosie bywają tylko w książkach, ale wyobraź je sobie w moim głosie. Pochodzą wprost z serca, zbyt przepełnionego, aby można to było wyrazić w słowach. Powiedz kochanej starej Anglii, że męskie serce w wezbranej uczuciem piersi wciąż żyje tylko, aby jej służyć.

— Doskonale! — wołała Diana. — Świat z pewnością traci w tobie wielkiego powieściopisarza! Powinieneś mieć zawsze przy sobie notatnik i zapisywać takie perły. Gdybyś mógł jeszcze opisać piękno uśmiechu Ślicznotki! Mogę wam teraz powiedzieć na wy-jezdnym, że jestem po uszy zakochana w was obu!

Pociąg zaskrzypiał i ruszył.

— Niemądre stworzenie! — powiedział Billy. — Pośpiesz się i wracaj.

ROZDZIAŁ XXI

ZNÓW W LONDYNIE

Diana stała na wysepce na środku Piccadilly Circus i patrzyła na ruch uliczny. Poprzedniego dnia przyjechała z Egiptu. Po drodze z Rodezji do Anglii wysiadła z niemieckiego południowoafrykańskiego statku w Suezie i udała się pociągiem do Kairu, skąd odbyła zwykłą turystyczną podróż po Egipcie. Podróże jej trwały ogółem dziesięć miesięcy.

Dziesięć miesięcy w mało zamieszkanym miejscowościach. Dziesięć miesięcy wśród pustynnych, cichych okolic.

Dziesięć miesięcy nieobecności w ukochanej wyspiarskiej ojczyźnie.

Diana stała bez ruchu, przyglądając się ruchowi ulicznemu. Miała wrażenie, że pije szampana. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

— O, jak ja lubię ludzi! — westchnęła. — Tłumy ludzi, grzeszników w mniejszym lub większym stopniu podobnych do mnie — uśmiechniętych, śpieszących się, popychających, zatroskanych! O, Londynie, gdybym się nie bała, że mnie zamkną w domu wariatów, to bym uklęknęła i ucałowała twój bruk!

Diana miała zwyczaj rozmawiać w myśli sama z sobą. Gdy spędziła kilka minut, przyglądając się sfinksom, które patrzyły ponad jej głową w nieskończoność — kamiennie, wyniośle, obojętnie — zauważyła w końcu: „Nie macie powodu tak się puszyć przede mną. Żyję w terażniejszości, słyszycie? I nie oddałabym ani jednej godziny tego życia za wszystkie wasze martwe tysiąclecia.”

Później, przed piramidami, roześmiała się, nie odczuwając żadnego podziwu: „Też pomysł budować takie nieużyteczne,

śmieszne zwaliska, a nam zostawić regulację Nilu! Ale jeżeli to robota tych śmiesznych małych człowieczków, którzy zawsze stoją bokiem, to wcale się nie dziwię".

Pustynia jednak pozwoliła jej szerzej odetchnąć.

— Nie chodzi o to, że lubię pustkowia — powiedziała. — Wolę życie pełne emocji, ale to sprawa uboczna, prawda? Kocham jednak wolne powietrze i dalekie horyzonty.

Podróżując na wielbłądzie skarżyła się nieustannie:

— Czym sobie zasłużyłam na takie męki? — jęczała. — Czuję się jak Rachela oplakująca swe dzieci, tylko że moimi dziećmi są moje obolałe kości.

Przybywszy na dworzec Victorii wyszukała z namysłem dorożkę z uśmiechniętym woźnicą i dobrze odżywionym koniem, cały zaś ciężki bagaż kazała zawieść osobno na czterokołowym wózku. Wsiadając rzuciła woźnicy uroczy uśmiech:

— Kensington Pałace Gardens — powiedziała — tylko proszę jechać przez najbardziej ludne ulice.

Dojechawszy do celu, zapłaciła mu trzykroć więcej niż należało, w odpowiedzi zaś na jego przyjemnie zdziwione spojrzenie wyjaśniła:

— Wszystko w porządku. Włóczyłam się długo po pustyni i odludnych miejscowościach i teraz cieszę się, że znów oglądam Londyn. Mam ochotę chodzić po ulicach i ścisnąć rękę przechodniom. Niech pan da Pegazowi — dodała wskazując na konia — nadliczbową porcję paszy dziś wieczorem wraz z pozdrowieniami ode mnie.

Woźnica odjechał, myśląc, że pasażerka nie jest przystojna, ale za to bycza facetka. Diana zaś wpadła w gorące objęcia młodo wyglądającej ciotki i pary ogromnie podekscytowanych kuzynów, którzy domagali się wyjaśnienia, dlaczego nie pozwolono im przyjechać po nią na dworzec powozem.

— Dlatego że chciałam zaczerpnąć pierwszych łyków Londynu ze zwykłej dorożki — tłumaczyła się Diana. — Chciałam mieć coś prawdziwego, a nie kosztowną, zbyt kochaną namiastkę. Tak długo już marzyłam o dorożkach, policjantach, autobusach i tym podobnych rzeczach, że miałam wrażenie, że to moi wujaszkanie, kuzynowie i ciotki. Jutro mam zamiar powałęsać się samotnie po mieście, pojąc oczy widokiem Londynu.

Oto dlaczego stała na wysepce na środku Piccadilly, patrząc na ruch uliczny.

I w tej chwili nagle przypomniała sobie ciszę Rodezji. Przez całą długą minutę patrzyła na Regent Street niewidzącym wzrokiem i ponad rykiem i gwarem ulicy — jak gdyby w wyższej warstwie eteru — słyszała ciszę wzgórz, kotlin i parowów — ciszę, którą słycać.

Następnie swym pięknym, rozkołysanym krokiem, który podziwiano tak często, ruszyła na Trafalgar Square, po czym do Whitehall i do wyniosłego, ukochanego Westminsteru, na zakończenie zaś popołudnia zajęła taksówką na Brook Street, na herbatę do doktora. Nie mógł przyjąć jej od razu, z zaciekawieniem więc rozglądała się po jego pokoju, do którego kazał ją wprowadzić chłopcu otwierającemu drzwi.

Jakże bardzo wyczuwało się jego osobę w tym pokoju! Był on wygodny, starannie i widać z namysłem urządzone, zaciszny, z odrobiną smętku, która tak pociągała ludzi do doktora. Diana usiadła przy ogniu w wielkim, przytulnym fotelu z półeczką na książki.

„Tutaj właśnie doktor rozmyśla — wyobrażała sobie — i snuje plany uzdrowienia ludzkości. Ciekawa jestem, gdzie jest miejsce Joyce?”

Przebiegła oczami pokój. Jakiś drobny przedmiot, leżący na biurku, zaciekawił ją do tego stopnia, że wstała, by mu się bliżej przyjrzeć. W jednej z książek, zamiast zakładki, leżał dziwny wełniany sznurek, zakończony pomponikiem.

Wzięła książkę do ręki, otworzyła ją i czule pogłaskała sznurek. „To było kiedyś na jednym z wełnianych pantofelków, które zrobiłam mojemu chrześniakowi. Na pewno czytając książkę trzyma zakładkę w ręku. Ciekawa jestem, jak mu się udało to zdobyć”. Twarz jej powlokła się na chwilę smutkiem, gdy spojrzała znów na fotel.

„Pewnie oni oboje są tu z nim co wieczór. Po skończeniu dziennej pracy, kiedy doktor zamyka się tu przed świtem na kilka godzin odpoczynku, piękna twarz Joyce ożywa w jego samotni. Graniczy to wprost z cudem. Doktor ze swym świetnym, genialnym umysłem, słynny, młody specjalista, oddany całkowicie sprawie dobra ludzkości i stojący samotnie na szczycie Olimpu — i ta mała dziewczynka spośród wzgórz Rodezji z jej malutkim synkiem, która stanowi dla niego wszystko, niebo i zie-

mię. Diano Webberley, robisz się sentymentalna i zaczynasz pleść głupstwa, opanuj się więc czym prędzej!"
Usiadła znów w wielkim fotelu i czekała, aż wreszcie drzwi się otworzyły i stanął przed nią doktor we własnej osobie.

— Nie potrzebuję chyba mówić, jak się cieszę, że panią widzę — powiedział na powitanie — pomijając to, że cieszę się bardziej, niżbym umiał wyrazić.

— Bardzo to ładnie z pana strony; ale zresztą nie dziwię się, bo zawsze był pan taki miły. Jak dobrze jest być już tutaj.

— Kiedy pani przyjechała do Anglii? — zapytał, przysuwając sobie drugi fotel i dzwoniąc na herbatę.

— Wczoraj. Upajałam się dziś ruchem ulicznym, tarzałam się, że tak powiem, w rodzimym błocie. Nieba, jak ja kocham Londyn!

Spojrzał na nią badawczo.

— I dlatego pani wróciła?

— A czy nie był pan pewien, że wrócę?

— Sądziłem, że nie wróci pani sama. Miałem nadzieję, że przyjedzie pani w towarzystwie — aby zakupić wyprawę — dodał po namyśle.

— *Et tu, Brute!* — Diana zrobiła gest rozpaczy. — Niech mnie pan posłucha, doktorze Lawson, zaklinam pana na naszą przyjaźń, aby pan nie wstępował w szeregi tych, którzy mnie chcą wciągnąć w stan małżeński.

Uśmiechnął się, patrząc w ogień, Diana zaś ciągnęła dalej, nieco niezrozumiale:

— Przecież on jest także pańskim przyjacielem — jakże więc pan może życzyć mu, żeby związał się z tak niespokojnym stworzeniem, jak ja? Małżeństwo to i tak dość trudna sprawa. Niech mu pan da możliwość zdobycia sobie łagodnej, dobrej kobiety z rodzaju tych, jakie mężczyźni najbardziej lubią.

— Nie wszyscy mężczyźni.

— Owszem — odparła stanowczo — wszyscy mężczyźni, kiedy wybierają sobie żonę w chwilach rozwagi i zastanowienia, nie zaś w momentach przemijającego zadurzenia. Jak gdyby przeciętny mężczyzna nie dość miał zmartwień ze swym trawieniem, książeczką czekową i skłonnością do tycia i potrzebna mu jeszcze była przysparzająca kłopotów żona!

— Taka żona może opłacać to innymi zaletami; poza tym zaś niezmacony spokój może się stać bardzo monotony.

— O, ja nie byłabym monotonna! — zawołała Diana z przekonaniem. — Gdyby nawet doszło do rozbicia komuś głowy, zrobiłabym to raczej, niż zgodziłabym się na monotonię. Oto dlaczego uciekłam z Rodezji — mówiła, podczas gdy służący przysunął do kominka mały stoliczek i ustawiał na nim serwis do herbaty. — Niech pan pomyśli tylko, co by było, gdybym zdecydowała się zamieszkać tam na stałe? W końcu na pewno skazano by mnie na śmierć za morderstwo. Niech pan sobie wyobrazi, mieć przed sobą jednego i tego samego człowieka codziennie, od rana do wieczora i do wieczora do rana! Ależ gdyby nawet był archaniołem Gabrielem, po upływie miesiąca nie mogłabym już na niego patrzeć!

— Pani razem z archaniołem Gabrielem — zauważył doktor z powolnym uśmiechem — zrujnowałaby spokój niebieski.

— Czy wie pan, co bym zrobiła, gdybym miała nieszczęście być żoną świętego Oswalda? — Diana przeszła nagle do tematu, który jej najbardziej leżał na sercu. — Przede wszystkim upiłabym go — w sztok, wie pan — tak że śpiewałby *Hold the Fort* albo *Dinah Duck, my Chucket Chuck*, a potem nauczyłabym go kilku przekleństw; potem zaś postarałabym się, żeby ktoś rozpoczął z nim kłótnię i zmusiłabym go do bójki. Zaczęłabym z nim od początku edukację przeciętnego chłopca i wbiłabym w niego trochę męskości. I musiałby brać zimną kąpiel co rano — dodała z zaciętkością.

Doktor roześmiał się serdecznie. Nie śmiał się już od czasu, jak opuścił Rodezję.

— Zaczynam myśleć, że może Burnett miał szczęście, unikając takiego losu.

— Naturalnie. Udusiłby mnie po trzech miesiącach — o ile ja bym go przed tym nie zastrzeliła. Ależ ja bym oszalała — dostałabym obłędu — wśród tych wzgórz, gapiących się na mnie przez cały dzień i w otoczeniu tej kretyńskiej czarnej służby. Tylko dlatego nie wyszłam za niego, że go szczerze lubię; gdyby mi na nim trochę mniej zależało, zaryzykowałabym może eksperyment. W każdym razie małżeństwo to pułapka i nieuniknione rozczarowanie zarówno dla mężczyzny jak i dla kobiety, za pozwoleniem szanownego geniusza. To nie mój resort. Niech pan przyzna, doktorze, czy w istniejących warunkach życia wzięcie sobie żony nie równa się kupieniu kota w worku?

— Kurtuazja zabrania mi użyć takiego porównania w stosunku do jakiegokolwiek przedstawicielki pani płci.

— To znaczy, że się pan ze mną najzupełniej zgadza.

— Może — nie widzę jednak żadnego lekarstwa.

— Głupstwa! Wszyscy tak mówią — i dlatego też mężczyźni wciąż kupują ładne twarzyczki przy pomocy miłych słówek. Kiedy zaś już są kobiety zupełnie pewni, miłe słówka zamieniają się wkrótce w wymysły. Mężczyzna nie powinien być nigdy zupełnie pewien kobiety, moim zdaniem — zwłaszcza że mężczyźni to przeważnie brutale.

— Mimo to jestem przekonany, że w epoce jaskiniowej kobiety były znacznie szczęśliwsze i bardziej zadowolone niż teraz.

— Bardzo możliwe, bo wtedy wartość mężczyzny oceniano według stopnia jego brutalności. Jeżeli więc brutal jednej kobiety był dwakroć silniejszy i dwakroć lepiej obchodził się z kijem niż brutal sąsiadki, napełniało ją to dumą i pychą tak wielką, że zapominała o siniakach od niego otrzymanych. Gdyby jakiś wielki, silny mężczyzna rozpędził kijem wszystkich stojących mu na drodze i zaciągnął mnie zwycięsko za włosy do swej jaskini, przypuszczalnie pogodziłabym się z losem, zabrałabym się do gotowania dla niego jeżowców, jeżów i dzikich kotów i byłabym całkiem szczęśliwa — nawet w Rodezji. Naturalnie, gdyby był nie dość silny jak na mój gust, mogłabym zrobić oko do lepszego brutala, który by również przy pomocy kija utorował sobie drogę do jaskini, plotkarze zaś musieliby siedzieć cicho. Dobrze to były czasy! Ewolucja robi się już trochę uciążliwa. Cóż za szkoda, że nie możemy wprowadzić na jakiś czas rewolucji i zobaczyć, co z tego wyniknie!

— Krwawa rzeź odparł doktor — i ziemia zasłana trupami.

— Pozostaliby zaś tylko najsilniejsi, którzy założyliby nową rasę zdrowych, mocnych ludzi. I może by ci lepiej sobie urządzili życie.

— Obawiam się, że biedny lekarz, któremu udałoby się przypadkiem wyjść cało z ogólnej rzezi, niewiele by miał roboty.

— Tym lepiej. Na samą myśl, ilu jest na świecie lekarzy i ile mają roboty, ogarnia mnie wstyd za rasę ludzką. Ciekawa jestem, co by się stało ze świętym Oswaldem. Czy wyobraża pan sobie, jak stoi i czeka z uśmiechem wyższości na wóz ognisty,

który zjedzie z nieba, tymczasem zaś przejeżdża go zwykły samochód?

Umyślnie sprowadziła rozmowę znów na Grantów w nadziei, że usłyszysz zwierzenia doktora.

— Nie zapytał pan jeszcze o swego chrześniaka.

— Nie dała mi pani na to czasu. Wielkie nieba — zawołał nagle, spoglądając przez okno na ulicę pełną pojazdów — jakże daleko jest stąd do owej cienistej werandy! Mam wrażenie, że Joyce i jej mały są na jakiejś innej planecie.

— Biedna Joyce! — powiedziała Diana miękko. — Wydaje mi się zawsze, że została stworzona dla śmiechu i radości i tylko przez jakiś nieszczęśliwy przypadek zabłądziła i trafiła do domu płaczu. Przecież byle strach na wróble mógłby gotować, zmywać i szyć dla tego człowieka!

Odstawiła filiżankę, po czym wstała nagle i zaczęła krążyć po pokoju.

— Doktorze — odezwała się po chwili, odwrócona do niego plecami, oglądając książki na jednej z półek — czy nie uważa pan, że powinna być w tej chwili tutaj, nalewać panu herbatę i koić pańskie zmęczenie swym czarownym, cichym śmiechem? Czy nie myśli pan, że tutaj właśnie życie wyznaczyło jej miejsce?

Doktor nic nie odpowiedział, zakrył tylko twarz ręką, opierając się o poręcz fotela.

— Wiem, naturalnie, że to bluźnierstwo i tak dalej, ale już bardzo dawno temu pokłóciłam się z etykietą. Taka zaś kobieta, jak Joyce, to wyjątek. Przeciętny wypchany manekin do obnoszenia sukien mógłby równie dobrze dąsać się i nudzić w Rodezji, jak gdziekolwiek indziej. — Diana wciąż nerwowym ruchem przekładała książki, czekając aż doktor odpowie, on jednak siedział w milczeniu, zakrywając twarz ręką.

Diana spojrzała nań, po czym dodała łagodniejszym tonem:

— Wiem, oczywiście, że Joyce nie przyjechałaby tutaj. To najlojalniejsze stworzenie, jakie zamieszkiwało kiedykolwiek ten padół, i czy to będzie rozsądne, czy głupie, zostanie przy mężu aż do końca. Podziwiam ją i jednocześnie zła jestem na nią. Chcę, żeby została przy nim, żebym mogła kochać ją za lojalność, i chcę, żeby go rzuciła dla pana, żebym mogła kochać ją za odwagę i niezawisłość.

Doktor wciąż nie odzywał się, Diana więc dodała:

— Czy uraziłam pana? Niech się pan nie gniewa. Jestem w absurdalny sposób przywiązana do tych dwojga dzieci, bo Joyce to przecież także dziecko. A tymczasem ja jestem wolna i szczęśliwa, a ona jest związana z tym okropnym człowiekiem. Mówienie o tym przynosi mi ulgę.

— Jakże mógłbym się gniewać — przemówił wreszcie doktor cichym, pełnym uczucia głosem. — Odczuwam przypuszczalnie to samo, co pani, tylko w stokroć silniejszym stopniu.

Diana podeszła do niego.

— A czy nie ma żadnego wyjścia żadnego ratunku?

— Żadnego.

— W takim razie niech Bogu będą dzięki za to, że ona ma dziecko.

— Amen.

Niewiele wiem o tych sprawach — Diana znów zaczęła krążyć po pokoju — przypuszczam jednak, że dziecko częstokroć jest kotwicą dla kobiety. Dzieci drepczą wesoło prostą i wąską ścieżką, rodzice zaś muszą iść za nimi. Może to w porządku, wydaje mi się jednak, że można by znacznie polepszyć sytuację. Cóż! To trudna kwestia, ja zaś na pewno jestem za głupia, aby móc ją rozwiązać. Poza tym czas już na mnie. Niech mnie pan możliwie jak najprędzej odwiedzi u mojej ciotki. Marzy o tym, żeby pana poznać, mam zaś także dwoje małych kuzynków, którzy po upływie godziny będą pana nazywać wujaszkiem Cecilem. Do widzenia. Jeżeli nie pokaże się pan w przeciągu najbliższych dni, przyjdę tu znów pana nudzić, ku rozpaczy tego małego szatana w liberii, który strzeże wejścia.

ROZDZIAŁ XXII

DIANA MA SIĘ NA BACZNOŚCI

Mniej więcej w tydzień później Diana otrzymała następujący list: *Droga panno Webberleyl*

Ostatnia poczta z Południowej Afryki przyniosła mi list od syna, w którym donosi mi o pani powrocie do Anglii.

Podczas pani

pobytu w Rodezji pisał mi tak często o tym, że pani z bratem była u niego lub też jak on był u państwa, że chciałam prosić, aby mnie pani odwiedziła albo pozwoliła złożyć sobie wizytę, pragnęłabym bowiem usłyszeć od pani coś niecoś o jego życiu w Rodezji. Sprawiłoby mi to prawdziwą radość, o ile, naturalnie, nie będzie to dla pani zbyt uciążliwe.

*W nadziei zobaczenia pani wkrótce pozostaję
z poważaniem Geraldina Burnett*

— Ho, ho! — zawołała w myśli Diana — posłał jej więc mój adres. — Po czym zamyśliła się głęboko.

— Co się stało, Di? — zapytał bardzo młodo wyglądający pan, będący jej wujem. — Czy znowu jakiś natrętny wielbiciel zepsuł wszystko oświadczeniami?

— Pewna kochająca mama — odparła — pragnie, abym przyszła do niej i opowiadała jej godzinami o jej synu.

— Opowiedz jej, że przystawiał się do ciebie, a wkrótce ją to znudzi.

Usta Diany zadrgały od tłumionego śmiechu, odpowiedziała jednak tylko:

— Powiem jej chyba, że pomalował się na czarno, nosi skórzany fartuch i mówi jakimś narzeczem, którego nie rozumiem.

— W takim razie będzie ci potrzebny jakiś obrońca. Może weźmiesz ze sobą Bouncera? Ma jeszcze dwa zęby i potrafi wyglądać bardzo groźnie — poradził wuj, ciągnąc czule za ucho starego buldoga.

— Myślę, że wcale nie pójde do niej. Napiszę, że właśnie wyjeżdżam na jakiś czas.

— Głupstwa, Di — odezwała się ciotka — nie możesz być taka niedobra. Przypuśćmy, że sama miałabyś syna gdzieś w dalekim kraju!

— Cóż, w tych warunkach byłoby to dla niego najodpowiedniejsze miejsce — odparła Diana zaczepnie.

— Świetnie, Di! Wal na odlew, żeby przeciwnikowi dech zaparło, kiedy nie chcesz się wdawać w dyskusję!

— Nie podburzaj jej, Ralfie — ciotka surowo potrząsnęła głową. — Zawiozę ją jutro po południu do pani Burnett i nie

odejdę od drzwi, dopóki nie wejdzie do środka. Możesz posłać jej dziś wiadomość — zwróciła się do Diany.
— Cóż za gwałtowna kobieta! — zauważyła tamta. — Powinnaś już wiedzieć, że kiedy mnie do czegoś zmuszają, kończy się to zwykle jakąś katastrofą. Dr Lawson może opowiedzieć pani Burnett znacznie więcej ode mnie.
— Ach, mężczyźni są tacy tępi. Opowiadają zawsze o sprawach, które kobiety zupełnie nie interesują i opisują sceny, których wcale nie chciałyby oglądać. Tylko kobieta wie, co należy opowiedzieć, a co przemilczeć.
— Uderz jeszcze raz, Di! — zawołał urażony wuj z drugiego końca stołu. — I pomścij swego najlepszego przyjaciela!

W wyniku jednak tej ранnej rozmowy nazajutrz po południu ciotka zawiozła Dianę na Eaton Square i czekała w samochodzie, dopóki Diana nie zadzwoniła.

Usłyszawszy kroki w hallu, cofnęła się jeszcze na chwilę do samochodu, aby zemścić się na ciotce i powiedziała jej cicho, lecz z naciskiem:

— Powiem jej, że Ted Burnett ma dwie czarne żony, masz więc za swoje!

Po czym swobodnie wróciła na schody i znikła w otwartych drzwiach.

W salonie z pewnym drżeniem w sercu czekała na nią przystojna, siwa dama. Ted tak rzadko wspominał o kobietach w swoich listach, że nieustanne powtarzanie się w nich nazwiska panny Webberley dało jej dużo do myślenia.

Osądziła, że tymczasem jeszcze nie doszli do ostatecznego porozumienia, możliwe jednak, że nastąpi to wkrótce.

Przypuszczała więc, że podsunął jej myśl zaproszenia Diany w celu usłyszenia jej zdania o ewentualnej przyszłej synowej. Naturalnie, Ted postępuje zawsze według swej woli, przekonała się o tym już dawno, jednocześnie jednak jest bardzo oddanym i czułym synem i może chce w tym wypadku zasięgnąć u niej rady. Uczucia jej były więc podzielone. Cieszyła się, że zobaczy kogoś, kto niedawno rozmawiał z jej ukochanym pierworodnym, i zarazem pragnęła zachować pewną rezerwę, zanim wyrobi sobie zdanie o pannie.

Diana odgadła to wszystko intuicyjnie. Podczas więc gdy pani Burnett siedziała w salonie, pisząc list i perswadowała sobie, że Tedowi mogła przypaść do gustu tylko dystyngowana kobieta

O twarzy pełnej słodyczy i królewskiej postawie, Diana wstępowała po schodach z miną nasrożonego teriera, przysięgając zemstę wszystkim, którzy przyczynili się do postawienia jej w tak dwuznacznej sytuacji. „Jeżeli powie do mnie «moja droga», tupnę nogą z wściekłości”, pomyślała jeszcze, gdy służący otworzył drzwi i zaanonsował jej przybycie.

Pani Burnett niewątpliwie miała zamiar przywitać ją dość serdecznie, wszelkie jednak pieszczotliwe słowa zamarły jej na ustach, gdy ujrzała dziewczynę.

— Nie mogę pojąć, dlaczego syn pani w ogóle wspomniał o mnie — oznajmiła Diana, zanim jeszcze niemal zdążyła się przywitać. — Byliśmy śmiertelnymi wrogami.

Pani Burnett z trudem odzyskiwała równowagę.

— Ależ chyba nie?

— Ależ tak. Walczyliśmy ze sobą jak — jak — jeże. Wie pani, taka kłująca walka. Czyżby on doprawdy nigdy o tym pani nie pisał?

— Przeciwnie, odniosłam wrażenie, że byli państwo ze sobą w wielkiej przyjaźni — pani Burnett wciąż jeszcze nie mogła przyjść do siebie po doznanym wstrząsie.

— Ach tak, on już ma taki sposób bycia — zauważyła spokojnie Diana. — Po prostu nabierał panią.

Pani Burnett była dość spostrzegawcza, aby zauważyć, że ta młoda osoba ma się na baczności, i od razu poczuła się pewniej. Roześmiała się z niezbyt dystyngowanego wyrażenia Diany i odparła:

— Skoro pani tak uważa! Ale niech mi pani powie, czy wygląda dobrze i zdrowo?

— Jest zdrow jak ryba i silny jak koń. Myślę, że zależało mu specjalnie na przekonaniu pani, że nie żywi się wyłącznie miodem dzikich pszczół i szarańczami. Podam pani dla przykładu jego zwykłe menu obiadowe: kawior, zupa, ryba, kuropatwy, sarnina, budyń jabłeczny, ser i deser. I to tylko zwykły sobie skromny obiadek, zwracam pani uwagę.

Pani Burnett była już na dobre rozbawiona.

— Doprawdy? — zauważyła. — Nie dziwię się więc wcale, że mu nie śpieszno wracać do domu.

— Do domu! — powtórzyła Diana. — O, on już nigdy nie wróci do domu. Obsługuje go cała chmara niewolniczej, czarnej

służby, która od świtu do nocy krząta się, gotuje, szyje i orze dla niego. Poza tym oni wszyscy w Rodezji są jak zaczarowani. Mam brata bliźniaka, który mieszka w pobliżu pani syna — prowadzi tam farmę wraz z dwoma przyjaciółmi — i mam wrażenie, że nawet sąd ostateczny nie skłoniłby ich do opuszczenia Rodezji.

— Ależ my mamy nadzieję, że zobaczymy go na przyszły rok!

— Niech więc pani poniecha wszelkiej nadziei — pocieszyła ją Diana. — Będzie pani musiała sama pojechać do niego — jak ja musiałam pojechać do Billa. Szczerze mówiąc, jest to wypadek Mahometa i góry. Jedzą tam, śpią, polują i marzą w niebiańskim zadowoleniu i zapominają o nas wszystkich. My ich uważamy za dzikusów, oni zaś przekonani są, że to my właśnie jesteśmy dyletantami, którzy nie mają pojęcia o prawdziwym szczęściu. Powiadam pani, człowiek doznaje wstrząsu, kiedy przyjeżdża tam przeładowany współczuciem i słowami zachęty dla biednych wygnańców, przekonywa się zaś, że sam jest przedmiotem politowania.

— To nadzwyczaj interesujące! — pani Burnett wstała i przysunęła swoje krzesło nieco bliżej Diany. Nie miała już najmniejszej ochoty zwracać się do gościa per „moja droga”, zgoła nieoczekiwanie jednak zaczynała odczuwać dla niej coraz większą sympatię.

— A kiedy pani tam wraca? — zapytała. Pytanie nie było najszcześliwsze.

— Kiedy wracam?! — zawołała Diana. — Ależ nigdy! Moim zdaniem to rozpaczliwa egzystencja. Nie chcę już nigdy w życiu oglądać wzgórz rodezyjskich, a tym mniej poczuć zapach Murzyna.

Pani Burnett znów odjęło na chwilę mowę. Opanowała się z jeszcze większym trudem niż przedtem. Jeżeli Ted nigdy nie wróci do Anglii, panna Webberley zaś nigdy nie ma zamiaru wrócić do Rodezji, jasne jest, że z małżeństwa nic nie będzie.

— Odmalowała pani niezbyt zachęcający obraz — powiedziała po chwili — myślę jednak, że istotnie będę musiała tam pojechać i zobaczyć wszystko na własne oczy.

— Na pani miejscu zrobiłabym to na pewno. Niech pani będąc tam koniecznie odwiedzi „Nieodpowiedzialnych”, ale niech ich pani uprzedzi z góry o swej wizycie, inaczej bowiem może ich pani zastać kompletnie nieubranych.

— Ale cóż się z nimi tam dzieje? Powrót do natury?

— Coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że syn pani myje się jeszcze od czasu do czasu, ale jeżeli posłuchać Billa, Jima i Ślicznotki, można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie słyszeli o mydle. Ale, naturalnie, nie należy ich uważać za przykłady typowe, ale raczej za okazy patologiczne.

Podano herbatę. Pani Burnett zajęła się jej rozlaniem do filiżanek, podczas gdy Diana, którą sytuacja zaczęła już bawić, skoro poczuła grunt pod nogami, opowiadała dalej:

— Syna pani nazywają tam Sir Galahadem, bo jest zawsze taki wymuskany i umie się podobać paniom. Jeździ wspaniale wystrojony do Salisbury i wywołuje tam. zawsze wielką sensację.

— Musiał się w takim razie bardzo zmienić, nie widziałam bowiem nigdy mężczyzny, który by mniej dbał o kobiety, niż on dawniej.

Jakie to dziwne! Ależ wszystkie tamtejsze kobiety w promieniu kilkunastu mil są w nim zakochane. Będzie doprawdy musiał w końcu ożenić się z dwiema lub trzema co najmniej, aby uniknąć rozlewu krwi.

— Mam nadzieję, że tak źle nie będzie — roześmiała się wesoło pani Burnett. — Cóż by poczęła biedna teściowa?

— Powinna by pani widzieć jego srebra rodowe — przeszła na inny temat Diana. — Ma potworny stary niklowany czajnik i takiż dzbanek do kawy, do których jest ogromnie przywiązany. Nazywamy je srebrami rodowymi. Na ogół biorąc jednak powodzi mu się doskonale. Lubiliśmy bardzo bywać u niego na obiedzie, bo się miało pewność, że się nie dostanie jeść na cynowym talerzu, ani nie będzie się musiało siedzieć na starej skrzyni zamiast krzesła, ani też nie dostanie się herbaty w aluminiowym kubku bez uszka, którego nie można wziąć w rękę, że się nie oparzyć. Tego rodzaju rzeczy w domu mojego brata były chlebem powszednim. Trzeba się było z nimi godzić tak samo, jak ze żmijami, żabami i innymi potworami, które spacerowały po sypialni o każdej godzinie dnia i nocy.

Plotła jeszcze przez chwilę, po czym wstała, zabierając się do wyjścia.

— Bardzo to ładnie, że pani przyszła — dziękowała jej z wylaniem pani Burnett, notując jednocześnie w myśli, że panna jest doskonale ubrana i mimo braku urody ma w sobie wiele dystynkcji.

— Ależ to drobnostka — odpowiedziała Diana uprzejmie — spodziewam się tylko, że nie zaniepokoiło pani to, co opowiadałam o jej synu.

— Bynajmniej — roześmiała się pani Burnett — już sam opis skromnych obiadków wystarczył, aby mnie zupełnie uspokoić. Obawiam się jedynie, czy się nie stał żarłokiem.

— Nie powiedziałabym tego. Wszyscy jednak wiedzą, że jeżeli się jest głodnym, najlepiej iść do kapitana Burnetta. Trzeba przyznać, że rzeczywiście porządny facet z niego, jeżeli chodzi o karmienie niedożywionych. Ale zresztą wszyscy mniej więcej tamtejsi mężczyźni to ogromnie byczy ludzie. Zakochałam się tam na zabój co najmniej w pół tuzinie panów.

Diana gotowała się do zadania ostatecznego ciosu.

— Czy syn wspominał pani kiedy o majorze Egertonie — o tym, który się tak odznaczył pod Spion Kop? To wspaniała mężczyzna. Ma przyjechać do Anglii za kilka tygodni.

Ruszyła ku drzwiom z głową podniesioną do góry i ze złośliwym błyskiem w oczach.

— Przypuszczalnie będę go często widywać — powiedziała na zakończenie. — On, Billy i ja byliśmy niemal nierozłączni. Poproszę go, żeby odwiedził panią i udzielił jej dalszych informacji o kapitanie Burnecie, jeżeli pani sobie życzy, naturalnie. Do widzenia; proszę, niech pani nie dziękuje, doprawdy nie ma za co. Kiedy będzie pani pisała do syna, niech mu pani powtórzy ode mnie, że go nie wydałam przed panią — z lekkim ukłonem zbiegła po schodach, po czym szybkim krokiem poszła w kierunku parku, trzęsąc się od tłumionego śmiechu.

Pani Burnett zachowała się podobnie, po wyjściu bowiem Diany usiadła i śmiała się cicho przez dłuższą chwilę, po czym ubawiła męża dowcipnym opisem swego oryginalnego gościa. Diana nie wiedziała jednak, że w jednym kierunku odniosła kompletne zwycięstwo, gdyż w konkluzji rozmowy troskliwa matka Teda dała mężowi do zrozumienia, że z radością powitałaby fakt, którego się przed tym raczej obawiała.

Ze swej strony Diana swoją relacją o odbytej wizycie doprowadziła do konwulsji niemal młodego wuja i w równym stopniu przeraziła ciotkę, która pamiętała o tym, że przyjaźń pani Burnett to rzecz nie do pogardzenia, poparcie zaś jej może być bardzo pożyteczne w każdym towarzystwie.

— Nie ma o co robić tyle hałasu, dobra kobieto — zapewniła ją wreszcie Diana. — Wszystkie matki są przekonane, że znajome ich synów nic innego nie robią, tylko zastawiają na nich sidła, dobrze jest więc otworzyć im od czasu do czasu oczy. Zmusiłaś mnie do tej wizyty wbrew mojej woli, sobie więc tylko zawdzięczasz konsekwencje.

— Ale mogłaś być przynajmniej oględniejsza ze względu na niego!

— Przecież prosiłam ją o powtórzenie mu, że go przed nią nie wydałam!

— Jesteś niepoprawna — ciotka wzruszyła pięknymi, białymi ramionami. — Czy przejdiesz ze mną do salonu — zapytała wstając — czy może wolisz zostać tutaj i popoflować z Ralfem?

— Daję Ralfowi urlop na dzisiejszy wieczór — odpowiedziała Diana wstając także. — Wiem, że marzy tylko o tym, żeby rozpiąć kamizelkę. Nie chcę, żeby miał przeze mnie dostać ataku apoplektycznego i obarczyć mnie tobą i dziećmi.

— Jak śmiesz... — zaczął wuj.

— Protesty na nic się nie zdadzą — przerwała mu. — Postawię dziesięć przeciw jednemu, że przybyło ci co najmniej trzy cale w obwodzie. Od czasu mojego wyjazdu zrobiła się z ciebie prawdziwa beczka! — z tymi słowy wysunęła się z pokoju, nim oburzony wuj zdołał sformułować jakąś odpowiedź.

ROZDZIAŁ XXIII

O PEWNEJ KONTROWERSJI I O PEWNYM NIEOCZEKIWANYM GOŚCIU

Diana miała słuszość przypuszczając, że będzie często widywać majora Egertona po jego powrocie do kraju. Z pewnością zaś nie jego była wina w tym, że się nie widywali jeszcze częściej. To samo można było powiedzieć o jej ciotce.

— Drogie dziecko — strofowała Dianę ta młoda dama tonem takim, jak gdyby przemawiała do wnuczki — czegoż możesz chcieć więcej? — Leżała we wdzięcznej pozie pod lampą, ocienioną abażurem, którego odcień nadzwyczaj pasował do jej pięknej wieczorowej sukni. Diana zaś siedziała na dywaniku przed kominkiem, który był jej ulubionym miejscem.

— Nie chcę nic więcej — odparła z uporem. — W ogóle nie chcę tak wiele. Nie chcę nic. Poza tym on się jeszcze nie oświadczył. Zawsze śpieszysz się okropnie z wkładaniem oświadczyń w usta Bogu ducha winnych mężczyzn.

— Nie wiesz niby, że oświadczyłyby się natychmiast, gdybyś mu tylko pozwoliła. To doprawdy niemądre z twojej strony. On jest po prostu jak stworzony dla ciebie. Musisz przyznać, że go lubisz.

— Lubię jego buty. Zawsze mówię, że nosi najładniejsze buty ze wszystkich mężczyzn, jakich znam.

— Cóż, nie możesz wyjść za jego buty, jeżeli jego nie będzie wewnątrz.

— Na tym właśnie polega trudność — roześmiała się Diana.

— Nie bądź gęsią. Raz w życiu postaraj się być rozsądna. Nam z Ralfem podoba się on ogromnie, a Ralf zna się na ludziach. Major byłby dla ciebie doskonałym mężem.

— To ty jesteś gęsią, Truda. Cóż ja pocznę z mężem, u licha? Na pewno zostałyby gdzieś po drodze razem z jakimś bagażem, gdybym spróbowała zabrać go ze sobą w jedną z moich podróży.

— Dostyc się już chyba napodróżowałaś i czas już, żebyś się ustatkowała. Na miłość boską, gdzieś ty tylko nie była przez ostatnie osiem lat?

— Nie byłam w Finlandii. Myślałam właśnie o tym, żeby się tam wybrać w przyszłym tygodniu.

— To nie dla ciebie, Di — ty przecież tak nie znosisz zimna.

— Tak, to prawda. O mało nie umarłam z zimna w Kanadzie. Rzęsy mi przymarzły do siebie i kiedy próbowałam płakać, kawałki lodu wypadały mi z oczu.

— Ale wracając do majora — powiedz z ręką na sercu, czy on ci się już oświadczył, czy jeszcze nie?

— Nie! — odpowiedziała Diana z naciskiem. — Marszałek jest bez zmyy. Spróbuj go nakłonić do oświadczyń, jeżeli nie ma murowanej pewności, że zostanie przyjęty! Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i mam nadzieję, że zostaniemy nimi.

— Ja nie mam tej nadziei. Powtarzam ci, że nigdy już nie będziesz miała takiej okazji i jesteś głupia, jeżeli ją przepuścisz. Każdy widzi, że major jest ci oddany ciałem i duszą i czeka tylko na odrobinę zachęty z twojej strony. A jak już mówiłam przedtem,

czego więcej możesz chcieć? Jest bardzo przystojny, doskonale się nosi, dystyngowany, czarujący. Ma ładny majątek w pobliżu Reading i jest wcale zamożny. Poza tym to mężczyzna w każdym calu.

— To mi nie wystarcza — zapewniła ją Diana. — Nie chcę w ogóle wychodzić za mąż, ale jeżeli kiedykolwiek to zrobię, to dla mojego męża będę musiała istnieć tylko ja na całym świecie, dla twojej zaś uroczej siostrzenicy tylko on. Nie potrzeba będzie żadnych upiększeń, żadnej parady zalet i cnót — może ich w ogóle nie będzie posiadał — ale to będzie właśnie on — i to będę właśnie ja — i musi to być coś zupełnie innego od zwykłych spraw.

Wstała i podeszła do fortepianu.

— Nie wiedziałas, że jestem sentymentalna, co? Moje zdumiewające przemówienie musiało być dla ciebie wielkim wstrząsem. Zaśpiewam ci teraz *Mama mówi, że nie powinnam*, a ty tymczasem postaraj się przyjść do siebie — zaczęła bębnić popularną melodię, zagłuszając skutecznie wszelkie dalsze argumenty.

Mimo wszystko jednak Diana nie była tak bardzo obojętna dla tej sprawy, jak pragnęła się wydawać. Major istotnie był miłym i dzielnym człowiekiem, nie można było temu zaprzeczyć, ją zaś zaczynała nużyć już nieustanna tułaczka. Podobało się jej w nim wszystko. Lubiła jego chłopięcy śmiech; jego *camaraderie* w stosunku do niej, pozbawioną cienia afektacji; jego szczery i radosny entuzjazm, gdy w przyływie energii urządzali wspólne wycieczki.

Przyjemnie było słyszeć, jak się śmieje w teatrze, i lubiła ogromnie sposób, w jaki rozdawał miedziaki wszystkim zamiataczom przejść teatralnych, kupował niepotrzebne kwiaty od kwiaciarek i zapalki w takiej ilości, że nie wiedział, co ma z nimi począć. Po każdym wieczorze spędzonym w jego towarzystwie wracała do domu zadowolona z siebie i z całego świata. Ilekroć była w złym humorze, widok jego potrafił ją rozweselić.

Czegoś jednak brakowało. Dlaczego musiała wyliczać przed sobą samą jego zalety? Dlaczego musiała mówić sobie, że on jest naprawdę niezwykle miłym człowiekiem? Według creda Diany, które ukrywała głęboko w sercu, miłość powinna być uczuciem spontanicznym, niepohamowanym, poza wszelkim kwestionowaniem, perswazjami i upiększaniem. Człowiek, którego by kochała, musiałby ją pociągać, trzymać i przykuwać do siebie. Taki człowiek nigdy by się jej nie znudził, jako indywidualność

bowiem byłby silniejszy od niej, co, zdaniem Diany, było rzeczą najważniejszą. Jak większość silnych kobiet gotowa była poddać się czyjemuś kierownictwu — pragnęła tego nawet — tylko gdzież był ten mężczyzna, który by potrafił ujarzmić jej śmiałą i wolną duszę, nie znającą lęku, a jednak drżącą przed „straszną” miłością? Częstokroć, próbując uporządkować swoje myśli na ten temat i wyjaśnić sobie tę sprawę, siadała i rozważała swoją niewątpliwą sympatię dla majora. W takich chwilach jednak nieustannie i uporczywie stawała jej przed oczami spokojna, silna twarz Teda Burnetta. Zaraz potem wypływało małe słówko „gdyby” i musiała wyteżać całą siłę woli, aby wyrzucić ten obraz z pamięci.

Jeżeli zdecyduje się i zaręczy z majorem Egertonem, to czy obraz ten nie rozwieje się sam przez się, pozwalając każdemu z nich, i jej, i Burnettowi, iść swoją drogą? O rzeczach nieziszczalnych najłatwiej się zapomina. Jeżeli zbuduje przeszkodę nie do przebycia, rozumowała, Burnett wkrótce zapomni o niej, rany jego zagoją się i będzie szczęśliwy z inną kobietą, podczas gdy ona wyrzuci z pamięci ów natarczywy obraz, uniknie owej przerażającej formy miłości i zawinie do portu, nie wypływając nawet na groźne morze — niegodna ta myśl dowodziła, że Diana była jednak po trosze tchórzem — tchórzem i dekonikiem, który osiąga nagrodę bez walki — spokój bez burzy — przystań bez odbycia niebezpiecznego rejsu.

Na szczęście jednak dla niej wybór nie do nas należy. Kiedy Życie widzi, że mężczyzna lub kobieta stanowi dobry materiał do urobienia, ujmuje wówczas sprawy w swoje ręce i wysyła taką duszę na pole walki i burz, aby miała sposobność po wielu ciężkich przejściach, przybrać kształt należyty i wykorzystać swe obfite możliwości. My, którzy umiemy patrzeć i słyszeć, widzimy, jak ręka wielkiego rzeźbiarza usuwa z duszy takiej wszystko, co w niej słabego i małodusznego, i daje człowiekowi nieugiętą, twardą siłę do przetrzymania burz, ponieważ tylko poprzez burze i kłęski może on osiągnąć bramy najprawdziwszego rajy ziemskiego i wrota tego, co najszlachetniejsze i najlepsze.

„Łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne”, powiedział niegdyś On, „aniżeli bogaczowi dostać się do nieba”. Słowa te przełożone w sposób właściwy na pospolity język oznaczają: łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż mężczyźnie

czy kobiecie osiągnąć najwyższe szczyty życia inaczej, jak drogą trudności, cierpienia i wysiłku.

Kwestia, czy ma powziąć ową decyzję, zaprzętała Dianę bardziej niż kiedykolwiek, gdy pewnego dnia pożegnawszy się z majorem i jego siostrą przy Hyde Park Corner po przejażdżce samochodowej, postanowiła pójść do domu pieszo przez park. Od blisko sześciu miesięcy przebywała już w Anglii i tęskniła nieco za nowymi wrażeniami, ale nie miała jeszcze ochoty wyruszyć w dalsze podróże. Życie jej zresztą nie było nudne ani monotonne. Przeciwnie, było wciąż jeszcze znacznie ciekawsze od losu przypadającego w udziale przeciętnemu człowiekowi, zawierało jednak równocześnie zbyt wiele niepokoju, od którego nie mogła się wyzwolić. Zazdrościła doktorowi jego spokojnego oddania się pracy. Chociażby nawet upadał ze zmęczenia i jeżeli tęsknił nawet skrycie za Joyce, na twarzy jego widniał spokój człowieka, który czerpie zadowolenie z wyników swej codziennej pracy. Diana wiedziała, że chociaż życie odmówiło doktorowi spełnienia najgorętszych pragnień, to jednak w zamian za to wypełniło pustkę, obdarzając go cudowną zdolnością uzdrawiania ludzi. Wiedziała, że dopóki Joyce jest zdrowa i szczęśliwa, on będzie wytrwale dążył swoją drogą, zagłuszając żal i cierpienie pożyteczną pracą. Co byłoby, gdyby Joyce nie była zdrowa i szczęśliwa?... Nikt nie mógł tego przewidzieć. Diana przypominała sobie, że raz, kiedy siedzieli we troje, ogarnęło ją nagle przeczucie nieszczęścia, wiszącego w powietrzu. Należało jednak mieć nadzieję, że Życie w przyszłości uścieli ścieżkę Joyce różami.

Nic jednak nie mogło ukoić szarpiącego nią samą niepokoju. W głębi duszy zazdrościła nawet ciotce, której uwagę tak bardzo pochłaniały rachunki rzeźnika, rachunki sklepikarza, rachunki krawcowej, ubrania i lekcje dzieci i trawienie miłego Ralfa. Billy zaś miał, naturalnie, swoją kukurydzę, Joyce swoje dziecko, Burnett zaś swoje zwierzęta — słowem ona jedna tylko spośród nich wszystkich musiała starać się o nabycie zainteresowań, które by wypełniły jej życie.

Nic też dziwnego, że major ze swym wesołym, radosnym usposobieniem stawał się dla niej coraz bardziej pożądanym towarzyszem i że grzęzła coraz bardziej w niezdecydowaniu.

Szybki spacer przez Park po przejażdżce samochodowej uspokoił ją nieco i pozwolił żywiej myśleć. Mimo to jednak nie znalazła

żadnego rozwiązania sytuacji. Gdy weszła do domu, kamerdyner przywitał ją wiadomością, że jakiś pan czeka na nią w saloniku.

— Jak się nazywa? — zapytała. — Czy już dawno czeka?

— Nie podał mi nazwiska — odpowiedział służący — czeka zaś mniej więcej od pół godziny.

Diana weszła po szerokich schodach i skręciła w mały korytarz, prowadzący do jej sanktuarium. Skoro tylko jednak otworzyła drzwi, pobiegła naprzód z wyciągniętymi rękami, wołając z radością:

— Ślicznotko, ty tutaj! Jak to świetnie!

Ślicznotka ujął jej ręce i uśmiechnął się w odpowiedzi, ale wyraz jego oczu sprawił, że Diana naraz spoważniała i spytała zaniepokojona:

— Co się stało? Dlaczego przyjechałeś tak nieoczekiwanie?

— Brażowa Myszka jest umierająca — odparł cicho.

ROZDZIAŁ XXIV

BRAŻOWA MYSZKA

— Potrzeba nam przyjaciela, Diano — ciągnął po chwili dalej głosem nieco ochrypłym — przede wszystkim więc przyszedłem do ciebie.

— To dobrze. Ja zrobię wszystko — *wszystko*.

— Ale zaczekaj, aż ci powiem, czego chcę od ciebie. Może się przerazisz.

— Chyba nie. Powiedz.

— Już dawno postanowiliśmy z Dulcie, że gdyby koniec się zbliżał, pobierzemy się, abym mógł opiekować się nią do ostatka — urwał, jak gdyby głos odmówił mu posłuszeństwa. Oczy Diany powlokły się łzami. — To kwestia tygodni — zakończył wreszcie — i chce wziąć ślub bezzwłocznie.

Diana zaczerpnęła tchu.

— Zrobię wszystko, co zechcesz.

— Chcę dość dużo — uśmiechnął się teraz swym dawnym nieodpartym uśmiechem. — Ona ma bardzo groźną starszą siostrę, rozumiesz, która nie chce słyszeć o tym. Musimy to załatwić

podczas jej nieobecności. Prócz ciebie nie znam nikogo, kto by nam mógł dopomóc.

— Nikogo innego nie potrzeba. Mówię ci, że zrobię wszystko.

— W takim razie, Diano — Ślicznotka pochylił się nagle naprzód i dotknął jej ramienia — czy przyjdiesz do Dulcie w piątek o drugiej po południu i przyprowadzisz ze sobą księdza?

Spojrzała nań pytająco.

— Ja nie znam żadnego — odpowiedział, odgadując jej myśli. — Nie mam żadnego znajomego księdza na całym świecie. Dlatego też musiałem zwrócić się do ciebie. Może to nie jest zupełnie w porządku, ale... gdybyś знаła moją Brązową Myszkę... — głos mu się załamał, zerwał się więc i odszedł do okna.

Diana wstała również. Przez chwilę nie mogła mówić ze wzruszenia. Następnie zbliżyła się do niego.

— Przyjdę, Ślicznotko, i sprowadzę księdza. Nie obawiaj się. Załatwię wszystko.

— Diano! — wyszeptał. — Ja... ja nie umiem nawet ci podziękować. Może Dulcie potrafi...

— Nie chcę żadnej wdzięczności. To zaszczyt dla mnie. Dumna jestem, że przyszedłeś prosto do mnie. Chciałabym tylko... — zawahała się — właściwie nie warto mówić, jak wam współczuję...

Ślicznotka skinął głową posepnie.

— Czy jeszcze mi coś o tym opowiesz przed wyjściem?

— Przyjechałem tydzień temu. Zdrowie jej nagle się pogorszyło i zadeszowała po mnie. Umówiliśmy się już dawno, że tak zrobi. Wsiadłem na najbliższy parowiec. Telegram przyszedł na farmę w piątek w nocy i zdążyłem jeszcze na pociąg pocztowy w sobotę rano. Jim pomógł mi we wszystkim. On wiedział od samego początku. Kazał cię pozdrowić. Obaj właściwie kazali cię pozdrowić i ucałować. Poza tym wszystko po staremu.

— A Joyce? — zapytała z niepokojem.

— Jim kazał ci powiedzieć, że Joyce jest tak pochłonięta dzieckiem, że o niczym innym nie myśli. Od twego wyjazdu bywał tam częściej i mówił, że nic się nie zmieniło. Dziecko przesłania jej cały świat i oboje są zdrowi i szczęśliwi.

— Jaki Jim jest dobry! Nie mogłeś mi przywieźć lepszych wiadomości! Poczuję się do jakiejś odpowiedzialności w stosunku do tych dwojga i szczęście Joyce obchodzi mnie bardzo

blisko. Opowiedz mi teraz coś więcej o Brązowej Myszce — dodała ciepło.

— Jest bardzo szczęśliwa; sama się o tym przekonasz. Gdybym tylko ja mógł cierpieć zamiast niej! Ale ona twierdzi, że od czasu jak przyjechałem, zapomniała o bólu i nie zamieniłaby się z nikim na świecie. Muszę już wracać do niej — powiedział wstając. — Wyczekuje z niecierpliwością nowin. Jeszcze raz ci dziękuję. Uszczęśliwiłaś dziś dwoje stroskanych ludzi.

Przez cały wieczór Diana była bardzo milcząca. Ciotka dziwiła się temu bardzo, ale mimo wszelkich wysiłków niczego się od niej nie dowiedziała. Pocieszała się więc nadzieją, że może Diana wreszcie zdecydowała się poślubić majora.

Tymczasem Diana pochłonięta była planami na piątek i ani jednej myśli nie poświęciła marszałkowi. Znalazła jednak czas na napisanie kilku słów do doktora, w których zawiadamiała go

o przyjeździe Ślicznotki i o dobrych wieściach od Joyce. Nazajutrz z rana zaś wstała wyjątkowo wcześnie i wyszła z domu — dokąd, ciotka jej nie zdołała się dowiedzieć. Gdy powróciła po kilku godzinach, na twarzy jej malowało się zadowolenie człowieka, który osiągnął zamierzony cel.

Tak więc w następny piątek Diana przybyła o drugiej po południu do mieszkania Dulcie Maitland w Hampstead, przyprawiając ze sobą znajomego, dobrotliwego księdza i zawsze współczującego cierpieniu doktora.

Diana weszła najpierw sama tylko ze Ślicznotką do pokoju chorej i pomyślała od razu, że do końca życia nie zapomni wyrazu promiennej radości, malującego się na drobnej, wychudłej twarzyczce o olbrzymich, cudownych oczach. Te oczy tak przykuwały do siebie wzrok patrzących, że trudno było zauważyć rysy twarzy; nie dostrzegało się nawet wspaniałych, brązowych włosów.

Chora patrzała na Dianę bez słów, ale oczy jej wyrażały głęboką wdzięczność.

— Tak mi przykro... — zaczęła Diana cicho.

— O, niech pani nie będzie przykro — odpowiedział niski, gorący głos. — Nikt nie powinien dziś mnie żałować.

Diana umilkła. Uczuła nagle, że stoi w obliczu czegoś boskiego

i budzącego najgłębszą cześć; jak gdyby znajdowała się w świątyni. Ślicznotka położył swoją silną rękę na delikatnej dłoni Brązowej Myszkki i uśmiechnął się do niej z niewypowiedzianą

czułością. Diana podziwiała go, że może się uśmiechać. Sama z całych sił zaciskała usta, aby nie wybuchnąć łkaniem.

Po chwili Dulcie odezwała się, patrząc w oczy ukochanego.

— Nie potrafię jej podziękować. Żadne słowa tego nie wyrażą.

Diana opanowała się szybko.

— Niech pani nie dziękuje — oświadczyła z wysiłonym uśmiechem, zdając sobie sprawę, że ci ludzie nie oczekują od niej ani współczucia, ani litości. — Przyniosłam tu pani mały prezent ślubny — dodała, rozwijając paczuszkę i wyjmując z niej delikatny szal z prześlicznej białej koronki. — Myślałam, że będzie pani chciała czuć się jak najbardziej panną młodą — zakończyła zmienionym nieco głosem.

— Jakie to piękne! Tylko że nigdy, nigdy nie będę mogła odwdzińczyć się pani — powiedziała Dulcie z żalem.

— Robię to tylko dla własnej przyjemności — próbowała uderzyć w wesoły ton Diana. — Widzi pani, jestem okropnie zakochana w Ślicznotce, a że nie mogę jemu zrobić prezentu, musiałam więc ofiarować to pani. Sprowadź księdza Metcalfe'a i doktora — zwróciła się do Ślicznotki. — Są w jadalni.

Po jego wyjściu zręcznymi palcami upięła szal na drobnej głowie i ramionach Dulcie.

— Wygląda pani tak pięknie... — powiedziała miękko i ucałowała białe czoło chorej.

Dulcie uśmiechnęła się do niej. W oczach jej znów ukazał się wyraz zachwycenia.

— Niech pani nie płacze — powiedziała — to takie cudowne, że się pobieramy. To najcudowniejsza rzecz na świecie. Żal mi dziś wszystkich innych kobiet, bo one nie wychodzą za mąż za Bertiego.

W tej chwili drzwi się otworzyły i weszli ksiądz, doktor i Bertie. Zaraz też przystąpiono do obrzędu.

Na zakończenie ksiądz powiedział kilka ciepłych słów do Dulcie, podczas których Diana i doktor usunęli się na bok.

Potem obaj mężczyźni wyszli, zostawiając państwa młodych samych z Dianą. Biedna panna młoda znajdowała się już u kresu sił. Doktor przed wyjściem dał jej jakiś środek na wzmocnienie i zalecił Ślicznotce starać się, aby jak najmniej mówiła przez kilka godzin.

— Niech panna Webberley rozmówi się z jej siostrą i wyjaśni wszystko — nalegał — a pan niech spokojnie posiedzi przy żonie.

Diana patrzyła więc, jak Ślicznotka z tą samą niewymowną czułością ujął w ramiona swoją Brązową Myszkę — jego własną już na ten krótki czas, jaki im pozostał — i znów doznała uczucia, że stoi w obliczu świętości. Jakież to było cudowne, jakie cudowne! Ten silny, wszechstronnie uzdolniony mężczyzna ze swoją piękną twarzą i doskonałymi kształtami, obdarzony hojnie wszystkimi darami życia, który, gdyby chciał, mógłby bez wątpienia wybierać spośród najpiękniejszych kobiet — i ta mała, delikatna, skazana na śmierć istota. Miłość sprawiła cud nie litość ani sprawiedliwość, ale właśnie miłość, wszechpoteżna, zwycięska, wykwitając między tym mężczyzną z jego bogactwem, zdrowiem i pięknością, a tą drobną dziewczyną, której bogata natura mogła wypowiadać się tylko przez okna duszy.

Diana znów pochyliła się i ucałowała białe czoło, po czym cicho zeszła na dół, ocierając łzy. Przytłaczało ją poczucie własnego ubóstwa — nagość jej życia, w porównaniu nawet z życiem biednej chorej. Cóż, przy całym swym majątku, mogła zdobyć, co by mogło się równać z bogactwem miłości, jakie zdobyła ta mała, wątła istota? Jak tego dokonała? W jaki sposób udało jej się ujarzmić tego niedosięgłego arystokratę, Bertrama Sinclaira? Ale Diana nie zastanawiała się teraz nad tymi pytaniami. Miała przed sobą fakty, może niezrozumiałe, ale niezaprzeczone. Znów zajrzała w głąb życia i to właśnie zaprzętało jej myśli. Ujrzała znów coś, co stało na równi z cudowną miłością macierzyńską Joyce — miłość, która każe tylko dawać, dawać, dawać z siebie wszystko najdroższej istocie. Rozumiała już, jakie wzniosłe, boskie niemal uczucie może kryć się za ową „straszliwością”, której wciąż jeszcze się bała. Czyż mogła osiągnąć cokolwiek bądź tchórząc i unikając owego bezlitosnego, pożerającego wszystko ognia, który zawierał w sobie pierwiastek grozy? A jeżeli już przez tchórzliwy lęk rezygnowała z osiągnięć, to cóż niebo i ziemia mogły jej ofiarować w zamian za jedną chwilę tego, czego się z własnej woli wyrzekła?

Kiedy panna Maitland wróciła do domu, zastała Dianę tak odmienioną i pokorną, że wielu przyjaciół nie poznałoby jej wcale.

— Są już po ślubie — powiedziała po prostu do stojącej przed nią kobiety o surowej twarzy. — Czekam właśnie na panią, aby pani o tym powiedzieć. Jestem przyjaciółką pana Sinclaira i sprowadziłam tu księdza dla dokonania obrzędu, a także jeszcze naszego wspólnego przyjaciela, doktora Lawsons. Nie ma celu gniewać się na nich, są zresztą — dodała z pewną goryczą — tak niewypowiedzianie szczęśliwi, że nie zauważyliby nawet pani gniewu; ale może pani wylać złość na mnie, jeżeli pani sobie życzy.

— Dużo by mi to pomogło! — ucięła krótko panna Maitland. — Nie wygląda pani na taką, która by się tym przejęła. — To prawda; myślałam jednak, że to pani przyniesie ulgę. Cóż, jest pani przynajmniej uczciwa. — Obróciła się na pięcie i stanęła przy oknie. Naraz odwróciła się znów: — Naturalnie, ani przez chwilę nie pomyśleliście o mnie — powiedziała z zaciętością w głosie — nikt z was nie zatroszczył się o to! Czyż nie niańczyłam jej, nie karmiłam i nie pielęgnowałam od jej najwcześniejszego dzieciństwa? Czyż nie byłam dla niej matką przez całe jej życie? Byłam wciąż przy niej — dzień po dniu, noc po nocy — dbałam o nią, pielęgnowałam ją, kochałam. A w końcu pani, która prawdopodobnie nie przeżyła ani jednej godziny troski, która przez całe życie nie poświęciła nikomu ani jednej niespokojnej myśli — pani najspokojniej zabiera ją ode mnie i oddaje innemu.

Diana drgnęła. Ani razu nie spojrzała na sprawę z tej strony.

— Dziwi się pani, że chciałam ją zatrzymać wyłącznie dla siebie? Cóż więcej miałam z życia? Cóż więcej zaznam w przyszłości? A pani, kimkolwiek pani jest, i Bertie Sinclair, oboje niewątpliwie przeładowani bogactwami tego świata, przychodźcie za moimi plecami i odbieracie ją mnie! Według wszelkich praw należała do mnie. Jesteście oboje złodziejami! Zabraliście mi wszystko, co miałam na świecie drogiego!

— O, niech pani tego nie mówi! — Diana wyciągnęła do niej rękę, czując żal i współczucie dla tej kobiety.

Niespodziewany obrót, jaki przybrały sprawy, dopełnił miary. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co ma powiedzieć. Gniew i złość panny Maitland zniosłaby z całym spokojem, ale głód miłości przebijający z gorzkich słów starszej kobiety, poruszył ją do żywego. W milczeniu patrzyła tylko na nią bezradnie.

Panna Maitland odwróciła się znów do okna i zaczęła wpatrywać się uporczywie w ścianę przeciwległego domu, nie widząc jednak nic prócz swego bólu.

Diana stała w milczeniu przed kominkiem i starała się zebrać myśli — znaleźć jakieś nie nazbyt już wyświechtane i banalne słowa współczucia. Nie potrafiła jednak nic wymyśleć, tylko wraz z coraz silniejszym poczuciem własnego ubóstwa doznawała coraz wyraźniejszego objawienia boskości w naturze ludzkiej. Znów oto miała przed sobą ową cudowną miłość, która cała jest oddaniem i poświęceniem. Widok ten onieśmielał ją i zarazem przykuwał do siebie. Nie mogła uporządkować myśli. Uczuła naraz, że jeżeli w ciągu minuty nic się nie zdarzy, wybuchnie płaczem.

Panna Maitland znów zwróciła się do niej.

— Mam nadzieję, że on jej stąd nie zabierze?

— Nie, na pewno nie! — zawołała Diana gorąco. — I nigdy nie pomyśleliśmy o tym, jak się przedstawia sprawa od strony pani. Przykro mi, że pani to tak boleśnie odczuła, ale... — zająknęła się i zakończyła błagalnym tonem — pani nie będzie niedobra dla nich... ona... ona jest tak niebiańsko szczęśliwa!

Panna Maitland spojrzała na nią przenikliwie.

— Nie. Nie należę do tego rodzaju ludzi. Nie odrobi się tego, co się stało, przypuszczam zresztą, że to naturalne zakończenie. W każdym razie macierzyńska miłość zwykle tak się kończy. Troska, niepokój i wysilone czuwanie przez długie lata — a potem zjawia się ktoś obcy i odbiera najdroższy skarb.

— Ale zawsze miała pani ten skarb i — znała pani miłość macierzyńską — niewytłumaczone pragnienie kazało Dianie podejść bliżej do tej silnej kobiety. — Gdyby pani wiedziała, jak uboga czuję się dziś — jak... jak *nieobdarzona* niczym... — urwała, usiłując zapanować nad drżeniem głosu. — To taka *prawdziwa* miłość... ta ich... i pani... i Joyce... Mam wrażenie, że mnie zostawiono za drzwiami na zimnie. Ja mam tylko Billa, a on jest na drugim końcu świata — suche łkanie wyrwało jej się z piersi.

Twarz panny Maitland złagodniała nagle zdumiewająco.

— Pani jest wyczerpana — powiedziała szorstko na pozór. — Musi się pani napić herbaty. Zaraz ją pani przyrządzę.

Niech pani posiedzi przy ogniu — ja nie zabawię długo.

Diana upadła na wielki fotel i wybuchnęła płaczem.

— No, no, niech się pani uspokoi — pocieszała ją panna Maitland — jest pani po prostu przemęczona. Poczuj się pani lepiej, jak się pani napije herbaty.

A Los, który nie zawsze jest okrutny i zły, uśmiechnął się łagodnie, gdyż w sposób zgoła nieoczekiwany dał nowy obiekt głodnemu instynktowi macierzyńskiemu starszej kobiety.

— Któż by pomyślał? Któż by pomyślał? — mruzczała do siebie, krzątając się dokoła Diany, zapomniawszy na chwilę o wszystkim innym.

Ale na tym polega właśnie jeden z głównych uroków Życia, które w najbardziej nieoczekiwanej chwili, w najcięższym, zdawałoby się, czasie — ukazują nagle oczom ludzkim skrawek tęczy.

ROZDZIAŁ XXV

DIANA W ROZTERCE

Wbrew skrytym nadziejom wszystkich radość nie przedłużyła życia chorej. Zdawało się raczej, że wielka fala szczęścia unosi ją do krainy spokoju.

W niespełna miesiąc później Sinclair przyszedł powiedzieć Dianie, że Dulcie umarła.

Był bardzo spokojny i mówił niewiele, ale miał zapadnięte i pociemniałe od nocnego czuwania oczy i wychudłą twarz.

Diana wiedziała, że nie potrzeba mu wyrażać współczucia słowami. Nie zatraciła całkowicie owego uczucia czci i podziwu wobec piękna miłości tych dwojga i nie ważyła się zbyt blisko do niej podchodzić. Tylko raz jeszcze od czasu ślubu widziała Brązową Myszkę i wydało jej się wówczas, że chora jest już na poły aniołem.

— Nie jest to dla mnie wstrząs — powiedział jej Ślicznotka — bo oswoiliśmy się już z tą myślą. Od dnia, w którym ją pokochałem, cień wciąż się przybliżał. Może to właśnie czyniło ją dla mnie tak niewymownie drogą i dlatego może serce moje tak niepodzielnie należało do niej podczas rozłąki. I może także właśnie to dodawało jej niezmiernego, tajemniczego, nieopisanego uroku. W oczach jej widziałem zawsze niezbadaną tajemnicę, jak gdyby nogi jej kroczyły już ścieżkami lepszego życia; jak gdyby dusza

jej, której tyle odmówiono na tym świecie, zerwała już niewidzialne pęta i przebywała w wyższych kręgach istnienia. Rozumiesz więc, że nie mogę pragnąć jej powrotu. Nie żałuję też niczego prócz jej cierpień — dodał po chwili. — Znałem ją i kochałem, i czuję, że przez to jestem bogatszy od przeciętnych śmiertelników. Wiem, że miałem coś, czego mi mogą pozazdrościć nawet królowie i — jestem zadowolony.

— Co teraz zrobisz? — zapytała go po chwili.

— Wracam do Knoll. Tajemniczy czar rodezyjskiej nocy przypomina mi ją bardziej niż cokolwiek innego. Była tak długo towarzyszką mych tamtejszych myśli, że tam zapomnę, że ona nie żyje. Śmierć to przerażające słowo. Nie chcę go wcale używać w stosunku do Dulcie. W Rodezji zapomnę o tym, że była kiedykolwiek zimna, nieruchoma i milcząca w szponach upiora śmierci. Będę tylko widział jej oczy, promienne jak gwiazdy południa. Nikt nie będzie mnie o nic pytał i nikt nie zamąci doskonałej harmonii moich marzeń dysonansem krytycyzmu lub ciekawości.

Patrzył na nią przez chwilę z ciepłym uśmiechem.

— Nie wiedziałaś, że jestem mistyk i marzyciel, prawda, Diano? Mam tylko nadzieję, że nie robię wrażenia obłąkanego.

— Mam dwadzieścia osiem lat — odparła — ale wydaje mi się, że dopiero przez ostatni rok zaczęłam poznawać życie.

Następnego dnia była na pogrzebie razem ze Ślicznotką i panną Maitland. Znowu podziwiała zewnętrzny spokój i opanowanie tych dwojga ludzi, których życie przecież było zrujnowane. Miała nieustannie ochotę płakać i jedynie żelaznym wysiłkiem woli powstrzymywała napływające do oczu łzy.

Już na sam widok Ślicznotki, który w spokojny, nienatrzny sposób odgadywał najmniejsze potrzeby surowej starszej siostry i podtrzymywał ją w milczeniu, Dianę zaczynało dusić w gardle. Z ulgą pożegnała ich wreszcie i pojechała wprost do doktora.

— Niech pan ze mną porozmawia — poprosiła, sadowiąc się w jego głębokim fotelu. — Potrzeba mi pociechy i odnowy. Ostatnio żyłam na zbyt wysokim poziomie. Sama siebie nie poznaję — i boję się.

— Czego się pani boi? — doktor nalał dla niej herbaty, przysunął podnóżek i podłożył poduszkę pod głowę.

— Nie wiem. Wszystkiego. Niech się panu wydaje, że jestem pacjentką o zachwianej równowadze psychicznej. Niech mi pan przepisze kurację.

— Dobrze. Ale musi pani opisać mi symptomy. Sam strach jest niewystarczającą wskazówką, a „wszystko” jest zbyt mglistym określeniem.

— Boję się wielkich rzeczy: życia, śmierci, miłości, wieczności. Czuję się pyłkiem przytłoczonym wspaniałością odwiecznych prawd.

Doktor mieszał herbatę w milczeniu. Po chwili odezwał się:

— Nie jestem pewien, czy nie powinna była pani pójść z tym do księdza. Ja jestem tylko lekarzem fizycznych dolegliwości.

Jest pan człowiekiem — odparła Diana stanowczym tonem — a nie o każdym księdzu da się to powiedzieć. I więcej jeszcze — jest pan jednym z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam.

Spojrzał na nią szybko i błagalnie, po czym uśmiechnął się.

— Gdybym choć przez chwilę przypuszczał, że mówi pani poważnie, złożyłbym pani kondolencje z powodu niskiej wartości moralnej pani przyjaciół.

— Proszę bardzo, jeżeli to panu sprawi przyjemność. Nie zachwieje pan jednak mojego przeświadczenia, że miałam niezwykle szczęście mając w życiu do czynienia przeważnie z takimi przedstawicielami rasy ludzkiej, którzy najmniej różnią się od aniołów.

Doktor zaczerwienił się i opuścił oczy. Pochwała Diany była mu bardzo cenna.

— Ponadto — dodała — jak mówiłam raz Joyce Grant, nie uważam, że należy wyśpiewać pochwały ludziom dopiero po ich śmierci, nie zaś wtedy, gdy są jeszcze żywymi istotami, z obawy, że staną się zbyt zarozumiali.

Przecież ludzie, których warto chwalić, są zawsze niezadowoleni z siebie i odrobina zachęty tylko dobrze im robi.

Może pan z powyższego wywnioskować, że nie mówiłabym, na przykład, naszemu rodezyjskiemu prawnukowi hrabiego, że jest jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. Prawnuk powinnowałby mi tylko, że nareszcie przejrzałam dostatecznie, aby to zauważyć.

— Jest pani dla niego zbyt surowa. Ma dobre chęci i stara się postępować zgodnie ze swymi przekonaniem. To najwięcej chyba,

co człowiek może zrobić. Zaslugą są nasze wysiłki, one też zostaną wynagrodzone, jeżeli w ogóle istnieje nagroda.
— Tylko święty może to zrozumieć, a ja nie jestem bynajmniej święta. Chętnie bym wsadziła Granta do worka i tańczyła na nim, dopóki nie zostałaby z niego marmolada. On znów przypuszczalnie chętnie by mnie spalił na stosie. Doktor nie mógł się powstrzymać od śmiechu z jej bezapelacyjnego tonu.

Diana jednak znów spoważniała.

— Czy to pańskie credo, doktorze po prostu robić to, co się uważa we własnym przekonaniu za najlepsze, nie zważając na diabły ni na anioły, na ogień piekielny ani na dźwięki złotych harf?

— Tak.

— A przypuścimy, że ktoś nie ma żadnych przekonań ani zasad?

— Trudno to przypuścić. Musiałaby to być osoba o wadliwie funkcjonującym mózgu.

— Ciekawa jestem, jakie ja mam zasady. Przede wszystkim chyba nieopuszczanie przyjaciół w szczęściu czy nieszczęściu, no i jak najlepsze branie przeszkód. Ale przeszkoda nie do zdobycia wytrąca mnie od razu z siodła. Choroba, odziedziczona przypuszczalnie po przodkach — biedacy nigdy nie mieli sposobności borykać się z losem.

— Przyznaję, że to ciężka rzecz. Sprawia tyle cierpień innym ludziom. Samo indywiduum ratuje jednak zawsze maksyma „komu więcej dano” i wypływająca z niej konkluzja, dotycząca tych, którzy otrzymali za mało.

— Nie podoba mi się ta zasada, wprawia mnie w zakłopotanie. Widzi pan, ja należę do tych, którzy otrzymali bardzo wiele.

— Cóż, jeżeli będzie pani odważnie brała przeszkody i pomagała kalekom życiowym, kiedy ich pani napotka na swej drodze; jeżeli po upadku z konia będzie się pani starała podnieść czym prędzej i wrócić na tor...

Umilkł na chwilę.

— To mój umiłowany temat. Podziwiam odwagę i siłę woli człowieka, który podnosi się po upadku, oczyszcza czym prędzej ubranie z błota i wraca na tor, chcąc za wszelką cenę wziąć udział w finiszu. Widać wtedy prawdziwą wartość człowieka. Tylko tchórz, czy będzie nim mężczyzna, czy kobieta, rezygnuje po

upadku z wyścigu. Przecież każdy z nas może upaść, zarówno doskonali jeźdźcy jak nieporadni. Tylko że jedni mają lepsze wierzchowce, inni znają lepiej teren, inni znów mają więcej szczęścia. Ja osobiście mam raczej słabość do tych zabłoconych, o ile, oczywiście, walczą do ostatniego tchu. Dowodzi to zwykle, że nie stchórzyli przed trudną przeszkodą.

— A jednak na panu samym nie ma najdrobniejszej plamki — wtrąciła Diana.

— Nie; ja mam już może swoją porcję za sobą. Zresztą, byłby to może wypadek lepszego konia, nie sądzi pani? O to tylko chodzi. Nie przemawia to bynajmniej na moją korzyść. Może po prostu miałem lepszy ekwipunek. Człowiek zabłocony jechał może na koniu lepszej rasy, był może lepszym jeźdźcem ode mnie, ale miał może trudniejsze przeszkody do pokonania i mniej niezawodny ekwipunek.

— Rozumiem. Chodzi o to, co pan mówił przed tym — zasługę mierzy się wysiłkami, nie zaś osiągniętymi rezultatami. Nieba, gdyby oni wszyscy mówili tak jak pan, zamiast piorunować

o występkach, grzesznych myślach i grzesznych ciałach, znacznie więcej ludzi chodziłoby prostymi i uczciwymi ścieżkami.

Wstała i przeszła się po pokoju, po czym usiadła znów

i zmieniła temat:

— Posyłam przez Ślicznotkę kilka prezentów dla Joyce. Muślinową, lekką jak marzenie sukienkę na jej urodziny, jedwabną bluzkę na Gwiazdkę, parasolkę na następną Gwiazdkę, srebrny pasek na Wielkanoc i prześmieszne malutkie ubranka dla chrześniaka. A co pan mu pošle?

— A co mógłbym posłać? — ożywił się doktor. — Jak pani sądzi, co by się jej podobało?

— Hm! Cóż, jest chyba jeszcze za mały na rower albo motocykl, ale może by tak aeroplan?

— Niech pani coś za mnie kupi, dobrze? Coś, co się pani będzie podobało. Niech pani nie zważa na cenę.

— Słusznie. Malutki będzie miał niedźwiedzie i króliki, i słonie, i pajace, najróżniejsze rzeczy. *Mein Gott*, doktorze, gdybyśmy tylko mogli mieć go tutaj, przecież obsypalibyśmy go zabawkami. Na samą myśl o nim czuję się lepiej. Dzieci znajdują się poza kręgiem odwiecznych prawd i niezbadanych tajemnic. Po prostu są — i człowiek musi pilnować ich rano, w południe i w nocy,

bo inaczej wpadną do ognia, utopią się w wannie albo objedzą się musztardy. Będę uwielbiała tego małego łobuza. Będę najbardziej zwariowaną ciotką — starą panną, jaka kiedykolwiek istniała.

Doktor wpatrywał się uporczywie w ogień. Diana wiedziała, że widzi w płomieniach dalekie obrazy.

— Czy ona była bliska śmierci? — zapytała nagle.

— Bardzo bliska.

— Nie jest pewnie zbyt silna, prawda?

— Nie dość silna na ten kraj i •— doktor zaczerpnął tchu — na takie życie.

— Zamartwiała się pewnie?

— Tak, tęskniła za odrobiną współczucia i zrozumienia. — Doktor zmarszczył brwi. — To zdaje się legenda, że kobiety w koloniach trzymają się razem i pomagają sobie nawzajem w opresji. Obawiam się, że częstokroć nie robią tego, co by mogły, ani nawet tego, co powinny.

— Biedna Joyce! Jest bardzo dumna. Za nic w świecie nie prosiłaby o współczucie. Uśmiechałaby się tylko, udając, że jest szczęśliwa i umarłaby nawet z uśmiechem na ustach.

Doktor przesunął ręką po oczach.

— Nie będzie już musiała o nie prosić — powiedział, jak gdyby chcąc uspokoić samego siebie — teraz, kiedy ma już dziecko. Cieszę się, że Jim tak często ją odwiedza. Ogromnie lubię Jima.

— Ja myślę — kochana, stara Pchła! — Diana wstała i zaczęła wkładać rękawiczki.

— Jestem uzdrowiona, doktorze. Jakie jest pańskie honorarium?

— Jeszcze jedna wizyta przy najbliższej sposobności.

— Tego może pan być pewien! Boję się tylko, że wybuchnie straszny skandal. I tak już wszystkie okna z przeciwka mają oczy. Skoro tylko zjawiam się tutaj, dają znaki jedno drugiemu i po chwili rozlega się chór: „O, znowu przyszła, wampirzyca! Biedny, omamiony, młody doktor”!

Zeszli, śmiejąc się, ze schodów.

— Muszę pojechać dorożką. Marszałek będzie na obiedzie, to zaś oznacza, że będę musiała poprawić ondulację i zastanowić się przez dziesięć minut, w jakiej sukni wyglądam najmniej odrażająco.

— Co? Czyżby on zrobił takie postępy?

— Postępy! — zawołała Diana, unosząc suknię przy wsiadaniu do powozu. — Powiadam panu, ten żołnierz porusza się naprzód skokami i rzutami i przeskakuje przepaście, jak gdyby to były murki ogrodowe!

— Biedny Ted! — powiedział doktor do siebie, wstępując z powrotem po schodach. — A miałem nadzieję, że on w końcu zwycięży!

ROZDZIAŁ XXVI

DIANA WYBUCHA

Mijając drzwi pokoju ciotki Diana usłyszała stamtąd wołanie.

— O, Di, jakże późno przysłaś! — zawołała ta młoda osoba. Stała przed dużym lustrem, wyglądając prześlicznie w nowej sukni, która przed chwilą nadeszła od krawcowej. — Wejdz i obejrzyj moją suknię. Ralf mówi, że jest za dużo wycięta. Jak sądzisz? W niektórych sprawach Ralf przypomina starą babę, ale ja, naturalnie, nie chcę także przesadzić. On mówi, że nie warto marnować pieniędzy na stanik sukni, jeżeli go tak mało zostaje! Czy słyszałaś kiedy coś podobnego?

— Nigdy! Daję słowo. Ralf jest niesmaczny! Na twoim miejscu zesłałbym przez zemstę na dół właśnie w samej tylko spódnicy.

— Ale, proszę cię, Di, powiedz mi, co myślisz o tej sukni, tylko śpiesz się. Nie ubierzesz się na czas.

— Czcigodna ciotko, wiesz doskonale, że jeżeli powiem, że suknia jest zbyt wycięta, nazwiesz mnie tylko starą babą, tak samo jak Ralfa. Zależy, co właściwie chcesz pokazać. Z pewnych punktów widzenia można by uważać, że jest za mało wycięta.

— Teraz ty znów jesteś wstrętna, Di! Nie znoszę cię, kiedy jesteś sarkastyczna. W tym nastroju jesteś naj obrzydliwszą osobą, jaką znam.

— Wszystko w porządku, Trudo. Nie martw się. Powiem Ralfowi, że nigdy jeszcze nie wyglądałaś tak pięknie i że powinien kazać wyrzeźbić twoje ramiona i szyję. Na pewno połknie przynętę.

— Lady Godiva Stuart będzie na obiedzie — oznajmiła ciotka nieco niepewnym tonem. — Będziesz dla niej miła, Di, prawda?

— Lady Godiva Stuart będzie tu dziś wieczorem! Ależ, Trudo, uprzedzałam cię, że gdyby ta stara wiedźma przyszła kiedykolwiek, musisz usunąć mnie z widoku publicznego, bo inaczej sama pożałujesz.

— Wiem, ale ona chciała przyjść dzisiaj, a ja chciałam, żebyś była obecna ze względu na innych gości. Musisz być dla niej uprzejma. Pewnie, że jest okropna, ale przypuszczalnie zapisze większą część majątku Ralfowi, jeżeli on jej niczym nie urazi.

— Ralf ma zupełnie wystarczającą ilość pieniędzy i na jego miejscu rzuciłabym jej w twarz jej majątek, zamiast przyjmować go jak łaskę.

— Ale on może stracić swoje pieniądze — nigdy nic nie wiadomo — a musimy przecież myśleć o dzieciach. A teraz biegnij się przebrać! Proszę cię, bądź dla niej uprzejma, choćby przez kilka minut.

— Jeżeli jesteś rozsądna, to będziesz trzymać nas tak daleko od siebie, jak tylko rozmiary domu pozwolą. Przez ostatnie kilka tygodni zachowywałam się wprawdzie jak anioł, ale nie zdziwię się, jeżeli dziś wieczorem wybuchnę w odpowiedzi na prowokację — z tymi słowy Diana pobiegła do swego pokoju, aby się przebrać do obiadu.

— Żyłam w atmosferze wzniosłości — odpowiedziała majorowi Egertonowi, gdy dopytywał się, co robiła przez ostatnie parę tygodni — i jestem chyba rada, że znów znajduję się na niższym poziomie, do którego jestem przyzwyczajona.

— Cóż to było? Nauki chrześcijańskie, grecka filozofia czy też piękno buddyzmu?

— Żadna z tych rzeczy — oczy Diany złagodniały nagle. — To była mała Brązowa Myszka.

Major spojrział na nią pytająco.

— Nie chcę teraz o tym mówić. Opowiem panu innym razem. To prawdziwy życiowy poemat. Brązowa Myszka była żoną Bertie Sinclaira i pochowaliśmy ją dzisiaj.

— Żoną? Sinclair był żonaty?

— Tak. Opowiem panu kiedy indziej. Mówić o tym teraz równałoby się czytaniu Biblii podczas pantomimy. Czy widział

pan kiedykolwiek coś wstrętniejszego od tej starej jędzy, która nazywa siebie lady Godivą Stuart i jest ciotką biednego Ralfa?

Omawiana dama, siedząca wyjątkowo sztywno, miała na sobie szarą suknię, obficie przybraną czerwonym kolorem. Siwiejące jej włosy, przybrane również szkarłatem, upięte były tak sztywno, że robiły wrażenie rzeźby w szarym marmurze. Wyraz oczu jej był równie kamienny jak nieposzlakowana marmurowość fryzury.

Major spojrział ukradkiem na drugi koniec stołu, po czym zajął się gorliwie zupą.

Może pan powiedzieć, co pan myśli — zauważyła Diana — ona nie jest moim gościem.

Czy jest pani ciotką również?

Wielkie nieba, nie! Niech pan nie myśli takich rzeczy. To tego rodzaju ciotka, którą trzeba zapraszać od czasu do czasu. Kiedy ma przyjść, Truda wyszukuje wszystkie jej prezenty, których nie możemy strawić na co dzień, i ustawia je na widocznych miejscach. Chodzi o to, że ma w związku z nią wielkie nadzieje. Naturalnie, nadzieje te mógłby mieć właściwie tylko Ralf, ale on nie dba wcale, czy dostanie coś w spadku po ciotce, czy też nie. Truda sama więc musi się o to troszczyć.

— Pani jej oczywiście w tym pomaga?

— Ja? Nie bardzo. Truda stara się zawsze usunąć mnie dyskretnie jej z oczu. Bywały już wypadki, kiedy między tą starą jędzą i mną omal nie dochodziło do bójki. Muszę jednak opowiedzieć panu historię o wazonie do kwiatów. Stara podarowała im taką czerwono-zieloną potworność — nie umiem wcale tego opisać, nie śmiem nawet — Ralf i ja nie mogliśmy na to paskudztwo patrzeć. Truda była dzielniejsza od nas — widzi pan, musi pamiętać o swoich nadziejach. Znosiliśmy widok wazonu przez przeciąg jednej wizyty, po czym, na szczęście, schowano go. Po pewnym czasie ciotka Godiva przyszła znów z wizytą i Truda, zapomniawszy uprzedzić o tym Ralfa, postawiła przed jego nakryciem nieszczęsny wazon. Ralf miał tego dnia przykrości, kiedy zaś ma przykrości, bywa, jak to się u mężczyzn nazywa, podrażniony;

o kobietach mówi się w takich wypadkach, że się złośc[^].

Z pewnym chłodem więc przywitał potężną i groźną ciotkę

I zasiedliśmy do lunchu. Ledwieśmy zajęli miejsca, Ralf zawołał w chwili zapomnienia: „Nie mogę siedzieć przed tym przeklętym

wazonem! Niech go ktoś natychmiast stąd zabierze"! Wywarło to na mnie tak piorunujące wrażenie, że złapałam wazon pragnąc za wszelką cenę odwrócić się plecami do stołu i po drodze do kredensu upuściłam go. Trzeba było widzieć, jak potem ściskaliśmy sobie z Ralfem ręce. Truda jednak rwała sobie włosy z głowy. Ralf zaś utrzymywał, że siedzenie przed takim okropieństwem nie jest warte dwóch tysięcy funtów rocznie i raczej nawet zabierze mnie do teatru za to, że je stłukłam — zakończyła opowiadanie Diana.

Po obiedzie grano w brydża w małym saloniku, nie grający zaś zebrali się w dużym salonie, rozmawiając o teatrze i opowiadając plotki. Diana wieszowała już sobie, że uniknęła kolizji z przedmiotem swej gorącej nienawiści. Na nieszczęście jednak ciotka jej w przystępie lekkomyślności w ostatniej chwili przewróciła ten domek z kart. Kiedy gracze po skończeniu tury przyłączyli się do pozostałych gości, Truda podstępnie wciągnęła Dianę w strefę niebezpieczeństwa. Diana naraz ujrzała przed sobą parę zimnych, zielonkawych oczu, spoglądających na nią z wyższością, i usłyszała surowy głos:

— Ach! Panna Webberley! Jakże się pani miewa? Mam przyjemność widzieć panią po raz pierwszy od czasu pani podróży za granicę. Mam nadzieję, że przekonała się pani, iż podróże kształcą?

Widząc, że wszelki odwrót jest odcięty, Diana uczuła, że pęknie, jeżeli nie uderzy kogoś po głowie, i przysięgła sobie w duchu, że Truda gorzko tego pożałuje.

— O, bardzo kształcą — odparła na pozór uprzejmie. — Zdobyłam mnóstwo wiadomości o mumiach, sarkofagach, insektach domowych i tym podobnych rzeczach.

Za plecami jej rozległ się stłumiony kaszel, kiedy się jednak obejrzała, marszałek oglądał pilnie jakieś piękne fotografie z Indii.

Lady Godiva Stuart spojrzała surowym wzrokiem na swoje pierścienie, na które, nawiasem mówiąc, warto było patrzeć, i spróbowała innego tematu.

— Słyszałam, że w powrotnej drodze do Anglii spotkała pani moją przyjaciółkę, panią Elsmere. Znałam ją ongiś bardzo dobrze. Jakże się pani podobała? To bardzo zdolna i wykształcona kobieta.

— Nie mogłam patrzeć na jej pończochy oświadczyła Diana. — Nosi grube, czarne, wełniane pończochy. Wszyscy zaś

naprawdę mili ludzie noszą cienkie pończochy pod kolor pantofli.

Tym razem major upuścił połowę fotografii na podłogę i ukląkł czym prędzej, aby je pozbierać. Szkoda, nie widział bowiem przez to płomienia gniewu w oczach smoka i czarownego uśmiechu Diany.

— Dowcip pani, jeżeli to miał być dowcip, jest absolutnie nie na miejscu — zgromiła ją stara dama.

— Ależ nie leżało to bynajmniej w moich intencjach — zapewniła ją Diana z niewinną minką, która uczyniła ją nagle podobną jak dwie krople wody do bliźniaka zza morza.

Zapanowało krótkie milczenie. Diana złożyła skromnie ręce i czekała, co będzie dalej.

Czy poznała już pani Elizę, swoją nową ciotkę?

Owszem, miałam to nie... chciałam powiedzieć, że miałam już przyjemność.

— Słyszałam, że to osoba godna najwyższych pochwał, która będzie doskonałą macochą dla dzieci Alfreda. Bardzo rozsądnie z jego strony, że wziął sobie gospodarną żonę. Jak ona się prezentuje?

— Stanowi rodzaj skrzyżowania między kapustą a czajnikiem — wie pani, takim czajnikiem, co to gwizdże, gdy woda się zagotuje. Niezbyt w moim guście. Wolę ciotkę Fredę. Bardziej mi przypomina kanapkę z pieczonymi mózdzkami sardynek.

— Ale ciotka Eliza jest rzeczywiście bardzo gospodarna, prawda? — pytała dalej lady Godiva, ignorując zuchwały ton Diany.

— O, tak! Jej ciastka to doskonały przykład determinacji. Czuje się, że ciastko wiedziało, że musi wyrosnąć należycie albo umrzeć. Konfitury z porzeczek mają jednak wystraszoną minę. Poza tym zaś ciotka Eliza szyje — o, jak ona szyje! — nicuje wszystkie prześcieradła, poszewki, powłoczki i firanki. Nie jestem pewna, co to właściwie znaczy, ale ona tak to nazywa. Nawiasem mówiąc, przypuszczam, że major Egerton mógłby nas oświecić w tym względzie, nie wątpię jednak, że pani sama wie doskonale, co to jest. Ja bym także powinna wiedzieć, tylko że zostałam niewłaściwie wychowana.

— O ile mi wiadomo, szyje doskonale suknie — w miarę jak gadatliwość Diany wzrastała, lady Godiva stawiała się coraz surowsza.

— Owszem. Właśnie miałam o tym powiedzieć. Z wielkim nakładem pracy, drobniotkami, ślicznymi ścięgami haftuje bluzki, które przypominają mi ławki w pustym kościele. Poza tym ciotka Eliza uwielbia generalne sprzątanía, przepada za licznymi rodzinami — mnóstwo dzieci, wszystko bliźnięta, wie pani — i uważa, że wuj Alfred pięknie wygląda na chórze i jest idealnym mężem. Dlaczego pani jej nie odwiedza? Zakochałaby się w niej pani. Ona jest akurat w pani guście.

Ale w tej chwili Truda z drugiego końca pokoju dostrzegła, że sytuacja jest mocno naprężona i nadzieje Ralfa obracają się w niwecz, przeprosiła więc szybko towarzyszy i pobięła tam, aby czym prędzej usunąć Dianę i uspokoić rozjuszoną ciotkę.

Diana patrzyła na nadchodzącą z miną spokojną, nie ruszając się bynajmniej z miejsca.

— Za długo już panie monopolizują siebie nawzajem — zaczęła uprzejmie Truda. — Może byś zechciała pójść porozmawiać z panią Hitchcock, Dianó? Jakże ci się powiodło dziś przy brydżu? Szczęśliwie?

— Jak cholera — spokojnie i wyraźnie odpowiedziała Diana. — Marszałek jak zwykle sprzątnął całą gotówkę. Truda oniemiała, lady Godiva zaś miała minę zgorzóną i przerażóną, podczas gdy Diana siedziała między nimi uśmiechając się pogodnie i życzliwie.

— Rozkosznieśmy tu sobie gawędziły z lady Godivą, Trudo. Szkoda, że mnie wypędzasz — no, ale nie mogę być zbyt chciwa, poza tym zaś marzę już o papierosie... — z tymi słowy podniosła się z miejsca. — Musimy jeszcze kiedy pomówić obszerniej o ciotce Elizie — powiedziała uprzejmie — ale tymczasem niech mnie pani posłucha i pójdzie ją odwiedzić. Na pewno ją pani bardzo polubi — dodała na pożegnanie.

Wychodząc w towarzystwie majora z pokoju spotkała Ralfa, który wracał z pokoju bilardowego.

— Jeżeli ta stara gorgona cię wydziedziczy, Ralfie, wiedz, że to wina Trudy, nie moja. Ostrzegałam ją, powinna więc była postępować rozsądniej.

Na jego zdziwioną minę dodała:

— Schowaj się na jakiś czas, Ralfiku. Truda nawarzyła kaszy, niech się teraz sama pomęczy — to mówiąc znikła wraz z majorem w cieplarni.

ROZDZIAŁ XXVII

MAJOR OŚWIADCZA SIĘ

Dopiero w jakiś miesiąc później Diana opowiedziała majorowi Egertonowi historię Ślicznotki i Brązowej Myszki. Jechali razem konno po alei parkowej. Godzina była najmniej uczęszczana, niewielu więc spotykali jeźdźców. Major pierwszy przypomniał jej o danej obietnicy, dodając, że zawsze miał wrażenie, że Ślicznotka ma jakąś tajemnicę.

— Bardzo rzadko bywał w mieście — wyjaśniał — z drugiej zaś strony wydawał się najweselszym z całej trójki.

Diana opowiedziała mu więc wszystko, wspominając także

0 surowej starszej siostrze, która tak bardzo chciała zachować chorą do ostatka tylko dla siebie.

— Czuję, że popełniłam podłość — zakończyła. — Istotnie, nie miałam prawa się wtrącać do tej sprawy.

— Przeciwnie, moim zdaniem postąpiła pani wspaniale. Życzenie siostry było bardziej egoistyczne od życzenia Ślicznotki, najważniejszą zaś osobą była w tym wypadku sama chora.

— Dlatego właśnie spełniłam ich prośbę, starałam się zresztą od tej chwili osłodzić to przejście pannie Maitland.

Odwiedzam ją często.

Nie opowiedziała majorowi, że w rzeczywistości była aniołem opiekuńczym dla osamotnionej kobiety — zabierała ją na przejażdżki samochodem i godzinami całymi rozmawiała z nią o zmarłej siostrzyczce i Ślicznotce. Tymczasem bowiem był to jedyny temat, który budził zainteresowanie panny Maitland. Chodziły razem na cmentarz i Diana wydawała mnóstwo pieniędzy na kwiaty, głównie dlatego że sprawiało to przyjemność jej towarzyszyć. Z twarzą przedziwnie złagodniałą układała je troskliwie na grobie, podczas gdy Diana czekała znużona. Wycieczki te podnosiły na duchu pannę Maitland i uspokojona już szła z Dianą na herbatę.

1 znów Diana wysłuchiwała cierpliwie godzinnych panegiryków. Nikt jednak nie wiedział, że widuje się z nieszczęśliwą kobietą. Tę przeszkodę Diana zdobywała w tajemnicy przed wszystkimi. Toteż uśmiechała się w duchu, gdy panna Maitland usiłowała jej dziękować, mówiąc, że zrobiłaby dla niej wszystko. Prosiła też,

aby Diana nie zapomniała o niej, gdyby kiedykolwiek potrzebna jej była pomoc.

Diana podziękowała i przyrzekła spełnić prośbę, myśląc jednak równocześnie, że sposobność do tego nigdy się nie nadarzy. Ale nigdy nie możemy przewidzieć, kiedy nagle potrzebować będziemy pomocy od najmniej spodziewanej osoby z naszego otoczenia.

Major zyskał na tej rozmowie tyle, że Diana pod wpływem niej stała się łagodniejsza niż zwykle, łatwiej więc było mu porozmawiać z nią poważnie.

Tak się więc stało, że po krótkiej chwili poprosił ją o rękę.

Diana jechała w milczeniu obok niego, słuchając z niezwykłym skupieniem.

Wreszcie spojrzała mu w oczy.

-- Uzna mnie pan za idiotkę — odezwała się — ale doprawdy nie wiem, co mam odpowiedzieć.

— Sądzi pani, że nie żywi pani do mnie dość gorącego uczucia?

— Tak myślę. Ale to takie niemądre z mojej strony. Zawsze pogardzałam ludźmi, którzy nie wiedzą, czego chcą.

Znów jechali przez chwilę w milczeniu.

— Tak bardzo pana lubię — przemówiła znów po kilku minutach Diana. — Od pierwszej chwili pana polubiłam. Ale kiedy zadaję sobie pytanie, czy lubiłabym pana tak samo, gdyby pan nie miał majątku ani stanowiska, ani przyszłości, to boję się wprost odpowiedzieć. — Zniżyła nieco głos: — Widzi pan, wierzę święcie, że sprawy te nie odgrywają żadnej roli, kiedy się kogoś naprawdę kocha.

Major wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w drogę ciągnącą się przed nimi.

— Czy nie jest pani może odrobinę... odrobinę zbyt romantyczna? Ostatecznie żyjemy przecież w bardzo przyziemnym świecie.

— Wiem. I zawsze pyszniłam się swoją rzeczowością i brakiem wszelkich sentymentów. Nie mogę jednak pominąć tego faktu. Poza tym teraz, kiedy wyznałam już panu prawdę, przypuszczalnie pański stosunek do mnie także się zmienił.

— Bynajmniej. Uważam, że wzajemnie przywiązanie, sympatia i przyjaźń są doskonałą podstawą do zbudowania gmachu

małżeństwa. Uczucia te trwają zwykle dłużej od wybuchów namiętności.

Jechali wolno, w milczeniu, aż Diana odezwała się wreszcie:

— Nie wiem, co się ze mną dzieje. Świat jest tak piękny, tyle jest na nim rzeczy do zrobienia i zobaczenia, a mnie wydaje się, że stałam się zblazowana. Nie chce mi się nic robić ani nic oglądać.

Spojrzał na nią nagle.

— Czy istnieje ktoś inny? — powiedział.

— Nie — odparła powoli, z głębokim przekonaniem. Dotknęła szpicrutą szyi konia. — Zawsze byłam pańskiego zdania, że wzajemne zrozumienie i sympatia są najlepszą podstawą małżeństwa, ostatnio jednak zaczęłam tracić tę pewność. Zwłaszcza od czasu, jak widziałam Ślicznotkę z jego Brązową Myszka. Nie może pan sobie wyobrazić, czym tych dwoje było dla siebie nawzajem. Kiedy patrzyłam na nich, czułam, że miłość ich warta jest wszystkich poświęceń.

— Wątpię. Cóż mu zostało teraz prócz żalu?

— To właśnie jest najdziwniejsze. Nie żałuje niczego, prócz jej cierpień. Mówi, że posiadał coś, czego mu mogą zazdrościć królowie.

— Jest po prostu sentymentalny.

— Tak. Przyznaje się do tego. Ale przez cały czas widać było, że jest szczęśliwy. Tego właśnie nie mogę pojąć. Przeżył długą rozłąkę, tyle wycierpiał, a jednak był szczęśliwy. Brązowa Myszka zaś promieniała wprost szczęściem. Wcale panu nie potrafię opowiedzieć, co to było. Tego niepodobna zrozumieć. Ale od tego czasu czuję wciąż dziwny niepokój i jakiś niedosyt.

— Może się pani zastanowi nad tym, co mówiłem — powiedział major na zakończenie. — Widzę, że jest pani niezdecydowana i nie chcę pani przynaglać do powzięcia postanowienia. Mam nadzieję, że w każdym razie nie zmieni to w niczym naszej przyjaźni. Jest ona dla mnie czymś ogromnie cennym.

Podziękowała mu ze wzruszeniem, po czym puścili konie galopem. Major pożegnał Dianę przed drzwiami jej domu.

— Czy już coś mówił? — dopytywała się tego wieczora Truda, gdy usiadły przy kominku w salonie.

— O czym? O rachunku swego krawca? Wspominał, zdaje się, że nie może go zapłacić.

— Rachunek krawca! Nie bądź głupia! Czy ci się oświadczył?

— Droga Trudo, czy wyobrażasz sobie, żeby mężczyzna o takich zaletach, co marszałek, tracił czas na oświadczytny kobiecie z taką twarzą, jak moja?

— Z taką twarzą, jak twoja — cóż za głupstwa! Gdybyś nawet była brzydka jak grzech śmiertelny, mężczyźni dobijaliby się

0 ciebie. Zawsze przecież tak było.

— Tylko dla rozrywki. Nie znaczy to jeszcze, że chcieliby, abym codziennie siedziała naprzeciwko nich podczas śniadania

I nosiła ich nazwisko w przyzwoitym towarzystwie.

— Ach, nie mam już cierpliwości do ciebie! — zawołała Truda wstając i ciskając książkę na kanapę. — Chcę, żebyś wyszła za majora, i wiem, że oświadczyłby ci się, gdybyś mu tylko pozwoliła. Jest ogromnie miły! Mam zamiar skłonić go do ucieczki ze mną tylko tobie na złość.

— A mnie zostawisz grubego, poczciwego Ralfa! — przeraziła się Diana. — Moja droga, zadreńczyłabym go na śmierć. Musiałby robić ćwiczenia Sandowa z rana, walić w worek treningowy w południe, gimnastykować się po obiedzie i grać w diabolo przez cały wieczór! Nie, doprawdy, tyś sama pozwoliła mu się roztyć, musisz więc się z tym pogodzić. Trudno, poślubiłaś go na dobrą i złą dolę!

— Co ty pleciesz! Ralf nie jest tęgi. Nie ma wcale brzucha.

— Trudo! I to mówisz ty, matka trojga dzieci? Ależ jego brzuch po prostu rzuca się w oczy. Mam zawsze wrażenie, że Ralf chce się za nim schować.

Truda roześmiała się i usiadła z powrotem. W tej chwili przedmiot kalumnii wszedł do pokoju i nie było już więcej mowy o majorze. Ale Diana nie mogła przestać o nim myśleć i tego wieczora długo stała przy oknie swego pokoju, wpatrując się w zalany światłem księżycyca park.

Zdawało jej się, że widzi w mroku kołyszącą się kukurydzę, wzgórze pokryte drzewami i zalany słońcem step, na tle których rysowała się silna, stanowcza twarz. Gdyby on był na miejscu majora, czy wahałaby się choć przez chwilę? Czyż nie wyperswadowałaby sobie, że jego stanowisko i widoki na przyszłość nie mają znaczenia i że poszłaby za nim na kraj świata, niezależnie od tego czy byłby biedny, czy bogaty?

Dlaczegoż więc nie potrafiła zebrać się na odwagę i zmierzyć się z owym dalekim krajem?

— Ale nawet gdybym pragnęła tego teraz, nie mogłabym mu tego powiedzieć — przekonywała siebie samą, zapominając lub ignorując przestrogi Billa. — Niepodobna, żebym miała tam znów pojechać. Czułabym się tak, jakbym przyjechała specjalnie, aby prosić go o ponowne oświadczyzny. Umarłabym raczej, nimbym postawiła siebie w takiej sytuacji przed światem! — Otrząsnęła się z myśli. — Muszę szybko przyjąć oświadczyzny majora, zanim zacznę robić głupstwa. Zobaczę się z nim w niedzielę.

Przed niedzielą jednak Przeznaczenie wypuściło znów strzałę, która zraniła ich wszystkich. Wydawało się, jak gdyby gwałtowny wstrząs zmienił zupełnie oblicze ziemi.

ROZDZIAŁ XXVIII

„ZA PÓŹNO”

Deszcz, deszcz, deszcz! O, jakże bezustannie padało owego lutego! Dzień po dniu, dzień po dniu — przemoczone niebo, przemoczone wzgórza, przemoczona farma.

Rzeki wezbrały i rozmyły brzegi, zmyły całe akry pól kukurydzy, zrywały tamy, niszczyły kanały irygacyjne.

Nie było suchego drzewa na opał, nigdzie nie można było wysuszyć przemoczonego ubrania, nie sposób było wyjść na krok z domu.

Zarówno Oswald, jak i Joyce byli w rozpacz, choć każde z innych powodów. Oswald nie mógł zrobić nic dla uratowania swych pól i wracał codziennie po daremnych usiłowaniach przemoczony do nitki.

Joyce znów odchodziła od zmysłów ze strachu o zdrowie dziecka i z trudności, z jakimi musiała walczyć prowadząc gospodarstwo w tak ciężkich warunkach.

— Może lepiej będzie, jeżeli zabiorę go do pensjonatu w Salisbury? — zwróciła się wreszcie pewnego dnia do męża, wskazując mu, jak dziecko zbladło z braku świeżego powietrza w atmosferze przesyconej wilgocią.

Oswald wydawał się bardziej jeszcze przygnębiony niż zazwyczaj.

-- To takie kosztowne. Czy nie dałoby się bez tego obejść? Naturalnie, musisz jechać, jeżeli uważasz, że wyjazd dla niego jest konieczny, ale jestem bardzo niespokojny o tegoroczne zbiory i nie wiem, jak sobie damy radę.

Joyce nie wiedziała zupełnie, co ma robić. Tylko dziecko nie przejmowało się niczym. Spoglądało na rodziców z dywaniku przed kominkiem i uśmiechało się wesoło, jak gdyby mówiąc: „Nie martwcie się o mnie! Dopóki tylko mogę bawić się ze szczeniętami, czuję się doskonale!”.

Joyce schwyciła na ręce chłopca, który aż zapiszczał z radości, chwytając matkę za twarz, za włosy, za łańcuszek na szyi. Czowała się jak odrodzona. Oczy jej świeciły, uśmiech stał się jeszcze słodszy, cała aparycja nabrała nowego życia. Pożerała ją jednak troska z powodu nieustających deszczów. W nocy i we dzień żyła w nieustannym strachu o zdrowie dziecka. Synek rozwijał się doskonale, ale wyglądał wciąż jeszcze bardzo delikatnie. Znadto przypominał figurynkę z drezdeńskiej porcelany. Miał błękitne oczy matki, jej cerę, złote loki, łagodne usposobienie i wrodzoną pogodę. Joyce uważała słusznie, że nie było jeszcze doskonalszego dziecka w wieku jedenastu miesięcy. Zdawało się zresztą, że deszcze nie szkodzą mu bynajmniej, mimo bladości bowiem nic mu nie dolegało.

Postanowiła więc zaryzykować i zostać, aby nie przysparzać mężowi nowych kłopotów. Gdyby nie ten взгляд, bardzo by pragnęła odmiany. Spędziła już na farmie blisko dwa lata, nie wyjeżdżając z niej nigdy na dłużej niż jeden dzień. Ponadto — co może najbardziej ją męczyło — nie rozstawała się nigdy z Oswaldem, który przygnębiał ją swoją osobą.

Oswald był zawsze taki sam — wciąż albo narzekał, albo znów puszył się i nadymał bez żadnych ku temu podstaw. Wciąż przypuszczał, że wszystko dobre, co im się zdarza, jest wynikiem jego zasług i zdolności; wszystko zaś złe tym bardziej trudne było do zrozumienia, w swoim przekonaniu bowiem nie zasługiwał na nie. Nadal dawał do zrozumienia, że tylko jego upodobania i decyzje mają znaczenie, i pragnął, aby Joyce podporządkowywała mu się we wszystkim. Powinna naturalnie starać się zrozumieć jego uczucia — słusznie mu się to należy jako mężczyźnie — nie może jednak wymagać, aby on zadawał sobie trud rozumienia jej myśli i uczuć, zresztą znacznie mniej ważnych i interesujących.

Na wrażliwą naturę Joyce postępowanie takie miało wpływ przygnębiający i onieśmielający. Ale przyciskała tylko mocniej dziecko do piersi i nie zapominała ani na chwilę, że Oswald jest jego ojcem. Dla dobra dziecka zamykała oczy na wszystkie wady męża i choć wiedziała doskonale, że miłość jej do niego, o ile w ogóle istniała kiedykolwiek, dawno już umarła, to jednak starała się zachować doń szacunek, wdzięczność i pewnego rodzaju przywiązanie.

Gdy zresztą chodziło o dziecko, panowała między nimi zupełna harmonia.

Nie było takiej rzeczy, którą zrobić dla niego byłoby im zbyt trudno, lub której by nie mogli dla niego dostać, o ile zachodziła potrzeba. Kochali dziecko bałwochwalczo i to ich łączyło ze sobą. Oswald naturalnie nie zmienił się bynajmniej w stosunku do Joyce.

O żadnym uwielbieniu z jego strony nie było nigdy mowy — nie leżało to w jego naturze. Potrzeba mu było żony, Joyce mu się spodobała i wyświadczył jej zaszczyt wybierając ją.

Było to raczej rozwiązanie problemu Euklidesa, aniżeli historia miłości, co też najzupełniej Oswaldowi odpowiadało. Joyce niewątpliwie padła ofiarą nieprzychylnego losu, jak nikt inny bowiem stworzona została dla silnej, głębokiej miłości. Ale cóż — miała przecież swoje dziecko.

Kiedy Ślicznotka przywiózł jej prezenty od Diany i doktora, słuchała chciwie opowiadań o nich, siedząc na dywanie, na którym synek dokazywał cudów w pełzaniu na czworakach. Ślicznotka siedział dłużej niż kiedykolwiek, ogromnie małym zachwycony.

Wziął go na rękę, czego dotychczas nigdy nie robił, i uśmiechnął się smutnie, gdy maleńkie rączki zaczęły czepiać się jego twarzy i włosów.

— On bierze pana za Jima — wyjaśniła Joyce. — Szalenie się kochają z Jimem, ale mały jeszcze niezbyt dobrze odróżnia twarze.

Roześmiała się serdecznie, gdy chłopczyk zmarszczył czołko

i wpatrywał się w Ślicznotkę badawczo.

— Nie może pojąć, czemu Jim nagle tak wypiękniał.

— Ale nie boi się obcych — powiedział Ślicznotka, wciąż trzymając go mocno.

— Ani trochę. Nieznajomi bardzo go interesują. Woli zawsze ludzi od zabawek i uwielbia psy. Piszczy z uciechy na widok wszystkiego, co kształtem choć trochę przypomina psa.

— Pyszny chłop — Ślicznotka wciąż z tym samym wyrazem smutku w oczach postawił go na ziemię i zabierał się do odejścia. — Panna Webberley marzy tylko o tym, żeby go zobaczyć i opowiada wciąż, jak się państwo będą świetnie bawić, kiedy pani na przyszłe lato przyjedzie do niej z synem.

Joyce uśmiechnęła się czule, tuląc twarz do twarzyczki dziecka.

— Będziemy wtedy zrywać stokrotki i kaczeńce w De-vonie, bawić się wśród fal i patrzeć na przejeżdżające statki. Mały zna już to wszystko na pamięć. To nasz ulubiony temat.

Ślicznotka uśmiechnął się do jej szczęśliwych, roześmianych oczu i po chwili ruszył z wolną doliną do domu. Na wymytm przez deszcz niebie, wyjątkowo nie powleczonym chmurami, zapalały się właśnie gwiazdy. Świeciły niezwykle jasno, Ślicznotka ujrzał na dalekim, spokojnym niebie wpatrującą się weń dobrze znajomą parę oczu. Serce jego ścisnęło się na myśl o tym, że te ukochane oczy nie uśmiechną się doń nigdy z maleńkiej dziecinnej twarzyczki, wyprostował się jednak wysiłkiem woli i szedł miarowo naprzód wsłuchując się w ciszę panującą dokoła. Ślicznotka zawsze mężnie znosił najcięższe przeciwności losu i nie zmienił się pod tym względem, chociaż życie nie spełniło żadnego z jego pragnień.

W trzy dni później Jim zastał Joyce zmartwioną osłabieniem dziecka.

Po drodze Jim rozmawiał w polu z Oswaldem, który tego dnia był wyjątkowo napuszony i zadowolony z siebie. Deszcze ustały nareszcie, przy czym okazało się, że szkody nie były wcale tak wielkie, jak to jękliwie i płaczliwie przepowiadał przez cały miesiąc. Ponadto przeprowadzone dochodzenia i zasłyszane wiadomości stwierdzały, że ucierpiał znacznie mniej od wszystkich swoich sąsiadów. Wieści te uradowały go i dodały mu otuchy. Widać opłacało się być dobrym. Musi teraz wykorzystać plony do najdrobniejszej cząsteczki i szybko zacząć orać nowe pola, jakie ocalały przed szalejącą powodzią. Wszystko to było dla niego tak jasne, że zdaniem jego Joyce okazywała brak rozsądku poruszając ponownie sprawę wyjazdu z dzieckiem na kilka dni do Salisbury. Przecież bardzo trudno mu będzie zwolnić muły na cały dzień, wyjazd zresztą jest zbyteczny teraz, gdy deszcze się już skończyły. Istotnie biedne dziecko jest nieco blade i osowiałe, ale poprawi się szybko na słońcu. Nie marudzi zresztą wcale, czyli

nic mu nie dolega. Wspomnił o tym Jimowi, ot tak, żeby uspokoić samego siebie, po czym zabrał się do roboty. Jim zaś poszedł do Joyce.

Przez długi czas potem Oswald wspominał z goryczą, jak słońce dnia tego świeciło mu, zdawałoby się, niebiańskim uśmiechem. W pracy poczynił tego dnia większe postępy od innych; żona co dzień postępowaniem swoim potwierdzała słusność jego wyboru i przezorności; dziecko było przemiłe i śliczne. Żałował nawet, że w rozżaleniu kilkakrotnie narzekał nierozważnie na nieprawdziwość psalmów, zgodnie z którymi sprawiedliwemu ma powodzić się we wszystkim, i twierdził nawet, że człowiek równie dobrze mógłby być niedbały i niesumienny. Może jednak za wiele oczekiwał. Przyszłość w każdym razie rysowała się teraz przed nim w różowych barwach.

Podniósł się z ziemi, aby skontrolować pracę mułów na nowych gruntach. Cóż za wspaniała ziemia! Grzechem byłoby nie przeorać jej możliwie jak najprędzej. Niemądra Joyce, zmartwiła się, kiedy wymówił się od wysłania jej do miasta. Naturalnie, gdyby sprawa była pilna... Ale Jim rozweselił na pewno oboje. Już on to potrafi...

Jim zastał Joyce bardzo zmienioną. Na kolanach trzymała nieruchomo leżące dziecko.

— Nie wiem, co mu jest — spojrzała nań z niepokojem malującym się we wzroku. — Od wczoraj tak wygląda i nie chce nic jeść.

Jim uśmiechnął się do maleństwa i zaczął je zabawiać, na co twarzyczka dziecka rozjaśniła się zwykłym, uroczym uśmiechem.

— Ty małą jedną, udajesz, że jesteś chory! Cóż to za poza, kiedy jesteś tęgi i okrągłutki jak pudding! Przejadłeś się, to wszystko.

Dziecko uśmiechało się wciąż, ale nie wyciągało do niego rączek, jak to było zazwyczaj. Jim wziął je na ręce i zauważył, że mały ma bardzo podkrążone oczki.

— Chciałam go zawieźć do miasta, ale Oswald nie bardzo mógł obejść się dziś bez mułów, a mnie się znów zdawało, że nie jest aż tak chory, żeby nalegać. Jak pan myśli?

— Myślę, że to po prostu skutek złej pogody. Za parę dni będzie zupełnie zdrow. Jest tylko osłabiony.

Zaczął chodzić z nim po pokoju gwizdząc cichutko i mały wkrótce zasnął.

— Prawie nie spał tej nocy — opowiadała Joyce — nie rozumiem wcale dlaczego. Był niespokojny i nie mógł się ułożyć wygodnie. Siedziałam przy nim całymi godzinami.

— Niech się więc pani teraz położy. Będzie się pani czuła bardziej wypoczęta, na wypadek, gdyby i tej nocy źle spał.

— Boję się jednak, że nie będzie mógł spać w kołysce.

— Ja go nie położę do kołyski. Nie mam nic do roboty przez najbliższą godzinę i zajmę się nim, podczas gdy pani się prześpi. Niechże się pani nie upiera — dodał z uśmiechem — wie pani przecież doskonale, że to dla mnie przyjemność. Ileż razy mam pani powtarzać, że przepadam za dziećmi? Niech mnie pani tylko nie zdradzi!

Joyce w końcu poszła się położyć. Po chwili już zasnęła mocno i spała przez całą godzinę, podczas gdy Jim kołysał i zabawiał niespokojne dziecko. Kiedy wróciła, czując się znacznie lepiej, Jim powiedział jej możliwie najweselszym tonem, że maleństwo, zdaje się, ma gorączkę, i jeżeli nazajutrz będzie ładnie, powinna go zawieźć do lekarza. Joyce starała się nie zaniepokoić tym zbytnio i zajęła się odpowiednimi przygotowaniami.

Nazajutrz jednak deszcz znów zaczął padać. Żadną drogą niepodobna było przejść ani przejechać z powodu podzwrotnikowej ulewy. Na nieszczęście dziecku było gorzej.

— Powinnam była wczoraj jechać — powiedziała z niepokojem Joyce.

— Ależ doprawdy nie wydawał się wcale chory — dowodził Oswald, częściowo, aby uspokoić własne sumienie, pamiętał bowiem, że nie pojechała z jego winy.

— Trzeba, myślę, posłać chłopca, żeby doktor przyjechał tutaj.

— Ależ, drogie dziecko, żaden lekarz nie zgodzi się odbyć dwunastomilowej podróży w taki dzień. Nie można się tego spodziewać. Zawieziemy go na pewno jutro, jeżeli jeszcze będzie niezdrów.

— Jutro może tak samo padać.

— Jakoś sobie poradzimy, jeżeli nawet będzie deszcz. Nie martw się niepotrzebnie.

Joyce wróciła do małego chorego, czując, że potworny strach ściska ją za serce. Czuwała przy nim przez całą noc, mały bowiem domagał się jej obecności i nie dawał się wziąć na ręce ojcu, chociaż ten kilkakrotnie ponawiał próby. Dziecko miało znów wysoką gorączkę. Było coraz bardziej zdenerwowane i nie przyjmowało żadnych pokarmów. To leżało bezwładnie na jej kolanach, to znów zaczynało oddychać z trudem i rzucać się, żeby przybrać wygodniejszą pozycję. Joyce, bezradna, wpatrywała się tylko weń godzinami ze wzrastającą męką. Synek wyzdrowieje, naturalnie, nie dopuszczała w ogóle innych myśli; tymczasem jednak okropnie było patrzeć na jego cierpienia i nie móc mu w niczym pomóc.

— Wszystkie dzieci chorują, kiedy im się wyrzynają ząbki — powtarzała sobie nieustannie. — Ale gdybym tylko mogła zobaczyć się z lekarzem, który by mnie uspokoił!

Pod wieczór stan dziecka znacznie się pogorszył, gorączka wzrosła. Joyce powiedziała, że muszą posłać po doktora i zmusić go do przyjazdu. Oswald wyjrzał na zewnątrz, w czarną noc. Ciszę przerywały tylko odgłosy wezbranej rzeki. Po południu tego dnia rzeki znów wylały i rozmyły w kilku miejscach brzegi. Do Salisbury można było się przedostać tylko w bród, przedsięwzięcie ogromnie niebezpieczne i niemożliwe prawie przy panujących ciemnościach. Powrócił do Joyce z przerażoną, niespokojną twarzą.

— Niepodobna dziś dostać się do miasta — powiedział. — Spróbuję sam pójść z rana.

Joyce nie wahała się dłużej. Dziecko leżało w bezruchu, na pół drzemiąc, poprosiła więc Oswalda, żeby go popilnował, sama zaś śpiesznie wyszła z pokoju.

W pół godziny później Jima obudziło ze snu głośne stukanie w okno. Zerwał się z pośpiechem i zapalił świecę. Do pokoju wsunęło się czarne ramię trzymające kartkę papieru i rozległ się głos boya: „Pan Jim! Pan Jim!”

Jim wziął kartkę i zbliżył się do światła. Zawierała tylko jedno zdanie.

Proszę, niech się pan jeszcze dziś postara o doktora; dziecko umiera.

Przez chwilę zdawało mu się, że cały pokój zawirował, oparł się więc o łóżko. Już w następnej sekundzie zaczął się gorączkowo ubierać. Deszcz lał nieprzerwanym potokiem, ponad szum deszczu

zaś wybijał się ryk wezbranej rzeki. Żaden koń nie wytrzymałby jazdy w taką noc. Nacisnął nisko na oczy miękki filcowy kapelusz i podwinął spodnie. „Powiedz pani, pan Jim bieć cała droga”, powiedział do chłopca, po czym zniknął w czeluści nocy. Miał przed sobą dziewięć mil nieprzebytej niemal w tych warunkach drogi i wezbraną rzekę do przejścia w bród.

Ale gdy poranne słońce rzuciło pierwsze promienie na stęsknioną ziemię, synek Joyce już nie żył.

ROZDZIAŁ XXIX „CICHO!”

W domu maleńkie dziecko leżało martwe.

Na szczyty beznamiętnych wzgórz, iskrząc się wesoło na zboczach, zaglądając pod liście i wypędzając ociągające się ciemności, spadły promienie Króla Dnia, głośno wołając, że poranek już nadszedł.

Na ten sygnał wielkie ptaki zaczęły budzić małe i kwiaty zaczęły gotować się do rozwarcia płatków. Oglądały swoje odbicia w kropłach rosy, kokieteryjnie rozwierały płatki i witały się z promieniami słońca.

Naraz rozległ się słaby szept, niby pogłoska, która nie wiecieć skąd przychodzi i dokąd odchodzi.

„Dziecko nie żyje”, mówił szept. „Cicho! Słuchajcie chwilę uważnie — dziecko nie żyje!”

Ale małe ptaszki zbyt były głodne, kwiaty zbyt zajęte swoją toaletą, trawa zaś zbyt ciężka od rosy, aby mogły udzielić swej uwagi tajemniczemu głosowi.

Następnie obudziły się podwórka przy farmach. Kogut z rasy leghornów wyzywał koguta z rasy minorka od leniów, minorka zaś wołał w odpowiedzi, że jednak jego kury już wstają, kury zaś leghornów nie dają jeszcze znaku życia.

Po czym oba koguty wpadły w złość i starały się przekrzyczeć siebie nawzajem.

Widać nie słyszały jeszcze o niczym.

Po chwili indyki zaczęły bulgotać i przechadzać się dla rozprostowania nóg, kaczki zaś kwakały bez ustanku, domagając się, aby je puszczono wreszcie na wodę.

Dziwne, że szeptu nikt jeszcze nie dosłyszał. Nie milkł on jednak. Wreszcie obudziły się wietrzyki i zeszyły z drzew. One pierwsze usłyszały słowa, które szeptał nieznany głos. Przez chwilę oniemiały z przerażenia, ale zaraz poniosły dalej żalobną wieść.

„Cicho!”, wiały wietrzyki. „Cicho! O, bądźcie cicho! Dziecko umarło!”

Rzeka usłyszała pierwsza. Z burzliwego, hałaśliwego pędu przeszła naraz do przyciszonego, łagodnego szelestu. Po chwili skrzydła poranku zaniechały gorliwej pracy nad przygotowaniem dnia. Przekazały natychmiast wieść słońcu, które — zrozpaczone — ukryło twarz za chmurą. Przeraziło to małe ptaszki, które przestały domagać się natarczywie jedzenia.

W ciszy, jaka zapanowała, nawet kwiaty zaczęły nasłuchiwać i osłupiały, nieruchome, lecz nie dowierzające straszliwej wieści. Trawa otrząsnęła się właśnie z kropel rosy, które padając śmiały się jeszcze i mieniły się wesoło. „Uciszcie się!” — zaklinały wiatry. „O, uciszcie się! Dziecko umarło!”

Trawa porzuciła zabawę i znieruchomiała z przerażenia. Krople rosy ześlizgnęły się po łodygach i znikły. Nie mogły żyć dłużej, usłyszawszy taką wiadomość.

„Niech ktoś zawiadomi te hałaśliwe koguty”, nakazał cichy szept. „Muszą się uciszyć i uspokoić kury.” Wiatarki, płacząc, pośpieszyły we wskazanym kierunku. Ale na podwórkach panował wielki ruch i wiele czasu upłynęło, nim je wysłuchano. Płakały i załamywały ręce wśród ogłuszającego zgiełku. Wreszcie mały zmysłny kogucik zauważył, że coś niedobrego się dzieje. Wskoczył na ocembrowanie studni i krzyknął na towarzyszy, aby się uciszyli i wysłuchali, co właściwie usiłują im powiedzieć wiatry. W ciszy, jaka nastąpiła, można było z początku rozróżnić tylko łkania, po czym dobiegły ich przerywane płaczem słowa: „Nie żyje, małe dziecko nie żyje. Nocne wiatry widziały, jak duch jego ulatywał poprzez milczenie, i czekały na nas, aby zawiadomić nas, gdy się zbudzimy”. Martwa cisza zalegała na podwórku. Minorka i leghorn spoglądały na siebie z nieopisaną rozpaczą. Wolałyby nigdy już nie walczyć ze sobą, niżby śliczne dzieciątko nie miało już nigdy przyjść do nich na pogawędkę.

Nadciągały już chmury, wezwane śpiesznie na ten dzień żałoby, powietrze zaś rozpląkało się lekkim deszczem. Tylko wzgórza wciąż wznosiły dumne głowy ku niebu. „Nigdy nas nie lubiła” — mówiły — „i myśmy jej nigdy nie lubiły. Dlaczego opowiadała mu zawsze o morzu i skałach, i mewach? Jesteśmy wyższe od wszystkich skał, nasze ptaki są piękniejsze od wszystkich mew. Dlaczego uważała nas za niegodne swego dziecka? Fale, kaczeńce, stokrotki i białoskrzydłe okręty! A nasze flotylle zbudowane z chmur? Gardziła nami zawsze. Od czasu, jak przyjechała, szydziła z nas zawsze. Ale tym razem zdruzgotałyśmy ją. Nie będzie już więcej z nas się naigrawać. Jesteśmy bowiem synami i córkami tej ziemi, która zabrała jej syna”.
A w domu maleńkie dziecko leżało martwe.

ROZDZIAŁ XXX

„NIE POZWOLĘ GO ZABRAĆ”

— Nie pozwolę go zabrać.

Były to pierwsze słowa, jakie Joyce wypowiedziała od pięciu godzin. Sama umyła i przygotowała drobne ciało, potem zaś pokryła je pocałunkami. Ale nie wylała jeszcze ani jednej łzy.

Oswald, równie oniemiały z bólu, posłał boya, który miał zatrzymać w drodze Jima z doktorem i odnieść parę listów. Sam zaś poczynił śpieszne przygotowania do zabrania biednego dziecka do Salisbury, gdzie miano je pochować. W tym bezlitosnym kraju zabiera się nam zmarłych w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Kiedy wszystko było już gotowe, poszedł zawiadomić o tym Joyce. Siedziała w milczeniu przy wszystkim, co pozostało jej z najdroższego skarbu życia. Czowała, o ile w tej chwili w ogóle zdolna była do odczuwania czegokolwiek, że już nigdy w życiu nie będzie płakać.

Oswald przemówił bardzo łagodnym tonem:

— Muszę go zabrać, kochanie. Trzeba go dziś pochować.

— Ale nie w Salisbury. Nie o dwanaście mil ode mnie!

— A gdzie, kochanie? Nie możemy pochować go na farmie. Musi leżeć w poświęconej ziemi.

— Dlaczego? — oczy jej zapłonęły nagle niebezpiecznym ogniem. — Lepiej mu będzie bliżej mnie. Będę doglądała kwiatów na jego grobie, a on będzie czuł, że jestem przy nim i nie będzie się bał.

— Joyce, najdroższa, nie wiesz, co mówisz. Musi przecież leżeć w poświęconej ziemi.

— Będzie mu lepiej przy mnie — powtórzyła z uporem. — Ja go potrzebuję. On jest wszystkim, co miałam.

Oswald wyglądał jak człowiek ciężko chory.

— Muszę go zabrać — nalegał. — Przygotowałem już wszystko. Ty, naturalnie, także pojedziesz?

— Nie.

— Dlaczego? Czy nie czujesz się dobrze?

— Nienawidzę modłów pogrzebowych. Ktoś w nich za coś dziękuje. Nie będę dziękować.

Twarz Oswalda przybrała jeszcze bardziej zatroskany wyraz.

— Nie mogę cię zostawić tu samej.

— To nie ma znaczenia.

— Czy pojedziesz do lady Marsland, czy mam ją poprosić, żeby przyjechała do ciebie?

— Nienawidzę lady Marsland!

— To bardzo niemądre z twojej strony. Czy chciałabyś kogoś innego?

— Jim niedługo przyjdzie. On się mną zaopiekuje. Oswald odwrócił się do łóżka, na którym leżała drobna, nieruchoma postać. Oczy Joyce przybrały nagle wyraz oczu zaszczutego zwierzęcia, doprowadzonego do ostateczności.

— Nie możesz go zabrać! Ja go nie oddam!

Oswald wybuchnął łkaniem i oparł się bezsilnie o łóżko. Joyce wstała. Poprzedni jej wyraz zmienił się teraz nagle w kamienny, przerażający bezruch.

— Pochowajmy go tutaj — powiedziała.

— Nie. Nie mogę na to pozwolić. Nie wiesz, czego żądasz. To potworne! Cmentarz jest wszystkiego dwanaście mil stąd.

— Więc nie chcę widzieć, jak go będziesz zabierał — i nie oglądając się za siebie wyszła do drugiego pokoju, gdzie położyła się na podłodze, chowając twarz w ramionach.

Przed wyjazdem Oswald wszedł do niej i przemówił do niej delikatnie, ale nie zwrócił na niego żadnej uwagi. — Wróć możliwie jak najprędzej. Staraj się być zdrowa, Joyce. Uważaj na siebie. Myśl o mnie. Kiedy odszedł wreszcie i ostatnie dźwięki zamarły w oddali, pozostała jeszcze przez jakiś czas w bezruchu. Następnie podniosła się i usiadła na podłodze. Do pokoju wszedł kucharz, aby zapytać, czy ma podać jakiś posiłek, ale bez słowa odprawiła go skinieniem ręki.

Deszcz padał teraz z większą mocą. Joyce patrzyła kamiennym wzrokiem przez otwarte drzwi nie widząc nic przed sobą. A jednak była okrutnie — bezlitośnie przytomna. Wiedziała, że dom znów jest pusty — pusty w straszliwszym sensie niż przed tym. Wiedziała, że dokoła leżą rozrzucone zabawki, które już nigdy więcej nie będą potrzebne. Pajac, którego przysłała Diana, leżał obok niej na podłodze. Wyglądał, jak gdyby serce mu pękło. Jej terier, ulubieniec dziecka, skulił się w pewnej odległości, nie odrywając od niej oczu i skomląc od czasu do czasu cichutko. Ale Joyce patrzyła kamiennym wzrokiem na spadające z nieba strugi deszczu i nie dawała znaku życia. Przypuszczała, że za chwilę postrada zmysły i czekała tylko na to, jak na wybawienie.

Tymczasem wydawało się jej, że matka dziecka stopniowo umiera. Joyce pozostała. Joyce Grant, ale nie tamta Joyce, która pielęgnowała dziecko, pieściła je i śpiewała mu piosenki. Tamta Joyce odeszła z płaczem w deszcz za małą trumienką, miejsce jej zaś zajął ktoś zupełnie nowy. Nowa Joyce miała serce ciężkie jak kamień. Nie było już w nim miejsca nawet dla ojca dziecka. Jako ojciec dziecka był cieniem należącym do życia, które właśnie się skończyło. Zdawała sobie sprawę, nie zastanawiając się nad tym specjalnie, że uczucie jej doń umarło wraz z innymi uczuciami. Było to okropne, ale nie można było już tego zmienić. W przyszłości będzie znów tylko zrzędlwym, ponurym, wiecznie nadąsanym, ale zadowolonym z siebie człowiekiem, który uczynił dla niej życie w Rodezji ciężarem. Myśl jej zaczęła pracować z niezwykłą szybkością. Przypomniała sobie wszystkie przykrości, jakich doznała przez pierwszy rok, jeszcze nim dziecko przyszło na świat. Zdała sobie sprawę z tego, jak ciasnota jego umysłu i bigoteria przygnębiały ją i przytłaczały. Przypomniała sobie wszystkie ataki rozdrażnienia, które wylewał na zwierzęta.

Jak czarne, groźne niebezpieczeństwo ujrzała nadciągającego upiora dawnego życia. Ale teraz należało się liczyć ze zmianą, jaka nastąpiła w niej samej. Matka dziecka umarła, ale dawna, cierpliwa Joyce znikła także. Tu właśnie omyliły się złowrogie wzgórza. Potrafiły, niewątpliwie, złamać tamtą Joyce; ale ona już nie istniała. Przeoczyły, że oprócz narodzin dziecka, zdarzyło się coś jeszcze.

To właśnie zdarzenie wysuwało się teraz na plan pierwszy i urabiało nową Joyce, odwołując się do jej wrodzonej odwagi, do jej wrodzonej zdolności do tego, aby kochać i być kochaną, do jej pragnienia, żeby przed śmiercią choć przez chwilę zobaczyć jeszcze ukochane morze Devonu.

Joyce była wciąż jeszcze zbyt wrażliwa, aby nie można było jej złamać, ale wzgórza i cisza nie potrafiłyby już tego dokonać, dla wzgórz i ciszy było to już zadaniem ponad siły.

Wszystkie te myśli przelatywały jej przez głowę, gdy siedziała w milczeniu wpatrując się w strugi deszczu. Po chwili wstała. Nie mogła już się dłużej opanować. Musiała zrobić coś natychmiast, inaczej czuła, że się załamie. Ale jeżeli przetrzyma tę mękę, godzina ta zadecyduje o przyszłości.

— Postaram się przede wszystkim pójść do mego dziecka — pomyślała w końcu. — Jeżeli go nie znajdę, to będzie koniec. Chodź, Kim — powiedziała do teriera z umęczonym uśmiechem — poszukajmy małego. Zabierzemy pajaca na wypadek, gdybyśmy go znaleźli.

Po tych słowach wyszła, tak jak stała, na szalejący deszcz, bez kapelusza, ubrana tylko w białą bawełnianą suknię.

Przez jakiś czas krążyła bez celu dokoła, moknąc coraz bardziej, następnie skierowała się doliną do Knoll.

Znalazł ją tam Jim. Stała z gołą głową pod potokami wody z wyrazem tępej męki w oczach. Tuliła do siebie zabawkę. Obok niej skomlał żałośnie biedny piesek.

Szczyty wzgórz otaczała teraz miękka mgła, w której wzgórza kryły swoje oczy. Nie tego oczekiwały. To inna zupełnie kobieta szydziła z nich, a nie przemoczone, zrozpaczone dziecko, które stało teraz na deszczu z męką w oczach, ściskając w ręku niepotrzebną już zabawkę, w towarzystwie tylko bezradnego, wiernego pieska.

Joyce dobrze zrobiła pokładając swe zaufanie w mężczyźnie. Bo właśnie mężczyzna najczęściej pomaga kobiecie w najczarniejszej godzinie życia.

Jim powrócił z Salisbury przemoczony do suchej nitki i wyczerpany do ostatka.

Ślicznotka czekał nań przed domem. Kiedy Jim nadszedł, spróbował uśmiechnąć się do niego.

— Bądź tak dobry, przygotuj mi jak najmocniejszą whisky, a ja się tymczasem przebiorę.

Ale Ślicznotka zatrzymał go.

— A co potem?

— Muszę iść do Killarney — odetchnął z trudem. — Przecież ona oszaleje.

— Nikomu nie pomożesz, jeżeli pójdziesz w takim stanie. Ód godziny już mam przygotowaną dla ciebie gorącą wodę. Musisz wziąć gorącą kąpiel, napić się whisky i położyć się do łóżka co najmniej na dwie godziny.

Jim był już bliski utraty przytomności z wyczerpania, uległ więc namowom. Po krótkim, pokrzepiającym śnie ubrał się i ruszył prosto do Killarney.

Joyce ujrawszy Jima postąpiła naprzód i wyciągnęła do niego obie ręce. Z jednej z nich zwisał żałośnie wyglądający pajac.

— Chcemy dostać się do niego — powiedziała — a to jest jedyna droga.

Jim poczuł, że jakaś kula ściska mu gardło. Ujął jej ręce w mocny uścisk.

— Biedactwo drogie! O, Boże, moje biedactwo! Opanował się dopiero po upływie blisko minuty. Spróbował przemówić do niej stanowczo.

— Nie powinna była pani wychodzić, pani Joyce. Drogie dziecko, pani zupełnie zmokła!

Joyce spojrziała na swoją ociekającą wodą suknię.

— Tak. To jest jedyna droga. Chcemy się dostać do niego.

— Chodźmy teraz do domu, maleńka. — Jim ujął jej rękę i poprowadził ją z powrotem do opustoszałego domu.

Zadrzała, gdy ujrzała przed sobą bungalow z czerwonej cegły.

— Nie, nie mogę! Nie mogę! — zaczęła się opierać.

Jim zrozumiał, że musi postępować z nią jak z dzieckiem.

— Chodźmy, niech pani będzie dzielna, pani Joyce. Zaopiekuję się panią.

Po długich namowach uszła kilka kroków, ale nogi ugięły się pod nią. Oddychała z trudem.

— Nie mogę iść. Niech mnie pan tu zostawi.

Zamiast odpowiedzi Wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Posadził ją w dużym fotelu. Leżała w nim spoglądając na niego bezradnie. W tej chwili oddałby wszystko, co miał, byleby mieć przy sobie jakąś kobietę do pomocy.

Najbliższa jednak kobieta znajdowała się w odległości pięciu mil, tymczasem zaś należało ratować Joyce.

— Przygotuję pani gorącą kąpiel — powiedział. — Wykąpie się pani prędiutko i włoży ciepły szlafrok, a ja tymczasem poczekam w stołowym. Zrobi to pani.

Zgodziła się i już w pół godziny później usadowił ją przed płonącym kominkiem, otulił kocami i szalami i nakarmił własnoręcznie gorącym mlekiem i chlebem.

Była teraz zupełnie spokojna i na pozór normalna, ale wciąż jeszcze nie płakała. Brak łez niepokoił go bardziej niż cokolwiek innego. Podniósł pieska i posadził jej na kolana.

— Musi się pani teraz zająć Kimem — powiedział, aby ją rozruszać.

Pies zaskomlał i zaczął lizać jej ręce, ale wciąż jeszcze żadna łza nie pokazała się w jej oczach. Jim przygotował herbatę i czekał. Wreszcie Joyce przemówiła słabym, ale zupełnie normalnym swym głosem.

— Jim — spytała — jak pan myśli, czy lepiej jest, żebym umarła, czy żebym żyła?

Umyślnie zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

— Piękne jest słońce, pani Joyce, i ptaki są piękne, i kwiaty, a poza tym nam wszystkim brakowałoby pani bardzo.

— Ale nie będzie wam brakowało tego, co ze mnie zostało.

— Nie powinna pani sądzić według swego dzisiejszego stanu, drogie dziecko, ani według tego, co będzie pani czuła jutro czy pojutrze. Jest pani jeszcze tak młoda, a mąż pani...

Usta Joyce zacięły się nagle. Jim dostrzegł to i urwał.

— Chciałabym jeszcze raz zobaczyć Devon — odezwała się po chwili. Po raz pierwszy usta jej zadrżały i wielkie łzy popłynęły

po policzkach. Nie łkała jednak. Jim wyczekiwał z niepokojem, rozmyślając nad jej chorobliwie bladym wyglądem.

— Jim, pan zrobił wszystko, co było w pańskiej mocy — dla... dla mojego... synka.

— Tak.

— Czy zrobiłby pan także coś dla mnie, przez pamięć dziecka?

— Zrobiłbym po prostu dla pani.

— Czy pan pamięta, że byłam bardzo chora i o mało nie umarłam, kiedy on się urodził?

— Tak.

— I że doktor Lawson uratował mi życie?

— Tak.

— Tylko on może uratować mnie teraz.

Jim pochylił się nagle i poprawił polana na kominku. Był nieco zaskoczony.

— Czy moje życie warto jest tego, żeby go niepokoić? Wciąż nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Spojrzał na nią. Leżała w fotelu, przypominając bardziej niż kiedykolwiek śliczną rzeźbę z wosku. Nie mógł jednak patrzeć jej w oczy, odbierało mu to męstwo.

Wreszcie Joyce znów przerwała milczenie.

— Chcę, żeby pan jutro coś zrobił dla mnie, wyłącznie dla mnie.

Jim wpatrywał się w ogień.

— Dobrze.

Z oczu jej znów potoczyły się łzy.

— Jaki pan dobry.

— Co mam zrobić?

— Chcę, żeby pan wysłał ode mnie telegram do doktora Lawsona. Napiszę panu tekst.

Przyniósł jej papier i ołówek. Napisała kilka słów drżącą ręką i podała mu je. Przeczytał w milczeniu i schował papier do kieszeni.

— Nie mam pieniędzy — powiedziała z wahaniem. — Bardzo mi przykro. Telegram będzie z pewnością kosztował strasznie dużo pieniędzy, ale zwrócę je panu na pewno.

— Nie będzie dużo kosztował — odparł łagodnie — a zresztą to nie ma znaczenia.

Wstał i wyszedł przed dom, aby zobaczyć, czy Oswald jeszcze nie wraca. Coraz bardziej niepokoił go jej wygląd. Zdawało się, że najłżejszy podmuch zwałiby ją z nóg.

— Jim, jeżeli Oswald poprosi pana o pozostanie tutaj przez parę dni, proszę, niech się pan zgodzi.

— Naturalnie, jeżeli to pani w czymkolwiek pomoże.

— Owszem, pomoże mi. Niech pan nie odchodzi.

Mniej więcej w dziesięć minut później nadjechał śmiertelnie znużony Oswald. Spojrzał ze zdziwieniem na strój Joyce.

— Pani Grant wyszła na deszcz i zmokła zupełnie — wyjaśnił Jim. Znalazłem ją i przyprowadziłem do domu. Mam nadzieję, że się nie zaziębiła.

Oswald zbliżył się do niej i ucałował ją w czoło. Wyraz cierpienia w jej oczach pogłębił się i znów wielkie łzy popłynęły niepowstrzymaną strugą.

Przygotuję panu gorącej whisky — zaproponował Oswaldowi Jim. — Musi pan być strasznie zmęczony. *

— Dziękuję panu, ale nie pijam alkoholu.

— Ale powinien się pan napić w celach leczniczych.

— Nie, dziękuję. Napiję się herbaty — po tych słowach zawołał boya.

Joyce podniosła się z trudem.

— Położę się chyba do łóżka — powiedziała. Nie mogła jednak ustać na nogach.

Jim podbiegł do niej i podparł ją ramieniem. Uszedłszy dwa kroki oparła się nań całym ciężarem. Pokój jej przylegał do salonu, zaprowadził ją więc tam, podczas gdy Oswald poszedł naprzód i zapalił świece.

Gdy weszli do pokoju, przede wszystkim rzuciła im się w oczy pusta kołyska. Jimowi wydało się, że twarz Joyce poszarzała. Zaczerpnęła tchu z trudem, jak gdyby nie mogła oddychać.

— Wszystko na nic. Nie mogę tego znieść — szepnęła i osunęła się ciężko w jego ramiona.

Jimowi i Oswaldowi zdawało się, że omdlenie trwa długie godziny. Wreszcie zaczęła jęczeć. Z wolna jęki ustały i Joyce odzyskała przytomność. W kilka minut później wybuchła łkaniem i obaj mężczyźni poczuli, że umysł jej jest uratowany.

— Niech pan zostanie. Nie zniósłbym tego sam — poprosił Oswald.

Usiadł w przyległym pokoju, płacząc bezsilnie, podczas gdy Joyce łkała rozpaczliwie, ściskając rękę Jima. Twarz Jima była nieruchoma jak kamień. Zacisnął zęby i głaskał delikatnie ramię Joyce. Były to najgorsze dwadzieścia cztery godziny jego życia. Nazajutrz druty telegraficzne zadrgały słowami:
Moje dziecko nie żyje. Proszę przyjechać. — Joyce.

ROZDZIAŁ XXXI

BRAWO!

Doktor przyjął właśnie ostatniego pacjenta, gdy chłopiec przyniósł telegram i położył na biurku. Doktor przeczytał i osłupiał.

— Czy będzie odpowiedź, proszę pana?

— Nie.

Chłopiec wyszedł.

W ciągu następnych pięciu minut zdawało się, że doktor skamieniał. Żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

Wreszcie odetchnął głęboko i rozejrzał się po pokoju.

— Czy zdążę na czas? — było jego pierwszą świadomą myślą, następnie zaś: — Od czego mam zacząć, żeby być gotowym na sobotę?

Naraz wziął ołówek i blankiet telegraficzny i napisał na nim:

Joyce telegrafuje: Moje dziecko nie żyje, proszę przyjechać.

Sam poszedł na pocztę i nadał telegram do Diany. Czuł gwałtowną potrzebę świeżego powietrza. Kiedy wrócił, lunch już czekał na niego, ale doktor wypił tylko szklankę porto, zjadł jeden biszkopt i kazał chłopcu sprzątnąć jedzenie.

Następnie wrócił do swego gabinetu i rozpoczął przygotowania. Robił wszystko dokładnie i systematycznie, chociaż doznany wstrząs utrudniał mu myślenie. Otrzymana wiadomość poruszyła go do głębi. Wiedział od dawna, że może przyjść, nie śmiał jednak nigdy myśleć o tym. Jeszcze dotychczas nie mógł należycie ogarnąć znaczenia słów telegramu. Jak trzęsienie ziemi

obrócił on w gruzy całe jego dotychczasowe życie. Jedno krótkie zdanie w ciągu sekundy zmieniło oblicze świata. Zdawałoby się, że zawarł był układ z losem, dając w zastaw swoją pracę. Jak gdyby powiedział niegdyś: „Dopóki Joyce jest zdrowa i szczęśliwa mając swe dziecko, oddam ci całą moją wiedzę, całą umiejętność, wszystkie siły i żadnym słowem swoim ani żadnym uczynkiem nie przysporzę jej zmartwienia. Ale jeżeli coś złego stanie się jej lub dziecku — układ traci ważność. Jestem wolnym człowiekiem — skoro mnie wezwie, pojedę”.

Natychmiast po przeczytaniu telegramu wiedział, że pojedzie, ale musiał zebrać rozbite myśli. Teraz zastanawiał się już tylko nad przygotowaniem do drogi.

Cecil Lawson w trudnych chwilach życia miał w sobie coś, co przypominało piękno poranku — wspaniałego poranku rasy ludzkiej. Był człowiekiem w najszczytniejszym znaczeniu tego słowa, człowiekiem dość wielkim, aby podeptać wszelkie pisane i niepisane prawa, który potrafił odrzucić zmore przesądów, wyrwać się z niedźwiedziego uścisku zwyczajów, zlekceważyć tysięczne drobiazgi życia codziennego i stanąć z podniesionym czołem, samotnie, przed straszliwym splendorem nieskończoności. Przedstawiał może w tej chwili swoją sprawę trybunałowi Najwyższego Sędziego.

Wielkim uczyniły go nie zaszczyty, nie wiedza ani powodzenie życiowe, lecz jego niezmierna miłość, miłość bowiem jest najcudowniejszą i najwspanialszą rzeczą na świecie.

W tej przełomowej chwili istniała dla niego tylko ukochana kobieta i jej cierpienie.

Skoro tylko dowiedział się, że Joyce go potrzebuje, z zupełnym spokojem porzucił wszystko, co mogło mu dać jego dotychczasowe życie i rozpoczął przygotowania do podróży na drugi koniec świata.

Starożytni bohaterowie nie mogliby uczynić nic więcej. Bohaterska miłość nie mogła zrobić mniej.

Postępowanie takie nie leży może w granicach praw społecznych. Jest może nawet niedopuszczalne ze strony dobrego obywatela, któremu leży na sercu troska o dobro ojczyzny. Ale wszystko to nie zdoła zaćmić wspaniałości stosunku doktora do ukochanej, ani umniejszyć jego własnej wielkości.

Był wielkim człowiekiem, ponieważ żywił w sercu wielką miłość.

Tylko w takim nastroju ducha można przekroczyć szczęśliwie niebezpieczną przepaść miłości, która jest prawem sama dla siebie. Albowiem mężczyzna (lub kobieta), który się waha i ogląda za siebie, któremu brak owego uniesienia, przypominającego wspaniałość poranku — stoczy się — nie — runie w otchłań.

Kiedy Diana nadeszła, doktor notował coś śpicznie, siedząc przy biurku. Otrzymała telegram podczas lunchu i wstała pobladła i przerażona.

— Co się stało? zapytała zaniepokojona Truda. Co ci jest, Di?

Diana stała bez ruchu patrząc na papier trzymany w ręku.

— Nie mogę tego pojąć. To tragedia.

— Czy ktoś umarł?

Tak... małe dziecko... mój chrześniak... O, Di! Jakie to smutne! Diana nie powiedziała nic więcej. Poszła na górę włożyć okrycie. Wciąż jeszcze czuła się ogłuszona.

Gdy weszła do gabinetu doktora, żadne z nich nie traciło czasu na powitanie.

Diana zatrzymała się na środku pokoju spoglądając na doktora przerażonym wzrokiem i rzekła:

— Co pan zamierza uczynić? — Jadę do niej.

Nie odzyskała jeszcze równowagi po pierwszym wstrząsie, słowa zaś doktora wstrząsnęły nią z równą niemal siłą.

Czekała, patrząc na niego w milczeniu. Odezwała się wreszcie:

Po co? Cóż pan może jej pomóc? Wstał, jak gdyby nie mogąc już dać sobie rady z myślami.

— Jeżeli tylko się zgodzi, przywiozę ją tutaj. Diana oparła się o komin.

— Zaskoczył mnie pan. Jestem w tej chwili bliższa histerii niż kiedykolwiek w życiu.

Doktor zaczął układać papiery na biurku, aby dać jej czas na opanowanie się.

- Jakże pan zdołał powziąć takie doniosłe postanowienie w ciągu jednej chwili?

Roztrząsałem tę sprawę od blisko roku. Właściwie powziąłem postanowienie żegnając się z nią. Pozwoliłem sobie wtedy

tylko na jedno — wymogłem na niej obietnicę, że pośle po mnie, jeżeli kiedykolwiek będę jej potrzebny.

Diana uspokoiła się już trochę, milczała jednak jeszcze przez kilka minut, podczas gdy doktor w dalszym ciągu przeglądał papiery. Ale wreszcie zaczęła mówić:

— Czy zastanowił się pan dobrze nad skutkami takiego postępku? Że będzie pan musiał przypuszczalnie zrezygnować z tego wszystkiego — wskazała wzrokiem jego gabinet lekarski. — Nigdy nie dotrze pan do szczytu, na który się pan wspinał. Wszystkie mozolne lata pracy i nauki pójdą przypuszczalnie na marne. Oczywiście, imponuje mi pan — głos jej zadrżał — ale świat jest bardzo silny. Postara się złamać pana. Może nawet złamie i pana, i Joyce.

Nic! zawołał doktor stanowczo — nie złamie ani mnie, ani jej. Służyłem mu wiernie. Jeżeli nadal będzie potrzebował moich usług, jestem gotów zawsze. Jeżeli nie, odejdę z ukłonem. — Umilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej. — Wszystkimi zaszczytami, osiągnięciami i powodzeniem życie sprawiało mi tylko nieustannie fizyczny ból, napełniało mój mózg zagadkami, których nie potrafię rozwiązać i cierpieniem, którego nie mogę ukoić. Może miłość i zaufanie Joyce zdoła mnie uleczyć. O zaszczyty zaś, i powodzenie nie dbam wcale.

— A jeżeli ona na tym ucierpi?

— Czyż może cierpieć bardziej niż cierpi obecnie? Czyż ona, właśnie ona, posłałaby taki telegram, gdyby nie była doprowadzona do ostateczności? Wie pani równie dobrze jak i ja, jak jest delikatna; i jak bardzo niezdolny jest mąż jej do podtrzymywania tego płomyka życia wśród takich potężnych wichrów. Czyż ona ma umrzeć dlatego, że boję się do niej pojechać?

Diana poczuła, że oddycha z trudem. Nie potrafiła uporządkować myśli.

— Czyż życie jej lub śmierć może znajdować się wyłącznie w pańskich rękach? — powiedziała wreszcie. — Nie wiem, w co pan wierzy, ale mam wrażenie, że tylko ciśni ludzie nie wierzą w nic, pan zaś do nich nie należy. Czy w jakichkolwiek warunkach może pan stanowić bezwzględnie o jej losie?

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Ani przez chwilę nie wątpiłem nigdy, że istnieje jakaś Siła poza nami, która w jakiś sposób nami kieruje — nie mogę jednak powiedzieć nic więcej.

Może właśnie ta Siła daje mi teraz sposobność dowieść mojej miłości? Może właśnie stawia mnie na rozdrożu, wskazując, że jeśli wybiorę jedną drogę, utracę świat i uratuję Joyce, jeżeli zaś drugą stracę Joyce i uratuję karierę. Niewątpliwie poniosę karę za złamanie moralnego prawa. Kto łamie prawo, zawsze ponosi karę. Natura nigdy nie ustępuje ze swego surowego stanowiska w tych sprawach. Ale może i to zostanie rzucone na szalę. Przecież Siła ta może powiedzieć: „Uratuj tę kobietę, jeżeli chcesz, ale musisz zaryzykować utratę kariery i przypuszczalne poniesienie dalszej jeszcze kary!” A ja odpowiadam: „Dobrze!”

Diana przeszła znów na środek pokoju.

Pan... pan... góruje nade mną jak wieża! Zwalił mnie pan z nóg. Muszę odejść i zastanowić się nad tym wszystkim. Zobaczę się z panem jeszcze przed sobotą — z tymi słowy wyszła z pokoju.

Szła przez park wyprostowana, z podniesioną głową, patrząc przed siebie. Oglądała w duchu nie widziane dotychczas cuda. Słowa doktora poruszyły ją do głębi. Autobusy wydawały jej się teraz karetami, jeźdźcy — rycerzami zakutymi w zbroję. Wróciły naraz dawne czasy — dawne romantyczne czasy rycerstwa i rycerskości. Czowała, jak pulsy biją jej szybciej. Czowała, że wkroczyła nagle do jakiegoś lepszego świata, gdzie plugawe małżeństwa dla pieniędzy, matki łąpiące mężów dla córek, zahukane córki i szydlerczo uśmiechnięci konkurenci stanowili jeno zmorę minionego dnia. W tym nowym świecie miłość nie była obłudnym określeniem, ukrywającym występki i pożądanie — była darem Bożym — triumfowała zwycięsko nad swarami i waśniami powszedniego dnia ludzkości. Miała ją przed sobą — to było właśnie najcudowniejsze — oglądała ją na własne oczy, wśród autobusów i pospolitego, śpieszącego się tłumu dwudziestego wieku.

Miała ochotę zatrzymywać ludzi na ulicy i zwiastować im dobrą nowinę.

— Nie jesteśmy jeszcze zdegenerowaną, znużoną, chciwą rasą o brudnych myślach. Duch jeszcze nas nie opuścił.

Potrafimy, jeśli tylko zechcemy, wznieść się na poziom dawnych, świetnych dni.

Ale gdy przechodziła przez trawnik, myśl o nieszczęśliwej młodej matce przesłoniła sobą wszystko inne. Diana zwolniła kroku oślepiąca łzami. Nieszczęście Joyce było czymś strasznym.

Cóż się z nią teraz stanie? Jak potwornie musi cierpieć. I nie ma przy sobie żadnej przyjaciółki, która by jej pomogła. Sama myśl o jej położeniu była straszna. Diana nie mogła o tym myśleć.

Naraz przez mózg jej jak błyskawica przemknęła pewna myśl. Diana stanęła jak wryta.

— Nie, nie! Jakżeby mogła? To niepodobieństwo! Przyspieszyła znów kroku, prześladowana nową myślą. Usiłowała ją zdusić i zagłuszyć w sobie.

Gdyby nie Burnett, może zastanowiłaby się nawet nad tym. Zawsze chętnie korzystała z każdego pretekstu, aby zobaczyć się z Billym. Ale po ostatniej rozmowie z kapitanem Burnettem nie mogła wrócić, przynajmniej jeszcze nie teraz. Wyglądałoby na to, że skorzystała z nieszczęścia Joyce, aby powrócić do Teda, a sama myśl o tym, że chciałaby go zobaczyć, oddalała jeszcze bardziej możliwość wyjazdu. Naturalnie, była to fałszywa ambicja, przed którą ostrzegał ją Billy, nie mogła jednak jej przemóc. Ponadto, jeżeli nawet ma ochotę zobaczyć Burnetta, nierozsądne byłoby może chęć tę urzeczywistnić. Mogłaby w chwili słabości przyjąć jego oświadczenia (zakładając oczywiście, że oświadczyłby się ponownie), zapominając o Rodezji i jej wzgórzach. Nie, bezwarunkowo nie może tam pojechać. A jednak serce jej wyrывało się do osamotnionej Joyce. Pragnęła bardzo móc postanowić inaczej; pragnęła, żeby bariery nie były tak nieprzebyte — odległość, pośpiech, nieprzygotowanie, Burnett, wreszcie możliwość skandalu. Nikomu się nie chce być zamieszonym w sprawę rozwodową. Mówiła sobie, że ze względu na ciotkę powinna trzymać się z dala od tej sprawy, jeżeli już nie chodzi jej o siebie samą. Naraz jakiś głos wyraźnie powiedział jej do ucha, że nawet jeżeli pojedzie, nie będzie wcale zamieszana. Doktor i Joyce przypuszczalnie nie będą się bronić przed sądem, wobec czego nie zajdzie potrzeba wzywania świadków.

— A jednak...

Szła coraz prędzej, coraz bardziej nie panując nad płataniną myśli. Czuła, że brak jej właśnie owego hartu ducha, którym tak się zachwycała jeszcze kilka minut temu. Oto ścieżka „rozdawania darów” stała przed nią otworem, ona zaś nie mogła nią pójść. Piękna, wymizerowana i pełna rozpaczony twarz Joyce spoglądała na nią z trawy, z drzew, błagając ją żałośnie o pomoc, o odrobinę pociechy, ona zaś nie mogła zmusić się do odpowiedzi.

Biegła już niemal, wpatrzona w swój dom, widniejący w dali. Nie, nie mogę jechać — dowodziła samej sobie. — Nie jestem doskonała. Ulepiono mnie po prostu z pospolitej gliny — stoję na najniższym szczeblu. Gdy skreśliła na Kensington Palace Gardens podjechała do niej z wolna dorożka. Gdy się z nią zrównała, Diana spojrzała na twarz woźnicy. Wpatrywał się w nią uporczywie z większym, wydało jej się, niż zazwyczaj naleganiem. Następnie ruszył za nią. Diana rozejrzała się uważnie po ulicy, po czym wskoczyła do powozu. Brook Street poleciła, podając numer domu doktora. — Tylko proszę jechać jak najprędzej. Znalazłszy się w mieszkaniu doktora nakazała chłopcu, aby jej nie anonsował. Przejde od razu do gabinetu doktora — wyjaśniła. Doktor siedział jeszcze przy biurku, przeglądając papiery i dokumenty w związku z przygotowaniem do wyjazdu. Na jej widok zdziwił się bardzo i wstał. Diana nie wdawała się w tłumaczenia. — Joyce może być potrzebna przyjaciółka — kobieta — oznajmiła. — Jadę z panem. Doktorowi odjęło mowę. Z twarzą zmienioną ze wzruszenia chwycił ją za rękę. Wśród milczenia, jakie nastąpiło, zdawało się, że wszystkie samotne kobiety na krańcach świata usłyszały Dianę i odpowiedziały jej własnym okrzykiem:
„Brawo!”

ROZDZIAŁ XXXII

W KTÓRYM DWOJE LUDZI BUDZI SIĘ

Mniej więcej w trzy dni później Ted Burnett przyniósł Joyce wielkie nowiny. Joyce po raz pierwszy od owej okropnej nocy wstała z łóżka i leżała na kanapie na werandzie, ale wciąż jeszcze wyglądała tak, jak gdyby lada podmuch wiatru mógł ją złamać.

Patrzyła na nadchodzącego Burnetta ze skrytym pytaniem w oczach, ale udał, że tego nie dostrzega. Przyniósł jej kilka

ptaków, upolowanych rankiem, i dwie czy trzy książki, które kupił dla niej w mieście.

Podziękowała mu z uśmiechem, który zabolął go bardziej niżby tego zdołały dokonać łkania i łyzy.

— Przynoszę przyjemne nowiny — powiedział wreszcie. — Niech pani zgadnie, kto do mnie przyjeżdża z wizytą?

Czekała w milczeniu, ciągnął więc dalej:

— Pani stary przyjaciel, doktor Lawson! Przypuszczam, że znów zapadł na zdrowiu. Jest wiecznie przepracowany.

Telegrafował: „Przyjeżdżam do ciebie niezwłocznie”. Ogromnie jestem rad. Nic nie sprawia mi większej

przyjemności, jak towarzystwo doktora.

Podczas gdy mówił, na twarzy Joyce ukazały się jaskrawe, czerwone plamy, które po chwili ustąpiły miejsca

bladości jeszcze większej niż zazwyczaj. Milczała w dalszym ciągu, ale Burnett wyciągnął odpowiednie wnioski z

jej milczenia, chociaż zachodził w głowę, w jaki sposób Joyce przesłała jakąś wiadomość doktorowi.

Pozostał u niej tylko przez kilka minut, widząc, że jest zbyt wyczerpana, aby móc długo rozmawiać. Przemawiał

jednak do niej równie czule, łagodnie i współczująco, jak Jim.

— Niech pani postara się wzmocnić — powiedział na pożegnanie. — Nam wszystkim tak bardzo na tym zależy.

Ale Joyce znów uśmiechnęła się tylko boleśnie.

Burnett poszedł na pole w poszukiwaniu Oswalda. Zastał go jak zwykle przy pracy. Oswald miał wygląd człowieka

zdruzgotanego nieszczęściem. Burnett opowiedział mu zaraz o przyjeździe doktora. Oswald nie wyraził wcale

zdziwienia, zauważył tylko, że przyjemnie musi być móc w każdej chwili porzucić pracę, gdy tylko człowiek czuje

się niezbyt dobrze lub coś w tym rodzaju.

— Może potrafi jakoś pomóc pani Grant — nadmienił Burnett — ona bardzo źle wygląda. Czy sądzi pan, że

rozsądne jest, aby pozostawała tutaj teraz?

— Nic z nią nie mogę zrobić — odparł Oswald urażonym tonem. — Nie chce słyszeć nawet o wyjeździe do lady

Marsland, która z właściwą sobie dobrocią zaprosiła ją natychmiast po wypadku; nie chce także poradzić się lekarza.

— Przypuszczam, że pojedzie do Anglii, skoro tylko da się to urządzić? — zauważył Burnett, aby go wybadać.

Na twarzy Oswalda odbiło się jeszcze większe przygnębienie.

— Nie wiem, czy to będzie możliwe — odpowiedział — kosztowałoby to co najmniej sto pięćdziesiąt funtów, wliczając w to powrotną drogę, tymczasem zaś nie mogę sobie na taką sumę pozwolić.

— Ale jeżeli pani Grant będzie wciąż niedomagać... — nalegał Burnett.

— Mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje. Ma bardzo silny organizm. To ten cios wytrącił ją z równowagi. Mnie zresztą także. Sam właściwie powinien bym leżeć cały dzień na kanapie, ale cóż, ktoś musi pracować.

— Lepiej jest znacznie, jeżeli się ma jakieś zajęcie w takich chwilach. Mam wrażenie, że leżenie na kanapie i rozmyślanie nad nieszczęściem, jakie ją spotkało, to najgorsza rzecz, jaką pani Grant może robić,

Obstawał przy swoim zdaniu, przeczuwał bowiem, że rozwiązanie konfliktu może być tragiczne, i chciał dać Oswaldowi szansę ocalenia. Miał ochotę schwycić go za ramiona i potrząsnąć mocno, żeby zaczął wreszcie choć trochę przypominać mężczyznę. Jasne było, że zmartwieje dopiero po szkodzie, chyba żeby mu ktoś włożył wszystko łopata do głowy. Farma, jej przyszłość i praca na niej pochłaniały go do tego stopnia, że poza tym nic nie widział. Nie zdawał sobie też sprawy, że podczas gdy oddaje się całkowicie gospodarstwu, wróg może zaskoczyć go z zupełnie nieoczekiwanej strony. Burnett miał ochotę wstrząsnąć nim porządnie i powiedzieć: „Na miłość boską, na ten raz przynajmniej przełóż żonę nad farmę, jeżeli chcesz ją zachować! Cóż ci przyjdzie z oszczędności marnych stu pięćdziesięciu funtów, jeżeli żona umrze albo cię porzuci?”

Spróbował raz jeszcze.

— Jeżeli to tylko kwestia pieniędzy, to z największą przyjemnością pożyczę panu dowolną sumę. Przypadkowo mam w tej chwili więcej niż zazwyczaj gotówki, która leży bezczynnie w banku. Równie dobrze mógłby pan skorzystać z tych pieniędzy.

Oswald nawet nie spojrzał na niego.

— Nie zaciągam nigdy długów — odparł zimno. — Bardzo ładnie, że pan o tym pomyślał, ale nie może być o tym mowy.

Burnett nie nalegał więcej, mruknął tylko pod nosem:

— Przeklęty dureń! Zasługuje na to, żeby ją utracić!

Porozmawiał jeszcze kilka minut z Oswaldem, usiłując go podnieść na duchu dla dobra Joyce, bez powodzenia jednak. Odszedł wreszcie sam dziwnie przygnębiony. Jeżeli mąż chodzi nieustannie z taką ponurą, kwaśną, zgryźliwą miną, to cóż ma natchnąć żonę odwagą do powrotu do zdrowia i rozpoczęcia życia od nowa? Joyce nie zbywało wprawdzie na odwadze, Burnett wyczuwał jednak instynktownie, że wyczerpała wszystkie swe siły, zarówno fizyczne, jak moralne. Ta zaś resztką odwagi, jaka jej pozostała, popchnie ją przypuszczalnie w innym zgoła kierunku i nie dopomoże jej do wytrwania w jedynym rodzaju egzystencji, jaką jej ten człowiek ofiarowywał. Niewątpliwie sam również został ciężko doświadczony, ale Burnett miał męskie poglądy na prawo słabszej płci do silniejszej i o ile to było możliwe, winił zawsze mężczyznę. Uważał, że Oswald już przez to samo, że jest mężczyzną, powinien poświęcać wszystkie myśli i uczynki na podtrzymanie Joyce, aby dopomóc jej przeżyć krytyczne chwile. Wiedział jednak zarazem, że Oswald nie zdaje sobie z tego sprawy.

Jadąc do domu wśród kołyszających się łąnów kukurydzy, rozmyślał z niepokojem o przyszłości. Widocznie Oswald potrafi się zdobyć jedynie na wysłanie Joyce do lady Marsland, do której ona czuje tylko antypatię. Niepokój nie opuścił Burnetta wtedy nawet, gdy palił samotnie fajkę na werandzie przy świetle gwiazd. Cóż u licha myśli sobie Lawson, zapominając do tego stopnia o wszelkiej ostrożności? Nie chce chyba złamać sobie kariery? Burnett patrzył w gwiazdy i zastanawiał się, aż wreszcie myśli jego zeszły na Dianę. Nie słyszał nic o niej od dłuższego czasu, prócz okruczeństw wiadomości, zebranych od Ślicznotki, wiadomości niezbyt zresztą pocieszających. Major Egerton widać wykorzystywał jak najbardziej swoje szanse. Burnett obawiał się, że major ma w stosunku do Diany całkiem poważne zamiary. Od przyjazdu Ślicznotki był zaniepokojony i czuł się jakby nieswój. Pocieszał się myślą, że Diana dałaby mu znać, gdyby namyśliła się na jego korzyść. O ile by zaś kochała go dostatecznie, aby go poślubić, nie powinna obawiać się życia w Rodezji.

Coś jednak w nieszczęściu i osamotnieniu Joyce sprawiło, że zaczął patrzeć na rzeczy inaczej. Czasami kobieta, choćby najsilniejsza, potrzebuje bardzo towarzystwa i przyjaźni innej kobiety — może więc niezbyt ucziwie jest prosić dziewczynę o zamieszkanie na takim pustkowiu? A jeżeli nawet? Jeżeli miłość

Diany gotowa jest do wszelkich innych ustępstw w granicach rozsądku? Czyż rzeczywiście zależy mu bardziej na tych polach kukurydzy, na polowaniu i na wzgórzach — niż na niej?

Wiedział, że darzy go wyjątkową sympatią; sama to przyznała. Czy w takim razie nie jest osłem, siedząc tutaj i pozwalając majorowi sprzątnąć ją sobie sprzed nosa?

Myśl ta zapuszczała w nim coraz głębsze korzenie. Jeżeli już nie dało się uniknąć wyrzeczeń, dlaczego tylko ona miałaby się poświęcić? Czy nie mógłby spotkać ją w pół drogi, o ile by zgodziła się ograniczyć do pewnego stopnia swoją wolność? Przy ich połączonych dochodach mógłby doskonale objąć jakąś posiadłość w Anglii i razem / nią odwiedzać tylko od czasu do czasu ukochaną Rodezję wiedział bowiem dobrze, że Diana z rozkoszą przyjeżdżałaby z nim razem, gdyby wiedziała, że to nie jest na zawsze.

Podejrzanie, że postąpił jak głupiec, wzrastało. Ostatecznie, cóż za wartość miało bez niej całe tutejsze życie? Od jej wyjazdu Rodezja straciła dlań wiele ze swego uroku. Tęsknota za Dianą przesłoniła dawny czar tego kraju. On zaś siedział z założonymi rękami, pozwalając majorowi zająć swoje miejsce. Przecież powinien był przynajmniej dowieść prawdziwości i głębi swej miłości, okazując gotowość do wielkiego poświęcenia dla niej. Burnett wstał i zaczął przemierzać w podnieceniu werandę. Nowa strona sytuacji przedstawiała mu się coraz wyraźniej. Nim poszedł spać, powziął ostateczną decyzję. Wyszuka zarządzającego na farmę albo ją sprzeda i pojedzie razem / Cecilcm Lawsonem do Anglii, aby jeszcze raz spróbować szczęścia. Jeżeli zaś Diana nie zechce go wysłuchać, cóż Rodezja znów może zawoła go do siebie.

Wszystko wydawało mu się teraz lepsze od życia bez Diany, jeżeli tylko uda mu się ją zdobyć. Żałował nawet, że doktor przyjeżdża. Gdyby nie jego telegram, mógłby już wyruszyć w przyszłym tygodniu. Jaka szkoda — właśnie gdy się przekonał o swej głupocie! Ale trudno, nie może zawieść przyjaciela, nawet gdy chodzi

o miłość. Musi poczekać cierpliwie, aż zobaczy się z doktorem

I usłyszy jego plany.

Wieczór, w którym powziął owo postanowienie, był, dziwnym zbiegiem okoliczności, pierwszym wieczorem spędzonym przez doktora i Dianę na statku. Parowiec Union Castle płynął kanałem

La Manche na południe. Doktor i Diana stali na przodzie statku, wpatrując się w dal. Mówili mało. Niewiele było do powiedzenia, poza tym zaś każde z nich zajęte było własnymi myślami. Diana zdziwiona była własnym swym spokojem, do którego przyłączyło się teraz jakieś niewytłumaczone uniesienie. Jak gdyby błędziła od szeregu miesięcy po mrocznym labiryncie, teraz zaś nagle znalazła wyjście. Zapomniała o majorze — zapomniała o wszystkim — pamiętała tylko, że statek płynie na południe. Zdumiona była własnym nastrojem.

To niemożliwe... nie do wiary!... a jednak Rodezja wzywała ją do siebie! Wzywała! Nie, wołała, pociągała ją ku sobie. Czowała to wołanie we krwi, w sercu, w mózgu. Tęskniła za Rodezją — za jej wzgórzami, kotlinami i palącym słońcem. Tęskniła za wolnym, nieskrępowanym, silnym życiem; śpieszno jej było powrócić do jego monotonii i nieodmienności.

Och, czy tylko on czeka, czy rzeczywiście czeka na nią? —Może w tej chwili sam jeden pali fajkę na werandzie i wpatruje się w gwiazdy? I nic nie wie o tym, że ona jedzie do niego.

Statek pruje szybko fale, kierując się na południe.

Pod Krzyżem Południa złożą sobie śluby, podczas gdy wzgórza będą pełniły straż. Pod Krzyżem Południa przekroczą razem próg krainy miłości.

Może jednak zmienił swe uczucia, może spotkał inną kobietę — może znużyło go jej milczenie — może doszedł do wniosku, że nie jest jego godna?

Serce Diany roześmiało się.

O, nie! Mężczyźni typu Burnetta nie zmieniają swych uczuć, nie nużą się czekaniem, nie zastanawiają się nad wartością przedmiotu swych uczuć — tacy mężczyźni po prostu kochają. Nie będzie żadnych protestów ani kwiecistych słów, ani namiętnych przyrzeczeń. Ted wyprostuje się tylko z mocą i spojrzy jej prosto w oczy — a ona — ona roześmieje się. Roześmieje się na pewno — ilekroć coś poruszało Dianę do głębi, musiała śmiać się albo płakać.

Cud zyskiwał coraz bardziej na sile. Dziwne, że nie domyśliła się tego przedtem! Przecież to urzeczywistnienie jej najgłębszych przekonań. Żadnej parady zalet, żadnego szukania powodów — żadnych pro i contra — po prostu Ted Burnett i wzgórza wzywają ją do siebie. A ona śpieszy na wezwanie, wolna i spokojna wreszcie, będzie bowiem *dawać*, a nie brać.

Nie przyszło jej wcale do głowy, że Burnett może zrezygnować z farmy. Po co? Kocha swoje gospodarstwo i ona je również wkrótce pokocha. Będą wspólnie wędzić boczek i próbować na sobie nawzajem dobroci przepisów jego matki. Uśmiechnęła się na myśl o jego malce. I ją także pokocha! W gruncie rzeczy już ją kocha, widziały się już bowiem kilkakrotnie, i chociaż Diana nadal udawała, że pozostaje w nieprzyjaznych stosunkach z ukochanym synem pani Burnett, niepodobna było nie kochać jego matki. Miała nadzieję, że nowiny uradują panią Burnett. Ileż śmiechu będzie, kiedy pojedą kiedyś z Tedem do domu z wizytą, ona zaś będzie nadal twierdziła, że są zajadłymi wrogami! Gdyby tylko statek płynął trochę prędzej! Wszystko było zbyt spokojne, ciche i uroczyście. Przecież ukochany jej czeka, ona zaś śpieszy do niego przez morze.

Przerwała wreszcie milczenie.

Płyniemy za wolno — powiedziała. — Czy nie tęskni pan za aeroplanem?

Spojrzał na nią pytająco z pewnym zdziwieniem.

Zrozumiała jego spojrzenie i roześmiała się z zakłopotaniem.

Tak się cieszę, że znów zobaczę Billa. Nie powinien był mi pan dziękować w ogóle. Czuję się oszustką. Nie rozumiem, dlatego w ogóle stamtąd wyjeżdżałam.

Doktor spojrzał znów w usianą gwiazdami przestrzeń.

— Jeżeli pani i ja jedziemy ku naszemu przeznaczeniu, Diano — rzekł — to cieszę się, że mamy dziś taką spokojną, cudowną, gwiazdzistą noc. Sam jej widok dodaje sił — sił do przewyciężenia trudności i połączenia się z ukochaną istotą na zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Diana poczuła naraz, że łyzy ściskają ją za gardło. Jakże odmienne czekają ich losy! Jej przypadły w udziale słońce i radość, jemu niewątpliwie burze i smutki. Będzie też musiał przywołać na pomoc całą siłę, odwagę i wytrwałość.

Och, ona także użyczy im swych sił! Będzie także odważna! Dla szczęścia jego i Joyce, gdyby nadeszły przełomowe chwile, stanie przy nich i rzuci wyzwanie¹ całemu światu!

Uniesienie jej ustąpiło miejsca spokojnemu ukontentowaniu. Cóż innego ma znaczenie, prócz dawania z siebie wszystkiego! Królestwo Boże na ziemi to właśnie znalezienie ujścia, w którym będzie mogła popłynąć jej bogata natura, rozdając potrzebującym swoje skarby!

Modlitwy nie leżały w usposobieniu Diany. Bóg, jako Istota, którą się nieustannie niepokoi natrętnymi prośbami, nie przemawiał do niej. Tej nocy jednak czuła, że jej spokojna radość jest jednocześnie ubóstwieniem i modlitwą do owej Najwyższej Potęgi, której najwspanialszymi atrybutami są niewątpliwie miłość i poświęcenie.

ROZDZIAŁ XXXIII

PRZYJAZD DIANY

Dopiero z Capetown Diana zadepeszowała do Billa o swym przyjeździe. Naturalnie telegram ten wprawił w osłupienie „Nieodpowiedzialnych”.

Ślicznotka przemówił pierwszy.

— Brawo, Diana! — powiedział półgłosem.

Pozostali spojrzeniem wyrazili swój poklask. Wiedzieli bowiem, że Diana przyjeżdża ze względu na Joyce. Jim wstał i rzucił wychodząc:

— Pójdę chyba powiedzieć pani Grant. Ucieszy się ogromnie z przyjazdu panny Webberley.

Billy nabijał fajkę, odwrócony do nich plecami.

— Czy będziesz mógł dopilnować boyów, Ślicznotko? — zapytał nie odwracając głowy. — Chciałbym pojechać na podwieczorek do Burnetta.

Burnett wyglądał bardzo mizernie i miał lekką gorączkę, która, jak mówił, męczyła go od szeregu dni. W rzeczywistości jednak była ona wynikiem pożerającego go niepokoju. Zdecydował się na powrót do Anglii, niecierpliwił się więc i martwił zwłoką, spowodowaną przyjazdem doktora. Musiał jednak czekać na niego.

Mamy niespodziankę — oznajmił Billy, siadając na poręczy werandy. Niech pan zgadnie, kto do nas przyjeżdża?

Co? Wy oczekujecie gościa? Któż to taki? Billy przechylił się przez barierę i zaczął scyzorykiem oskrobywać z kory pnącze rosnące przy werandzie. Była to do pewnego siopnia niipei lyneneja z jego slrony, jako że ani dom, ani weranda, ani pnącze nie należały do niego.

Dostałem od Diany telegram z Capctown, w którym z zimną krwią zawiadamia, że jedzie tutaj.

Burnett nie poruszył się przez dłuższą chwilę. Wpatrywał się w przestrzeń bez ruchu, Billy zaś w dalszym ciągu oskrobywał pnącze. Naturalnie, Diana wraca z Egertonem. Mógł być się tego spodziewać a jednak w każdym razie musi przecież coś powiedzieć.

Chrząknął i usiłował nadać głosowi naturalne brzmienie: Czy przyjeżdża jako pani Egertonowa? Wielki Boże, cóż za pomysł! — Billy omal nie zniszczył przypadkiem całego pnącza. — Ależ skąd! Major wcale nie nadaje się dla niej — byli tylko najlepszymi przyjaciółmi. Przyjeżdża razem z pańskim gościem, naturalnie ze względu na panią Grant. Burnett wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć z wyczerpania, będącego wynikiem niepokoju i gorączki. W każdym zaś razie oniemiał. Billy spojrzął na odłamki rośliny, leżące na ziemi.

— Czy mógłby pan polecić jednemu ze swych dziewięćdziesięciu dziewięciu służących, żeby sprzątnął ten śmietnik?

Burnett wstał.

— Nieba! zawołał. Są jeszcze szczęśliwe losy na tym świecie! Ilu boyów panu potrzeba? I co, u licha, pan wyprawia z moją bugenwillą? Czy może zechce pan już przy okazji obciąć róg domu?

— Hm! Śmietnik okropny, to prawda. Obciąłem więcej, niż miałem zamiar. Ale niech pan na to nie zważa. Napijmy się herbaty i chodźmy na krótkie polowanie!

— Miałem zamiar wracać do Anglii, skoro tylko doktor urządziłby się jakoś tutaj — opowiadał mu później Burnett.

— Walker miał mnie tu zastąpić, dopóki bym nie zdecydował, czy sprzedaję farmę, czy nie.

— Całe szczęście, że pan nie wyjechał! Widziałem panią Grant przez kilka minut, wstąpiłem do niej po drodze. Na

Jowisza, wygląda na ciężko chorą! Dobrze, że ktoś przyjeżdża.

— To wspaniale ze strony panny Webberley — zauważył Burnett, nalewając herbatę — boję się jednak, że dozna wielkiego wstrząsu na widok pani Grant. Przecież ona po prostu niknie w oczach, a ten dureń, jej mąż, nie próbuje wcale temu zaradzić.

— Dlaczegoż by miał się o to troszczyć? — Billy położył kawałek chleba na nosie swego wyżła. — Ona stanowi przecież tylko część inwentarza. Najpierw kupił sobie farmę, potem trochę bydła, wreszcie żonę! Uff! Nie mam do niego cierpliwości. Nawet w normalnych warunkach musiałyby mieć dość siły, żeby się nie załamać po takim ciosie, a co dopiero mając za jedyne towarzystwo takiego człowieka!

— Mały był pysznym chłopaczkiem — powiedział Burnett ze smutkiem. — Nie wiem, czym się kiedykolwiek bardziej zmartwił czyjąś śmiercią. Brakuje mi go, ilekroć tam przychodzę.

— Jim zestarzał się wprost od tego czasu. Nie widziałem jeszcze nigdy równie zrozpaczonego człowieka. Nie mówił nic, ale wyglądał jak upiór, i co noc słyszałem, jak wstaje i wychodzi na przechadzkę. Nie mógł spać. Dziwny chłop z Jima. Ubóstwiał to dziecko. Nie opowiadał o tym nigdy, ale mały na jego widok śmiał się w głos z radości. Ja sam nie znam się na dzieciach — to nie mój resort — ale to był najmiłszy bąk, jakiego w życiu widziałem. Straszna rzecz śmierć takiego maleństwa. Taki kłębuszek szczęścia, który ma przed sobą wszelkie możliwości — aż tu nagle nic nie zostaje. Nie warto zaczynać, jeżeli się nie ma zająć dalej.

— Obawiam się, że żył dość długo, aby narobić dużo szkody — zauważył Burnett znacząco.

Billy wstał i włożył ładownicę.

— Dość długo, aby popsuć cały porządek rzeczy — zakonkludował lakonicznie, przerzucając przez ramię karabin i dając znak chłopcu, aby ruszył za nim ze swoją strzelbą.

Kiedy Jim doniósł Joyce o nowinach, z piersi jej wyrwał się okrzyk zdumienia.

— Diana! — zawołała. — Naprawdę Diana przyjeżdża?

— Przypuszczam, że przyjeżdża, żeby zobaczyć się z panią. Cieszę się ogromnie. Pomoże pani powrócić do zdrowia lepiej niż ktokolwiek inny. Pewnie postara się także zabrać panią na jakiś czas do Anglii.

Joyce patrzyła na widnokrąg nieprzeniknionym wzrokiem.

— Ona jest bardzo dobra — powiedziała półgłosem. — Tylko ona potrafi się zdobyć na taki szlachetny postępek. Jim obserwował ją ze smutkiem. Czuł, chociaż nic się o tym nie mówiło, że działają tutaj jakieś inne siły, którym przyjaciele Joyce daremnie będą starali się przeciwstawić.

Głęboko współczujący i spostrzegawczy jednocześnie, zauważył już od pewnego czasu, że dawna Joyce znikła, miejsce jej zaś zajęła Joyce zupełnie nieznana. Słowa jej i uczynki pozostały takie same, może tylko bardziej jeszcze przepojone godnością, ale w oczach kryła się tajemnica. Miał wrażenie, że z głębi oczu wyziera właśnie nowa Joyce. Przerażało go to. Kiedy wreszcie wybuchła paroksyzmem płaczu, powiedział sobie, że powróci z wolna do normalnego stanu i gdy pierwsze wrażenie straszliwego ciosu przeminie, stanie się znów sobą. Teraz jednak wyczuwał, że jeszcze jej nie zgłębił. Nie wiedział, czy jest normalna, czy nie, w każdym razie różniła się od innych kobiet. Wiedział — Oswald bowiem skarżył mu się na to — że usunęła z domu wszystko, co mogłoby przypominać jej zmarłe dziecko. Oddała wszystkie jego zabawki i ubranka, wszystkie w ogóle rzeczy, które do niego należały, posyłając prawie wszystko krzepkim dzieciom pani Chaldecott. Dokonawszy tego, położyła się znów i czekała na wiadome z owym nieprzeniknionym wyrazem oczu, wyglądając na coraz bardziej chorą.

Kiedy lady Marsland przyjechała do niej w odwiedzin, przyjęła ją całkiem naturalnie i uprzejmie, uchylała się jednak od wszelkich rozmów o zmarłym dziecku. To samo powtórzyło się podczas wizyty pani Chaldecott.

Właściwie nie rozmawiała o nim z nikim, prócz Jima, a i z nim bardzo niewiele.

Opowiedziawszy jej o rychłym przybyciu Diany, Jim powrócił do domu, czując niepokój i przygnębienie. Nie był zbyt kontent ze swego współdziałania w wysłaniu telegramu, wiedział jednak, że telegram ten i bez niego zostałby wysłany. Joyce zwróciła się przede wszystkim do niego, bo był akurat przy niej i wiedziała, że jest jej najlepszym przyjacielem w tym kraju. Gdyby się uchylił od spełnienia jej prośby, niepotrzebnie tylko sprawiłby jej zawód, bo wysłałaby depezę tak czy inaczej. Ponadto, czy żałował tak bardzo, że ów telegram wysłał? Nawet gdyby jego obawy się ziściły, czy żałowałby tego? Chyba jednak tak. Kochał Joyce jak

młodsza siostrę, wiedział zaś, że gdyby któraś z jego sióstr planowała podobny postępek, wstrząsnęłoby nim to do głębi. Czuł jednak jednocześnie, że na miejscu doktora odpowiedziałby na wołanie Joyce i uważałby się w swoim prawie. Czemuż coś nie raziło w kim innym, skoro raziło we własnej siostrze? Czy to możliwe, żeby w pierwszym wypadku pokrewieństwo pobudzało do nieżyczliwego krytycyzmu? Czy też istotnie chodziło tu o większą miłość i przeto większą odrazę do fałszywego kroku? Skłonny był przypuszczać, że to pierwsze. Nie kochał żadnej ze swych sióstr tak, jak kochał Joyce, i sądził, że łatwiej potrafiłby wybaczyć coś jej niż im. Wydawało mu się to jednak niesprawiedliwością. Zastanawiał się, czy nie powinien raczej starać się surowiej osądzać Joyce. Niewiele by z tego przyszło, bo choć już teraz wstrętna mu była myśl, że jej „czystość” może zostać skalana, to jednak wiedział dobrze, że nie wpłynie to w najmniejszym stopniu na jego uczucie dla niej ani na jego wiarę w jej dobroć i cnotę.

Dotarł do domu z poczuciem, że coś nie jest w porządku, nie mógł jednak zlokalizować ani nazwać tego uczucia. Zresztą pragnął bardzo, aby Joyce wróciła wreszcie do życia, wiedział zaś, że to niemożliwe na tej samotnej farmie przy boku człowieka tego pokroju, co jej mąż. Może silniejsza kobieta potrafiłaby rozplątać ten węzeł nie przecinając go, nie urażając tym samym niczyjej drażliwości, Joyce jednak była zbyt wątła. Z nią będzie to wóz albo przewóz, chyba że Diana znajdzie jakieś wyjście.

Diana przybyła w trzy dni później i „Nieodpowiedzialni” powitali ją ze szczerą radością. Przyjechała z miasta rano, po południu Billy odprowadził ją do Killarney i rozstał się z nią przed domem.

Joyce leżała w pokoju wychodzącym na werandę. Diana, nie zauważona przez nikogo, obeszła dom dokoła, szukając jej.

Na widok Joyce zdjęła ją jeszcze większa żałość niż przedtem. Zaczęła wątpić, czy zdoła zapanować nad sobą podczas tej rozmowy. Przez chwilę stała w otwartych drzwiach, przyglądając się nowej Joyce. Naraz jednak uczuła, że zalewa ją fala współczucia. Przebiegła szybko przez pokój, uklękła przy kanapie i wybuchnęła płaczem.

W oczach Joyce także ukazały się wielkie łzy, które bezszelestnie spłynęły po policzkach. Nie odezwała się jednak.

Diana uspokoiwszy się nieco, podniosła głowę, ujęła dłonie Joyce i rzekła:

— Dajesz się złamać nieszczęściu, Joyce — ale nie powinnaś... nie powinnaś... pomyśl o nas wszystkich...

— Nie widziałaś, jaki był w ostatnich czasach, Diano. Ja... ja nie śmiem myśleć...

— Jim opowiadał mi o nim i miałam przecież fotografię, którą mi przysłałaś. Poza tym wiedziałam, naturalnie, że wyrosnie piękny jak anioł. Był tak podobny do ciebie. Ale, Joyce, nie wolno ci tak się poddawać. To niegodne ciebie.

— Owszem. — Joyce wpatrzyła się w dalekie, błękitne wzgórza. — Nie umiem tego wyrazić, Diano, ale to zupełnie naturalne. Ta część mojej istoty, która była zawsze dzielna, umarła razem z moim maleńkim. Nie przejmuj się tym. Martwienie się na nic się nie zda. Najlepiej nie dbać o nic i pozwolić nieść się fali. Myślałam już tak, nim mój synek przyszedł na świat, ale potem wszystko się na jakiś czas zmieniło... — głos jej się załamał i słowa z trudem wydobywały się z zaciśniętego gardła. — Miałam wrażenie, że życie stara się być dobre dla mnie i pomóc mi przezwyciężyć trudności. Mając małego było mi coraz łatwiej. Ale potem... Nie umiem tego wyrazić, Diano. Życie wcale nie dbało o mnie — zabawiło się tylko moim kosztem. A teraz nic już nie ma dla mnie znaczenia.

— Biedactwo moje! Nie mogę wcale wyrazić, co się ze mną działo, kiedy dostałam telegram doktora. Przez chwilę zaniewidziałam zupełnie. Miałam przed oczami pustkę. Potem włożyłam kapelusz i pojechałam wprost do niego.

Joyce zarumieniła się pod uważnym wzrokiem Diany, ale nic nie powiedziała.

— Doktor już zdecydował się jechać, Joyce. Był wspaniały. Nigdy w życiu nie byłam bardziej wzruszona. Zdawało się, że nic nie istnieje dla niego na świecie prócz ciebie i twego nieszczęścia.

Oczy Joyce znów napełniły się łzami, patrzyła jednak w dal bez słowa.

— Nie miałam jeszcze zamiaru jechać, kiedy wychodziłam od niego. Nic chciałam z pewnych... z pewnych względów. Ale potem... W każdym razie jestem szczęśliwa, że przyjechałam. Musisz mi pozwolić, abym postarała się pomóc ci, Joyce. Wiem, że na niewiele się przydam — nikt chyba nie jest w stanie pomóc

ci naprawdę — ale przyjemnie jest czasami mieć przy sobie kogoś kochającego, prawda? Ty nie wiesz, jak ja kochałam małego! Zawsze rozmawialiśmy o nim z doktorem.

— Jakaś ty dobra! Nigdy, nigdy nie zdołam ci się odwdziaczyć — Joyce uściśnęła mocniej rękę Diany.

— Ale teraz zanadto cię już męczę — Diana wstała nagle. — Pójdę zobaczyć, co masz w domu do jedzenia dla rekonwalescentki. Obawiam się, że próbujesz jeść jakieś wstrętne konserwy, w rzeczywistości zaś nie jesz nic. Leż spokojniutko i odpocznij trochę, a ja się tymczasem rozejrzę i dopilnuję wszystkiego. Potem posiedzimy spokojnie i porozmawiamy chwilę. Chcę ci opowiedzieć o Ślicznotce i Brązowej Myszce — z tymi słowy Diana wstała, udając, że nie dostrzega chorobliwej bladości Joyce. — Powinnaś pić szklanekę portwajnu po południu. Czy jest w domu portwajn?

— Tak. Oswald kupił wczoraj. Ale ja nie chcę portwajnu, Diano.

Diana uśmiechnęła się lekko.

— Obawiam się, że to nie ma żadnego znaczenia — odparła, wychodząc z pokoju.

ROZDZIAŁ XXXIV O MIŁOŚCI I SZYNCE

Kiedy doktor po raz pierwszy poszedł odwiedzić Joyce, Burnett odprowadził go aż do domu. W progu spotkała ich Diana.

— Nie wejdziemy razem z panem — powiedziała. — Joyce zbyt jest wyczerpana, aby przyjmować troje gości naraz. Postaramy się z kapitanem Burnettem bawić przez chwilę siebie nawzajem rozmową, po czym ja się udam do domu. Przywitała się z Burnettem niemal chłodno i zaczęła od razu mówić o Joyce. Mógł więc tylko słuchać ze współczuciem. Następnie poszli wolnym krokiem do małego skalistego pagórka, skąd widać było przygarbioną postać Oswalda Granta, pochłoniętego całkowicie swymi kartoflami i kukurydzą.

Ted miał wrażenie, że przypuszczenia jego co do doktora i Joyce sprawdziły się. Cecil Lawson nie zwierzał mu się wpraw-

dzie, ale Burnett dostrzegł od razu na poważnej, mądrej twarzy doktora znajomy wyraz niezłomnej decyzji. Gdy wyraz taki ukazywał się na twarzy Cecila Lawsons, znaczyło to, że żadne perswazje ani namowy nie skłonią go do zmiany powziętego postanowienia. Nic nie zdołało zawrócić go z raz obranej drogi. Ted Burnett sam więc był nieco poważniejszy niż zazwyczaj i — czekał. Koń był zaniedbany, stajnia stała otworem, podczas gdy właściciel, pyszniąc się wielce swą pracowitością i zapobiegliwością, posepnie kontynuował swą pracę, trapiąc się minionymi i ewentualnymi nieszczęściami, podczas gdy pod drzwiami stało istotne niebezpieczeństwo, którego nie dostrzegał. Zgodnie z pewnymi regułami Burnett powinien był ostrzec sąsiada i zamknąć drzwi jego stajni. Zastanawiał się nawet nad tą kwestią. Przeważała jednak myśl, że Joyce jest także jego sąsiadką; jeżeli zaś koń stojący w stajni mdleje z pragnienia, a właściciel jego zbyt jest zajęty, aby dać mu pić, nic można obwiniać konia, że sam rusza na poszukiwanie wody.

Bez skutku próbował ostrzec Oswalda, teraz więc czekał tylko na dalszy rozwój wypadków.

Tymczasem miał przy sobie Dianę.

Jak przyjemnie było widzieć ją znowu! Jakże kochał czysty, dźwięczny ton jej głosu, radosny, szczery śmiech, jej wytworną, zgrabną sylwetkę. Prawda, że ledwie tylko spojrzała nań podczas powitania, całą uwagę poświęcając doktorowi, ale Burnettowi wystarczał tymczasem sam jej widok i obecność.

Kiedy jednak usiedli na ogrodowej ławce, gdzie częstokroć siadywali dawniej, Burnett zauważył, że Diana nie jest tak naturalna jak zazwyczaj. Mówiła bardzo szybko, policzki miała zaczerwienione i unikała patrzenia mu w oczy. Co więcej, mówiła gorzej niż zwykle. Wyrzucała z siebie niesformułowane zdania, siliła się na znalezienie tematu. Tak przyjemnie jednak było słuchać jej głosu, że miał ochotę wiecznie tak siedzieć. Diana jednak stawała się coraz bardziej niespokojna.

— Chodźmy porozmawiać z panem Grantem — zaproponowała wreszcie. — Nie widziałam go wczoraj, kiedy tutaj byłam.

Wstała i poszła w dół. Burnett ociągając się podążył za nią stromą ścieżką w kierunku wysokiej, przygarbionej postaci, rysującej się w dali.

— Zostawiliśmy doktora Lawsona na rozmowie z Joyce — oznajmiła Oswaldowi — sami zaś wyszliśmy na przechadzkę. Jakże się pan miewa? Żałowałam, że pana wczoraj nie zastałam.

Oswald poinformował ją, że jest jak zwykle przepracowariy. Do stodoły nie wiadomo w jaki sposób zakradła się wilgoć i teraz całe zboże się zepsuje, jeżeli się go nie wyniesie i nie wysuszy.

— Wymaga to mnóstwa zupełnie zbędnej pracy — narzekał.

— Ale w jaki sposób zboże stało się wilgotne, jeżeli włożono je do stodoły w suchym stanie? — zapytała niewinnie Diana.

Usta Burnetta zadrgały.

— Przypuszczam, że któryś z tych kretyńskich Murzynów włożył kilka wilgotnych wiązek. To akurat na nich wygląda. W każdym razie muszę opróżnić całą stodołę. Państwo zechcą mi wybaczyć, że nie będę na herbacie, bo chciałabym skończyć tę pracę jeszcze dziś.

Diana i Burnett pożegnali go po chwili. W miejscu, gdzie ścieżka skręcała w dolinę prowadzącą do Knoll, Diana zatrzymała się i powiedziała, że pójdzie już do domu.

— Joyce zbyt będzie zmęczona, aby móc nas dziś przyjąć. Przyjdę znów jutro.

Burnett poszedł w milczeniu obok niej. Teraz, gdy nadeszła wreszcie wymarzona chwila, bał "się zacząć mówić o swych uczuciach, lękając się ostatecznej odmowy.

Diana z początku gawędziła o tym i owym, zmuszając się do wesołości, po chwili jednak także umilkła.

Wreszcie Burnett zebrał się na odwagę i postanowił wykorzystać sposobność.

— Gdybym nie dostał depeszy doktora — oznajmił — w tej chwili znajdowałbym się już w drodze do Anglii.

Diana drgnęła niemal niedostrzegalnie i zapytała:

— Dlaczego? Po cóż by miał pan jechać do Anglii? Czy zniósłby pan rozłąkę z ukochaną farmą? Któż by się opiekował najdroższą glebą i umiłowanymi wzgórzami?

— Ułożyłem się z pewnym człowiekiem, że będzie zarządzał farmą, dopóki nie zawiadomię go, czy chcę ją sprzedać, czy też nie.

— Sprzedać! Doprawdy, kapitanie — Diana usiłowała pokryć zdumienie śmiechem — zaczynam podejrzewać, że cierpi pan na udar słoneczny!

Burnett uśmiechnął się, spoglądając prosto przed siebie. Widać było, że skoro tylko poruszył temat, zaprzatający całkowicie jego myśli, nabiera odwagi i opanowania. Diana także wyczuła momentalnie, że decydująca chwila nadeszła. W ciągu paru sekund Burnett stał się taki, jakim go sobie zawsze wyobrażała — wyprostowany, silny o spokojnych i stanowczych oczach.

Była mocno podniecona, ale czekała, co będzie dalej.

— Od pani zależałoby, czy bym sprzedał farmę, czy też nie — mówił dalej Burnett. — Chciałem jechać do Anglii, aby powiedzieć pani, że nawet życie tutaj straciło dla mnie urok bez pani i że po tysiącokroć wolałbym porzucić je na zawsze, niż żyć bez pani, jeżeli się tylko zgodzi pani wyjść za mnie. Wszystko mi jest teraz jedno, czy będę mieszkał w miasteczku, w wielkim mieście czy na wsi, byleby pani była ze mną.

Diana roześmiała się dziwnym, drżącym głosem — przede wszystkim po to, aby powstrzymać się od zrobienia jakiegoś głupstwa.

— O, jaka szkoda, że pan zaangażował zarządzającego! Burnett zagryzł wargi.

— Jeżeli chce pani przez to powiedzieć, że moja podróż byłaby daremna, nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Nie zostanę już tutaj. Kiedy doktor odjedzie, spróbuję osiedlić się w innym kraju, jeżeli... jeżeli pani chce przez to powiedzieć, że pojechałbym do Anglii na próżno.

— Nie, nie to miałam na myśli. Zła jestem tylko o zarządzającego. Czy może pan jeszcze zerwać układ? — mówiła to, nie patrząc na niego.

— Ale dlaczego? — zapytał Burnett z pewnym zdziwieniem.

— Myślałam tylko, że może będzie nam przeszkadzał... Odwróciła się do niego. Oczy jej powlokła naraz podejrzana mgła.

— Powiedz nareszcie coś głupiego, Ted — wiem, że za chwilę zachowam się jak idiotka i zacznę płakać!

— Czy... — zaczął. — O, Dianko... czy to możliwe?...

— To, co mówisz, wcale nie jest wystarczająco głupie — naturalnie, że to możliwe. Było możliwe przez cały czas! Zamiast odpowiedzi schwycił ją w ramiona, w swoje silne, kształtne ramiona.

— Nie mogę w to uwierzyć tak od razu — powiedział wreszcie, usiłując ukryć wzruszenie.

— Nie próbuj wcale — roześmiała się Diana, usiłując uspokoić rozedrgane nerwy — zacznijmy od zadecydowania, którą świnię zabijemy na następne wędzenie, i czy będziemy używali czosnku, czy też nie. Twoja matka powiada... Zamknął jej usta pocałunkiem. Kiedy znów wreszcie mógł mówić, zawołał:

— Zostawimy już teraz bicie świń i wędzenie boczku komu innemu. Diano! Z łatwością znajdę jakąś pracę w Anglii. Mam już całkiem gotowy plan działania i czekam tylko na twoją zgodę.

— Będziesz więc musiał zmienić wszelkie plany, bo powiedziałam, że będziemy wędzić boczek i będziemy. Mój biedny chłopcze, można właściwie już powiedzieć, że się ożeniłeś z kurą domową. Z twoich planów będzie figa! Od chwili wyjazdu stąd tęskniłam nieustannie za wzgórzami, za kukurydzą i za swobodą, byłam tylko zbyt wielkim tchórzem, aby przyznać się do tego nawet przed samą sobą.

Burnet próbował jej coś perswadować, ale przerwała mu:

— Nie, mój drogi. Za późno już, żeby się wycofać. Wychodzę za ciebie za męża, ceremonia odbędzie się w Salisbury i spędzimy miodowy miesiąc na farmie — głos jej się znów załamał i przeciągnęła pośpiesznie ręką po oczach. — Ted, przecież nie mogę nie kochać Rodezji, skorośmy się tutaj poznali!

Ted znów uwięził jej ręce w swoich i przyciągnął ją do siebie.

— Kocham cię, Diano — powiedział po prostu. — O, jak bardzo cię kocham!

Diana bała się poważnej rozmowy ze względu na łzy, napływające jej wciąż do oczu.

— Twoje szaleństwo w tej materii to jedyna rzecz, która w żaden sposób nie pasuje do twoich wspaniałych zalet. Chodź, założymy się z Billym, że jego szynki będą gorsze od naszych. I że będzie miał gorsze kartofle, zboże, kukurydzę, marchewkę, kapustę, psy, koty, drób, cielęta i wszystkie pozostałe śmieszne rzeczy. Będziemy próbować na sobie nawzajem przepisów twojej matki. Nawiasem mówiąc, to w niej się właściwie zakochałam, nie w tobie. Zapomniałam ci o tym wspomnieć. Opowiedziałam jej, że się z tobą nienawidzimy. Na pewno

o mało nie zemdleje, kiedy się dowie o naszym ślubie. Ted — jaka ona kochana! Pomyśleć tylko, że dostaję jeszcze taką matkę na dodatek!

ROZDZIAŁ XXXV

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Tymczasem w saloniku małego bungalowu z czerwonej cegły, o wielkich francuskich oknach, wychodzących na obszerną werandę, leżała Joyce, czekając na człowieka, który przemknął przez jej życie jak meteor — wyłonił się z nieznanego przestrzeni i odszedł wkrótce do życia zupełnie jej nie znanego. Dziwne, że się wcale nie bała, leżąc tak i czekając na niego. Nie odczuwała żadnych obaw ani wątpliwości. Czy może wieczna nieukojoną tęsknota za synkiem nie zostawiła już miejsca w jej sercu na nadzieje i obawy? Czy też wstrząs i cierpienie pozbawiły ją zdolności odczuwania? Albo może, chociaż znali się przez tak krótki czas, zarówno Joyce jak i doktor wyczuwali w sobie nawzajem siłę, która potrafi w przełomowej chwili wznieść się ponad wszelką słabość, nawet ponad całkiem naturalne podniecenie nerwowe?

Na zewnątrz, jak niewidzialna kotara, wisiała rodezyjska cisza. Żaden odgłos ptaka ni zwierzęcia nie zakłócał tej przytłaczającej ciszy — żaden znak życia nie koił oka. Poniżej werandy, u stóp stromego wzgórza, leżał szmat opuszczonego pola, pokryty zeschniętymi i połamanymi łodygami kukurydzy — ściernisko czekające na spalenie. Dalej wystrzelał ku niebu drugi pagórek, porośnięty skąpo nikłą trawą i krzywymi drzewami. Z miejsca, gdzie leżała Joyce, widać było tylko nagi zrąb tego wzgórza, widok ten jednak nie sprawiał już jej bólu. Minęły już, na szczęście, dni, kiedy z młodzieńczym zapalem wyciągała tęskniące ramiona do życia i radości, napotykała zaś jedynie skaliste zbocza wzgórz, przesłaniające cały horyzont.

Na prawo od nagiego wzgórza ciągnęła się długa słoneczna dolina, przystrojona w prześliczne światła i cienie, porośnięta drzewami i listowiem, wśród którego chichotała wesoło rzeczka. Na końcu doliny wznosiły się mistyczne, błękitne wzgórza, któ-

rych nagie zbocza otulone były cienistymi welonami, utkanymi z purpurowych mgieł. Ludzie obcy podziwiali z zachwytem ten widok i Joyce niejednokrotnie wysłuchiwała w milczeniu gratulacji z powodu pięknego położenia jej domu. Przyjmowała je milczeniem, nie potwierdzając ani nie przecząc. Skąd goście ci, którzy przyjeżdżali i odjeżdżali znów, mogli rozumieć martwość, która mimo wszelkich wysiłków woli ścisnęła jej serce? Skąd mogli wiedzieć, że piękno krajobrazu podobne było do piękności ślicznej kobiety, pozbawionej duszy. Przyjezdni, przyzwyczajeni do ruchliwego, wytężonego życia, mieli tutaj wizję spokoju i odpoczynku, ona zaś widziała tutaj tylko swoją monotonną, niezmienną, milczącą egzystencję wśród wiecznie jednakiego otoczenia. Dla dziecka natury, jakim była Joyce, niespokojny szmer morza był bez porównania lepszym towarzyszem niż te nieżywe doliny, pozbawione śpiewających ptaków, pozbawione kwiatów i zieleni. Łąki z pasącymi się owcami, pola kaczeńców, ocienione drzewami wiejskie aleje, oto były rzeczy, o których marzyła jak o rajach utraconym, w obliczu kraju znajdującego tylko pagórki i stopy, beznamiętne niebo i przerażające samotnie. Inni mogą kochać ten krajobraz i powracać do niego wciąż, niezdolni oprzeć się wołaniu Rodezji — ale ci inni są przecież tacy silni, krzepcy, niewrażliwi na upał i nie znający zmęczenia!

Wydawało się Joyce, że czuła zmęczenie od pierwszej chwili po przyjeździe — zmęczenie serca i duszy. Życie owinęło się dokoła jej jestestwa, niszcząc te zdolności, przy pomocy których mogłaby dzielniej walczyć z losem. Może gdyby nie była taka zmęczona... — ale po cóż teraz o tym myśleć leżąc w małym saloniku o dużych francuskich oknach, wychodzących na werandę.

I wtem on przyszedł.

Ujrzała w świetle słońca długi cień — nagłe przyciemnienie świata — stanowcze, współczujące oczy, wpatrzone w jej oczy z całą mocą długo powstrzymywanej, nie wypowiedanej miłości.

Nagły rumieniec zabarwił jej policzki. W jej oczach zabłysło na ułamek sekundy nerwowe, pytające światło, ustępując miejsca spokojnej radości, która nigdy już nie znikła z nich całkowicie. Znany, drogi głos powiedział po prostu:

— Przybyłem.

Cecil miał później wrażenie, że nigdy przedtem nie zdawał sobie w całej pełni sprawy z piękności Joyce. Czy też może nigdy przedtem nie pozwalał sobie na to? Teraz należała do niego i przyjechał po nią. Chociaż wiele jeszcze trzeba było wyjaśnić, nim pozwoliby sobie na niebiańskie szczęście pierwszego pocałunku, ale w głębi serca wiedział, że ta drobna, delikatna, prześliczna twarzyczka i te doskonale kształty należą tylko i wyłącznie do niego. Zdawało mu się, że zawsze tak było. Dawne studenckie życie, potem lata pracy i powodzenia, kiedy jej jeszcze nie znał, były niczym — snem tylko. Prawdziwe życie jego serca rozpoczęło się już wieki całe temu, kiedy po uciążliwej jeździe konno przez ciemności, ściągnął Joyce na ziemię od samych wrót śmierci, aby panowała na zawsze już w jego życiu.

Znacznie później Diana dowiedziała się od doktora, że nie pozwolił Joyce na powzięcie żadnego postanowienia, dopóki się nie upewnił, że zdaje sobie dokładnie sprawę ze swego postępu i że, o ile to było w jego mocy, starał się wyeliminować własną osobę i pozostawić Joyce swobodny wybór. Diana domyśliła się zresztą, że gdyby nie chodziło o zaspokojenie poczucia tego, co należy Joyce, mógł był zaoszczędzić sobie fатыgi. Joyce nie zwróciła szczególnej uwagi na jego słowa, zdecydowała się bowiem już na długo przed jego przyjazdem.

Włożyła przypuszczalnie swoją małą, wychudłą rączkę do jego silnej dłoni i powiedziała z ufnością:
— Pojadę z tobą do domu.

Stało się to, wyjaśniał doktor Dianie, po tym, gdy przekonał ją dokładnie, że pragnie zabrać ją ze sobą, nie dbając o żadne konsekwencje dla siebie.

W opowiadaniu swoim coś jednak przemilczał. Nie opowiedział Dianie, jak na zakończenie, kiedy wszystko zostało już powiedziane i postanowione, ujął Joyce w ramiona z niewymowną czułością, przycisnął do serca i ucałował po raz pierwszy. Nie opowiedział także, jak położył ją z powrotem na kanapie, pochylił się nad nią i wyszeptał cicho, lecz wyraźnie:

— Niech więc mnie Bóg skarże, jeżeli coś prócz śmierci zdoła nas rozłączyć.

Po tym ucałował delikatnie jej czoło.

To, maleńka moja, jest błogosławieństwo — rzekł i odszedł.

I czuł, że chwila ta uczyniła Joyce bardziej jego, niżby to mógł sprawić najuroczystszy ceremoniał kościelny. Żadne śluby wygłoszone w klasztornych murach przez kapłana, żaden chór ani żaden ołtarz nie mógłby go związać z nią silniej niż to jedno proste i szlachetne zdanie — i pocałunek, który był błogosławieństwem.

ROZDZIAŁ XXXVI

ODJAZD

Kości były więc rzucone. Od tej chwili wypadki potoczyły się swoją koleją. Było rzeczą całkiem naturalną, że Diana zabrała Joyce na tydzień lub dwa do miasta, aby rozerwać ją nieco. Całkiem naturalną rzeczą było, że Burnett i doktor także cały niemal czas spędzali w mieście, ponieważ Burnett zajęty był odnawianiem domu na przyjęcie żony. Nie miał zamiaru pozwolić jej pozostać w Rodezji dłużej niż przez kilka miesięcy, ale Diana tak stanowczo domagała się, aby zaczęli wspólne życie właśnie na farmie, że musiał przystać, i starał się tylko uczynić farmę możliwie wykwinną i wygodną. Billy i Ślicznotka również przyjeżdżali często do miasta, ofiarowując niezliczone rady, oczywiście zupełnie niepoważnej natury. Billy okazywał serdeczne współczucie przyszłemu szwagrowi. — Dlaczego nie uciekasz, człowieku! — zawołał pewnego razu. — Więcej czym prędzej na drugi koniec świata. Tylko w ten sposób możesz jeszcze się wymknąć. Albo też postaraj się o świadectwo niepoczytalności. Małżeństwo to wymysł szatana — kiedy i bez tego możesz mieć ładną farmę, kukurydzę i inne rzeczy.

W odpowiedzi dostał po głowie od Diany, na co zaczął jeszcze goręcej protestować przeciwko małżeństwu najlepszego przyjaciela z kobietą, która na pewno będzie biła swego męża.

Tylko Jim się nie pokazywał. Pracował pilnie, stając się z dnia na dzień coraz bardziej milczący i poważny. Gnębiła go zagadka życia. Dotychczas niewiele się zastanawiał nad trudniejszymi życiowymi problemami. Krzepki, barczysty, otwarty, szedł zwykle pogodnie swoją ścieżką, beztrąsko ignorując drobne

sploty okoliczności, aż tu nagle natrafił na węzeł nie do rozplątania w postaci swego uczucia dla Joyce i jej synka. Żeby nie wiedzieć, z której patrzył strony, nie wiedzieć, ile myślał, nie mógł wyrobić sobie jasnego sądu o tej całej sprawie. Jego własna ogromna miłość dla zmarłego dziecka i nie ukrywana pogarda dla Oswalda Granta powiększały tylko zamęt panujący w jego myślach. Nie kochał się w Joyce w pospolitym znaczeniu tego słowa. Wydawała ona mu się zawsze jakimś rzadkim, delikatnym, egzotycznym kwiatem, kwitnącym wysoko ponad nim. Gdy jednak owej nocy poszedł na poszukiwania lekarza, dowiedział tym, że zrobiłby dla niej wszystko.

A jednak nadciągające wypadki zawisły nad nim jak nagi miecz.

Jego proste, lojalne serce nie mogło znieść myśli, że ten cudowny kwiat tak nisko upadnie i przezysta biel jego zostanie zbrukana. Pocieszał się tylko, że zbrukanie to jest wyłącznie wytworem jego własnej wyobraźni. Nie umiałby wyjaśnić ani uzasadnić tego przeświadczenia, istniało ono jednak w nim niewątpliwie. W głębi duszy wiedział, że Joyce należy do natur wyjątkowych, które w żadnych okolicznościach nie utracą nigdy swej nieskazitelności. Przeświadczenie to nawet w dziwny jakiś sposób pogłębiało jego współczucie dla niej, współczucie, które żywił od chwili, gdy ją poznał. Wiedział, że od czasu, jak przyjechała z Oswaldem Grantem do Rodezji, toczyła nieustannie, z wyjątkiem krótkiego radosnego okresu życia dziecka, walkę skazaną z góry na przegraną. Wiedział, że walczyła dzielnie i odważnie.

Okrucieństwem losu było to, że w ogóle tu przyjechała i że mogła wydostać się stąd tylko nosząc na sobie w oczach świata piętno niewierności małżeńskiej.

Pomyślał o obu mężczyznach zaplątanych w tę sprawę. Pierwszy, jej mąż, od którego miał prawo oczekiwać czułości, dobroci i poparcia, nie dał jej chyba nic, prócz pożywienia i dachu nad głową, należnego każdej najskromniejszej choćby służącej. Drugi, nie mający wobec niej żadnych obowiązków, złożył całą swoją karierę u jej stóp.

Oddając się codziennym zajęciom pod intensywnym błękitem wymytego przez deszcz nieba, Jim zastanawiał się, łamał sobie głowę i nie posuwał się ani o krok dalej. Może z biegiem czasu

jakaś rasa stojąca na wyższym szczeblu kultury rozwiąże podobne trudności. Jim nie potrafił znaleźć żadnego rozwiązania. Był tylko całkowicie i bezwzględnie przekonany, że cokolwiek świat powie, Joyce jest czysta jak łąza, Cecil Lawson zaś jest bohaterem niemal, gdyż gotów jest poświęcić wszystko dla miłości. Poza tym wszystko stanowiło dla Jima nieprzeniknioną tajemnicę, zagadkę losu ludzkiego.

Joyce i doktor Lawson wyjechali pod nieobecność Diany. Umyślnie wybrali taki dzień. Diana często jeździła na farmę Teda Burnetta, aby doglądać przygotowań, i Joyce z łatwością pokierowała tak sprawami, aby Diana pojechała tam w dniu, kiedy odchodził pociąg pocztowy.

Doktor przebywał już w hotelu od kilku dni, wystarczyło więc mu tylko wstąpić po nią i zabrać ją na dworzec. Byli mało znani w mieście i odjazd ich nie wzbudził plotek.

Pojechali po prostu na dworzec ze swym szczupłym bagażem, obejmującym małego teriera, którego synek Joyce tak lubił. Po krótkiej chwili pociąg pocztowy uniósł ich w kierunku nowego życia.

Joyce zostawiła dwa listy — jeden do Diany, drugi do męża. List do Diany brzmiał:

Droga Diano!

Kiedy powrócisz, nie zastaniesz nas już tutaj. Postanowiliśmy jechać dzisiaj, podczas twojej nieobecności, abyś była jak najmniej zamieszana w tę całą sprawę. Wiem, że postarasz się mnie zrozumieć i nie stracić dla mnie serca.

Zwalczyłabym w sobie to uczucie, gdybym miała jeszcze siły do walki — ale teraz jestem już zbyt zmęczona. Pragnę tylko miłości i spokoju przez ten krótki czas, jaki mi pozostał do życia. O tyle, o ile jeszcze w ogóle mogę być szczęśliwa, będę nią należąc do Ce-cila. Zabiera on mnie teraz do Londynu i znajdzie dla mnie jakieś mieszkanie, dopóki się nie załatwi wszystkiego i nie będziemy mogli się pobrać. Cecil pisze jednocześnie do kapitana Burnetta.

Lubimy mówić o waszym wielkim szczęściu i rozmawiamy często o moim synku.

Proszę cię, dopilnuj, aby ten drugi list został doręczony, i proszę, pozdrów ode mnie jak najserdeczniej Jima, ponieważ nie mogę

się z nim osobiście pożegnać. Nie wiem, jak ci mam dziękować za wszystko, ale zawsze będziemy cię kochali więcej niż kogokolwiek na świecie, oprócz siebie nawzajem.

Twoja, zawsze kochająca

Joyce

PS Zabieram ze sobą Kima.

Kiedy Diana weszła do pustego saloniku małego, umeblowanego domku, który zajmowały razem z Joyce, i ujrzała na biurku dwa listy, domyśliła się od razu, co zaszło.

— Wyjechali — powiedziała cicho do Teda i stanęła nieruchomo patrząc na listy.

— Ależ nie, z pewnością nie! — zawołał Ted.

Diana otworzyła kopertę adresowaną do niej i przeczytała list, po czym podała go Burnettowi, sama zaś ze łzami w oczach stanęła w milczeniu przy oknie.

— Biedna, mała Joyce — wyszeptwała. — Biedne maleństwo, nie miało innego wyjścia!

— To zrujnuje karierę Lawsonowi — padła bardziej rzeczowa uwaga mężczyzny.

— On brał to pod uwagę — Diana odwróciła się gwałtownie. — Ted, nie dbam o to, co ktokolwiek powie. Cecil Lawson jest bohaterem. Świat może sobie obrzucać go błotem, ale to nie umniejszy wcale wartości doktora. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe, ale mam zamiar nie opuszczać ich w doli i niedoli.

— Mieć ci za złe! — powtórzył Ted, biorąc ją w objęcia. — Di, najdroższa, nie byłabyś sobą, gdybyś postąpiła inaczej!

— Jakiś ty kochany! — westchnęła z wdzięcznością Diana, ocierając oczy. — Wielu mężczyzn zżymałoby się na to i trudno by mieć do nich żal. Mam nadzieję, że Billy zachowa się rozsądnie.

— Tak sędzę. Przypuszczam, że spodziewał się takiego rozwiązania sprawy. Nie płacz, kochanie. Może się to wszystko jeszcze szczęśliwie skończy. W każdym razie Joyce nie pożyłaby długo, gdyby została tutaj z Oswaldem. Diana otwarła oczy i zaczęła zastanawiać się, co należy teraz zrobić. Po namyśle postanowiła zaczekać z wysłaniem drugiego listu do następnego dnia.

— Ciekawa jestem, gdzie właściwie on ją umieści po przyjeździe do Anglii? — zapytała po chwili z niepokojem. — Trudno mu będzie znaleźć dla niej odpowiednie mieszkanie. Ona nie może być sama. Co on zrobi?

Rozmyślała nad tą kwestią dłuższą chwilę, aż nagle twarz jej się rozjaśniła i zawołała:

— Och, cóż za świetna myśl! Ted, mam cudowny pomysł! W następstwie czego doktor otrzymał w Capetown telegram

następującej treści:

Niech pan ją zawiezie do Miss Maitland, Hampstead. Zrobi dla mnie wszystko. Telegrafuję do niej, żeby was oczekiwała; wyjaśnię listownie.

ROZDZIAŁ XXXVII

ZEMSTA

Trudno powiedzieć, co właściwie najciężej dotknęło Oswalda Granta w pierwszej chwili. Nie była to w każdym razie zawiedziona miłość. Zraniona duma, zachwiana wiara w Boga sprawiedliwych, pogarda dla słabszej płci, namiętny protest przeciw nieszczęściu, walczyły ze sobą jak wrogowie, usiłujący wszyscy naraz go udusić.

List nadszedł wieczorem, w chwili gdy Oswald kończył właśnie obiad. Rozerwał niedbale kopertę, przypuszczając, że Joyce prosi go o przysłanie jakiejś zapomnianej w domu części ubrania.

To, co przeczytał, odebrało mu mowę. Umysł jego nie mógł ogarnąć znaczenia przeczytanych słów. Po chwili zdał sobie sprawę, że oddawca listu, milczący Murzyn, czeka w drzwiach.

— Wynoś się! — powiedział w pasji i Murzyn uciekł, przerażony wyrazem jego twarzy.

Oswald przebiegł kilkakrotnie po pokoju, po czym wrócił do kominka, przed którym leżał jego ulubiony wyżeł, z niepokojem śledzący wzrokiem ruchy pana.

— Precz stąd! — wrzasnął Oswald. — Zajmujesz cały pokój! — i kopnął psa z taką siłą, że ten zawył boleśnie i wysunął się za drzwi.

Po chwili Oswald przeczytał list jeszcze raz.

Drogi Oswaldzie! (pisała Joyce)

Kiedy otrzymasz ten list, będę już razem z doktorem Lawsonem w drodze do Capetown. Żałuję bardzo, że sprawiam ci ból, ale nigdy nie kochałeś mnie naprawdę i małżeństwo nasze było pomyłką. Nie powiedziałabym ci tego nigdy, gdyby dziecko nie umarło, ale teraz nic właściwie nie ma już znaczenia. Mam nadzieję, że rozwiedziesz się ze mną możliwie jak najprędzej, abyśmy mogli się pobrać z doktorem bez zbytecznej zwłoki, i spodziewam się, że wkrótce osiągniesz szczęście z lepszą kobietą ode mnie. Mogę tylko jeszcze raz powtórzyć, że bardzo wszystkiego żałuję.

Joyce

Nastąpiła dla Oswalda okropna noc — noc pełna przekleństw, skarg i złorzeczenia. Przyzywał wszelkie nieszczęścia, aby spadły na głowy tych dwojga, którzy go skrzywdzili. Nie był już człowiekiem. Przypominał raczej złego ducha — bezmyślnego, mściwego, złośliwego szatana, pełnego bezsilnej wściekłości. Nad wszystkimi zaś szalejącymi w jego duszy uczuciami górowało zdumienie, że taka rzecz mogła go spotkać. To było najbardziej niezrozumiałe ze wszystkiego. On — prawomyślny, etyczny, moralny, trzeźwy, bogobojny — został wyszydzony i pohańbiony przez wolnomyśliciela, pozbawionego wszelkich zasad moralnych. Zaprawdę, jego Bóg albo drwił zeń, albo też drzemał.

Najpierw dziecko, które niewątpliwie kochał, teraz żona, którą wyobrażał sobie, że kocha.

Cios ten był okrutny ponad wszelką wytrzymałość, przekraczał jego zrozumienie. Bez żadnej winy z jego strony, życie jego odarto nagle z wszelkich wartości. Nie widział przed sobą żadnego promienia w przyszłości ani żadnej nadziei na błysk szczęścia. Nigdy już nie będzie mógł spojrzeć w oczy swym znajomym, nazwisko zaś jego, to umiłowanie serdecznie, zostało zmieszane z błotem.

Cóż, w takim razie Joyce także nigdy już nie będzie mogła patrzeć ludziom w oczy — będzie przynajmniej czerpał zadowolenie z należytego ukarania jej!

Z tą słabą pociechą w myśli pojechał do miasta, aby rozmówić się z Dianą.

Spodziewała się tej wizyty i oczekiwała go samotnie. Ted, który przenocował w miejscowym hotelu, błagał ją, aby pozwoliła

mu zostać, postanowiła jednak niezłomnie, że sama zobaczy się ze znieważonym mężem. Burnett odjechał więc na farmę, nakłoniwszy ją uprzednio do powrotu do Knoll po południu.

— Grant ma prawo być wściekły i wyrzucić na kims swoją złość — oświadczyła Diana. — Jestem w tym wypadku najlepszym obiektem do tego, przy okazji zaś mam zamiar powiedzieć mu kilka słów prawdy, a twoja obecność mogłaby temu przeszkodzić.

W oczekiwaniu przyjazdu Oswalda Diana rozmyślała nad tym, jak spokojnie wszystko poszło. Nie było właściwie żadnych przeszkód. Zdawałoby się, że to zwykłe małżeństwo z miłości. Jej obawy o doktora zaczęły się rozwiewać. Dlaczegoż małżeństwo jego miałyby wywołać skandal? Notatki w gazetach będą krótkie, możliwie jak najprędzej wezmą z Joyce cichy ślub i wkrótce wszyscy zapomną, w jakich okolicznościach zostało zawarte to małżeństwo. Uroda i wdzięk Joyce ułatwią bardzo sprawę i, jak powiedział Ted, wszystko może się jeszcze bardzo szczęśliwie skończyć.

Zastanawiała się nad tym, dlaczego doktor mówił o karze, jaką pociąga za sobą pogwałcenie prawa moralnego. Czyż nie dość było tego, że dobrowolnie zaryzykował tak wiele i że Joyce zmagą się tutaj z losem przez tyle straszliwych miesięcy?

Zdawało się Dianie, że oni oboje zasłużyli sobie na spokój i szczęście i że sprawa przedstawia się zupełnie prosto. Nie mogła zrozumieć, czemu przedtem myśląc o tych dwojgu miała przeczucie tragedii.

W tej chwili jednak zajechał przed dom Oswald z wyrazem twarzy, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziała i miała nadzieję, że nie zobaczy więcej na twarzy żadnego innego mężczyzny. Rzucił wodze Murzynowi i sztywnym krokiem przeszedł małą ścieżkę prowadzącą do domu. Diana stała wyprostowana przed kominkiem i czekała, aż pierwszy przemówi.

— Ładnych rzeczy pani narobiła — zaczął szyderczo. — Skłonny byłbym przypuszczać, że przyzwoita kobieta — podkreślił z naciskiem słowo „przyzwoita” — mogłaby sobie znaleźć lepsze zajęcie niż uganianie się po świecie, polując na męża i rujnując po drodze dla rozrywki szczęście rodzinne obcych ludzi. Nie wiem, jak to pani tłumaczy sama przed sobą, ale nie chciałbym mieć pani rachunku do wyrównania w dniu sądu ostatecznego.

Diana zagryzła wargi, ale opanowała się i słuchała go dalej.

— Dopóki pani nie przyjechała — pani i ten przekłety lekarz — Joyce była kobietą, z której można było być dumnym — kobietą godną każdego mężczyzny — jedną z niewielu kobiet nie zepsutych nowomodnymi pojęciami! Czym zaś jest dzisiaj? Coście wy dwoje z niej zrobili swoim przeklętym mieszaniem się w cudze sprawy?

— Mam nadzieję, że daliśmy jej trochę prawdziwego szczęścia.

— Prawdziwego szczęścia! — Oswald przybierał coraz bardziej szyderczy ton. — O ile w ogóle znam Joyce, to zadaliście jej śmiertelny cios! — Zmienił trochę ton: Ale dlaczego skierowaliście wasz karygodny spiszek przeciwko mnie, tego nie mogę pojąć. Jeżeliście powzięli do mnie niechęć i pragnęliście, żebym był nieszczęśliwy, czyż nie wystarczyło, że straciłem dziecko? Czy koniecznie musieliście odebrać mi wszystko?

Serce Diany zmięкло na chwilę i uczuła litość dla Granta. Koniec końców opuszczono go w chwili, gdy obraz dziecka tkwił jeszcze w jego pamięci i rany po niedawnej stracie jeszcze się nie zagoiły.

— Myli się pan, dopatrując się tutaj jakichś wrogich intencji w stosunku do pana, jakiegoś spisku czy czegokolwiek w tym rodzaju — powiedziała łagodnie. — Ja osobiście ogromnie panu współczuję, ale jeszcze bardziej współczulam Joyce, która zresztą była dostatecznie dorosła i rozsądna, aby sama postanawiać za siebie. Jeżeli nie udało się panu uczynić dla niej życia znośnym, niewątpliwie miała prawo usłuchać głosu serca i iść za jego wskazaniem.

— Bzdury! Nie miała prawa słuchać niczyich rad, prócz moich. Jeżeli nie czuła się szczęśliwa w Killarney, dlaczego nie powiedziała tego wprost, zamiast mazać się i opuszczać, jak to robiła od śmierci dziecka. A czegóż zresztą jeszcze mogła ode mnie chcieć? Czy nie byłem jej wierny? Czy nie pozostawiałem jej zupełnej swobody od rana do wieczora? Czy nie dałem jej mojego nazwiska i opieki, kiedy była opuszczoną sierotą bez grosza przy duszy? I taka jest jej wdzięczność! Prawdziwa kobieta, istotnie! Niestala, niewdzięczna, bez serca, jak cała jej płeć! Trudno, nie miała litości dla mnie, więc i ja jej nie okażę litości. Obrąła sobie drogę nierządniczy i nierządnicą zostanie!

Doskonale się dobrali,

doprawdy — złość, malująca się na jego twarzy, przyprawiła Dianę o dreszcz — nierządnica i ateista. Życzę im wiele radości; albowiem nigdy, dopóki ja żyję, nie będą mieli prawa się pobrać.

Diana pobladła nagle i zrobiła krok naprzód. Następnie opanowała się z wysiłkiem.

— Nonsens. Żaden mężczyzna — żaden gentleman — nie postąpiłby w ten sposób.

— Mężczyzna i gentleman może postąpić w ten sposób i postąpi tak! — zawołał w okrutnym uniesieniu. — Ona jest moja! — Grant trzasnął pięścią w stół. — I zostanie moją! Przed Bogiem i ziemią odmawiam uwolnienia jej! Nie chciała być moją żoną, będzie więc kochanką innego mężczyzny.

Oczy Diany zabłyśły, policzki zaczerwieniły się, zanim jednak zdołała przemówić, dodał z umyślną bezczelnością:

— W obecności dam nie mówi się na ogół w ten sposób, ale sądzę, że w towarzystwie, w jakim znajduję się w tej chwili, słowa takie nie są zbytnio nie na miejscu.

— Łajdaku! — zawołała Diana, oddechając z trudem. — Łotrze! To, że pan w ogóle mówi w ten sposób o Joyce — a zwłaszcza, że mówi pan tak do mnie — dowodzi tylko, co z pana za człowiek. Pozornie może jest pan człowiekiem, ale w duszy jest pan jadowitą zmiją, zakałą swojej płci! Kocham Joyce. Dzięki Bogu, że nareszcie wyrwała się od pana!

— Aha! Trafiłem panią, co? Cóż więc z Joyce? Trzeba przyznać, że nie będzie się zbyt dobrze czuła w nowej sytuacji, co?

Diana odczuła naraz całą potworność położenia i odzyskała instynkt walki, aby przyjść Joyce z pomocą.

Odetchnęła głęboko i powiedziała, z wysiłkiem panując nad głosem:

— Za jakiś czas zmieni pan zdanie. Nie mam do pana żalu o obelgi w moim kierunku. Przypuszczam, że można je panu wybaczyć, ponieważ jest pan bardzo rozżalony. Może nie warto teraz rozmawiać. Z biegiem czasu spojrzę pan na sprawy innym okiem. Powinien pan starać się pamiętać, że Joyce była ogromnie nieszczęśliwa. Gdyby pan ją rzeczywiście kochał, postarałby się pan uczynić ją troszeczkę szczęśliwszą, a wówczas nie opuściłaby pana nigdy.

— Daje pani do zrozumienia, że ją zaniedbywałem?! Proszę, czegoż więcej może się spodziewać kobieta niż ona miała? Czy nie byłem dla niej dobry? Sam fakt, że współczucie pani jest po jej stronie, dowodzi, w jakim wielkim pani jest błędzie. Można tu wyciągnąć tylko jeden wniosek. Ja byłem wierny, ona zaś była niewierna. Ciekaw jestem, ile żon w dzisiejszych czasach może być tak pewnych wierności swych mężów, jak ona?

Diana straciła na chwilę panowanie.

— Pan! Wierny! — powiedziała pogardliwie. — A jakież pokusy spotkał pan kiedykolwiek na swej drodze? — Zrobiła krok naprzód. — Niech pan położy rękę na sercu, Oswaldzie Grant, i wyzna szczerze, czy zaznał pan kiedykolwiek pokusy, żeby być niewiernym. Można się pysznić swoją wiernością, jeżeli się przeszło przez ogień pokus i wyszło się zeń nietkniętym. Aż do ostatnich dni wierności pańskiej nie można było nawet porównać z wiernością Joyce. Ona bowiem oparła się pokusie. Czy przypuszcza pan, że pokochali się w jednej chwili, nagle, kiedy dziecko umarło? Naturalnie, że nie! Przez cały długi rok miłość istniała między nimi i rękę życiem, że nigdy nie padło między nimi ani jedno słowo, nie powstał ani jeden uczynek, których nie mógłby słyszeć i oglądać cały świat. Oto jest wierność — pozostać wiernym dopóki to możliwe, kiedy serce wyrywa się do innego! Pan jest taki jak wszyscy tak zwani cnotliwi ludzie. Poklepuje się pan po ramieniu, chwali pan swoje cnotliwe usposobienie, dziękując Bogu, że nie jest pan grzesznikiem — podczas gdy nie wie pan nawet, co to pokusa! Wy wszyscy nawet nie potraficie zaznać pokusy — tacy z was słabi, małoduszni, drobiazgowi ludzie. Och, nie mam cierpliwości do was, pobożni świętoszkowie, którzy za najmniejsze przewinienie krzyżujecie bliźnich swym szyderstwem i złośliwością, sami zaś spoglądacie z uśmiechem na miejsca w pierwszym rzędzie, które tak sprytnie zapewniliście sobie w niebie! Kiedy myślę o tym wszystkim, doprawdy żal mi Boga — wystawiacie bowiem na pewno na ciężką próbę Jego cierpliwość! — Diana zaczęła bębnić palcami po stole, usiłując odzyskać równowagę. — Wszyscy wiedzą, że aby grzeszyć, potrzeba pewnej siły charakteru. Niejeden człowiek, który walczył dzielnie, ale uległ w końcu, silniejszy jest od pana, który w ogóle nie zaznał pokusy. Jeżeli zaś ma siłę podnieść się, iść dalej i próbować odzyskać to, co stracił wówczas jest bohaterem. Nie dbam

O to, co powie pan czy ktokolwiek inny. Prędzej bym powierzyła całe swoje życie takiemu człowiekowi niż jeden krok takiemu złośliwemu, zadowolonemu z siebie świętoszkowi jak pan! Wolałabym codziennie popełniać wielki grzech, a za to mieć odrobinę charakteru i woli, niż znać tylko drobne grzeszki, do których są jedynie zdolni ludzie pańskiego pokroju — twarz Diany drgała.

— O, tak — odparł Oswald — Joyce wykazała charakter

I upór, przyznaję. Powiniennem był to poznać, kiedy uparła się, żeby wziąć panią i tego drugiego łajdaka na rodziców chrzestnych, i po tym, kiedy rozdała wszystkie rzeczy dziecka. Każda normalna matka zachowałaby je i ceniła, ale ona nie — nie zostawiła żadnej zabawki, nie schowała żadnego ubranka do szuflady zraszając je naturalnymi zupełnie w tych okolicznościach łzami — nie, rozdała wszystko i przy tym ani słowa, ani jednego słowa do ojca dziecka. A poza tym chciała, żeby pochować dziecko na farmie. Pogańskie pomysły! Pochować je na pustkowiu, kiedy w odległości tylko dwunastu mil jest poświęcana ziemia! Wolałbym go zawieźć o pięćdziesiąt nawet mil od domu, niż ograbić z jego prawa do święconej ziemi.

— A ja bym raczej własnymi rękami wygrzebała mogiłkę tam, gdzie by ona chciała, niż bym odmówiła jej życzeniu! Biedna, biedna Joyce! To musiała być ostatnia kropla... — w oczach Diany ukazały się łzy.

— O, naturalnie, pani jest po jej stronie. Wszyscy jesteście poganami, to jasne. Może to i lepiej, że dziecko umarło. Przy takich zapatrywaniach matki chłopiec mógłby wyrosnąć na nie wiadomo co. Cóż, nam wszystkim zostały już tylko rozbite skorupy. Cieszę się, że przynajmniej moja ścieżka biegnie z dala od ludzi, nie mógłbym bowiem teraz często ich oglądać. Joyce może zachować dla siebie większą część obmowy i szyderstwa ludzkiego, żyjąc otwarcie w grzechu. Zabiła zarówno moją miłość, jak i moją litość. Jak sobie pościelisz, tak się prześpisz. Ona sama sobie zgotowała swój los!

— Nieprawda! — zawołała Diana, patrząc mu prosto w oczy. — To pan jej taki los zgotował! Kiedy matka powierzyła ją pańskiej opiece, sądziła, że obdarzy ją pan całą miłością, współczuciem i tkliwością, na jakie zasługiwała. Ja zaś twierdzę, że nie dał jej pan nic z siebie. Wyciągnęła do pana rękę po chleb, otrzymała zaś kamień. Wyczerpały ją pańskie jęki i narzekania,

złamało ją pańskie ponure usposobienie. Zmroził ją absolutny brak zrozumienia dla jej młodej, żywej natury. Potrzeba panu było gospodyni do prowadzenia domu. Joyce zaś przypadła panu do gustu. Nie ma pan prawa mówić o miłości. Miał pan tylko pospolite, wstrętne potrzeby i dopóki ona je zaspokajała, płacił jej pan ubraniem, pożywieniem i mieszkaniem i szczyił się pan swoją dobrocią wobec niej. Ofiarował jej pan miejsce, które mogłaby zająć pierwsza lepsza bezduszna kobieta, ona zaś przyjęła je w swej nieświadomości i zaślepieniu. Niestety, za późno zorientowała się, że przypieczętowała swój los. Gdyby nawet przeżył pan z nią sto lat, nie zauważyłby pan, jaka bogata, piękna dusza wyzierała z każdego jej słowa i uczynku. A Joyce miała prawo do zrozumienia i miłości. Ach, nie wiem nic i nie chcę wiedzieć

O waszych zasuszonych prawach, rytuałach i zasadach! Wiem, że Joyce miała prawo oczekiwać od pana miłości, czułości i zrozumienia, jakimi obdarzy ją niewątpliwie Cecil Lawson — i z braku których zamartwiłaby się i umarła w tym grobowcu, otoczonym wzgórzami, w towarzystwie pana.

— Dużo jej z tego przyjdzie — zaczął znów drwić Oswald. — Czy jego miłość i zrozumienie uczynią z niej uczciwą kobietę? Jeżeli będzie miała dziecko, czy uczucia Lawsons dadzą mu prawo do nazwiska? Nie. Zapewniam panią! Dopóki ja będę musiał unikać ludzkich spojrzeń i ona także będzie musiała się wstydzić. Na każdą drwinę ze mnie, jako ze zdradzonego męża, przypadną dwie drwiny z niej, jako z niewiernej żony pozbawionej nazwiska. Inny mężczyzna na moim miejscu zabiłby może jej kochanka, ale ja dość dobrze znam Joyce, aby wiedzieć, jak najlepiej ją ukarać. Niesława złamie ją — a poprzez nią

1 jego także!

Przerażona jego okrucieństwem Diana znów zaczęła błagać o litość.

— Na miłość boską, niech pan okaże odrobinę miłosierdzia! — zaklinała. — Joyce jest jeszcze dzieckiem niemal i służyła panu wiernie, dopóki śmierć dziecka nie ścięła jej z nóg. Jej nadwątlone zdrowie jest wynikiem tutejszego klimatu i życia z dala od cywilizacji. Ponadto musiała zetknąć się z tutejszymi warunkami przejęta jeszcze bólem z powodu śmierci matki. Nie proszę pana o przebaczenie dla niej, ale błagam pana, aby jej pan zwrócił wolność.

— Nie! — powtórzył z zawziętością. — Ponowne wstępowanie w związki małżeńskie osób rozwiedzionych jest sprzeczne z moimi zasadami, toteż zrobię wszystko, aby temu zapobiec. Oboje zasługują na najgorsze i z głębi serca życzę im tego.

— Z głębi serca! — zawołała Diana z pogardą. — Obawiam się, że przy tworzeniu pana zapomniano o tej części składowej. Ma pan akurat tyle serca w sobie, co mój kot!

— Co się zaś tyczy Lawsona — ciągnął dalej Grant ignorując jej słowa — zrobię, co tylko będzie w mojej mocy, aby go zniszczyć. Tutaj jestem może tylko farmerem, ale mam jeszcze pewne wpływy w Anglii. Moja rodzina... — zaczął sentencjonalnie.

— O, do diabła z pańską rodziną! Pochodzi od królów, przypuszczalnie, każdy zaś wie, że w Irlandii było tylu królów, jak gdyby ich ktoś zasiał. Nudzą już mnie irlandzcy królewscy przodkowie. Jeżeli zaś chodzi o karierę Cecila Lawsona — cóż, ja sama należę do rodziny De Eresby i może uda się nam unieszkodliwić pańską podstępą mściwość.

— Doprawdy? — zawołał obelżywym tonem Oswald. — Wątpię bardzo, czy pani rodzina pochwali panią za wciąganie jej nazwiska w podobną sprawę. To hańba dla pani, a tym samym hańba i dla nich, sądząc zaś ze sposobu, w jaki pani traktuje ten incydent, przypuszczam, że moralność pani pozostawia wiele do życzenia.

— O, doprawdy tak pan przypuszcza? — rozległ się lodowaty głos Billa.

Stał on na progu, a w jego oczach tlił się przytłumiony płomyk. Na widok wyrazu twarzy Billa, Grant, odważny sam na sam z kobietą, od razu stracił kontenans.

Nastąpiła chwila naprężonego milczenia, po czym Billy wszedł do pokoju.

— Znajduje się pan przypuszczalnie w stanie takiego uniesienia, że pewnie nie zdaje pan sobie dokładnie sprawy ze swoich słów — powiedział. — Gdyby nie to, zmusiłbym pana do przeproszenia mojej siostry na kolanach za tę ostatnią uwagę. Ale niech się pan zabiera czym prędzej, zanim pana stąd wyrzucę!

Przy tych słowach wpatrywał się uporczywym wzrokiem w Granta, który chyłkiem wysunął się z domu, wskoczył na konia i odjechał.

— Podły, bezczelny łotr! Dziwię się, że dawno go nie wyrzuciłaś. Dlaczego Burnett nie został z tobą?

Ale Diana opadła bezwładnie na fotel i nie miała nawet dość siły, aby mu odpowiedzieć.

— O co chodzi, Di? Chyba nie jest takim osłem, żeby winić ciebie o to, co się stało? Wielki Boże, nie zaczniesz przecież płakać!

Diana postarała się opanować.

— Billy... to... to diabeł wcielony. Przysięga, że jej nie zwróci wolności. Przysięga, że zniszczy ich oboje i w ten sposób ją zabije.

Billy gwizdnął przeciągle i znacząco.

— I jeżeli mu nie przeszkodzimy, dopnie swego. Joyce jest taka wrażliwa. Właśnie tego rodzaju rzecz może ją zabić. I Grant wie o tym. O, jak ja go nienawidzę! Z początku żal mi się go zrobiło, bo mówił o dziecku i zdawało się, że rzeczywiście utracił wszystko naraz, ale po tym... och, nie potrafię wcale powiedzieć, co to za człowiek. Zasady i moralizatorski ton, podczas gdy w rzeczywistości myśli tylko o czarnej i okrutnej zemście.

— Dlaczegoś go słuchała? Dlaczegoś nie kazała mu wyjść?

— Próbowałam go przebłagać, kiedy się dowiedziałam, jakie ma zamiary. Strach pomyśleć po prostu. Muszę natychmiast napisać do doktora, żeby pod żadnym pozorem nie dopuszczał do niej żadnych listów. Grant będzie bardziej niż brutalny. Że też nie możemy go zmusić do uwolnienia jej! Nigdy w życiu nie widziałam nic bardziej zacofanego i idiotycznego niż niektóre nasze angielskie ustawy! Napiszę tylko list, a potem zabierz mnie jak najprędzej do Knoll. Chcę już wyrwać się z tej atmosfery, zbrukanej pasją tego potwora. Chcę już wrócić do Jima, Ślicznotki i Teda, do ich świeżości i męskości!

Mimo to jednak, gdy jechali przez rozległą, otwartą przestrzeń, Diana czuła, że serce jej przygniała troska. Wiedziała już teraz, na czym polega tragizm sytuacji.

ROZDZIAŁ XXXVIII

SKRZYDLATY LOS

Gdyby Joyce była wysoka i silna, panna Maitland, mimo całego przywiązania do Diany, zawahałaby się przypuszczać

przed przyjęciem jej w danych warunkach pod swój dach. W istniejącym jednak stanie rzeczy, widząc, że jest drobna, wątła i smutna jak jej Brązowa Myszka, przyjęła ją z otwartymi ramionami i obdarzyła z miejsca serdecznym uczuciem.

Doktor rad był niewypowiedzianie otrzymawszy telegram od Diany, podróż bowiem nie polepszyła zbytnio stanu zdrowia Joyce i potrzeba jej było przede wszystkim właśnie takiej opieki i tklivości, jaką mogła jej dać panna Maitland. Sam fakt, że Joyce przybyła z Rodezji i znała Ślicznotkę, stworzył od razu nić sympatii między nią a surową, starszą kobietą, dla której wspomnienia o zmarłej siostrze i o jej kochającym mężu stanowiły całą wartość życia. Wspólna przyjaźń z Dianą zacieśniła jeszcze tę więź i nie upłynął tydzień, jak Joyce zajęła w sercu panny Maitland miejsce opróżnione przez Brązową Myszkę. Stara panna wzniosła się ponad przesady i zasady i oddała się z zapamiętaniem nowemu uczuciu. Nie przeszło to u niej naturalnie bez wstrząsu. Przez kilka dni miała nieustanne wrażenie, że dach zapadnie się nad nią lub że jakiś duch wyłoni się spod podłogi i zadenuncjuje ją przed ludźmi. Ponieważ jednak nic nadprzyrodzonego nie zaszło, Joyce zaś była najmilszą i najłagodniejszą z chorych, obawy jej powoli ustąpiły i zaczęła zapominać o opuszczonym mężu na drugiej półkuli. Tego rodzaju zapomnienie było z jej strony czymś wręcz niezwykłym, dopomógł jej jednak w tym niemało wrodzony zdrowy rozsądek, który mówił jej, że nie ma do czynienia ze słabymi i egoistycznymi grzesznikami, i wyczuwała instynktownie, że doktor i Joyce dopiero po wielu burzach i rozterce duchowej zdecydowali się na ostateczny krok, który był raczej dowodem siły niż słabości.

Jeżeli chodzi o resztę, jasne było, że Joyce potrzebuje najtkliwszej opieki i troskliwości, aby pozostać przy życiu. Macierzyńskie serce panny Maitland krwawiło na samą myśl o egzystencji Joyce na samotnej, odosobnionej farmie, pozbawionej jakichkolwiek wygód, gdzie nie miała żadnej kobiecej opieki. Kiedy wreszcie Joyce opowiedziała jej o swym synku, pochowanym w owym dalekim kraju, panna Maitland otarła łzy najżywszego współczucia i od tej chwili została jej najbardziej zapamiętałym obrońcą.

Tymczasem cichy skrzydlaty Los śpieszył poprzez uśmiechnięte morza.

Doktor był bardzo zajęty przez pierwszy tydzień po powrocie do Anglii i zawiózł Joyce wprost do panny Maitland. Czekano nań mnóstwo pracy i w poczekalni gromadzili się pacjenci, którzy dowiedziawszy się o jego przyjeździe, domagali się wizyty u niego. Jak zwykle spokojny, stanowczy i silny, wypełniał swój codzienny program, nie zapominał jednak ani na chwilę o cieniu, który zawisł nad jego głową.

Jak długo jeszcze, zapytywał samego siebie, ludzie ci będą pragnęli moich porad? Ilu spośród nich porzuci mnie bez wahania? W przeciągu jakiego czasu cała historia dotrze do powszechnej wiadomości i zimne spojrzenia ludzi, na twarzach których dotychczas widywał tylko uśmiechy, powiedzą mu, że został banitą?

Ale ponad wszystkimi uczuciami górowała radosna myśl, że uratował przecież Joyce. Myśl, że w krótkim czasie będzie może musiał porzucić ukochaną pracę, nie rzucała żadnego cienia żalu na stromą ścieżkę jego miłości. Przez wzgląd na Joyce miał nadzieję, że wszystko się dobrze skończy, ale wiedział także, że cokolwiek się zdarzy, nie pożałuje nigdy swego postępu. Duch wielkich czynów nie opuszczał go. W takim nastroju ducha człowiek nie waha się nigdy i nie ogląda za siebie, lecz mężnie stawia czoła nieprzyjacielowi do ostatniego tchu.

Codziennie po pracy udawał się do Hampstead, do pacjentki, która wciąż potrzebowała jego opieki i do której znużonego serca usiłował wlać nieco własnej siły i nadziei.

Joyce bowiem była wciąż jeszcze wyczerpana fizycznie i psychicznie i chociaż jego obecność była jedyną radością, jaka jej pozostała, wiedział jednak, że ramiona jej tęsknią wciąż boleśnie do drobnej istotki, spoczywającej na dalekim cmentarzu.

Tuląc się do doktora uśmiechała się zawsze łagodnie i mówiła mu, że czuje się znacznie lepiej i jest szczęśliwa będąc przy nim — poza tym uśmiechem jednak tkwił ból, którego nie miał nadziei uśmierzyć, dopóki Czas nie położy swej kojącej dłoni na jej głowie.

Nadeszła sobota — dzień poczty. Dnia tego Lawson miał wyjątkowo dużo roboty. Przyrzekł był Joyce i panie Maitland, że przyjdzie o szóstej, ale już o czwartej zorientował się, że zdąży najwcześniej na ósmą. Pośpieszył więc do domu, aby wysłać do Hampstead chłopca i uprzedzić panie o swym spóźnieniu.

Na stole w hallu leżało kilka listów. Jeden na wierzchu zaadresowany ręką Diany do pani Grant, drugi pod spodem, nieznanym pismem adresowany również do pani Grant.

Doktor zawahał się przez chwilę, niepewny co ma począć. Był tak zajęty tego dnia, że zaledwie miał czas zastanowić się nad tym, czy należy otworzyć listy, nim je odda Joyce. Myśl o tym przemknęła mu przez głowę, ale odrzucił ją zaraz z niesmakiem. Przejrzał pozostałą korespondencję wciąż wahając się, podczas gdy chłopiec czekał w milczeniu. Ach, dla niego także jest list od Diany, sądząc z objętości, okazałych rozmiarów. Trudno, ten list musi poczekać. Doktor nie może teraz tracić czasu. Odwrócił się gwałtownie trzymając listy do Joyce w ręce i zobaczył przed sobą chłopca.

— Na co czekasz? Masz przecież już polecenie. Chłopiec spojrzał na listy, nieco stropiony.

— Ach, chodzi ci o te listy do pani Grant! Owszem, możesz je także zabrać ze sobą. Powiedz, że przyjdę o ósmej, jeżeli tylko zdążę. Gdyby nie, to będę jutro z rana.

Chłopiec odszedł i doktor powrócił znów do chorych.

Joyce i panna Maitland skończyły właśnie podwieczorek, gdy przyniesiono listy. Panna Maitland wyszła, aby osobiście rozmówić się z posłańcem, po czym zajęła się paroma drobnymi domowymi sprawami.

Joyce, która pozostała w gabinecie, spojrzała na listy i pobladła nieco. Przeczytała najpierw list Diany, aby nabrać odwagi, po czym otworzyła następny.

Droga Joyce — czytała Nie warto już teraz krytykować twojego postępku. Co się stało, to się nie odstanie, pozostaną tylko następstwa. Te zaś, sądzę, będą nieco odmienne niż sobie, jak wnioskuję z twego listu, wyobrażasz.

Podobało ci się zniesławić moje nazwisko, zburzyć moje ognisko domowe i okryć hańbą pamięć twego biednego dziecka, musisz więc teraz wypić czarę do dna.

Pod żadnym warunkiem nie zwrócę ci wolności. Pozostaniesz tym, czym jesteś, nie potrzebuję zaś chyba ci mówić, dokąd cię to zaprowadzi. Kiedy znudzisz się kochankowi, porzuci cię dla innej kobiety i spotka cię to, na co sobie zasłużyłaś.

Kiedy zniknie twoja uroda, znajdziesz się niewątpliwie na ulicy, od siebie zaś tylko dodam, że kiedy godzina ta wybije, mam nadzieję, iż wspomnienie biednego, niewinnego dziecka, które okryłaś hańbą, będzie cię paliło jak żywy płomień.

Spaliłem już wszystkie twoje rzeczy, nic chcę bowiem mieć w swoim domu nic, co należało niegdyś do nierządnicy, teraz zaś postaram się zniszczyć łotra, którego grzeszne pieśzczoły przełożyłaś nad moją uczciwą miłość i opiekę.

Ponawianie twojej prośby na nic się nie zda. Powiadam ci raz na zawsze, że nie zwrócę ci wolności. Wygląda na to, że gustujesz w grzechu, możesz więc grzeszyć do końca życia i mam nadzieję, że szyderstwo i pogarda ludzka zbudzi w końcu w twej zepsutej duszy gorzką skruchę.

Oswald Grant

Przez chwilę zdawało się Joyce, że pokój wiruje dokoła niej. Schwyciła za krzesło i otworzyła usta do krzyku, ale żaden głos nie wydobył się z jej zaciśniętego gardła i mgła przesłoniła jej oczy.

Upadła ciężko w śmiertelnym omdleniu.

Doktor wychodził właśnie z pewnego domu, gdzie zatrzymano go po operacji, kiedy ujrzał swego służącego, który pędził z całych sił w jego kierunku. W ręce trzymał otwarty telegram, przysłany od gospodyni, i wymachiwał nim w biegu.

Kiedy doktor przeczytał depeszę, twarz jego pokryła śmiertelna bladość.

— Hampstead, panna Maitland — rzucił woźnicy, jak gdyby z trudem wydobywając z siebie słowa — i proszę jechać tak prędko, jak tylko pan może!

ROZDZIAŁ XXXIX PODRÓŻ NA ZACHÓD

Przez długie tygodnie Joyce leżała nieruchoma jak delikatny biały kwiat złamany burzą. Zagadką jest, jak im się udało utrzymać ją przy życiu, tak bardzo była wyczerpana. Zdawało się, że w każdej chwili może ich opuścić. Ale może podczas tych okropnych chwil odżywcze fluidy panny Maitland działały najsilniej. Była tak bezstronna w tej sprawie, że Joyce mimo woli znajdowała w niej podpórę, której bała się może szukać w swym ukochanym. Miłość panny Maitland dla chorej pogłębiała się i rosła z dnia na dzień. Joyce była tak zależna od niej, od jej czułości i troskliwości, że dawny ból zaczął powoli znikać. Poczyszająca jest refleksja, że to, co życie odbiera jedną ręką, to częstokroć oddaje drugą. Od czasu śmierci Brązowej Myszki życie panny Maitland opustoszało zupełnie. Próbowała zająć się filantropią i pracą w parafii, była bowiem bardzo religijna, ale nic nie potrafiło zapełnić pustki, wypełniając tylko bezczynne godziny. Wielkie, gorące serce, pełne miłości, tęskniło za jakimś obiektem dla tej miłości. Joyce spadła jej niemal z nieba. Przed jej przyjazdem Miss Maitland orzekłaby niewątpliwie, że sytuacja, w jakiej się oboje z doktorem znajdują, jest nie do przyjęcia. Zdanie to nie byłoby wynikiem zbytnej surowości sądów ani egoistycznej ciasnoty, lecz naturalnym rezultatem ortodoksyjnego wychowania i surowego życia. Nie potępiłaby może Joyce, ale stanowczo i niezachwianie odmówiłaby swego udziału w tej sprawie, która sprzeczna była z jej przekonaniem.

Ale kiedy kochając już Joyce, zobaczyła brutalny list jej męża, oburzenie jej nie znało granic. Zapomniała o wszelkich względach na niebo czy ziemię, odczuwając jedynie namiętny protest i ogromną miłość dla nieszczęśliwej młodziutkiej kobiety.

Owego fatalnego wieczora, po długich godzinach pełnego niepokoju czuwania, pozostawiła Joyce śpiącą w pokoju i przeszła z doktorem do sąsiedniego, aby wysłuchać jego zaleceń.

Gdy się tylko wszystko nieco uspokoiło, Cecil podał jej list, i prosił, aby go przeczytała. Gdy wkładała go z powrotem do koperty, decyzja dojrzała już w jej umyśle. Dotychczas także | przywiązana była do Joyce, ale teraz obudziły się w niej wszystkie

instynkty macierzyńskie i gotowa była za wszelką cenę ochraniać i opiekować się chorą. Oznajmiła o tym doktorowi, aby go uspokoić i pocieszyć.

I ujrzała wtedy coś, czego nikt inny nigdy nie oglądał, a co wzmoгло tylko jej uczucia.

Zobaczyła, jak Cecil Lawson stracił panowanie nad sobą i poddał się cierpieniu. Przez straszliwe pięć minut siedział poło-

żywszy ramiona na stole i schowawszy w nie twarz, z rozpaczy odchodził od zmysłów.

— Głupiec, głupiec, głupiec — szeptał. — Jak mogłem dopuścić do tego, żeby przeczytała ten list? Powinienem był przewidzieć. Powinienem był się tego spodziewać. Moje najdroższe biedactwo, czyżbym zadał ci śmiertelny cios? Panna Maitland rozumiała, że doktor za wszelką cenę powinien odzyskać panowanie nad sobą, położyła mu więc łagodnie rękę na ramieniu i powiedziała:

— Nikt nie mógł tego przewidzieć. Nikt nie mógł się spodziewać tak niehumanicznego postępu. Kimże jest ten człowiek, aby śmiać uważać siebie za sędziego i ferował wyroki? Czy sam jest bez grzechu, że waży się potępiać drugiego człowieka? Litowałam się nad nim przed tym, że utracił tak niezwykłą żonę, ale teraz czuję dla niego tylko pogardę i gniew. Niech się pan uspokoi, doktorze, nie wolno się panu poddawać! Musimy zachować siły, aby pomóc jej zwyciężyć chorobę.

Doktor podniósł wybladłą twarz i chwycił ją za rękę.

— Cóż bym począł bez pani? — powiedział.

Posępne tygodnie, jakie nastąpiły, potwierdziły w całej pełni słusność jego słów. Tam bowiem, gdzie nie wystarczała jego miłość i troskliwość, oddanie i miłość panny Maitland przynosiły pociechę i ukojenie. Nawet cała siła ukochanego nie stworzyłaby takiej tarczy, osłaniającej Joyce przed światem, jaką zbudowali panna Maitland, Diana i kochany, wierny Jim.

Tymczasem doktor opracował pewien plan. Nie miał najmniejszego zamiaru wyrzec się Joyce, nie bacząc na możliwe następstwa, toteż bez zwłoki rozpoczął starania o sprzedaż swej doskonałej praktyki. Jak przewidywał, w tydzień od nadejścia listu Oswalda wszystkie dzienniki rozpisywały się o romansie doktora i Joyce i wśród publiczności dawał się słyszeć już głuchy pomruk niezadowolenia. Tak jednak lubiono, szanowano i ceniono doktora, że niewątpliwie zdołałby przetrwać i przezwyciężyć ten kryzys, gdyby poświęcił temu całkowitą uwagę. Ale cała uwaga jego poświęcona była niepodzielnie doprowadzeniu Joyce do zdrowia i planom, które by pozwoliły im ułożyć szczęśliwie przyszłe wspólne życie na przekór tym, którzy usiłowali je zrujnować. O zamieszkaniu w koloniach nie mogło być mowy ze

względu na słabe zdrowie Joyce, z tego samego też powodu nie mogli pozostać w Londynie.

Próbował pomówić o tym z Joyce, gdy już poczuła się nieco silniejszą, ale myśl o porzuceniu przezeń umiłowanego zawodu sprawiła jej wielki ból i prosiła go tylko, aby nie robił żadnych nieodwołalnych posunięć, których może da się uniknąć.

— Nie będę zbyt długo dla ciebie ciężarem — mówiła łagodnie — a potem będziesz musiał wrócić do dawnego życia. Nie warto dla mnie wszystkiego poświęcać. Gdybym tylko mogła ujrzeć błękitne morze Devonu, mewy i skały, to potem wolałabym umrzeć i połączyć się z moim maleńkim.

Zamiast odpowiedzi Lawson zaczął mówić jej o tym, jak ją kocha i jak bardzo mu jest potrzebna, w myśli zaś szybko ułożył ściśle już określony plan.

Przy pożegnaniu uprzedził ją, aby nie spodziewała się jego wizyty przez dzień lub dwa, musi bowiem w pewnych sprawach wyjechać z miasta. Następnego dnia z rana znajdował się w drodze do wioski rybackiej w Devonie, gdzie Joyce ze swoją matką pędziła tak szczęśliwe życie, nim na widowni ukazał się Oswald Grant. Doktor wałęsał się po okolicy, notując w myśli wszystkie miejsca znane mu z jej opowiadań, aż wreszcie dotarł do ładnego domku, w którym niegdyś mieszkała. Ktoś inny mieszkał w nim teraz. Doktor odszedł ze smutkiem i usiadł na chwilę w pobliżu, patrząc na morze i wyobrażając sobie Joyce, jaką była za owych czasów radości i słońca.

Z marzeń wytrąciło go uprzejme powitanie jakiegoś myśliwego w podeszłym wieku, który przechodził obok ze strzelbą na ramieniu w towarzystwie dwóch psów. Cecil rad był, mogąc nawiązać z nim rozmowę. Po chwili poprosił go o informację, czy owego domku w pobliżu, posiadającego tak piękny widok na morze, nie można by wynająć za przystępną cenę.

— Czy zależy panu specjalnie na tej okolicy? — zapytał nieznajomy.

— Owszem, chciałbym zamieszkać na devońskim wybrzeżu — odparł Cecil. — Bardzo mi się podoba ten domek — wskazał głową dawne mieszkanie Joyce. — Ale obawiam się, że nie będzie można go wynająć.

— Chyba nie. Mieszka w nim teraz moja dawna gospodyni i miałem zamiar zatrzymać go już dla niej do końca życia.

Mieszkała tutaj niegdyś pewna wdowa z córką — wielkie moje przyjaciółki — i od tego czasu mam sentyment do tego domu.

Cecil spojrział badawczo na opaloną, miłą twarz nieznanego, co nie uszło uwagi jej posiadacza, który doszedł już do wniosku, że to nieco dziwne, żeby londyńczyk włączył się po tak małej wiosce i interesował się szczególnie jednym tylko domkiem.

— Matka umarła — ciągnął dalej, aby wy badać grunt — dziewczyna zaś wyszła za mąż i wyjechała za granicę. Podarowałem jej kucyka na drogę, wiedziałem bowiem, że będzie tęskniła za Devonem, zwierzę zaś osłodzi jej trochę oddalenie od domu.

Na wzmiankę o kucyku Cecil drgnął mimo woli, co również nie uszło uwagi jego rozmówcy.

— Wyjechała do Rodezji — dodał stary przyjaciel Joyce. — Czy pan zna Rodezję?

— Tak — odpowiedział Cecil, nie wiedząc właściwie, jaki obrać sposób postępowania.

— Może ją pan tam spotkał? Ma się zawsze wrażenie, że w tych słabo zaludnionych miejscowościach wszyscy się znają nawzajem. Ona wyszła za mąż za człowieka nazwiskiem Grant, który miał farmę zwaną Killarney. Czy nie napotkał pan nikogo tego nazwiska?

Cecil zorientował się już, że nieznanemu nie zadaje mu tych pytań z próżniaczej ciekawości. Chociaż bowiem ziemianin miał typowy dla swego gatunku ludzi wygląd i wymowę, jego przenikliwe błękitne oczy przeczyły jednak powolnym słowom i łatwo było zauważyć, że jasny umysł pracuje z wyężeniem. Cecil przemyślał szybko wszystko i doszedł do wniosku, że jeśli teraz wyprze się znajomości z Joyce, to będzie głupio wyglądało później, w razie gdyby osiedlił się z nią tutaj. Odpowiedział więc, siłąc się na swobodny ton.

— Pani Grant z Killarney w okolicy Salisbury? Owszem, znam ją dobrze.

— Ach!... — twarz ziemianina przybrała zamyślony wyraz. Patrzył przez chwilę na morze, po czym raptownie odwrócił się znów do Cecila. — Czy pan zna człowieka, z którym wyjechała z Rodezji?

Cecil stłumił okrzyk zdumienia i odparł:

— Znam.

— Ach!... — ziemianin znów zapatrzył się na morze.

— Najładniejsza, najweselsza, najlepsza dziewczyna, jaką znałem — powiedział po chwili na pół do siebie. — Jeżeli ponury drągał, który ją stąd zabrał, nie był dla niej dobry, chciałbym mieć okazję połamać mu wszystkie kości.

— Skąd pan wie, że go opuściła? — zapytał wreszcie Cecil.

— Skąd wiem? — starszy pan spojrział mu w oczy. — Ależ wszyscy o tym wiemy. Wszyscy tutaj tylko o tym mówią. Ktoś — przez złośliwość przypuszczalnie — nadesłał informacje do miejscowej gazety. Naturalnie, cała historia szybko się rozeszła, ponieważ chodziło o Joyce Gray, której ojciec był tutaj przez długie lata proboszczem. Cecil zmarszczył brwi.

Jasne było, czyja ręka tutaj działała. Czyż nie ta sama złośliwość prześladowała go na każdym kroku od czasu powrotu do Anglii i wyzierała ku niemu niespodziewanie zza każdego węgła?

Obcy pan obserwował go ukradkiem.

— Czy od tego czasu słyszał pan coś o niej? — zapytał.

— Tak. — Cecil patrzył na morze. — Była bardzo chora.

— Ach!... — powiedział znów ziemianin i spojrział znacząco na ładny domek. — Szkoda, że nie może tu przyjechać. Kochała tutaj każdy kamień, każdą roślinkę, ale nic z tego — potrząsnął głową — nie może tu przyjechać...

— Tak pan sądzi?... O ile wiem, chce tu wrócić.

— Niech tego lepiej nie robi — powiedział nieznajomy pan życzliwym, ale poważnym tonem. — Sprawiłoby to jej tylko ból. Ona jest taka wrażliwa. Nasz obecny proboszcz jest na swój sposób bardzo dobry, ale ma trochę ciasne poglądy. Nie wybaczył właściwie nigdy Joyce i jej matce, że je tutaj tak kochamy, ani swemu poprzednikowi, że pamięć o nim pozostała tak długo w sercach parafian. Kwestia podświadomej rywalizacji. I on zna tę całą historię — przyczynił się właściwie do jej rozpowszechnienia. Jego żona jest bardzo rozmowna. Opowiedział jej, a ona już zrobiła resztę. Kobiety rzadko umieją zachować coś w tajemnicy. Sam bardzo się zmartwiłem tą sprawą, bo byłem przywiązany do Joyce Gray bardziej niż którykolwiek z jej przyjaciół. Spodziewałem się zawsze, że wróci tutaj już z dziećmi i może zatrzyma

się u mnie w Hall. Ale teraz wszystko wzięło w łeb. Brzydka sprawa. Nie umiem jednak pogodzić tego z Joyce. Czy miała tam dziecko?

— Tak, małego synka. Podobno najmilsze dziecko jakie kiedykolwiek istniało.

— I zostawiła go tam?

— Tak — na cmentarzu.

— Ach!...

Zapadła cisza pełna myśli, których niepodobna wyrazić słowami.

— Nie mnie ją sądzić — powiedział po chwili ziemianin — znam zresztą Joyce i wiem, jaka jest. Dla mnie istnieje tylko jedno rozwiązanie, mianowicie, że cała wina leży po stronie człowieka, który był jej mężem. Pamiętam wstrząs, jakiego doznałem, kiedy jej matka opowiedziała mi, że małżeństwo jest już postanowione; rozmawiałem bowiem poprzedniego dnia z Grantem i odniosłem bardzo niekorzystne wrażenie. No, ale spodziewałem się, że wszystko pójdzie dobrze. Joyce zawsze tak przepadała za dziećmi.

Nastąpiła krótka pauza.

— Zostawiła go na cmentarzu, co? Serce jej pewnie pękało z bólu, a ta mokra ścierka, Grant, niewiele chyba potrafił jej pomóc. A cóż — jaki jest ten drugi?

— Będzie dla niej dobry — odpowiedział powoli Lawson, unikając przenikliwego spojrzenia niebieskich oczu.

— Jego może pan także zna?

— Owszem.

— Lekarz, podobno. Modny specjalista, z eleganckim gabinetem na Brook Street?

— Tak.

— Musi być chyba bardzo zakochany, jeżeli zaryzykował utratę tego wszystkiego.

— Tak.

Znów zapadło krótkie milczenie.

— Sądzi pan, że będzie musiał sprzedać praktykę? Powiadają, że mąż nie chce jej dać rozwodu?

— Przypuszczalnie sprzeda.

— I wyjedzie za granicę jak inni?

— Nie może jej zabrać za granicę — jest zbyt wątła.

— Ach!... Tutaj nigdy nie chorowała. Ale jej matka była słabowita.

Cecil nagle postanowił chwycić byka za rogi.

— To właśnie z jej powodu przyjechałem tutaj szukać domu. Ona tęskni za rodzinnymi stronami.

— Tak też przypuszczałem — odparł tamten spokojnie — ale długo trwało nim pan to z siebie wydobył. Może to właśnie pan jest tym modnym lekarzem, który gotów jest dla niej wyrzec się kariery?

— Tak, to ja.

— No, no — urwał na chwilę, po czym zakończył: — Cóż, jeżeli połączył się pan z Joyce Gray na dobrą i złą dolę i nie opuści jej pan, kiedy cały świat się obróci przeciwko niej, to oto moja ręka. Cieszę się, że pana poznałem.

Cecil uścisnął wyciągniętą rękę i wyjąkał:

— Pan — pan jest bardzo dobry!

— Niech pan nic więcej nie mówi. Pan mi się podoba, a tamtego typu nie znośm. Szkoda, że to się musiało stać w ten sposób. Nigdy nie jest dobrze dawać uczuciom ludzkim powód do wzburzenia, o ile tylko można tego uniknąć. Często myślę, że świat to stary głupiec, ale jednocześnie stary uparciuch i ma brzydki zwyczaj mścić się na każdym, kto mu rzuca wyzwanie. Ale zawsze warto walczyć o zwycięstwo i cieszyć się bardzo, że spotkałem pana dzisiaj, myślę bowiem, że mogę panu pomóc. Potrzebny jest panu na jakiś czas spokojny dom, Joyce zaś tęskni za rodzinnymi stronami. Otóż mogę panu wskazać taki dom, i to niezbyt blisko stąd, co również dobrze się składa. Na Penthill Headland jest przestronna, solidna, stara farma, do której potrzeba dzierżawcy. Pewien mój znajomy farmer przejął niedawno grunty, ale domu nie potrzebuje, bo mieszka gdzie indziej. Niech pan zostanie u mnie na noc w Hall i opowie mi wszystko o mojej małej dziewczeczce, a jutro z rana pojedzie pan do Konwalii.

Cecil z prawdziwą wdzięcznością przyjął zaproszenie. Nazajutrz z rana udał się do Penthill Headland. Przestronna farma podobała mu się bardzo, rozpoczął więc natychmiast starania o jej wydzierżawienie.

Stał w oknie spoglądając na zatokę i myślał, że widok ten z pewnością zachwyci Joyce. Tutaj przynajmniej będzie mógł uchronić ją przed obmową świata, dopóki nie powróci całkowicie

do zdrowia, gdyż otaczające ją z trzech stron umiłowane morze będzie broniło do niej dostępu drwinom i oszczerstwu. Oczy jego spoczęły z czułością na srebrzystym, świetlistym ujściu rzeki Wavel, znajdującym się tuż pod ich oknami. Przypomniał mu się wiersz Swinburne'a i uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, że tu, na obmywanym przez fale morskie, skalistym półwyspie, chroniona przez jego miłość, Joyce znów stanie się silna i zdrowa. On zaś będzie pisał.

W jego ruchliwym mózgu od dawna już kłębiły się płochliwe idee z różnych dziedzin wiedzy medycznej i cierpienia ludzkiego — myśli których właściwie nie miał nigdy czasu utrwalić i przelać na papier. Teraz przywołał je wszystkie na pomoc. Oswald Grant może w furii swej zniszczyć reputację Cecila Lawsons i przeszkodzić jego dziełu uzdrawiania ludzi — ale będzie inny Cecil Lawson, którego Grant nie zdoła osiągnąć. Ten Lawson będzie z ukrycia prowadził dalej swoje dzieło, zdobywając jednocześnie nową sławę, którą złoży u stóp Joyce.

Uśmiechnął się do zachodzącego słońca z okna, które wkrótce miało zostać jej oknem, a przez które widać było zatokę i skaliste wybrzeże.

— Będzie tutaj szczęśliwa — powiedział. — O, Potęgo, kryjąca się za zachodem słońca, spraw, aby Joyce znalazła tutaj szczęście.

ROZDZIAŁ XL

„GDZIEKOLWIEK PÓJDZIESZ...”

Kiedy następnego dnia wieczorem Cecil wrócił do Joyce, przekonał się, iż trudniej mu niż przypuszczał, oznajmić jej o wynajęciu domu w Kornwalii zamiast w Devonie. Leżała na kanapie, gdzie wolno już jej było spędzać kilka godzin dziennie, piękne zaś jej oczy pełne były niewypowiedzianych pytań co do prawdziwego powodu jego nieobecności. Trzymając jej ręce w mocnym uścisku, opowiedział o spotkaniu z jej starym przyjacielem Bradleyem, o tym, jak się o nią serdecznie wypytywał, i jak dowiedziawszy się, kim jest Lawson, zaprosił go na noc do Hall.

— I powiedział, że nie ma żadnego wolnego domu w pobliżu?

— Tak, kochanie. Powiedział, że spodoba ci się na pewno ten dom na Penthill Headland i ja również jestem o tym przekonany. Widok jest wspaniały, a poza tym nikt nam nie będzie przeszkadzał i będziemy widywali tylko tych ludzi, których będziemy chcieli oglądać. I ty się prędko poprawisz, *ma chérie* — a wtedy już wszystko pójdzie łatwiej.

Ale milczące pytanie wciąż nie zniknęło z oczu Joyce. Pochylił się nad nią.

— Czy cieszysz się, maleńka? Czy pojedziesz tam ze mną i postarasz się znów stać się zdrowa i szczęśliwa?

W oczach Joyce ukazały się nagle łzy. - Ja... ja... nie mogę znieść, żebyś rzucił wszystko... Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Dziewczynko kochana — powiedział cichym, stanowczym głosem — nie wolno ci w ten sposób patrzeć na rzeczy. Czy sądzisz, że pojechałbym po ciebie nie przemyślawszy naprzód wszystkich konsekwencji? Czy myślisz, że kochając cię tak bardzo, mógłbym czegokolwiek żałować? Ale gdybyś się miała czuć nieszczęśliwa, złamałoby mnie to zupełnie. Serce by mi pękło.

— Chcę być szczęśliwa. Ale boję się. Nie przypuszczałam, że to tak będzie. Teraz... mam wrażenie... że on mógł powiedzieć te wszystkie okropne rzeczy... mojemu synkowi... i... może... — głos jej się załamał.

Pocieszył ją czule, zaklinając, aby przez wzgląd na niego zaniechała takich myśli; oczy jej jednak wciąż wyrażały milczące pytanie.

— Czy Bradley wiedział? — zapytała wreszcie.

— Tak, kochanie. Ale mówił tylko o tym, jak bardzo cię lubi i jak jest pewien, że to nie była twoja wina. Wyraził nadzieję, że będziemy szczęśliwi w Penthill.

— Ale jeżeli on wie, to całe miasteczko pewnie wie także. Może wszyscy będą mnie nienawidzili i myśleli o mnie źle — przyłgnęła do niego z nagłą rozpaczą. — Nie mogę tego znieść, Cecilu. Lepiej było pozwolić mi umrzeć. Czy pamiętasz, jak marzyłam o tym, że zawieziemy tam z Dianą mojego maleńkiego? Miał tam zrywać stokrotki i chabry. A teraz jego nie ma, a starzy przyjaciele nie chcą mnie nawet znać. Odwrócą się ode mnie jak od trędowatej i nie postarają się nawet zrozumieć, jak to było

w rzeczywistości. Wiem, że to właśnie ci powiedział kochany, stary pan Bradley, i dlatego pojechałeś do Kornwalii. A z czasem i ty, Cecilu, może zaczniesz tak myśleć. Jakże zdołam to znieść? Nie mam już tyle sił ani odwagi, co niegdyś. Lepiej, żebym umarła i żebyś był znowu wolny.

Lawson znów zaczął przemawiać do niej tym samym cichym, stanowczym głosem:

— Ranisz mnie, Joyce, mówiąc takie rzeczy. Przez wzgląd na mnie musisz być znowu odważna i silna. Musisz zrozumieć, że życie bez ciebie nie przedstawiałoby teraz dla mnie żadnej wartości. Nie pragnę nic, prócz tego, żebyś była znów zdrowa i szczęśliwa i żebym mógł rozpocząć pracę pisarską. A ty, kochanie, przecież chyba chcesz być ze mną? — zakończył z pewnym smutkiem.

— O, tak, tak... tylko... O, Cecilu, czy nie rozumiesz, jak ciężko mi jest przyjść do ciebie w ten sposób? Skąd będę wiedziała, czy oszczerstwa ludzkie nie torują sobie drogi do twego umysłu? Jak poznam, czy to nie litość jedynie trzyma cię przy mnie? Wiesz, co się mówi zawsze... Że żona musi być czysta... Nie może na niej ciążyć nawet cień podejrzenia... a jak ja... — wybuchnęła cichym płaczem nieznośnego bólu. — O, Cecilu — łkała — jakże zniosę myśl, że może nie jestem dla ciebie czysta?

— Moja maleńka — rzekł poruszony do głębi — moja najdroższa, nie wolno ci dopuszczać do siebie takich myśli. Słuchaj! Przysięgnę ci, jeżeli chcesz — w moich oczach jesteś tak nieskalana, jak najczystszy anioł niebieski, nie możesz wcale być inną. To ja, grzeszny mężczyzna, powinienem się wstydzić. Znając siebie i znając ciebie, mogę tylko kornie zgiąć kolana przed twoją czystością.

Ujął ją w ramiona i ucałował jej oczy, usta i czoło.

— Czy pamiętasz *Błogosławieństwo!* — wyszeptał. — To jedyna modlitwa, jaką umiem: „O, Boże, jeżeli istniejesz, błogosław mojej szlachetnej żonie!”

Joyce przytuliła się do niego, uspokajając się z wolna.

— Mów do mnie — szeptała. — Nie jestem tchórzem, ale lęk bardzo cię kocham, że zabija mnie myśl, że mógłbyś mnie uważać za niegodną siebie. Opowiedz mi, co nazywasz cnotą? Jak to jest możliwe, żebym pozostała czysta w twoich oczach, żyjąc z tobą bez ślubu? Bo tak będzie musiało być, jeżeli nie zdobędę się na to, żeby odejść od ciebie.

Cecil długo pieścił jej włosy, nim przemówił, czuł bowiem, jak wiele zależy od jego słów. Wiedział, że jeżeli Joyce utwierdzi się w poczuciu własnych grzechów, tak okrutnie odmalowanych przez jej męża, to straci ją i cała jego wielka miłość nie zdoła jej uratować. Choć Joyce nic o tym nie mówiła, wiedział, że wyczuła instynktownie powód, dla którego ominął jej rodzinne strony przy wyborze miejsca zamieszkania i świadomość ta wywołała nową burzę w jej zmęczonym mózgu.

Zaczął wreszcie mówić spokojnym, kojącym tonem, przekonując ją, że może tak postąpić nie tracąc w jego oczach nic ze swej doskonałości.

To, co mówił, nie zgadzało się może z ustalonymi kanonami moralności, doktor bowiem nie był człowiekiem ortodoksyjnych przekonań, był jednak silny i prawy, co nie o każdym da się powiedzieć. Ponieważ zaś całe życie służył innym, ponieważ nie zdarzyło się nigdy, żeby ktoś smutny, cierpiący lub nieszczęśliwy daremnie kołatał do jego serca — może więc miał prawo do odmiennych nieco poglądów od tak zwanych ludzi cnotliwych, którzy kroczą utartymi ścieżkami, a jednak mniej znacznie od niego czynią dla swych cierpiących bliźnich. Można by powiedzieć o doktorze, że mało mówił, lecz wiele działał. Zamiast jakiejś określonej wiary — obfitość uczynków.

Teraz zaś, opowiadając Joyce, czym w jego przekonaniu jest dobro i zło, wyznał, że doszedł do wniosku, iż nie ma wyraźnej linii granicznej między tymi pojęciami, lecz szeroka strefa, na której każdy człowiek przeprowadza sobie własną granicę zgodnie z wrodzonym poczuciem moralnym. Powiedział jej, że chociaż nie wiemy dokładnie, co to jest dobro, to jednak wszyscy rodzimy się z dobrymi skłonnościami, z pragnieniem dążenia ku dobru — przypuszczalnie więc istnieje dobro bez żadnej domieszki zła, dobro idealne, całe zaś życie nasze jest tylko szeregiem stopni prowadzących w nieznane.

— Ale dlatego także żaden człowiek nie ma prawa sądzić drugiego człowieka — mówił — nikt bowiem nie wie, czym ten drugi człowiek się kieruje. I dlatego też, jeżeli we własnym najgłębszym przekonaniu mamy słuszność, możemy znieść spokojnie potępienie ze strony bliźnich.

Mówił jeszcze dłuższy czas w ten sposób, który tak lubiła u niego, opowiadając jej z prostotą o swoich myślach i nadziejach.

Nie oczekiwał odpowiedzi ani dyskusji, lecz tylko spokojnego, współczującego zrozumienia dwóch doskonale zespolonych dusz.

Joyce nie była specjalnie mądra ani wykształcona, ale posiadała w wysokim stopniu dar współczucia, który znacznie więcej jest wart od mózgowej mądrości. Toteż gdy tylko doktorowi udawało się uspokoić jej wiecznie powracające obawy i odpędzić raniące wspomnienia, rozkoszowali się wspólnotą duchową, która jest chyba najpiękniejszą rzeczą, jakiej śmiertelnik może zaznać.

Kiedy nadeszła pora pożegnania, Cecil sam zaniósł Joyce do jej pokoju, ułożył ją w obszernym fotelu i ukląkł przy niej.

— Joyce, najdroższa — rzekł — czy zechcesz być odważna i silna i wyjedziesz ze mną na miodowe miesiące, które skończą się tylko wraz z naszą śmiercią? Czy mogę zdepeszować jutro z rana, że bierzemy ten dom i przyjedziemy, skoro tylko będzie gotów na nasze przyjęcie? Patrz, ukochana, klęczę przed tobą, zawsze będę klęczał przed tobą — nie powinnaś się już niczego obawiać. Nie należę do ludzi, którzy zawracają z drogi, uczyniwszy decydujący krok. Ani też nie należę do ludzi, którzy wąż się na decydujący krok nie przemyślawszy przed tym dokładnie sprawy. Pocałuj mnie, maleńka, i powiedz: „Pojadę z tobą i postaram się zapomnieć o przeszłości”.

Joyce podniosła ku niemu usta i wyszeptała cichutko:

— Dokądkolwiek się udasz, pójdę z tobą, gdziekolwiek się osiedlisz i ja zamieszkam.

Doktor wstał z oczami pełnymi łez. Nachylił się i ucałował jej czoło, jak zawsze przy rozstaniu.

— Błogosławię cię, maleńka — powiedział z tkliwością i wyszedł.

Gdy jednak szedł do domu, opadły go niespokojne myśli. Zło było głęboko zakorzenione co do tego nie mógł się ludzi. Czy przy całej swej sile męskiej i miłości potrafi mu się przeciwstawić?

Podwójny wstrząs, spowodowany śmiercią dziecka i okrutnym listem męża, podciął korzenie jej sił żywotnych. Może zabraknąć jej sił do powrotu do zdrowia.

Na samą myśl o tym krew uderzyła doktorowi do głowy. Jeżeli Joyce umrze, to będzie to tylko z winy Oswalda — silnego mężczyzny, wywierającego bezrozumną zemstę na słabej, nieszczęśliwej kobiecie — i z winy tych, którzy tak skorzy są do obrzucania bliźnich kamieniami.

ROZDZIAŁ XLI

DOM I LATARNIA MORSKA

Nazajutrz Cecil dostał list od Diany: *Drogi Doktorze!* (pisała)

Skoro tylko wrócę do Anglii, zamierzam przeistoczyć się w czynną sufrażystkę specjalnie po to, żeby występować przeciwko prawu rozwodowemu. Pójdę na czele tłumnego pochodu, przypuszczalnie na szczudłach, do parlamentu i tam, wymachując szczudłami, będę się domagać zmiany ustaw o rozwodach. Proponowana przeze mnie zmiana będzie polegała na tym, aby każdy mężczyzna, który nie chce zwrócić żonie wolności, obowiązany był wyłożyć swoją rację przed zgromadzeniem nie mniej niż pięciuset sufrażystek, po czym szczątki jego, o ile w ogóle coś pozostanie, mają być złożone w Muzeum Brytyjskim wśród zabytków narodowych, jako szczątki ostatniego przedstawiciela swego gatunku.

Pisze pan, że walczy pan w pojedynkę z całym światem o honor Joyce. Nie w pojedynkę, najdroższy eskulapie, Ted i ja bowiem walczymy razem z panem zębami i pazurami. Świat stawia nam tylko góry na drodze, ale my pobudzamy wulkany do wybuchów. Zobaczysz pan, jakie iskry się posypią, kiedy wrócimy do Anglii.

Obawiam się jednak, że nie uda się nam otruć teściowej Joyce. Wielka szkoda!

Wyrzucam sobie nieustannie, że nie uprzedziłam pana telegraficznie o tym nieszczęsnym liście. Jeżeli jednak uda się panu podtrzymać Joyce na duchu, jeszcze na pewno otrząśnie się z depresji.

Święty, którego teraz właściwie powinniśmy nazywać diabłem wcielonym, zbyt jest przypuszczalnie pochłonięty zemstą, aby dotkliwie odczuwać poniesioną stratę. Widziałam go kilkakrotnie z daleka. Jak zwykle siał zboże, ze zwykłą dokładnością i pedanterią. Mam niekiedy wrażenie, że sieje ziarno od stworzenia świata i będzie kontynuował to zajęcie w nieskończoność. Czy to tylko moja halucynacja, czy też sądzi pan, że tak jest naprawdę? Może Grant jest w ogóle mityczną postacią, jak Tantal, i skazany jest na wieczne sianie ziarna, któremu nie sądzono jest nigdy dojrzeć? Dziwię się tylko, że wzgórze nie zawała się pewnego pięknego dnia i nie pogrzebią go pod gruzami; ale zresztą niewątpliwie wyłoniłby się

spod zwalisk z jeszcze bardziej urażoną miną i zaczęłyby siać na nowo.

Ale, à propos, wyszłam za mąż — i pański serdeczny przyjaciel jest już obecnie nieszczęśliwym małżonkiem.

Małżeństwo to paskudna rzecz, zawsze to mówiłam. Pierwszy raz pokłóciliśmy się o wędzenie boczku, następnie zaś o kąpieli. On chciał użyć czosnku, a ja się sprzeciwiałam — to znaczy w sprawie tego boczku, nie kąpieli. W końcu najpierw włożyliśmy czosnek, żeby sprawić jemu przyjemność, a potem wyjęliśmy go, żeby sprawić przyjemność mnie i, naturalnie, zepsuliśmy cały zapas. Co się zaś tyczy kąpieli, Ted nie pozwolił mi kąpać się dwa razy dziennie. Oto jeszcze jeden bodziec do zostania sufrażystką! Jakie prawo ma zwykły sobie mężczyzna do regulowania godzin i metod ablucji swej żony?

Przyjedziemy do Anglii na Boże Narodzenie, aby uzyskać rodzicielskie błogosławieństwo. Napisałam do mojej teściowej, że się tak nienawidziliśmy z Tedem, że musieliśmy się pobrać — ponieważ jedna nienawiść jest mniej niebezpieczna od dwóch. Oczyma duszy widzę już, jak teściowa będzie łkała na piersi pierworodnego, podczas gdy ja utnę sobie na boczku dyskretny flircik z teściem.

Ale niech pan nie wierzy temu, co wypisuję, doktorze! Teściowa, którą miałam szczęście pozyskać, jest wspaniała — poza tym zaś są jeszcze dwie śliczne siostry, których cera przyprawia mnie o lzy zazdrości — i żonaty brat, spełniający sumiennie obowiązek zaludniania kraju — i cudny papa! Cóż może być miłszego, n'est ce pas?

Ted był tak uroczysty podczas ślubu, że o mało nie płakałam.

Myślał, że nie mogłam opanować wzruszenia w tak uroczystej chwili, ale, jak wyjaśniłam mu później, byłam tylko zrozpaczona, widząc, że związałam się na całe życie z wypchaną sową. Billy mruknął prawie na głos: „Dajcie jej ginu z kropelkami!”, co okropnie zgorszyło bladego, młodego wikarego, który dawał nam ślub.

Nie pojechaliśmy w podróż poślubną. Najlepsza kura Teda siedzi właśnie na jajach, klacz się ożrebiła — doprawdy więc nie było czasu na wyjazd.

Powinien pan być widzieć weselne stroje „Nieodpowiedzialnych"! Nigdy jeszcze nie widziałam ich wszystkich trzech naraz tak kompletnie ubranych! Billy pożyczył nawet sobie od kogoś cylinder z szeroką żalobną wstążką z krepy, ale nie pozwoliłam mu go włożyć. Kiedy ostatni raz widziałam ten cylinder, leżały w nim kocięta.

umieszczone tam przez kotkę. Miłe dla prawdziwego posiadacza, ale Billy i tak na pewno go nie odda. Jest ogromnie zadowolony z siebie, że wydał mnie za męża. Wygłosił nawet śliczne przemówienie, ale powiada, że nim doszedł do połowy, młody wikary ogromnie się zażenował i prosił go, żeby nie kończył. Byliśmy na lunchu u rezy-dentostwa, gdzie też zostawiliśmy „Nieodpowiedzialnych” i pojechaliśmy pędem do domu, żeby zobaczyć, czy kura czasem nie zeszła z jajek. Możliwe, że weźmiemy jeszcze porządny ślub w Anglii, ponieważ wszystko się tu odbyło w takim pośpiechu i tak byliśmy zajęci żywym inwentarzem, że nie jesteśmy pewni, czy ceremonia odbyła się według wszelkich prawideł. Nic prawie nie pamiętamy, oprócz tego, że śpieszyliśmy się bardzo do drogocennej kury. Nie sądzę jednak, żeby Ted przypominał tak bardzo wypchaną sowę, gdyby nie czuł, że łączy się ze mną bezpowrotnie. Błady, miody wikary dał mi kwitek. Zapytałam go, czy mam to powiesić na gwoździu razem z innymi kwitami, na co się bardzo zgorszył — ale skąd ja mogłam wiedzieć? Prawdę mówiąc zgubiłam już ten kwit, ale nic o tym nie mówię, bo się boję, żeby nie zdenerwować kury.

Za chwilę napiszę do Joyce, ale przedtem muszę włożyć jajka do inkubatora. Niedobrze jest być zbyt gorliwym. Pewnego dnia Ted obracał je przez całe rano, a ja przez całe popołudnie. Łamaliśmy sobie potem głowy, czy trzeba je teraz obracać w odwrotną stronę, czy też lepiej zostawić tak, jak są. Widzi pan, za dużo je obracaliśmy i teraz boimy się okropnie, że wszystkie kurczęta będą miały głowy skrecone do tyłu. Jeżeli ma pan na to jakieś lekarstwo, niech pan prześle telegraficznie instrukcje, dopóki jeszcze nie jest za późno, ponieważ te kurczęta mają opłacić ostatni transport mąki pszenicznej.

A teraz żegnam i przesyłam pozdrowienia

Diana

Doktor przeczytał list podczas podwieczorku, potem zaś zabrał go ze sobą do Hampstead, aby pośmiać się nad nim razem z Joyce i panną Maitland.

Miał za sobą uciążliwy dzień. Pacjenci prosili go, żeby nie rzucał praktyki, lecz został i stawił czoła opinii. Tak bardzo chciałby tak właśnie postąpić, gdyby tylko okoliczności złożyły się odpowiednio, że trudno było mu walczyć z tymi, którzy usiłowali

go nakłonić do pozostania. Najważniejszą osobą jednak w tej chwili była Joyce, dla niej zaś wspólne z nim życie w Londynie, podczas gdy mąż jej wciąż odmawiał udzielenia jej rozwodu, było niepodobieństwem. Poczował się do obowiązku chronienia jej za wszelką cenę, głuchy był więc na namowy tych, którzy przekonywali go, że zbyt jest ceniony i uznany, aby ludzie mogli się bez niego obejść, i że jeżeli mocno się postawi, wszystko w końcu ułoży się pomyślnie. Cecil wiedział z kilku źródeł, że matka Oswalda bezlitośnie i niezmordowanie kontynuuje rozpoczęte przez niego dzieło zemsty. Jeżeli Joyce pozostanie w zasięgu ich pocisków, nie zdoła jej przed nimi obronić. Jedyną szansą zupełnego powrotu do zdrowia było dla niej zamieszkanie właśnie na takim odludziu i w tak spokojnym otoczeniu, jakie gwarantował dom w Kornwalii. Cecil starał się więc zapomnieć o wszelkich propozycjach i namowach i usiłował myśleć tylko o pracach, jakie zamierzał napisać.

Najbardziej bolała go myśl o jego biednych pacjentach. Następca będzie niewątpliwie doskonale się opiekował zamożnymi pacjentami, ale któż obejmie jego miejsce w owych okropnych zaułkach Soho, gdzie Cecil należał do niewielu ludzi, którzy mogli tam przychodzić i odchodzić o każdej porze dnia i nocy nie zaczepieni i nie napastowani przez nikogo? Nie potrafił się nawet zdobyć na powiedzenie tym cierpiącym przyjaciółom, że wyjeżdża na zawsze. Wspomniawszy tylko, że wyjeżdża z Londynu dla poprawy zdrowia i niezadługo wróci do nich znów. Miał zresztą ten niezłomny zamiar i nawet prosił dzielnicową sanitariuszkę, aby zawiadamiała go natychmiast, gdyby zdarzył się jakiś trudniejszy wypadek, wymagający leczenia specjalisty.

Tak się więc stało, że pewnego wieczoru, w kilka miesięcy po wyjeździe wraz z Joyce z Rodezji, znów siedzieli w pociągu, biegnącym na zachód do ich nowego domu. Gdy przyjechali, słońce właśnie zanurzało się w błękitnym morzu, rzucając na całą ziemię i niebo różowe i złote błyski. Przez kilka niewypowiedzianie szczęśliwych minut Cecil pozwolił Joyce podziwiać z okna ten widok i obserwował z radością, jak na jej zmęczonej, bladej twarzy powoli ukazuje się wyraz zadowolenia. Tuż pod ich stopami wpadała do morza kręta rzeka, wysokie wzgórza otoczone już były subtelną tajemnicą nadciągającego mroku, na sąsiednim półwyspie rysowała się latarnia morska.

Cecilowi i Joyce, stojącym w swoim domu, wydało się, że cały świat do nich należy.

— O, jakie to piękne, jakie piękne! — wyszeptała Joyce. — To naprawdę dom!

Cecil ucałował końce jej palców i oboje czekali jeszcze chwilę, aż znikły ostatnie promienie słońca.

— Nie mogę pojąć, że mnie spotyka coś tak cudownego — odezwała się znów Joyce. — Przecież niczym sobie na to nie zasłużyłam. Zupełnie jak gdyby się przybiło do wymarzonego portu po całonocnym błakaniu się po wzburzonym, bezlitosnym oceanie.

Może to właśnie jest nasz port, maleńka. Światło latarni morskiej, którym jest twoje dzielne serduszko, przyprowadziło nas tutaj. Patrz — latarnia zapaliła się teraz i przesyła ci pozdrowienie.

— Będziemy ją kochali! — zawołała Joyce. — Co wieczór będziemy patrzyli na nią, a ona będzie nam wysyłała pozdrowienia z nieznanymi ciemnościami — a to nawet lepsze jest od ludzkiego powitania. Ty musisz także stać się podobnym do latarni morskiej, Cecilu, i pisać cudowne książki, aby rzucać światło w umysły ludzkie na przestrzeni całego świata! — Łzy zabłyśły nagle w jej oczach i potoczyły się wolno po policzkach.

— Co się stało? — zapytał czule, pochylając się nad nią. — Nie powinnaś się już teraz martwić, kochanie, skoro już znalazłaś się w utęsknionym porcie.

— Nie będę — o, postaram się nie martwić! Ale ten mały grób jest tak daleko stąd i czasami mam wrażenie, że go porzuciłam. Cecilu, gdyby on żył — och, gdyby on tylko żył — zniosłabym z radością długie życie w najgorszych warunkach, nim pozwoliłabym, aby mu się stała jakaś krzywda z mojego powodu.

— Wiem o tym, kochanie. I gdyby on żył, ja sam wolałbym przeżyć życie w osamotnieniu, niżbym przysporzył ci choć cień smutku. Ale teraz nie powinniśmy się oglądać za siebie, najdroższa. Tylko przyszłość ma teraz dla nas znaczenie i musisz usłuchać głosu nadziei, płynącego z ciemności, i pokonać słabość. Jutro poczujesz się już silniej i wszystko wyda ci się łatwiejsze.

ROZDZIAŁ XLII

KRAINA MARZEŃ

Był wrzesień i Kornwalia, ta kraina mlekiem i miodem płynąca, przystroiła się w najpiękniejszą swoją szatę. Cecil i Joyce niestrudzenie badali swój mały półwysep i co dzień odkrywali nowe uroki i nowe powody do zachwytu. Joyce mogła jeszcze odbywać tylko krótkie spacerunki raz dziennie, ale dom położony był tak pięknie, że wystarczyło ująć zaledwie kilkanaście kroków, aby znaleźć się w otoczeniu pięknym jak sen. Jedno zwłaszcza z takich miejsc pokochali najbardziej: taras, usłany najzieleńszym i najbardziej puszystym mchem, otoczony głazami porośniętymi bluszczem, które tworzyły w tyle niby mury forteczne. Poniżej tarasu ciągnęła się ukwiecona łąka, za nią zaś — morze.

I cóż to jest za morze! Morze, którego błękitu niepodobna opisać, które pełne jest najmiłszych uśmiechów; które potrafi być spokojne jak jezioro, a czasem znów rozszalałe jak furia.

Tam zaś, gdzie błękit dotyka brzegów śnieżnobiałą linią, wznoszą się wspaniałe skały, a w głębi rysuje się romantyczna skalista wyspa, na której stoi starodawny zamek króla Artura. Poza linią zaś brzegu w dali widnieją mgliste kontury pagórków, zlewających się niemal z niebem.

I wszędzie pełno kwiatów dla tych, którzy umieją ich szukać. W pewnych porach roku jest to prawdziwy raj kwiatowy.

Joyce i Cecil pili chciwie z kielicha szczęścia, który mieli przed sobą i starali się nie myśleć o przyszłości.

Siadywali na swym ulubionym tarasie, patrząc na morze i Joyce mawiała, że ma wrażenie, że znajduje się wśród antycznych ruin greckich, na wybrzeżu Adriatyku.

Innego dnia szli znów w kierunku zachodnim i patrzyli, jak kręta rzeka wpływa do morza, niby zmęczone życie, przechodzące spokojnie do wieczności. Tutaj masywne skały widać było bliżej, wyniosłe i wspaniałe na tle złotego zachodu. U stóp mieli niebezpieczne, okrutne rafy, ale łódź ratownicza czekała tam zawsze, gotowa na każde zawołanie, na dalszym zaś półwyspie przysiadła latarnia morska jak wielka biała mewa i rozglądała się dokoła. W samym zaś ujściu rzeki znajdował się port.

Czasami znów wieczorem wychodzili na przechadzkę w świetle księżyca. Fale śpiewały wówczas cichą kołysankę, uderzając

0 uśpiony półwysep. W takich chwilach tulili się do siebie, pragnąc bliskości ludzkiej, przerażeni nieogarniętym bezmiarem mglistego nocnego horyzontu. Joyce wtedy z ufnością zwracała wzrok ku latarni.

— Latarnia jest niby łącząca i jednocząca więź — powiedziała pewnego razu. — Świeci jak gwiazda na dalekim horyzoncie, zapalona ludzką ręką. Czy to nie Lindsay Gordon powiedział: „Są światła za kurtyną”? Ale to jest lepsze, bo jest jeszcze przed kurtyną. Dla mnie to światło jest znakiem Boskiego Wysłannika, oznajmającym podróżnym, że istotnie czeka ich utęskniony port za zasłoną. Kiedyś, kiedy mnie już nie stanie

1 będziesz, tu siadywał samotnie wieczorami, światło latarni powie ci, że jestem jednak bardzo blisko. Nie będziesz patrzył na mój grób, będziesz spoglądał na to światło i na gwiazdy, a tajemniczość i piękno nie będzie cię już przerażać — będziesz dzięki nim czuł, że jestem niedaleko.

— Skąd ty bierzesz takie głębokie myśli? — zapytał ją czule. — Ty, taka maleńka, o takiej pięknej twarzy i cudownych, jasnowidzących oczach?

Przytuliła się do niego mocniej.

— Myślę, że mój synek powiedział mi to wszystko, kiedy czuwałam podczas jego snu, obawiając się, żeby się nie przeraził przy obudzeniu. Myślałam wtedy czasem, że może życie jest snem, śmierć zaś przebudzeniem. Potem przyszło mi do głowy, że ponieważ jesteśmy wszyscy tylko dziećmi Boga, On na pewno czuwa nad tym, abyśmy się nie obudzili ze strachem.

Cecil ucałował tylko w milczeniu jej włosy, przerażony na samą myśl o możliwości jej utraty.

Ale zdarzały się także inne wieczory, gdy deszcz z furją tłukł w szyby domu, wiatr wył i jęczał dokoła, fale zaś ryczały u stóp skał jak dzikie zwierzęta w poszukiwaniu zdobyczy. Wtedy Joyce przywierała do Cecila, słysząc w jękach wiatru krzyki rozbitków z morza, a w szumie deszczu płacz małych dzieci, proszących, aby je wpuszczono do domu. Wystarczyło takiego dnia i takiej nocy, aby wyczerpać Joyce doszczętnie i oddać na pastwę dawnym lękom i wątpliwościom w związku z jej dwuznaczną sytuacją.

Cecil obserwował te objawy ze wzrastającym niepokojem i czuł częstokroć, że wciąż jeszcze walczy w pojedynkę z całym światem, aby utrzymać ją przy życiu. Czy przy swej nadmiernej wrażliwości Joyce zdoła, przy wszystkich nawet jego wysiłkach, pogodzić się ze swoją przykrą sytuacją i z potępieniem świata?

Pewnego dnia po okresie szczególnie pełnym niepokojem, po którym nastąpił szary, smutny dzień, gdy Joyce nie miała nawet dość sił na chodzenie po pokoju, doktor ułożył ją wygodnie na kanapie, przykrył pieczołowicie kocami i ustawił obok stolik, aby przy nim pisać. Joyce patrzyła przez chwilę, jak ręka jego pracownicy przesuwa się po białym papierze, po czym zapadła w niespokojny sen. Raz jęknęła cicho i Cecil uniósł głowę, obserwując śpiącą z niepokojem. Serce pękało mu z oburzenia, że nic jest nawet w jego mocy udzielić jej tarczy swego nazwiska. Po chwili jednak w wyglądzie Joyce zaszła niezwykła zmiana. Wyraz niepokojem ustąpił z jej twarzy, zarys wykrzywionych goryczą ust złagodniał i lekki uśmiech opromienił wargi. Cecil uspokojony powrócił do pisania i tylko od czasu do czasu rzucał na nią okiem, aby przekonać się, czy dobroczynna zmiana nie znikła.

Tymczasem zaś Joyce miała dziwny i cudowny sen. Zdawało jej się, że na skrzydłach wiatru unosi się ponad błękitnym morzem, poprzez błękitne przestrzenie aż do bram nieba. Czekają już tam na nią wiele ludzi. Znalazłszy się między nimi uświadomiła sobie powoli, że wszyscy patrzą na nią z wyrazem wrogości i potępienia. Na niektórych twarzach obok dezaprobaty malowała się litość, inne znów wyrażały pogardę i szyderstwo. Naraz dostrzegła, że w środku tłumu stoi Wielki Biały Tron, na nim zaś siedzi Sędzia Wszechświata. I wiedziała, że przyszła tutaj, aby zostać osądzoną. Ze ona, stojąca samotnie, jest oskarżoną, którą zebrani tu ludzie chcą skazać. Niewidzialne ręce popchnęły ją lekko poprzez bezlitosne szeregi ludzkie do samych stóp Wielkiego Tronu. Głos, pochodzący z nieokreślonego miejsca w pobliżu Tronu, odczytał grzechy, o które ją oskarżano, na co wśród zgromadzonych kobiet przebiegł szmer wzgardy.

Wreszcie nastąpiła krótka cisza, po czym łagodny głos Wielkiego Sędziego zapytał:

— Czy chciałabyś prosić o coś lub może masz coś do powiedzenia?

Wówczas Joyce ze straszliwą i nieoczekiwaną wyrazistością ujrzała przed sobą owo drobne martwe ciało, które własnoręcznie umyła i ubrała do trumny i które ucałowała na pożegnanie — drobną twarzyczkę z dołeczkami, która nigdy już nie miała się do niej uśmiechnąć — złote loki, których nigdy już nie ucałuje — maleńkie rączki, które nigdy już jej nie dotkną — nóżki, którym nigdy już nie będzie pomagała stawiać pierwszych kroków. Wyciągnęła ramiona, czując tylko straszliwą ich pustkę i nieśmiertelną tęsknotę.

I wtedy wstąpiła w nią nowa odwaga. Wśród panującej ciszy podniosła głowę i ujrzała tylko miłosierne oczy Wielkiego, Wszystko Rozumiejącego Sędziego.

— Proszę — powiedziała cichym, wyraźnym głosem — aby sądziły mnie tylko te kobiety, które straciły niegdyś małe dziecko, stanowiące dla nich wszystko na świecie; albo kobiety, które daremnie i w skrytości tęskniły za dotknięciem dziecięcych rączek i odgłosem małych nóżek.

Przerwała i opuściła wzrok, chociaż twarz jej zwrócona była odważnie do Wielkiego Białego Tronu.

— Stanie się tak, jak prosisz — odpowiedział głos Sędziego. Ale wśród długiego milczenia, jakie nastąpiło, słychać było

tylko odgłosy oddalających się kroków—te bowiem kobiety, które mogły by zostać i wziąć udział w sądzie, odeszły pierwsze.

Gdy już wszyscy odeszli i zapanowała głucha cisza, z Wielkiego Tronu rozległ się głos pełen miłości i tkliwości:

— Gdzie są twoi oskarżyciele? — po czym rozległo się owo stare jak świat zdanie, pełne niezmiernego miłosierdzia: — Ja także cię nie potępiam.

W pokoju, którego okna wychodziły na bezkresne morze, gdzie pęk promieni słonecznych przebił się właśnie przez chmury i utworzył jasną ścieżkę na powierzchni fal, Joyce zaczęła szeptać coś cicho, głosem pełnym szczęścia, i obudziła się z tym samym lekkim uśmiechem na ustach.

Cecil wstał z krzesła i podszedł do niej, zdumiony i zaniepokojony.

— Co to było, maleńka? — zapytał. — Coś miłego ci się śniło, co uleczyło cię podczas snu?

Złożywszy głowę w zagłębieniu jego ramienia, Joyce ukryła twarz na jego piersi i powiedziała cicho:

— Stałam w obliczu Boga.

ROZDZIAŁ XLIII POWRÓT DO ZIEMI

— Droga Trudo, nie ma co się zżymać. Nasze postanowienie — dotychczas bowiem na szczęście zgadzamy się jeszcze we wszystkim — jest niezłomne. Będziemy ogromnie nowoczesni, żeby już nie powiedzieć modni, i wrócimy do ziemi. Drobne gospodarstwa, wiesz.

— To śmieszne! — zachnęła się Truda. — Ty i praca na roli! Ależ ty jesteś urodzoną mieszkanką Londynu i doskonale wiesz o tym. Czyż inaczej potrafiłabyś się ubierać w ten sposób? Właśnie w tej chwili, na przykład, masz na sobie suknię, w której tylko jedna kobieta na pięćdziesiąt może wyglądać dobrze. A tobie jest w niej wspaniale! Ciekawa jestem tylko, skąd wiesz i w jaki sposób to odkrywasz, że jesteś właśnie tą jedną kobietą?

— Wcale tego nie odkrywam, suknia to odkrywa. Przez proste poczucie uczciwości. Widzisz, zapłaciłam za nią dwadzieścia pięć gwinei, stara się więc wynagrodzić mi to. Czy możesz sobie wyobrazić coś rozkoszniejszego niż suknia za dwadzieścia pięć gwinei na drobnym gospodarstwie rolnym?

Diana stała przy kominku i patrzyła na ciotkę szczęśliwymi, roześmianymi oczami. Jak Truda zauważyła podczas rozmowy z mężem poprzedniego wieczoru, małżeństwo niesłychanie korzystnie wpłynęło na wygląd Diany, jak gdyby oszlifowało ją ostatecznie. Nie była już brzydka i chociaż trudno by nazwać ją ładną, należało bez wątpienia uznać, że jest niezmiernie pociągająca.

— Jeżeli, jak powiadasz, zachowaliście na własność waszą kochaną farmę w Rodezji, to czegoż więcej wam potrzeba? Przy waszych połączonych dochodach potrzeba mu tylko jakiegoś stanowiska w ministerstwie — tylko po to, żeby miał jakieś zajęcie.

— Stanowisko w ministerstwie! Doprawdy, Trudo, jesteś kompletny matoł! Ależ on po kilku dniach strzelałby z okien do przejeżdżających szoferów autobusów i taksówek! Nikt zresztą, będąc przy zdrowych zmysłach, nie przyjąłby do pracy żadnego eks-kolonisty z Rodezji, chyba że mógłby mu dać kawałek gruntu do wałęsania się ze strzelbą. Oto dlaczego jedziemy na wieś. Nie jestem pewna, czy nie mając innego obiektu, nie zaczęłby w końcu

strzelać do mnie. A poza tym, Trudo, powinnaś skakać z radości, słysząc nasze projekty. Wiesz doskonale, że przez połowę roku będziesz trzymała dzieciaki u mnie, dlatego że właśnie przechodziły odrę czy coś w tym rodzaju — i będziesz wysyłać do mnie grubego i poczciwego Ralfa, ilekroć będziesz czyścić dywany czy ilekroć kucharka dostanie ataku kamieni żółciowych, albo kiedy zobaczysz, że roztył się ponad granice przyzwoitości.

— Jeżeli chodzi o ścisłość, Ralf traci teraz na wadze. Ubyło mu dwa cale w pasie od czasu jak regularnie robi ćwiczenia Sandowa.

— W pasie! — ironicznie powiedziała Diana. — Byłoby mniej wytwornie, ale za to ściślej, gdybyś powiedziała w obwodzie brzucha. Ale wracając do przerwanego tematu. Otóż mamy do wyboru wyjechać na wieś w Anglii albo też wrócić do kolonii, postanowiliśmy zaś spróbować najpierw Anglii. Ale nie powinnaś być tego zbyt pewna, gdyż moja miłość do Rodezji przetrwała już kilka miesięcy małżeństwa. Powiadam ci, ostatniego wieczoru na farmie czuliśmy się jak dwoje zbłąkanych kurcząt. Kiedy już doszło co do czego, strasznie się nam nie chciało wyjeżdżać.

— I to potem, kiedy tyle i w taki sposób pisałaś o Rodezji.

— Tak, to ciekawe, prawda? Świetnie się bawię, rozważając na zimno radykalne zmiany moich wiecznie zmiennych upodobań. Ale dlaczego właściwie nie miałabym się zmieniać i dlaczego ty masz przybierać taką urażoną minę, tego nie pojmuję. Naturalnie — Diana wzruszyła ramionami — Rodezja miała swoje przykre strony — takie drobnostki na przykład, jak żmije i lwy, były dość nieprzyjemne — czasami też brakowało jedzenia, a ponadto większość zwierząt domowych miała przykry zwyczaj umierania. To dobry kraj, żeby tam pojechać — i wyjechać — chyba że się jest skrojonym na miarę „Nieodpowiedzialnych”, którzy przysięgają, że tylko w Rodezji można mieszkać.

— Czy oni wszyscy trzej zostają tam?

— O, tak, oni zostają. Ślicznotka jest leniwszy i bardziej uroczy niż kiedykolwiek. Billy staje się ordynarniejszy z dnia na dzień, kochany zaś W. P. pobudza go nieustannie do idiotycznego chichotu, chociaż W. P. przycichł znacznie od czasu, jak Joyce i jej dziecko zniknęli z widowni.

— A któż to jest W. P.? To jakieś nowe przezwisko?

— O, nie. Zawsze nazywamy Jima W. P., czyli Wstrętna Pchła, kiedy jesteśmy w szczególnie pieśczośliwym usposobieniu. Ale, naturalnie, to brzmi lepiej w ich lepiankach niż w twoim salonie.

— A jakież masz wiadomości o pani Grant?

— Pani Lawson! — poprawiła Diana stanowczym tonem, twarz jej mimo woli przybrała wyraz, który Billy nazywał „Precz z drogi!”.

— Pani Lawson, jeżeli tak sobie życzysz. Czy im się dobrze powodzi?

— Zależy co rozumiesz pod słowem „dobrze”. Jeżeli chodzi ci o to, czy są szczęśliwi, to mogę ci powiedzieć, że są w siódmym niebie i przypuszczalnie pozostaną w nim, na przekór nieustannej ulewie błota i kamieni, jaka spada na nich za sprawą Grantów. Jest to jedyny sposób, na jaki się potrafią zdobyć arystokratyczne Granty, aby pomścić potworną zbrodnię młodej kobiety, która dopuszczona przed oblicze ich wielkości poważyła się oddać pierwszeństwo innemu człowiekowi, bardziej przypominającemu mężczyznę.

— Grant wciąż jeszcze nie chce jej dać rozwodu?

— Nie chce! — odparła Diana, nie mogąc ukryć rozgoryczenia. — Przed wyjazdem widziałam się z nim raz jeszcze. Zmusiłam się do tego dla dobra Joyce i błagałam go o wolność dla niej jak o łaskę. W odpowiedzi on tylko uciekł się znów do swego taniego szyderstwa i przysiągł, że nie zrobi tego. Uff! Mdli mnie po prostu na samą myśl o nim! Ileż musiała Joyce przecierpieć, będąc jego żoną! Na jej miejscu otrulałbym go po miesiącu. Ale cóż — Joyce jest teraz szczęśliwa z kochanym doktorem, chociaż pragnęłabym, aby przysyłał bardziej pocieszające wiadomości o jej zdrowiu.

— Czy wciąż jeszcze choruje?

— Nie choruje w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale jest bardzo wątła. Naturalnie, zawsze była bardziej wątła niż wszyscy przypuszczali, ale miałam nadzieję, że wzmocni się pod opieką doktora. Zdaje się, że wstrząs po śmierci dziecka i następny wstrząs, jakiego doznała po przeczytaniu tego potwornego listu od męża, odbił się na niej poważniej, niż sądziliśmy. Jim opowiada, że była zupełnie nieprzytomna, kiedy ją spotkał. Ten bałwan, Grant, pojechał pochować dziecko o dwanaście mil od domu w poświę-

canej ziemi, zostawiając matkę samą na łup szaleństwa. Umarłaby przypuszczalnie, gdyby nie Jim. On jeszcze dotychczas nie może o tym mówić. Głos mu się załamuje i zmienia szybko temat. Billy powiada, że Jim ubóstwiał to biedne dziecko -wszyscy zresztą mówią, że to było najmiłsze i najładniejsze dziecko, jakie można sobie wyobrazić — równie wdzięczne i kochane, jak śliczne.

— Jakaż to potworna strata! — zauważyła Truda półgłosem.

— Tak — i to tam, w Rodezji — Joyce była zupełnie sama. Ale jeszcze teraz nawet nie mogę o tym myśleć spokojnie.

Czy doktor ma jakiś prywatny kapitał?

Bardzo niewielki. Razem z tym, co dostał za praktykę, wystarcza na skromne życie dla nich dwojga. W Konwalii wszystko jest bardzo tanie. Ale on jeszcze zdobędzie pieniądze swymi pracami naukowymi. Doktor należy do ludzi, którzy nie uznają słowa „niepowodzenie”. Należy do tych, którzy przez swoją determinację osiągają zawsze zamierzony cel. Jedziemy do nich z Tedem w przyszłym tygodniu.

— A co się dzieje z majorem, Diano? Mam wrażenie, że koniec końców brzydko się z nim obeszłaś.

— Kochany marszałek! — twarz Diany złagodniała, dodała jednak tylko: — Napisał do mnie wspaniały list z powinszowaniami i podarował mi dwa prześliczne drzeworyty jako prezent ślubny.

— Uraduje cię chyba wiadomość, że lady Godiva Stuart także ma zamiar posłać ci prezent ślubny — oznajmiła Truda ze śmiechem.

— Niemożliwe!... Wielkie nieba!... To na pewno będzie pokrowiec na czajnik albo jedna z tych okropnych mat, które robi własnoręcznie. Jeżeli przyślę tutaj ten prezent, to możesz go sobie zatrzymać, Trudo. Nie chcę łask tej starej gorgony. Wystarcza mi zupełnie jej dezaprobata. Nie jestem „ciotką Elizą”, aby z wdzięcznością przyjmować łaskawe pozwolenie na zawiązanie jej bucika.

Truda roześmiała się serdecznie na samą myśl o podobnym obrazku. W tej chwili nadeszli panowie.

Ted Burnett, który znajdował się jeszcze w tym stadium, kiedy mężczyzna wchodząc do salonu szuka przede wszystkim wzrokiem swojej żony — nie zważając na żadne względy przyzwoitości —

podszedł od razu do Diany i usiadł na takim miejscu, z którego mógł ją bez przerwy i bez przeszkód obserwować. Korpulentny Ralf opadł natychmiast w najwygodniejszy fotel i od razu został celem ataków swej odznaczającej się brakiem uszanowania siostrzenicy.

— Winszuję ci, Ralfie! — zawołała. Ale tym razem nie wyróżnienia się, lecz zmniejszenia. Słyszałam, że talia twoja zwięzła się o całe dwa cale.

Młodzieńczy wuj uśmiechnął się dobrodusznie i obciągnął dumnie kamizelkę.

— Dwa cale i jedna szesnasta, powiedzmy dla ścisłości. Za kilka tygodni cała rodzina zbierze się dokoła mnie i będzie żalobnie potrząsać głowami nad moim mizernym wyglądem.

— I wtedy wyślą cię do nas. Mówiłam właśnie Trudzie, że mamy zamiar osiąść na roli. Ona nie wierzy w to i robi potworne propozycje względem jakichś ponurych stanowisk w ministerstwie. Gdyby znała Teda tak dobrze, jak ja, rozumiałaby, że równa się to próbie zaprzężenia słonia do wózka dziecinnego. W każdym razie nasze zamiary to całkowita prawda i dodam jeszcze, że przy wyborze ślubnych prezentów dla nas przyjaciele nasi zrobiliby dobrze, gdyby zwrócili bliższą uwagę na łopaty, grabie, motyki, młockarnie i inne tym podobne przedmioty-. Powiedziałam dzisiaj anielskiej mamie Burnett, żeby nam lepiej podarowała ręczny magiel i kilka żelazek do prasowania, bo przypuszczalnie będziemy musieli pracować w domu. Mąż anielskiej mamy Burnett, który jest teraz moim szanownym teściem, prorokuje nam straszliwe klęski w najbliższej przyszłości, pocieszyliśmy go jednak, że w razie takiego obrotu spraw powrócimy po prostu do Rodezji i osiedlimy się w naszym tamtejszym — hm — majątku.

— Znacznie prawdopodobniejsze jest, że niedługo złożymy wam wizytę w najbliższym pensjonacie zauważyła sceptycznie Truda.

— Cóż, na wsi nie będą ci potrzebne takie suknie — powiedział Ralf — możesz więc tę od razu oddać Trudzie. Dam ci w zamian zwykłą koszulę z domowego płótna.

— Nie, z tym będzie nieco inaczej. Aby nie urażać gđności familijnej zagospodarujemy się gdzieś, gdzie będzie dobre polowanie, i podarujemy sobie nawzajem na prezent ślubny po dobrym, rasowym psie myśliwskim. A także, ilekroć będziemy ukazywali

się w wielkim świecie -- odrywając się od grządek kapusty — będziemy to robili z całą pompą, przynależną naszym historycznym nazwiskom. W tym celu właśnie nabyłam, póki czas, tę szatę od Paquina.

Przypuszczam, że oprócz tego będziecie mieli ze dwa samochodziki, powóz i kamerdynera.

Owszem, myślałam właśnie, że Diana mogłaby wozić produkty na jarmark samochodem — wtrącił Ted.

- Bardzo mądry pomysł, kochanie, ale nieco już niemodny. Ja ze swej strony myślałam o samolocie i olbrzymich ogłoszeniach: „Dostarczamy jajka w dwie minuty po ich zniesieniu — a także masło w dwie minuty po ubiciu — zamówienia wykonuje się najniższym kosztem życia i kończyn". Takie ogłoszenie powinno mieć dużą siłę atrakcyjną.

Gdybyście pojechali samolotem w podróż poślubną — zauważyła Truda, wciąż jeszcze sceptycznie usposobiona do ich planów — zdziwiłoby mnie to znacznie mniej niż ten bzik do farmerki. Wiesz, że przepadasz za ruchem i wesołością, Dianu. Lubisz bywać i przyjmować hordy przyjaciół.

— Lubiałam — poprawiła Diana. — Teraz kocham rolnictwo i przypadkowo także pewnego rolnika. Nic nikomu nie przyjdzie z wypominania mojej dawnej frywolności, Trudo. Przestałam być motylkiem, a stałam się dojrzałą osobą. I jak już zaznaczyłam, kocham pracę na roli. Zapach zoranej ziemi wywołuje we mnie uczucia nie do opisania; wi... — A zapach obory? — przerwała Truda.

— Również niezwykle przyjemnie oddziaływa na moje ośrodki nerwowe. Lubuję się w nim, można powiedzieć, i najśłodsza muzyka nie sprawia mi większej rozkoszy niż poranny chór drobiu.

— Doprawdy? — zawołał Ralf. — To jedyna rzecz, która pobudza mnie do używania brzydkich słów.

— Jeżeli zaś chodzi o żniwa — ciągnęła dalej Diana, ignorując go — szczęście moje wówczas dochodzi do zenitu. Promienieję wprost z radości, jak gdybym nieustannie obchodziła Święto Dziękczynienia. A co następnie, Ted?

Warzywa czy siano?

— Siano po zbożu! Ładny z ciebie farmer, Di! — dociął jej Ralf z głębi swego obszernego fotela. — Pewnie będziesz próbowała żąć na Boże Narodzenie, a siać w lipcu.

Czy musimy koniecznie siać? Diana skrzywiła się. — Mam specjalną antypatię do siania. Pewien znajomy pan — znacie chyba ten gatunek ludzi otóż ten pan — hm — sieje. To wszystko — a śmiać się będziecie pojutrze. — Cóż, jeżeli nie będziecie siali — wtrąciła Truda — to zaoszczędzicie sobie wydatków na żniwa, a to chyba, jak dotychczas, najrozsądniejszy wasz pomysł.

Trudo ostrzegła ją Diana — zdradzasz swój wiek, mówiąc takie rzeczy. Cóż ci przyjdzie z tego, że wyglądasz na czterdzieści pięć lat, jeżeli mówisz, jak gdybyś miała pięćdziesiąt?

Stłumiony śmiech, rozlegający się z fotela, był jedyną radosną reakcją na te słowa. Ted pośpieszył rycersko na ratunek Trudy, mówiąc:

— Powinna była powiedzieć, że wygląda pani na dwadzieścia lat.

Dziękuję panu, kapitanie Burnett. Wydaje mi się jednak, że Natura, mając niewątpliwie na względzie wyrównanie poziomów, połączyła mnie i pana z parą kompletnych idiotów.

— To ogromnie pocieszające — zapewniła ją Diana. Znaczy to, że można wyprawiać nie wiedzieć co, ludzie zaś powiedzą tylko: „To nie jej wina. Biedactwu brakuje piątej klepki!” Czy czujesz się jak biedactwo, Ralf?

Czasami. Zwłaszcza kiedy Vi i Ralf junior, i Mervyn bawią się w niedźwiedzie na moim brzuchu przy temperaturze czterdzieści stopni w cieniu.

Będą mogły się bawić w stawie w kaczki, kiedy przyjadą do mnie, a na stogach w dzikich Indian. Właściwie to przede wszystkim dla ich dobra tak bardzo palę się do naszego projektu. Ściągnie to także prędzej może Billa do kraju. Jeżeli będzie miał pewność, że będzie mógł dalej mieszkać na farmie i włączyć się całymi dniami ze strzelbą, to przyjedzie natychmiast. Naturalnie, to ogromnie plebejuszowskie z naszej strony — ale trudno — i zdaje się, że nasi zgorzeleni krewni będą musieli pogodzić się z rzeczywistością. Mama Burnett w każdym razie zachowuje się rozsądnie. Wyczerpała już wszystkie przepisy na przyrządzanie drobiu, teraz więc czytuje dla nas „Nowoczesne Gospodarstwo Mleczne”. Prosiłam ją, żeby się dowiedziała, jaką delikatną

manipulację należy wykonać, aby zbierane mleko wyglądało jak niezbiane. Brydź, powiadasz? — zwróciła się Diana do młodzieńczego wujaszka, widząc, że ten przesunął się już na skraj swego obszernego fotela. — Dobrze, możemy zagrać. Na statku graliśmy przez cały czas z pewnym uroczym generałem i z prezesem jakiegoś tam Towarzystwa Frachtowego. Dali mi generała za partnera, bo miał groźne niebieskie oczy i mówiono o nim, że bije partnerów, kiedy coś skno-ć. Myśleli, że ze mną sobie nie poradzi — Diana przenosiła się do stolika, który przygotowali Truda i Ralf — ale zdarzały się chwile, kiedy zdawało się, że załamie się psychicznie. Nie miałam zresztą żalu do generała, był rzeczywiście uroczy, prawda, Ted? Generał stacjonował kiedyś w tym samym mieście co twój dawny pułk, Ralfie, prawda, kochanie? i wiedział wszystko o twoich sprawkach z żołnierskich czasów. Truda spojrzała na nich z uśmiechem.

— Nic strasznego, mam nadzieję?

— Okropne rzeczy! — zawołała Diana. — Gorszące, potworne! Dotychczas jeszcze wzdrygam się na wspomnienie tych rewelacji. I to człowiek z taką skłonnością do tycia, jak Ralf! Rozumiesz, moja droga, jakiego wstrząsu doznałam! Nie, Ralfie — zwróciła się do wuja — nie będę już więcej rozmawiać i będę grała z punktową konwencją, jeżeli wiesz, co to jest. Kochany generał wbijał mi ją do głowy tak długo, że omal nie zgłupiałam.

Przed odejściem, wkładając kosztowny, obramowany futrem płaszcz wieczorowy, oznajmiła wesoło:

— Jedziemy jutro samochodem do Somersetshire, bo chcemy założyć gospodarstwo w takiej okolicy, gdzie będziemy mogli w pobliżu polować na jelenie.

— Czy ona pozwala panu kiedy dojść do słowa? — zapytała Truda Burnetta na pożegnanie.

— Nigdy — odparł — ale to jest dla mnie bardzo wygodne, bo zaoszczędzam sobie mnóstwo zachodu, jeżeli zaś od czasu do czasu wtrącam „tak” lub „nie”, Diana nie wie nigdy, czy uważam naprawdę, czy tylko udaję.

ROZDZIAŁ XLIV

POTOMKINI

Diana i Ted rozbili w końcu swoje namioty w Somerset. Trudno powiedzieć, żeby gospodarstwo ich prosperowało, o ile chodzi o dochody, potrafili jednak nie popaść w długi, co dziwiło ogromnie ich sceptycznych krewnych.

Gospodarka Diany polegała głównie na hodowaniu jamników, Ted zaś nigdy nie stracił końskiej żyłki. Oboje cieszyli się zresztą niesłabnącą popularnością wśród okolicznych sąsiadów.

Wkrótce po osiedleniu się, jak to nazwała Diana, gdy wciąż jeszcze zastanawiali się, co się powinno jeszcze kupić, zasiać i hodować, przyjechał do Anglii Billy na sześciomiesięczny pobyt. Przy końcu jednak czwartego miesiąca oznajmił Dianie, że już wyjeżdża. Powiedział, że bawił się doskonale, bardzo jest jej wdzięczny, ale słyszy już „zew kozia” i musi jechać.

— A cóż robiłeś w Londynie? — zapytała Diana, Billy bowiem powrócił właśnie z Londynu, gdzie spędził kilka dni, przedtem zaś nic nie mówił o wyjeździe.

— Chodziłem tam i z powrotem po Strandzie! — odparł Billy.

— Ach, mój drogi, cóż za pomysły! Zupełnie niby jakiś przyjezdny z głuchej prowincji!

— O, nie! Byłem pogrążony w myślach.

Wielkie nieba! Chyba samochody cię omijały, że nie uległeś żadnemu wypadkowi?

Nie, ja chodziłem po chodniku, przed pewnym sklepem.

— Cóż za idiotyczny sposób spędzania czasu! Dziwię się, że cię nie zaprowadzili do domu dla zabłąkanych dwunożnych zwierząt.

— A ja ciekaw jestem, co było w tym sklepie zauważył Ted.

Billy odetchnął głęboko.

— Już jej tam nic ma powiedział.

Ona? zawołała Diana. O, Billy, przecież nie...

— Wszystko jest w porządku, kupiłem ją przerwał jej Billy.

— Ted, co mu się stało? - zwróciła się z rozpaczą do męża Diana.

— Nie wiem — odparł Burnett z chytrym uśmiechem — chyba, że chce powiedzieć, że kupił jej milczenie.

— Milczenie! — powtórzył Billy. — O, nie, ona nie jest cicha. To jedyna rzecz, jaką jej mam do zarzucenia. Pod wszystkimi innymi względami jest doskonałością. Dwukrotnie chodziłem do sklepu i oglądałem ją, ot tak, po prostu dla przyjemności, zanim ją kupiłem. Chciałem, żeby sprzedawca opuścił trochę ze względu na jej hałaśliwość.

— Billy, Billy! — wybuchnęła Diana. — Czyś kupił żonę, czy psa?

— Ani jedno, ani drugie. Miałem do wyboru żonę albo strzelbę i dlatego chodziłem tak długo po Strandzie.

— Żonę albo strzelbę — co ty mówisz?! — Diana była coraz bardziej zdumiona. - Billy, oprzytomnij!

Billy przez chwilę pykał uroczyście fajkę, po czym tonem takim, jak gdyby rozstrzygał sprawę międzynarodowej wagi, przemówił:

— Widzisz, to było tak. W drodze do Anglii wpadła mi w oko na pokładzie pewna przyjemna panienska i zaczęło mi się wydawać, że chętnie bym zabrał ze sobą żonę do Rodezji. Potem któregoś dnia przechodziłem StranDEM i zauważyłem w oknie najpiękniejszą strzelbę na świecie. Naturalnie miałem ochotę ją kupić. Wszedłem do sklepu, obejrzałem ją dokładnie i nabrałem na nią jeszcze większej ochoty. Potem znów przypomniałem sobie o żonie. Wyszedłem ze sklepu i zacząłem się przechadzać po ulicy, żeby rozważyć sobie wszystko, jedno bowiem wiedziałem na pewno, a mianowicie, że nie mogę sobie pozwolić na obydwie rzeczy. Kwestia więc polegała na tym, czy mam zabrać do Rodezji żonę, czy strzelbę. Przypomniałem sobie kolor jej oczu, odcień jej włosów — tak się zdaje się to nazywa? — kształt jej nosa, potem zaś poszedłem jeszcze raz spojrzeć na strzelbę. Podobała mi się bardziej niż kiedykolwiek, ale wyszedłem jeszcze raz, żeby się ostatecznie zastanowić. Wreszcie wróciłem — i... no więc, na żonę przyjdzie kolej, kiedy następnym razem przyjadę do Anglii.

— Billy, ty ośle! Cóż byś ty począł z żoną? Ta dziewczyna miała szczęście, że ominęło ją małżeństwo z tobą!

Koniec końców Billy odjechał z powrotem do Rodezji wraz ze swoją ukochaną strzelbą, mówiąc na pożegnanie, że w Anglii dobrze może umierać, ale jest zbyt mglista i wilgotna, aby w niej żyć.

Diana pożegnała go z pewnym żalem, po czym pośpieszyła do „dziecinnego pokoju Burnettów”, który pełen był podówczas maleńkich jamniczków. Ale niewiele czasu upłynęło, a Diana w liście do Cecila i Joyce zapowiedziała swoją i jeszcze czyjąś wizytę w ich nadal szczęśliwym i spokojnym domu.

Chcę przywieźć ze sobą naszą Potomkinię, pisała, która jest tłusta ima twarzyczkę jak księżyc w pełni. Mimo to zresztą jej dumny ojciec nazywa ją swoim różowo-białym cherubinkim i wyobraża sobie, że odziedziczyła jego urodę. Ja znów powiadam, że najgorsza z moich suczek jamniczek bije ją na głowę. Ted jednak po raz pierwszy w życiu natrafił na coś, co woli od swoich koni i strzelb, zaperza się więc i twierdzi, że to najdoskonalsze dziecko, jakie kiedykolwiek świat oglądał.

Prawdę mówiąc, oboje się jej trochę boimy, zwłaszcza kiedy niania jest w pobliżu, nie jesteśmy bowiem jeszcze zbyt pewni, jak ją należy trzymać na ręku. Kiedy krzyczy, o mało nie dostajemy apopleksji, łamiąc sobie głowę nad tym, dlaczego to robi i czego właściwie może chcieć. W każdym razie żadne z nas nie potrafi jej uspokoić, ją zaś widocznie tak złości nasza głupota, że w końcu urządza wrzask, który by umarłego obudził. Wówczas niania przybiega na ratunek i powiada do niej czule: «Biedactwo moje, co ci zrobili!... co ci zrobili!...» i mamy wtedy z Tedem wrażenie, że co najmniej zamordowaliśmy człowieka, wobec czego wymykamy się w przygnębieniu do naszych koni i psów. Któregoś dnia — kiedy niani nie będzie w pobliżu — dam malej solidnego klapsa, bo pewna jestem, że bawi się naszym kosztem. Wiem doskonale, że na jej miejscu postępowałabym tak samo, Ted zaś bredzi coś o jej przejawiającej się już stanowczości charakteru. W każdym razie, jeżeli to prawda — to ona już niedługo, przy takim tempie rozwoju, będzie nas łaskawie zapraszała do naszego własnego domu i będzie mnie równie łaskawie zabierała ze sobą do miasta. Nie jestem zwolenniczką zbyt samodzielnych córek, toteż ona doczeka się jeszcze swojego klapsa! Zamknę wszystkie okna i postaram się, żeby psy czekały wtedy jak najgłośniej.

Do widzenia — nie mogę już pisać — mała płacze i muszę zobaczyć, co jej jest. Na pewno zetkniemy się w drzwiach z Tedem, podczas gdy Potomkini będzie spoglądała na nas z góry.

Diano

Wkrótce po tym liście Diana istotnie zjawiała się w domu Joyce i Cecila z wesolutką, maleńką dziewczynką, którą uwielbiała skrycie, zawsze jednak żartując na jej temat.

Po upływie zaś niecałych pięciu lat małe stadko, złożone z trojga zdrowych dzieci, przyjeżdżało do cioci Joyce, aby bawić się w piasku i zrywać kwiaty, Diana zaś poniechała hodowli jamników i poświęciła się wzrastającemu pokoleniu. Mówiła, że dała swemu krajowi jedną sufrażystkę, jednego obrońcę imperium i jednego sędziego, wobec czego w przyszłości będzie już mogła dbać wyłącznie o swój dobrobyt.

Billy, Ślicznotka i Jim mieli każdy swego chrześniaka i otrzymywali obszerne listy, opisujące ich wspaniałe rozwój i spryt.

W tym szczęśliwym stanie spraw możemy pozostawić Dianę i jej zawsze kochającego męża, i jej dom i po raz ostatni rzucić okiem na ów wymarzony port, oświetlony przyjazną latarnią morską.

ROZDZIAŁ XLV

POŻEGNANIE

— Pięć cudownych lat — oto jak Joyce określiła ów krótki okres szczęścia, jaki przypadł w udziale jej i Cecilowi na półwyspie. U schyłku bowiem piątego roku, pewnego miodowego, dojrzałego września oboje zdali sobie spawę, że koniec już się zbliża.

Przez całą ubiegłą zimę Joyce zapadała często na zdrowiu, akurat zaś w chwili, gdy Cecil pokładał wielkie nadzieje w powrocie wiosny, ciężka grypa ścięła ją zupełnie z nóg.

Nikt nie umiałby powiedzieć na pewno czy to śmierć dziecka, czy też okrutny list męża, gdy jeszcze była tak bardzo osłabiona po pierwszym wstrząsie, tak bardzo nadwątlili jej siły. Cecil jednak był przekonany, że gdyby nie ten drugi wstrząs, gdyby mąż jej mężnie pogodził się z losem i zwrócił jej wolność, on, Cecil, potrafiłby uleczyć ją ze skutków pierwszego. Przy tym jednak stanie rzeczy, chociaż byli ze sobą niewypowiedzianie szczęśliwi, cień rychłej rozłąki wisiał nad nimi jak miecz Damoklesa. Doktor, który poświęcił swe najlepsze lata leczeniu ludzi i ratowaniu życia bliźnim, który doszedł w tej sztuce do tak wielkiej doskonałości, musiał teraz patrzeć bezradnie, jak życie, które było mu droższe

nad wszystko na świecie, wymyka się mu z wolna. Ponieważ zaś zdawało mu się chwilami, że Joyce padła ofiarą nie tylko złośliwej tyranii męża, lecz całej cywilizacji, opartej na przesądach i zabobonach, nie należy się dziwić, że był rozgoryczony. Niechby jego samego spotkało choćby najgorsze. Był silnym mężczyzną, z gatunku tych, co po upadku potrafią podnieść się znowu, ale dlaczegóż wszystkie ciosy spadają na słabą Joyce, gdy on nie jest nawet w stanie jej bronić?

On sam odniósł już triumf swą pierwszą, niezwykle wartościową rozprawą naukową i przypuszczalnie niewiele czasu upłynie, a świat puści przeszłość w niepamięć i znów znajdzie się u jego stóp. Ale cóż mu po triumfach, gdy Joyce zabraknie? Cóż za różnica czy znajdzie się u szczytu powodzenia, czy stoczy się na dno, jeżeli życie jego opustoszeje bez niej? Gorzka ironia takiego triumfu ciążyła mu chwilami jak kamień.

Joyce jednak nie odczuwała rozgoryczenia. Przeszła przed tym zbyt twardą szkołę życia, aby tracić teraz czas na gorzki i żale.

— Pięć cudownych lat powiedziała mu raz starając się go pocieszyć — a czy wielu jest ludzi, najdroższy, którzy by mieli w życiu choćby pięć takich cudownych godzin?

Podczas tych ostatnich tygodni życia ona była mu pocie-szycielką i podporą i stojąc na progu mglistej, niezbadanej wieczności, która napełniała duszę mężczyzny mistycznym lękiem, odwracała się ku niemu, aby rzucić mu słowa otuchy i pocieszenia.

Pewnego dnia doktor zauważył, że Joyce przepisuje coś na kartce papieru z jakiejś książki. Gdy zasnęła, wziął kartkę i odczytał napisane ołówkiem słowa. Iłył to ustęp z *Boskiej przygody* Fiony Macleod:

„Gdy, zmęczona, odłożę pióro na zawsze, będzie to po to, aby stanąć oko w oko ze świtem nowego życia. Nie czuję strachu. To, co we mnie śniło i marzyło, będzie nadal w stokroć cudow-niejszy sposób marzyć, śnie, szukać, dociekać i zgłębiać coraz bardziej zagadkę piękna i prawdy la zaś część mojej natury, która przed tym przypuszczała tylko, teraz wie na pewno. W gruncie rzeczy bowiem nie ma takiego snu, który by się nie ziścił, nie ma nadziei, która by się nie spełniła, nie ma takich łez, które by nie zostały zebrane w wielką chmurę współczucia, aby opaść znów uzdrawiającą rosą.

Istnieją tajemnice o których nie mogę pisać; nie ze względu na jakiś sekret okultystyczny, lecz dlatego że są tak proste i nieuniknione, jak zagadka dnia i nocy, zmiany pór roku lub też życia i śmierci. Każdy człowiek musi je poznać sam, na swój sposób i we właściwej dla siebie porze. Prowadzi mnie właśnie światło tych tajemnic, wyruszam w drogę przy ich blasku, bez którego byłabym zaledwie cieniem błakającym się po bezdrożach". Doktor stał przez dłuższą chwilę z kartką w rękę, wpatrzony w zachodzące słońce. Miał wrażenie, że od strony promiennego zachodu płynie ku niemu pociecha. Nie potrafiłby ująć jej w słowa, ale nowa nadzieja wstąpiła w jego serce, usuwając zeń gorycz.

Dotychczas nazywał tylko „Niezbadaną Siłą" owo Mgliste Tajemnicze Przeznaczenie, dla którego ludzie od wieków żywili na przemian nienawiść, miłość i strach, ale którego nigdy całkowicie nie ignorowali.

Owego wieczoru Cecil poczuł po raz pierwszy, że może nazwać tę Potęgę Bogiem i Ojcem.

Pochylił się nad śpiącą Joyce i pocałował ją czule. W świadomość jego głęboko zapadła nadzieja, równająca się niemal wierze, że Joyce odchodzi do jakiejś wszechogarniającej miłości, która uleczy ją i ochroni przed tym wszystkim, przed czym on sam nie był w stanie jej ochronić.

*

* *

W kilka miesięcy później, kiedy mieszkał sam w opustoszałym domu, przyjechali do niego na tydzień Diana i Ted. Pewnego razu spacerując z Cecilem nad morzem, podczas gdy Ted poszedł na golfa, Diana poruszyła ostrożnie owo zagadnienie kary za złamanie prawa, o którym mówił kiedyś doktor.

— Cieszyłam się zawsze bardzo — powiedziała — że przynajmniej żadne z was nie pożałowało nigdy tego kroku.

— Ani przez jedną chwilę — odpowiedział doktor z przekonaniem. — Joyce była na to dostatecznie odważna. Świat mógł ją zabić swoją bezwzględnością, ale nie mógł zmusić jej do żalu, skoro pewna była, że ja jestem szczęśliwy.

Wydaje się to nieprawdopodobne — dodał ze smutnym uśmiechem — ale gdyby było inaczej, to znaczyłoby gdyby sądziła, że ja żałuję tego, co się stało, niewątpliwie umarłaby znacznie prędzej.

-- Czy uważa pan jej śmierć za karę?

— Nie odparł poważnie umarłaby bowiem znacznie wcześniej, gdyby pozostała z Graniem. Cierpiałem tylko z tego powodu, że nie mogłem jej pomóc, nie potrafiłem uśmierzyć jej bólu fizycznego i psychicznego. Teraz zaś — dodał bardzo cicho — życie moje jest puste.

Ruszyli z wolna dalej. Naraz Diana powiedziała:

— A Grant pewnie wciąż sieje i wciąż wzywa Boga swych praojców, aby patrzył na jego pilność i cnotę.

Doktor uśmiechnął się słabo.

Jest pani zbyt surowa. Nic należy nikogo sądzić. Ja osobiście mam nadzieję, że znajduje zadowolenie w swojej pracy; czy to bowiem była wina jego, czy przeznaczenia, w każdym razie stracił najśłodsza żonę, jaką dane było kiedykolwiek mieć mężczyźnie.

— Ależ on nigdy nie zdawał sobie z tego sprawy i nigdy by sobie tego nie uświadomi! obstawała przy swoim Diana..... Przemawiała do niego tylko jej uległość i posłuszeństwo i to, że osoba jej stanowiła pochlebne świadectwo dla jego rozumu i przezorności.

Doktor nic nie odpowiedział. Usiedli w milczeniu na wysokim głazie, skąd widać było ujście rzeki i złoty piasek przystani.

Słońce zachodziło równie pięknie jak owego popołudnia, gdy przybyli wraz z Joyce do swego wymarzonego portu.

Doktor z tęsknotą powrócił myślami do owych dni, kiedy Joyce była jeszcze przy nim i zacytował cicho:

Zmrok, wieczorny dzwon,

A potem ciemność;

Niechaj nie będzie smutku ani też,

Kiedy będę odjeżdżał.

Chociaż bowiem fala uniesie mnie może

Poza granice czasu i przestrzeni,

Mam nadzieję, że stanę oko w oko ze swym Stwórcą.

Kiedy znajdę się za kurtyną.

— Nie śmiałbym nazwać siebie chrześcijaninem rzeki z prostotą — wierzę jednak, że w takim właśnie nastroju Joyce opuściła świat i że naprawdę znalazła się twarzą w twarz ze swym Stwórcą.

I w chwili tej doktor był niewątpliwie dobroczyńcą ludzkości. Gdyż człowiek dotknięty nieszczęściem, który w obliczu swej straty potrafi spoglądać na gwiazdę, a nie na świeżą mogiłę, skierować na tę gwiazdę oczy innych — działa bez wątpienia na korzyść rasy ludzkiej.

KONIEC